

DESPENTES

NAJWIĘKSZE WYDARZENIE LITERACKIE 2015 WE FRANCJI!

VERNON SUBUTEX

1

10 LAT
WYDAWNICTWA
OTWARTEGO

VIRGINIE
DESPENTES

**VERNON
SUBUTEX**

TOM **1**

TŁUMACZENIE JACEK GISZCZAK


OTWARTE
KRAKÓW 2016

*Martine Giordano,
Joséphine Pépie Bolivar,
Yannie Pistruin*

Non omnis moriar

W oknach budynku naprzeciwko już świeci się światło. Sylwetki sprzątaczek poruszają się po rozległym open space, gdzie mieści się pewnie jakaś agencja reklamowa. Zaczynają o szóstej. Vernon zwykle budzi się trochę wcześniej. Ma ochotę na mocną kawę, papierosa z żółtym filtrem, chętnie wsunąłby kromkę chleba do opiekacza i zjadł śniadanie, przeglądając na komputerze nagłówki z dziennika „Le Parisien”.

Od tygodni nie kupił kawy. Rano patroszy wczorajsze niedopałki i skręca papierosy tak cienkie, że paląc je, ma wrażenie, że się zaciąga papierem. W szafkach nie ma nic do jedzenia. Ale wciąż korzysta z dostępu do internetu. Zlecił automatyczny przelew w dniu, w którym na jego konto wpływał dodatek mieszkaniowy. Od kilku miesięcy wysyłają pieniądze bezpośrednio na konto właściciela lokalu, ale jak dotąd wszystko działa. Oby jak najdłużej.

Usługi mobilne w jego telefonie zostały zawieszane, nie zawraca już sobie głowy doładowywaniem konta. W obliczu katastrofy Vernon trzyma się pewnych zasad: zachowuje się jak facet, który nie zauważył niczego szczególnego. Patrzył, jak wszystko wokół zapada się w zwolnionym tempie, a potem proces destrukcji uległ przyspieszeniu. Postanowił jednak być obojętny i zachować fason.

Najpierw odebrano mu zapomogę. Otrzymał pocztą kopię raportu na swój temat, pod którym podpisała się pani Bodard, jego doradca zawodowy. Dobrze się rozumieli. Spotykali się regularnie przez prawie trzy lata w ciasnym boksie, w którym usychały rośliny doniczkowe. Pani Bodard, trzydzieści lat, zadbana, ufarbowana na rudo, korpulentna, z dużymi piersiami, chętnie opowiadała mu o swoich dwóch synach, którzy przysparzali jej trosk. Regularnie odwiedzała z nimi pediatrę z nadzieją, że uzna ich za nadpobudliwych i przepisze im jakieś środki uspokajające. Ale lekarz uważał, że są w świetnej formie, i za każdym razem odprawiał ją z kwitkiem. Pani Bodard powiedziała mu, że była na koncercie AC/DC i Guns N' Roses, z rodzicami, kiedy była mała. Teraz woli Camille

i Benjamin Biolay, a Vernon powstrzymał się od jakichkolwiek przykrych komentarzy. Długo rozmawiali o jego sytuacji: od dwudziestego do czterdziestego piątego roku życia był sprzedawcą płyt. W tym zawodzie oferty pracy pojawiały się jeszcze rzadziej, niż gdyby się trudził wydobywaniem węgla. Pani Bodard zasugerowała zmianę kwalifikacji. Przejrzeli wspólnie oferty rozmaitych stowarzyszeń kształcenia zawodowego: AFPA, GRETA, CFA, i rozstali się w miłej atmosferze, by za jakiś czas znów się spotkać i dokonać podsumowania. Trzy lata później nie przyjęto go na szkolenie dla pracowników administracji publicznej. On sam uważał, że zrobił wszystko, co należało, stał się ekspertem od pisania CV i listów motywacyjnych i szło mu to bardzo sprawnie. W końcu doszedł do wniosku, że jego praca polega na żmudnym wyszukiwaniu w internecie ofert odpowiadających jego profilowi, proponowaniu swojej kandydatury tylko po to, by wkrótce otrzymać odpowiedź odmowną. Kto chciałby szkolić faceta, który ma pięćdziesiątkę na karku? Wprawdzie wytropił staż w sali koncertowej na dalekim przedmieściu i w jakimś małym kinie studyjnym – co na chwilę wyciągnęło go z domu, pozwoliło zapoznać się z problemami, z jakimi boryka się podmiejska kolej, a także spotykać ludzi, lecz przede wszystkim dawało mu przykrą świadomość marnotrawienia czasu.

W kopii raportu, w którym uzasadniano jego skreślenie z listy uprawnionych do zapomogi, pani Bodard wskazywała na rzeczy, o których wspominał podczas ich pogawędek, na przykład że wydał trochę pieniędzy, żeby zobaczyć grupę The Stooges w Le Mans, albo że przegrał sto euro w pokera. Kiedy przeglądał te papiery, zanim jeszcze zaczął się martwić, że stracił zasiłek, zrobiło mu się okropnie przykro z jej powodu. Miała około trzydziestki. Ile mogła zarabiać – ile zarabia tego typu dziunia – dwa tysiące brutto? Na pewno nie więcej. Ale ludzie z jej pokolenia wychowali się w atmosferze domu Wielkiego Brata: w świecie, w którym w każdej chwili może się odezwać Głos, każąc pozbyć się połowy kolegów. Eliminacja bliźniego to złota reguła gry, którą wysnali przez smoczek. I jak dziś od nich wymagać, by przyznali, że to niegodziwość?

Otrzymałszy ten list, Vernon powiedział sobie, że może to go zmotywuje, żeby „coś” sobie znaleźć. Jak gdyby pogorszenie niepewnej już sytuacji faktycznie mogło mu pomóc wydostać się z matni, w jakiej się pogrążył...

Nie tylko jemu warunki życiowe pogorszyły się z dnia na dzień. Jeszcze do początku lat dwutysięcznych bardzo wiele osób nieźle dawało sobie radę. Zdarzali się jeszcze gońcy, którzy zostawali muzycznymi managerami, freelancerzy obejmujący posadę dyrektora redakcji w telewizji i byle palant mógł zostać szefem działu płytowego w salonie FNAC... Na końcu peletonu ci mniej zmotywowani, żeby odnieść sukces, jakoś kombinowali, znajdując dorywczą pracę podczas festiwalu, w ekipie technicznej grupy odbywającej tournée albo rozlepiając afisze na ulicach... A przecież Vernon miał szansę bardzo wcześnie ocenić rozmiary tsunami o kryptonimie Napster, lecz nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że statek od razu pójdzie na dno.

Jedni twierdzili, że to działanie karmy, przemysł tak się rozwinął dzięki pojawieniu się płyt CD – można było od nowa sprzedawać klientom całą ich dyskografię na dużo tańszym nośniku, którego cena w sklepie była dwa razy wyższa... Przy czym żaden amator muzyki nie był zadowolony, wszak nikt nigdy się nie uskarżał na jakość winyli. Jest jednak pewien problem z tą teorią karmy – gdyby Historia faktycznie mściła się na idiotach, coś byśmy o tym wiedzieli.

Jego sklep nosił nazwę Rewolwer. Vernon zatrudnił się tam jako sprzedawca w wieku dwudziestu lat i przejął interes, kiedy szef postanowił wyjechać do Australii, gdzie otworzył restaurację. Dopiero gdy zaczynamy się starzeć, uświadamiamy sobie, że wyrażenie „kurwa, jak ten czas szybko leci” najlepiej oddaje istotę tego zjawiska.

W 2006 roku musiał zamknąć lokal. Najtrudniej było znaleźć kogoś, kto przejąłby po nim dzierżawę, następnie rozstać się z mrzonkami, że coś na tym zarobi, ale pierwszy rok bezrobocia, bez prawa do zasiłku, ponieważ był szefem, okazał się nie najgorszy – umowa na opracowanie dziesięciu haseł do encyklopedii rocka, parę dni na czarno, gdy sprzedawał bilety na podmiejskim festiwalu, recenzje płyt dla wyspecjalizowanych pism... i zaczął sprzedawać w sieci wszystko,

co zabrał ze sklepu. Większość towaru została upłynniona, ale zostało trochę winyli, zestawy płyt CD i duża kolekcja plakatów i T-shirtów, których nie chciał wyprzedawać za bezcen razem z całą resztą.

Na licytacjach na eBayu osiągał cenę trzy razy wyższą od tej, jakiej się spodziewał, bez zwracania sobie głowy księgowością. Wystarczyło zachować się odpowiedzialnie, od razu pójść na pocztę i zadbać o solidne opakowanie przesyłki. Pierwszy rok był euforyczny. Życie często rozgrywa się w dwóch setach: najpierw cię usypia, dając ci złudzenie, że nad wszystkim panujesz, a w drugiej części meczu, gdy widzi, że jesteś już rozluźniony i bezbronny, przypuszcza kolejny atak i niszczy cię do szczętu.

Vernon miał tylko tyle czasu, żeby sobie przypomnieć smak leniwych poranków – przez ponad dwadzieścia lat, czy lał deszcz, czy kapało mu z nosa, podnosił tę kurewską metalową żaluzję sklepu, bez względu na wszystko, przez sześć dni w tygodniu. W ciągu dwudziestu pięciu lat tylko trzy razy powierzył klucze do sklepu koledze: raz miał gripę żołądkową, raz wstawiano mu implant, a raz łamało go w krzyżu. Potrzebował całego roku, by znów nauczyć się wylegiwać w łóżku i czytać rano, jeśli miał ochotę. Jego największą rozrywką było słuchanie radia, a równocześnie szukanie porno w sieci. Znał na wylot zawodową karierę Sashy Grey, Bobbi Starr czy Niny Roberts. Lubił też robić sobie sjęstę, czytać pół godziny i zapadać w drzemkę.

W drugim roku zajął się wyborem fotografii do książki na temat Johnny'ego Hallydaya, zarejestrował się w urzędzie pracy, który niedawno zmienił nazwę, i zaczął sprzedawać swoją prywatną kolekcję przedmiotów. Na eBayu dobrze sobie radził, nigdy by nie pomyślał, że w sferze Web 2.0 panuje tak wielkie fetyszystyczne szaleństwo, wszystko się sprzedawało: gadzety reklamowe, stare komiksy, plastikowe figurki, plakaty, fanzyny, albumy fotograficzne, T-shirty... Gdy zaczynamy sprzedawać, z początku jesteśmy wstrzemięźliwi, ale wkrótce to, że wszystko wokół znika, zaczyna nam sprawiać przyjemność. Stopniowo oczyścił dom z wszelkich śladów swojego wcześniejszego życia.

Nie zapominał o tym, by cenić spokój poranków, kiedy nikt się nie zjawia, by nam zawracać głowę. Miał mnóstwo czasu, żeby słuchać muzyki. A grupy The Kills, White Stripes czy Strokes mogły sobie wydawać tyle płyt, ile chciały, nie musiał się tym zajmować. Miał już naprawdę dość tych wszystkich nowości, nie było temu końca, żeby być na bieżąco, należało tkwić w sieci bez chwili wytchnienia, jak pod kroplówką, wchłaniając nowe dźwięki.

Jednak nie przewidział, że po zamknięciu sklepu z płytami tak trudno będzie mu wyrwać dziewczynę. Wszyscy powtarzają, że rock to domena mężczyzn, ale ludzie lubią opowiadać głupstwa: miał swoje klientki i to ciągle nowe. Z dziewczynami zawsze się świetnie rozumiał. Nie był wierny, a one leciały na niego tym bardziej, im wyraźniej starał się zdystansować. Wystarczyło, że jakaś dziewczynka przyszła z chłopakiem po krążek, a po tygodniu wracała do sklepu sama. Były też te pracujące w dzielnicy. Kosmetyczki z końca ulicy, dziewczyny z butików naprzeciwko, dziewczyny z poczty, dziewczyny z restauracji, dziewczyny z baru, dziewczyny z basenu. Cudowny narybek, z którym utracił kontakt z chwilą, gdy oddał klucze.

W życiu miał niewiele kobiet na dłużej. Jak wielu jego znajomych Vernon żył wspomnieniem dziewczyny, która odeszła. Która się liczyła. Ta jego nazywała się Séverine. Miał wtedy dwadzieścia osiem lat. Zbyt przywiązany do swojej reputacji seryjnego kochanka za późno zrozumiał, że to była właśnie ta i żadna inna. Był wielkim ulicznym łowcą, dzikim i niezależnym, wszyscy przyjaciele zachwycali się elegancką swobodą, z jaką przechodził od jednej historii do drugiej. W każdym razie właśnie tak sam o sobie myślał. Przygoda na jedną noc, uwodziciel, gość, który się nie przywiązuje, facet, którego dziewczyny nie wiodą za nos. Nie robił sobie złudzeń: jak wielu chłopców niezbyt pewnych siebie zyskiwał spokój ducha, kiedy się upewnił, że potrafi doprowadzać kobietę do łez.

Séverine była wysoka i impulsywna, tak bardzo impulsywna, że to bywało męczące, miała nogi do nieba, wyglądała na bogatą paryżankę, z tych, co to mogą włożyć kamizelkę z owczej skóry i wyglądają sztywno. Do wszystkiego zabierała się z niesamowitym zapałem, w domu umiała zrobić wszystko, mogła

nawet zmienić oponę na poboczu drogi. Pochodziła z zamożnej rodziny, jako dziecko przywykła tyrać sama i nigdy się nie skarżyć. Jednak potrafiła się wyluzować, gdy była z kimś blisko. Kiedy o niej myśli, znów widzi ją nagą, w łóżku, uwielbiała spędzać w nim całe weekendy. Rozkładała płyty na podłodze, obok materaca, nie musiała wstawać, żeby zmienić muzykę. Gromadziła wokół swojego legowiska fajki butelkę wody telefon, którego spiralny kabel zawsze był poplątany. To było jej królestwo. Przez wiele miesięcy miał do niego dostęp.

Była jedną z tych dziewczyn, którym matki wpoili, że nie powinny zalewać się łzami, gdy nagle dowiedzą się, że zostały zdradzone. Séverine zaciskała zęby. Vernon dał się głupio przyłapać – i był zaskoczony, że od razu go nie rzuciła. Powiedziała „odchodzę” i mu wybaczyła. Wyciągnął z tego wniosek, że nie ma dość sił, żeby się z nim rozstać, i poczuł lekką wzdęłość dla słabości jej charakteru. Mógł zatem zacząć wszystko od nowa. Pokłócili się poważnie już trzy czy cztery razy, mówiła mu uważaj, bo możesz przesadzić, zniknę, nie dajesz mi wyboru, a Vernon był przekonany, że tego nie zrobi. Niczego nie zauważył. Kiedy się dowiedział, że ma kogoś innego, spakował swoje rzeczy w kartony i zostawił je na dole na chodniku. Obraz przechodniów, którzy grzebią w jego ubraniach, książkach i przyborach toaletowych w pudełkach poustawianych bezładnie przed jej drzwiami, przez lata go prześladował. Nigdy więcej o niej nie słyszał. Potrzebował wiele czasu, by zrozumieć, że już nigdy się z tego nie otrząśnie. Potrafił ignorować własne uczucia. Często zdarza mu się rozmyślać, jak wyglądałoby jego życie, gdyby został z Séverine. Gdyby odważył się zerwać ze swoim dawnym stylem, gdyby wiedział, że tak czy owak nie możemy mieć tego, na czym nam zależy, i w związku z tym lepiej uprzedzić fakty. Oczywiście, że urodziła dzieci. To dziewczyna tego rodzaju. Z tych, które się przystosowują. Ani trochę nie tracąc wdzięku. Nie jakaś jędza. Filigranowa laska, na pewno je zdrową żywność i pasjonuje się ociepleniem klimatu, ale jest przekonany, że nadal słucha Tricky’ego i Janis Joplin. Gdyby z nią został, znalazłby sobie robotę zaraz po zamknięciu sklepu, bo mieliby dzieciaki i nie miałby wyboru. A dziś zastanawiałby się, jak

rozwiązać rodzinne problemy, bo syn popala haszysz, a mała jest anorektyczką. Cóż. Lubi też czasem myśleć, że mogło być jeszcze gorzej.

Teraz Vernon pieprzy się rzadziej niż żonaty mężczyzna. Nigdy by nie pomyślał, że może tak długo wytrzymać bez seksu. Facebook czy Meetic to znakomite narzędzia do podrywania z domu, ale w którymś momencie trzeba jednak wyjść, żeby zobaczyć dziewczynę, chyba że kogoś podnieca posiadanie konta w Second Life. Znaleźć ciuchy, które są w stylu *vintage*, ale nie wyglądasz w nich jak stary kloszard, tak kombinować, żebyś nie musiał wchodzić do kawiarni ani do kina, a tym bardziej gdziekolwiek na kolację... i nie sprowadzać jej do siebie, żeby nie zobaczyła pustych szafek, żalostnego wnętrza lodówki i ogólnego bajzlu – który nie ma nic wspólnego z sympatycznym nieładem w mieszkaniu zatwardziałego singla. Tutaj króluje woń zbyt długo noszonych skarpet, ten charakterystyczny zapach starego kawalera. Może otwierać okna, używać wody kolońskiej. Ta woń naznacza jego terytorium. Toteż rozważając wszystkie za i przeciw, podrywa dziewczyny w internecie i wystawia je do wiatru, gdy chcą się z nim umówić.

Vernon zna kobiety, często miał z nimi do czynienia. W tym mieście aż się roi od zdesperowanych fok gotowych ustawić się na czworakach na długą sesję seksu oralnego, która w zasadzie powinna mieć pozytywny wpływ na jego morale. Ale już wyrósł z wieku, gdy wyobrażał sobie, że nie wiąże się to z całym szeregiem wymagań z drugiej strony. To, że laska jest już niemłoda i brzydka, wcale nie znaczy, że jest mniej upierdliwa i wymagająca niż dwudziestoletnia fruzia. Kobiety cechuje to, że mogą miesiącami wpatrywać się w karty, zanim zalicytują kolor. Z nieufnością myśli o dziuniach, które mógłby do siebie przyciągnąć.

Kumple to co innego. Latami słuchać razem płyt, chodzić na koncerty i rozmawiać o grupach – te więzi są święte. Nie przestajemy się widywać tylko dlatego, że ktoś przeprowadza się w inne miejsce. Jednak coś się zmieniło, trzeba było dzwonić, żeby umówić się na spotkanie, podczas gdy wcześniej, będąc w okolicy, po prostu się wpadało. Nie był przyzwyczajony do planowania kolacji, wspólnych wypadów do kina czy popołudniowej lampki wina z blantem...

Stopniowo, tak że nawet nie zwrócił na to uwagi, wielu kumpli przeniosło się na prowincję, ponieważ mieli żony i dzieci i nie mogli żyć dłużej na trzydziestu metrach kwadratowych albo dlatego, że Paryż był zbyt drogi i przezornie powrócili do swoich rodzinnych miast. Jeśli chodzi o ludzi po czterdziestce, Paryż tolerował wyłącznie dzieci kamieniczników, reszta populacji musiała się przenieść gdzie indziej. Vernon został. Może popełnił błąd.

Dopiero znacznie później uświadomił sobie, że doszło do eksplozji, kiedy samotność zamurowała go żywcem w Paryżu. Poza tym była ta czarna seria.

Zaczął się od Bertranda. Nawrót raka. Krab wrócił przez gardło. Już pierwszy naprawdę dał mu w kość. Myślał, że się wywinął. W każdym razie przyjaciele świętowali jego powrót do zdrowia, jakby to było definitywne zwycięstwo. Ale jego stan nagle się pogorszył, to było dla nich jak cios obuchem w głowę, oprzytomnieli dopiero po pogrzebie. Przez trzy miesiące, jakie dzieliły diagnozę od jego ostatecznego odejścia, choroba dosłownie go pożarła. Bertrand nosił czarne koszule z podniesionym kołnierzykiem. Nosił je tak od 1988 roku. W końcu już nawet z trudem je dopinał, tak bardzo piwo wyduło mu kałdun. W wieku czterdziestu paru lat miał długie siwe włosy, przyciemniane ray-bany na nosie, piękne wysokie buty z wężowej skóry i zawadiacką minę. Dziobaty, ale dobrze zakonserwowany drab.

Trudno było się przyzwyczaić, widząc, że chodzi w piżamie jak starzec. Wypadające włosy jeszcze dało się znieść. Ale gdy Vernon widział tę śmieszna piżamę, ścisnęło mu się serce. Bertrand nie mógł nic jeść i nawet najlepsza trawa na świecie nie mogła tego zmienić. Przestał być postawnym mężczyzną, jak kiedyś. Kości, zbyt wyraźnie widoczne pod pożółkłą skórą, wyglądały nieprzyzwoicie. Z uporem nadal nosił sygnety z trupimi główkami, chociaż zsuwały mu się z palców. Wiedział, że się kończy, dzień po dniu, i zachował pełną przytomność umysłu.

Potem zaczęły się nieustające bóle, całkowity brak sił i trupia maska zamiast twarzy. Stale dowcipkowali na temat pompki morfinowej, ponieważ żarty były ich jedynym sposobem komunikacji. Czasem Bertrand wspominał o czekającej go

śmierci. Mówił, że w nocy budzi go strach: „Najgorsze, że mam pełną świadomość i czuję, że ciało mnie zawodzi i nic nie mogę zrobić”. Vernon nie mógł odpowiedzieć: „Daj spokój, wszystko się ułoży, trzymaj się, stary”. Więc słuchali The Cramps, The Gun Club i MC5, popijając piwo, dopóki Bertrand jeszcze je tolerował. Rodzina była wściekła, ale bądźmy szczerzy – co jej pozostało.

I wiadomość o jego śmierci, rano, esemes na ekranie komórki. W pierwszej chwili Vernon, tak jak inni, pomyślał o tym, by godnie zaprezentować się na pogrzebie. Ciemne okulary. Każdy miał je w domu, a także piękny czarny garnitur. Dopiero później ogarnęło go przerażenie. Przerażenie i poczucie braku. Odruch, żeby do niego zadzwonić, niemożność skasowania jego ostatnich wiadomości głosowych, niemożność uwierzenia w to, co się stało. W pewnym wieku nie możemy się już rozłączyć ze zmarłymi, pozostajemy w ich czasie, w ich towarzystwie. Rocznicę śmierci Joego Strummera Vernon uczcił tak samo jak wtedy, kiedy Bertrand żył: wysłuchał całej dyskografii The Clash, popijając piwo. Ta grupa nigdy go specjalnie nie interesowała. Ale tak działa przyjaźń: uczymy się grać na boisku innych.

Tego grudniowego dnia w 2002 roku stali razem w kolejce, żeby kupić łososia, bo Bertrand spędzał sylwestra z jakąś Norweżką i chciał jej zaimponować wyszukaną kuchnią. Wbił sobie do głowy, że wędzonego łososia można kupić tylko w jednym sklepiku w piątej dzielnicy i nigdzie indziej. Pokonali dość długą trasę metrem i teraz czekali. Na chodniku stała długa kolejka, trzeba było liczyć co najmniej czterdzieści minut. Vernon poszedł kupić fajki i właśnie w trafice usłyszał przez radio, że Joe Strummer nie żyje. Wrócił do Bertranda. „Nie, żartujesz!” „Myślisz, że żartowałbym na ten temat?” Bertrand zbladł, jednak kupił swojego łososia i dwie butelki wódki. Wypili drugą, nastawiając *Lost in the Supermarket*, wspominając koncert, na którym razem widzieli Strummera z The Mescaleros. Vernon poszedł tam tylko dla towarzystwa, a potem, gdy znalazł się już na miejscu, nagle zatoczył się od emocji, wsparł się ramieniem o ramię kumpla i łzy stanęły mu w oczach. Nigdy o tym nie mówił, ale w dniu śmierci Joego Strummera wszystko

opowiedział, a Bertrand odparł tak wiem widziałem ale nie chciałem tego wywlekać. Kurwa, Strummer. Czy po nim mieliśmy coś lepszego?

Trzy miesiące później przyszła kolej na Jeana-No. Nie był zalany, nie przekroczył prędkości. Droga krajowa, ciężarówka, zakręt i mgła. Wracając z żoną z weekendu, chciał zmienić stację w radiu. Wyszła z tego z rozbitym nosem. Ten, który jej zrekonstruowano, był o niebo lepszy od oryginału. Jean-No nigdy nie miał okazji, żeby się z tego powodu ucieszyć.

Tej niedzieli Vernon był u koleżanki, leżał na materacu złożonym wpół, opartym o ścianę i przykrytym indyjską tkaniną tak podziurawioną od skrętów, że mogło to wyglądać na motyw dekoracyjny. Urządzili sobie wieczór z *Obcym*, obejrzelili całą serię na projektorze LCD. Panna mieszkała przy metrze Goncourt, w pokoju na poddaszu. Niedaleko była jedna z ostatnich wypożyczalni DVD. Obejrzelili już *Syndykat zbrodni* i *Mad Maxa*, *Ojca chrzestnego* i *Chińskie duchy*. Ta dziewczyna to była prawdziwa perła, uwielbiała jointy i mangi. Nie była z tych, które stale chcą gdzieś wychodzić. Jej jedyna wkurzająca cecha to słowa w rodzaju: „proszę cię Kotku pójdz po cukierki do sklepiku na dole”. Pięć pięter bez windy. Vernon nie bardzo miał chęć być usłużnym Kotkiem. Właśnie przyniosła szklanki z coca-colą i lodem na ogromnej tacy, zatrzymali film i Vernon odebrał telefon, kiedy zadzwonił, czego zwykle unikał w niedzielę. Ale Emilie od dawna się do niego nie odzywała, pomyślał, że to ważne. Właśnie się o tym dowiedziała od młodszej siostry Jeana. Vernon był zdziwiony, że to ona informuje kumpli. Jean-No miał przecież żonę. Na razie w szpitalu, zgoda, ale to jednak dziwne, że dowiaduje się tego od jego kochanki. Kiedyś bardzo dobrze znali się z Emilie, potem stracili się z oczu i nie była to najlepsza okazja, by pytać, co nowego.

Vernon nalegał, by do końca obejrzelili film. Pomyślał, że nie zrobiło to na nim większego wrażenia. Tylko zdziwiło. Tak jakby się uodpornił. A przecież widywał się z Jeanem-No przynajmniej raz w tygodniu, a po śmierci Bertranda jeszcze bardziej się do siebie zbliżyli. Wpadali razem na obiad do Turka niedaleko Dworca Północnego, zamawiając zawsze ten sam zestaw za dwanaście euro, a do tego parę

schłodzonych piw. Jean-No rzucił palenie, nosiło go. Gdyby wiedział, biedaczek, że nic mu to nie da, nastawiałby budzik w samym środku nocy, żeby wypalić jak najwięcej fajek. Jean-No poślubił upierdliwą flądrę. Jest wielu chłopców, którym ścisła kontrola daje poczucie bezpieczeństwa.

Dopiero później, w nocy, to do niego dotarło. W chwili, w której zapadamy w sen, poczuł, jak przeszywa go lodowate ukąszenie. Musiał się ubrać i wyjść – iść w zimnie, być samemu, widzieć, jak światła omiatają ciała, stopić się z ruchem i czuć grunt pod nogami. Żył. Z trudem chwycił oddech.

Często wychodził na samotne spacer, nocą. Nabrał tego nawyku pod koniec lat osiemdziesiątych, kiedy rockersi zaczęli słuchać hip-hopu. Public Enemy i Beastie Boys wydawali płyty w tej samej wytwórni co Slayer. To stanowiło łącznik. W sklepie skumplował się z tym fanem grupy Funkadelic, małym białym kołesiem, mrukliwym i hardym, z perspektywy czasu myśli, że jechał na heroinie, ale w tamtych czasach nie przyszło mu to do głowy. Facet malował tagi: wszędzie, gdzie tylko trafił, podpisywał się „Zona”. Ich znajomość nie trwała długo, Zona miał dosyć ulic, „metro to jest coś”, chciał umieszczać wrzuty na wagonach i zajezdniach metra, a Vernon nie miał ochoty schodzić z nim do podziemi. Nie był zarażony, nie bardzo zajmowały go heroiczne opowieści o ulicznej sztuce writerów 93MC albo MKC, styl dziki czy *throw up chamallow...* Rozumiał, że to niezła zabawa, ale w to nie wchodził. Wolał ryzykować skręcenie karku, wdrapując się na dach jakiegoś budynku i spędzając dwie godziny w ciszy aerografu, robiąc sobie pauzy na zajaranie peta, patrząc na ludzi na dole, którym nie przychodziło do głowy, by zerknąć do góry i dostrzec jego sylwetkę milczącego zwiadowcy.

Pierwszej nocy swojego życia bez Jeana-No szedł tak długo, aż podeszwy stóp zaczęły go parzyć, potem kontynuował marsz. Myślał o dzieciach Jeana i to mu się nie zgadzało. Osierocone przez ojca. To słowo kłóciło się z tym, co wiedział o tej debilnej trójce bachorów stale wymagających uwagi, ciastek albo nowych gier.

Jean-No z upodobaniem grał rolę kretyna. Był arogancki. Zawsze słuchał dziwacznej muzyki, kiedy był nastolatkiem, lubił Einstürzende Neubauten i grupę Foetus, później zaczął słuchać hardcorowych nudziarzy, był fanem Rudimentary

Peni i pasjonował go zespół Minor Threat, a pił w tym czasie jak gąbka. Trzeba było mieć sporo samozaparcia, by spędzać z nim wieczory, tym bardziej że lubił być złośliwy. W wieku czterdziestu lat, chcąc stać się osobą stateczną, Jean-No zaczął słuchać opery. Ubierał się jak figurka z klocków Playmobil i rzucał głupie teksty jak prawicowy oszołom dziesięć lat wcześniej, niż weszło to w modę. W tym czasie to zachowanie było tak nietypowe, że miało pewien styl.

Vernon żył teraz w świecie, w którym nawet gdyby Ian MacKaye z Minor Threat zaczął palić crack, nie byłoby już Jeana-No, żeby to skomentować.

Potem przyszła kolej na Pedra. Za ledwie osiem miesięcy później. Zawał. Pedro miał na imię Pierre, ale wciągał tak dużo kokainy, że zasługiwał na południowoamerykański przydomek.

Vernon czekał przed salą koncertową Élysée Montmartre, jeszcze nim spłonęła, gdzie grali The Libertines. Starał się objąć niesamowitą stażystkę-asystentkę, która pracowała w programie Thierry'ego Ardissona, mówiła tylko o prowadzącym, twierdząc, że go nie cierpi, ale wyraźnie ją fascynował. Zobaczył kumpla, z daleka, przed salą, i go zawołał, zadowolony, że może mu pokazać swoją towarzyszkę – brunetka z grzywką dzinsy papieros wysokie obcasy – dziewczynę, jakie na początku tysiąclecia stolica produkowała seriami. A kumpel, widząc, że się zbliża, rozplakał się. Mówił: „Pedro Pedro Pedro”, nie mogąc się wysłowić, i Vernon poczuł, że ogarnia go wielkie zmęczenie.

Pedro wciągnął nosem co najmniej trzy domy, dwa nowe ferrari, historie miłosne i przyjaźnie, marzenia o karierze, swój look i wszystkie zęby. Nie robił tego ukradkiem, twierdząc, że nie ma z tym żadnego problemu, nie, on się z tym obnosił, to było coś w rodzaju radosnej hysterii, pasji, którą w pełni akceptował. Wcierał proszek w dziąsła, strzepywał z marynarki, znał wszystkie kible we wszystkich barach Paryża, wybierał bary wyłącznie ze względu na funkcjonalny charakter toalety. Przychodził do mieszkania i po chwili wszędzie było już tego pełno, wychodził dwa dni później, zostawiając Vernona, który upodabniał się do ludzkiego wraka. Pedro przepadał za Marvinem Gaye'em, Bohannonem, Dianą Ross i The Temptations. Vernon lubił, gdy go do siebie zapraszał, dźwięk był

niezrównany, fotele wygodne, i kupował butelki whisky, po których można było podróżować w myślach – raz czuli się jak gangsterzy, kiedy indziej jak para prywatnych detektywów albo angielskich dandysów.

Vernon odnalazł zdjęcie, na którym widać całą ich czwórkę. On i trzech zmarłych. Pozowali w jego trzydzieste piąte urodziny, on w środku. Piękna fotografia z tych, jakie robiło się aparatem na klisze, rozdając odbitki zdjęć kolegom. Czterech chłopców we mgle, szczupłych, z gęstymi czuprynami, żywym spojrzeniem i uśmiechem pozbawionym goryczy. Podnosili kieliszki, tego wieczoru Vernon był przygaszony. Gdy pomyślał, że skończył trzydzieści pięć lat, czuł się kompletnie rozbity. Czterech przystojniaków zadowolonych, że są kretykami, że o niczym nie wiedzą, a zwłaszcza nie mają pojęcia, że są jeszcze po dobrej stronie tego, co im szykuje życie. Przez większą część nocy słuchali Smokeya Robinsona.

Po pogrzebie Pedra Vernon przestał wychodzić z domu i oddzwaniać do ludzi. Myślał, że to tylko chwilowe, że przejdzie. Wydawało mu się to dość normalne, że chce pobyć sam po serii zgonów tak bliskich mu osób.

Prawdziwy brak kasy zaczął mu doskwierać właśnie w tym czasie, nasilając jego skłonność do izolacji. Myśl o tym, że idzie do kogoś na kolację, nie mając nawet za co kupić butelki wina, zniechęcała go do przyjmowania zaproszeń. Drżeć ze strachu na imprezie, że ktoś zechce zrobić zbiórkę, żeby kupić gram. Drżeć ze strachu, że nie da się przejść przez bramki w metrze. Drżeć, że ma na nogach tenisówki z odklejoną podeszwą. Drżeć z powodu szczegółów, na które nigdy nie zwracał uwagi, roztrzaskać je obsesyjnie.

Zostawał w domu. Błogosławił swoją epokę. Słuchał muzyki, oglądał seriale, filmy. Wkrótce przestał słuchać radia. Od dwudziestu lat to był jego pierwszy poranny odruch, żeby włączyć odbiornik. Ale teraz to go przerażało i przestało zajmować. Utracił nawyk, by słuchać wiadomości. Jeśli chodzi o telewizję, przyszło to naturalnie. Miał zbyt wiele do roboty w internecie. Czasem rzucał jeszcze okiem na nagłówki ważniejszych wiadomości w sieci. Przede wszystkim jednak oglądał strony porno. Nie chciał już słyszeć o kryzysie, islamie, anomaliach

pogodowych, gazie łupkowym, znęcaniu się nad orangutanami czy o Romach, którym nie pozwala się wsiąść do autobusu.

W tej kuli jest mu wygodnie. Żyje w niej na bezdechu. Ogranicza wszelkie swoje działania do minimum. Mniej je. Zaczął od skromniejszych obiadów. Chińska zupka z torebki, z makaronem. Nie kupuje już mięsa, proteiny są dobre dla sportowców. Żywi się głównie ryżem. Kupuje go w pięciokilogramowych workach, u Braci Tang. Ogranicza palenie – odsuwa moment zapalenia pierwszego, czeka na drugi, po porannej kawie zastanawia się, czy naprawdę ma ochotę na trzeciego. Odkłada niedopałki na bok, żeby nic się nie zmarnowało. Zna w okolicy wejścia do biur, przed którymi ludzie jarają w ciągu dnia, i zdarza mu się przejść tamtędy i zwolnić, zbiera najdłuższe pety. Czuje się jak stare ognisko, którego żar roznieca czasem podmuch wiatru, ale nigdy na tyle, by drewno się zajęło. Ogień, który dogasa.

Czasami nagle się budzi, czuje potrzebę działania. Wchodzi na LinkedIn i robi listę ludzi, którzy, jak się zdaje, nadal mają pracę i których znał, obiecując sobie, że się do nich odezwie. Wyobraża sobie historię, którą im opowie, zacznie się od dziewczyny. Miał opinię psa na kobiety, to tworzy właściwy klimat do sympatycznych rozmów z kolegami. Właśnie tak powie. Nie było mnie w Paryżu, obracałem niezłą Węgierkę, która zabrała mnie do Budapesztu, albo piękną Amerykankę, stale w rozjazdach – nieważna narodowość, ważne, by stworzyć wrażenie, że się nieźle bawił – i znów jestem na miejscu i szukam jakiejś roboty, może być byle co, nie masz przypadkiem czegoś takiego dla mnie. Zagrałby tę rolę trochę jak obieżyświat, spokojnie, nie jak zestresowany koleś. Jeśli chodzi o szmal, nie może zmyślać żadnych historii, z daleka widać, że nie śmierdzi groszem. Zresztą nigdy nie był krezusem. W swoim czasie czyniło cię to nawet wiarygodniejszym. To było przed rokiem 2000, teraz na koncertach wszyscy mają na nogach nowe drogie buty dobrej firmy, markowy zegarek na przegubie, dzinsy, które leżą jak ulał i których krój świadczy o tym, że zostały kupione w tym roku. Gdy skończyły się kluby Zadig i Voltaire, nędza utraciła swoją poetycką aurę – a przecież przez całe dziesięciolecia cechowała artystę, autentycznego, tego, który

nie chciał zaprzedać swojej duszy. Hasło na dziś to śmierć pokonanym, nawet w świecie rocka.

Nigdy nie dzwoni, żeby poprosić o pomoc. Nie potrafiłby powiedzieć, co go od tego odwodzi. Zastanawiał się nad tym. Lecz nadal pozostaje to dla niego zagadką. Czytał w internecie porady dla osób z patologiczną skłonnością do odkładania pewnych czynności na później. Spisywał na kartce, co mógłby na tym zyskać, a w kolumnie obok, co mógłby na tym stracić. Niczego to nie zmieniło. Do nikogo nie dzwoni.

Zmarł Alexandre Bleach. Widząc jego nazwisko powtarzające się na Facebooku, Vernon nie od razu skojarzył, co to znaczy. Znalaziono go martwego w pokoju hotelowym.

Kto zapłaci za niego zaległy czynsz? To było pierwsze pytanie, jakie Vernon sobie zadał. Wysłane w ostatnich tygodniach maile i esemesy pozostały bez odpowiedzi. Jego wołanie o pomoc. Vernon liczył na niego. Jak zwykle, kiedy sytuacja stawała się krytyczna. Alexandre zawsze go w końcu ratował.

Vernon siedzi przed komputerem – sprzeczne czy dziwaczne uczucia kłębią się w jego piersi jak koty wrzucone sprawną i bezlitosną dłonią do tego samego worka. W internecie wiadomość rozprzestrzenia się niczym trąd. Już od dawna Alexandre był własnością ogółu. Vernon sądził, że do tego przywykł. Gdy Alexandre wydawał nową płytę albo rozpoczynał tournée, wszyscy musieli o tym wiedzieć. Nie było ani jednej godziny w ciągu dnia, by gdzieś go nie pokazano, jak gestykuluje, wygaduje głupstwa tym pięknym niskim głosem swingującego ćpuna. Sukces zadziałał na Alexandre'a tak jak zderzenie z ciężarówką: nie wyglądało na to, by wyszedł z tego bez szwanku. Mimo to woda sodowa wcale nie uderzyła mu do głowy, to była raczej gwałtowna rozpacz, która zmęczyła bliskich mu ludzi. Trudno patrzeć, jak ktoś dostaje to, czego wszyscy pragną, i na dodatek trzeba go pocieszać.

Nie ma jeszcze zdjęć trupa w pokoju hotelowym. Ale się pojawią. Alex się utopił. W wannie. Podwójne działanie szampana i lekarstw, zasnął. Ciekawe, po co włąził do wanny, sam, w hotelu, w środku popołudnia. Ciekawe zwłaszcza,

z jakiego powodu ten typ był tak okropnie nieszczęśliwy. Alex spał nawet swoją śmierć. Hotel to miejsce zbyt nijakie, by rozbudzić marzenia, ale nie dość odrażające, by było niezwykle. Często zdarzało mu się na kilka dni wynajmować pokój na mieście, wystarczyło, że wyszedł zobaczyć się z fotografem, który miał zakład na dole, by spędzić noc gdzie indziej. Alex lubił mieszkać w hotelach. Miał czterdzieści sześć lat. Kto czeka na próg andropauzy, żeby przedawkować? Michael Jackson, Whitney Houston... To cecha czarnych, być może.

Bleach lubił spotykać swoich starych przyjaciół. To pojawiała się nagle, jak chęć, żeby się wysikać, ale pojawiała się regularnie. Przez rok, nawet dwa nie dawał znaku życia, potem zaczynał wydzwaniać jak szalony albo bombardował mailami, był nawet zdolny pojawić się z nienacka u kogoś w domu. Nie można było wyjść z nim do baru. Po pięciu minutach każdą rozmowę przerywał jakiś fan, a fani bywają agresywni. Albo kompletnie stuknięci. Z reguły fan, który wcina się do rozmowy, to ciężki przypadek. Gdy Alexandre'a naszła chęć, żeby się spotkać z Vernonem, dzwonił i wpraszał się do niego. Pili piwo i udawali, że nic się nie zmieniło. Dobry żart. Alexandre zarabiał na jednej piosence tyle, ile taki gość jak Vernon mógł uciuć przez ponad dwadzieścia lat pracy w sklepie. Jak taki nieistotny szczegół miałby nie wpłynąć na ich wzajemne relacje?

Alex zyskał wielu przyjaciół w swoim środowisku VIP-ów. Był jednak przekonany, że jego „prawdziwe życie” zatrzymało się w chwili, kiedy odniósł sukces. Vernon często próbował mu wykazać, że to stan umysłu: około trzydziestki wszystko zaczyna tracić blask, czy ma się marną pracę, czy jest się megagwiazdą, dla nikogo sytuacja nie zmienia się na lepsze. Różnica polega na tym, że ci, którzy nie wsiadają do pociągu sukcesu, nie dostają w zamian żadnej rekompensaty. To, że młodość się oddala, nie oznacza, że pojedą pierwszą klasą w podróż dookoła świata, będą pieprzyli najpiękniejsze dziewczyny, będą mieli superdilerów albo zaczną kupować harleye. Jednak Alex nie chciał o niczym słyszeć. I faktycznie najwyraźniej czuł się tak bardzo źle, że trudno go było przekonać, że jest prawdziwym szczęściarzem.

Kiedy Alexandre po raz pierwszy popchnął drzwi jego sklepu, był jeszcze młokosem. Wielkie oczy i długie rzęsy nadawały mu dziecięcy wygląd. Zjawił się z butelką piwa Jenlain, usiadł na stołku i spytał, czy może posłuchać płyt. Dla Alexa Vernon był osobą, za której sprawą wydarzył się cud: tym, który po raz pierwszy puścił mu podwójny album *live* grupy Stiff Little Fingers, The Redskins, pierwszą epkę Bad Brains, *Peel Session* grupy Sham 69 czy *Fight or Die* kapeli Code of Honor. Alex był jeszcze nieletni, miał okrągłe policzki i nie udawał twardziela. Jego uśmiech z całą pewnością ułatwił mu zawrotną karierę – ten uśmiech działał tak samo jak harce małych kotków w filmikach na YouTube. Trzeba by mieć serce z kamienia, niczym seryjny morderca, żeby niczego nie poczuć. Wypruwał sobie żyły, jak wszyscy, wędrując od grupy do grupy. Jak to się często zdarza, sława przysłała w chwili, gdy nikt się jej nie spodziewał. W owej epoce na scenie było kilku prawdziwych herosów, ludzi, na których oni wszyscy postawiliby z zamkniętymi oczami. I którzy w mniejszym lub większym stopniu nagle się rozplynęli. Narkotykowa pasja Alexa ujawniła się dosyć późno i zmiotła wszystko na swojej drodze. Ten chłopak zawsze chodził z niewidzialnym sztyletem w piersi. Mógł śmiać się z byle powodu, lecz było w nim jakieś pęknięcie w spojrzeniu, stale pogłębiająca się skaza.

Vernona nie przestaje dręczyć trywialne pytanie, kto zapłaci za niego czynsz. To zaczęło się wkrótce po śmierci Jeana-No. Spotkali się przypadkiem na stacji Bonsergent. Alexandre rzucił mu się w objęcia. Długo się nie widzieli, ostatnio na koncercie Tricky'ego w Élysée Montmartre. Po pierwszych minutach zakłopotania zabarwionych żalem, który należało odegrać, jak zawsze, gdy spotyka się dwóch starych kumpli mających sobie tyle do powiedzenia – jakby historie sprzedawania rzeczy na eBayu można było porównać z opowieściami o narkotycznych nocach na jachcie w towarzystwie Iggy'ego Popa – w końcu jednak włączenie się z Alexandre'em zawsze było *cool*.

Tego dnia Alex był mocno naćpany. Okazywał przesadny entuzjazm i trajkotał bez przerwy jak facet, który od dawna nie zaglądał do domu, a powinien o tym pomyśleć. Chodniki były pokryte śniegiem i trzeba było Alexa trzymać za łokieć,

żeby się nie wyłożył. Nalegał, jak zwykle entuzjastyczny, by Vernon poszedł z nim do jego diler, mieszkającego dwa kroki stąd. Usłużny fagas z twarzą szkolnego prymusa, który komponował muzykę na komputerowym programie GarageBand. Palił holenderską trawę, tak mocną, że od razu bolała od niej głowa. Za wszelką cenę chciał im puścić swoje „ostatnie dźwięki”. Musieli znieść serię akordów z syntetyzatora, nałożonych na dość przypadkowe bity. Alex był już upalony, słuchał tego gówna z najwyższym zainteresowaniem, tłumacząc dilerowi, że pracuje na hercach, oscylacji fal dźwiękowych o sekundę, że działając w ten sposób, można zmieniać funkcjonowanie mózgu. Uczepił się tej synchronizacji fal mózgowych, a diler spijał słowa z jego ust. Wszyscy znali prawdę – Alex od lat nie był w stanie skomponować nowego kawałka. Skupiał się na *alpha waves*, bo nie potrafił złożyć trzech akordów czy napisać jakiegoś sensownego refrenu.

Było już ciemno, gdy znów znaleźli się na chodniku. Vernon zakpił z wyglądu aktorki ubranej na czarno, która prezentowała się na wielkiej tablicy reklamowej, wypinając zadek na motorze. Rzucił nieprzyjemną uwagę w rodzaju „ona jest do niczego, już wolałbym stuknąć plastikową lalkę”, a Alexandre zachichotał złośliwie. Oczywiście ją znał. Vernon zadał sobie pytanie, czy ją przeleciał. Alex podobał się dziewczynom, wcale nie musiał sprzedawać płyt, żeby je zaliczać. Miał wielu przyjaciół wśród VIP-ów, ludzi, których nazwiska i facjaty znamy, nawet jeśli nie spotkaliśmy ich nigdy w życiu. Zapisywał ich numery w komórce pod umówionymi hasłami, na wypadek kradzieży czy zgubienia telefonu. Myśl, że jego kontakty mogłyby wpaść w niepowołane ręce, naprawdę go przerażała. Kiedy jego telefon dzwonił, często z niepokojem patrzył na ekran, nie mogąc sobie przypomnieć, co kryje się za wyświetlanym skrótem. Na przykład widząc „SB”, zachodził w głowę: czy jest to Sandrine Bonnaire, Stomy Bugsy, Samuel Benchetrit czy chodzi o jeszcze bardziej skomplikowany kod w rodzaju Sodomita B albo Stara Bładź? Przypomina sobie dopiero wtedy, gdy odsłucha wiadomość: „SB” to „sauna i basen”, bo właśnie tam przez kilka godzin dyskutował z Julienem Dorém. Od razu powinno być to dla niego jasne. Jak wiele dziwnych rzeczy, które robimy o trzeciej nad ranem.

Vernon zapytał: „Pamiętasz Jeana-No?”. Rzecz jasna, że pamiętał. Grali ze sobą krótko w grupie Nazi Whores, na samym początku lat dziewięćdziesiątych. Nie widzieli się od ponad dziesięciu lat. Jean-No nie cierpiał Alexa i wszystkiego, co sobą reprezentował – rocka z tekstem, infantylnego zaangażowania, a nade wszystko oszałamiającego sukcesu, do którego on sam się nie przyczynił. Grali w jednym zespole, zajmowali się tą samą dziedziną – i jeden zgarnął całą pulę, a drugi leży na łopatkach. Porównanie było dla niego nieznośne, Jeanowi-No wiele czasu zajmowało oczernianie Alexa. „Wiesz, że nie żyje?”. Alex zbladł, zszokowany. Vernon poczuł się nieswojo na widok tej szczerzej reakcji, lecz nie miał odwagi dodać: „Nie rób takiej miny, naprawdę cię nie lubię”. Alex nalegał, że podwiezie go taksówką do domu, potem, że wejdzie z nim na górę. Dostyc szybko zaczęli nadawać na tych samych falach – dwa szalone chomiki biegnące co tchu w tym samym kole. Alex skulony na sofie czuł się jak w kokonie. Uwielbiał ciasną przestrzeń mieszkania Vernona, zwijał się w kłębek i czuł się bezpiecznie. Słuchali The Dogs, co żadnemu z nich nie zdarzyło się od ponad dwudziestu lat. Alex został trzy dni. Miał obsesję na punkcie tego, co nazywał swoimi „badaniami” nad słyszeniem dwuosobnym, i kazał mu słuchać fal o różnych częstotliwościach, które miały głęboko oddziaływać na podświadomość, ale tak naprawdę wywoływały co najwyżej ból głowy. Alex miał przy sobie pięć gramów. Spożyli je niespiesznie, jak starzy wyjadacze. Vernonowi oczy same się zamykały – koka uspokajała go i usypiała – a Alex wbił sobie do głowy, że przeprowadzi wywiad z samym sobą, u niego, siedząc na sofie. Miał ze sobą starą kamerę, położył trzy małe kasety wideo obok ekranu telewizora i kiedy Vernon się ocknął, zrobił mu niesamowity show: „To jest mój testament, chłopie, rozumiesz? Zostawiam go tobie. Mam do ciebie pełne zaufanie”. Był na wpół przytomny. Potem znów wrócił do swoich historii o falach delta i gamma, procesu twórczego i idei stworzenia muzyki, która byłaby jak narkotyk, zmieniała funkcjonowanie sieci neuronowych. Vernon był zrezygnowany, Alex puszczał okropne dźwięki, zmuszając go do założenia słuchawek.

Vernon zszedł po zakupy, colę, fajki, chipsy i whisky, z kartą kredytową kolegi wokalisty. „Ale u ciebie w domu nie ma nic do jedzenia, z czego właściwie teraz żyjesz? Chcesz, żebym zostawił ci trochę kasy?” Vernon od dwóch miesięcy zalegał z czynszem, dwoił się i troił, żeby nie dojść do trzech, ufając miejskiej legendzie, zgodnie z którą do trzech miesięcy nie ma ryzyka eksmisji. Od tego się zaczęło. Alexandre przelał mu na konto ekwiwalent trzech opłat miesięcznych – wierz mi, cała przyjemność po mojej stronie. I wychodząc, nalegał: „Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz potrzebował szmalu, tego mi nie brakuje, wiesz... Zrobisz to, obiecujesz?”.

I Vernon to zrobił. Najpierw myślał, że jakoś da sobie radę, ale gdy spóźnił się z opłaceniem czynszu już czwarty miesiąc, zrobił to. Alex go uratował. Nie zwlekając. A kilka miesięcy później Vernon znów do niego zadzwonił. To było krępujące, ale przypominało trochę powrót do czasów dzieciństwa. Kiedy jego rodzice byli jeszcze na tym świecie i mógł na nich liczyć, w ostateczności, żeby wybrnąć z jakiejś nieciekawej sytuacji. Było coś z dziecięcego poczucia bezpieczeństwa w tym systemie przyjacielskiego wsparcia. I Alex znów postawił go na nogi. Wpisał numer konta Vernona na listę przelewów, trzy stuknięcia w klawiaturę i wyciągał go z tarapatów. Vernon bił się z myślami, odsuwał w czasie ten moment. Miotał się między poczuciem winy a agresją, wdzięcznością a ulgą. Pieniądze stały się tak prostą kwestią dla Alexandre’a, a tak trudną dla innych. Vernon wysyłał czek właścicielowi, a potem kupował na zapas papierosy, żywność i zazdrośnie strzegł w puszcze resztek pieniędzy na codzienne piwo. W ten sposób egzystował.

Dzwonek do drzwi. Vernon nie odpowiada. To pewnie listonosz, który chce mu doręczyć jakiś list polecony. Niczego nie podpisuje. Nie interesują go już żadne oficjalne pisma. To stało się powoli, uległ mentalnemu paraliżowi – jest coraz więcej stosunkowo prostych do wykonania zadań, których nie jest już w stanie ogarnąć. Ścisza muzykę i czeka. Ktoś nie daje za wygraną. Teraz puka. Vernon siedzi na łóżku, splatając dłonie na kolanach, przywykł, czeka, aż sobie pójda. Ale

niespodziewany chrobot w dziurce od klucza uświadamia mu nagle, że ktoś z zewnątrz mimo wszystko próbuje otworzyć drzwi. Od razu dociera do niego, co się dzieje. Bez słowa chwyta dzinsy i wkłada czysty sweter. Zawiązuje sznurówki starych martensów, gdy otwierają się drzwi. Jest roztrzęsiony jak pod działaniem złej jakości speeda. Czterej mężczyźni wchodzi do środka i przyglądają mu się. Ten, który stoi na czele grupy, zabiera głos: „Proszę pana, powinien był pan otworzyć nam drzwi”. Patrzy na niego, taksuje go wzrokiem. Ma na szyi elegancką granatową apaszkę i okulary w czerwonej oprawie. Jego szary garnitur jest trochę za krótki. Obojętnym głosem czyta tekst z tabletu – taki a taki zamieszkały tu i tu nazywa się pan tak i tak i jest lokatorem lokalu...

Od dziesięciu lat płaci ten kurewski czynsz. Od dziesięciu lat. Ponad dziewięćdziesiąt tysięcy euro. Napycha kieszenie debilowi, który nie musi nic robić. Właściciel pewnie odziedziczył mieszkanie i szłocha, że płaci zbyt wysokie podatki. Przez dziesięć lat żadnego remontu, trzeba go było prosić, żeby naprawił bojler. Dziewięćdziesiąt tysięcy. Ani jednej godziny pracy, nigdy go tu nie było, żadnych inwestycji. A teraz go wyrzucają.

Spojrzenie Vernona skupia się na spodniach komornika, w miejscu, gdzie opinają jego uda. Vernon czeka, aż grupa mężczyzn sporządzi listę ruchomości i odejdzie, dając mu czas na zastanowienie. Gdyby od lat nie miał zakazu bankowego, wystawiłby im czek, żeby odsunąć w czasie całą procedurę. W sumie pewnie da się to jakoś załatwić, ten, który wygląda mu na ślusarza, wydaje się naprawdę sympatyczny. Sumiaste siwe wąsy upodobniają go do starego związkowca. Vernon ma nadzieję, że włamując się, nie zniszczył zamka, nie ma pieniędzy, żeby go naprawić. A przecież od czasu do czasu będzie musiał wyjść z domu na pięć minut. Nie ma tu już czego ukraść, nawet zdesperowany Albańczyk z Kosowa nie zadałby sobie trudu, by zabrać to, co służy mu za komputer. Pecet i wieża ważą tony i należą już do prehistorii. Komornik poleca mu zabrać rzeczy, których będzie potrzebował w najbliższych dniach, i opuścić lokal. Żaden z nich nie mówi zostawmy to, wrócimy kiedy indziej, dajmy mu dziesięć dni, żeby się

ogarnął, a potem zobaczymy. Żaden z dwóch osiłków nie powiedział słowa, stoją pośrodku pokoju i radzą mu, bez cienia wrogości, jak najszybciej posłuchać.

Vernon rozgląda się wokół – czy mógłby zaproponować jakiś przedmiot w zamian za krótką zwłokę? Czuje, że naprzeciwko niego narasta niespokojne rozdrażnienie, mężczyźni boją się, by nie zareagował gwałtownie. Przywykli do patosu i krzyków. Vernon prosi o kwadrans, komornik wzdycha, ale czuje ulgę: klient nie jest furiatem.

Vernon wchodzi na stołek, by zdjąć z szafy najsolidniejszą torbę, jaką dysponuje. Kiedy ją chwytą, na ramiona spadają mu szare kule kurzu. Kicha. Niektóre sytuacje są tak bardzo dziwne, że nie chcemy uwierzyć, że dzieją się naprawdę. Pakuje torbę. Słuchawki, iPod, dżinsy, korespondencja Charles'a Bukowskiego, dwa swetry, wszystkie bokserki, zdjęcie Lydii Lunch z dedykacją, paszport. Przerazenie uniemożliwia mu jakąkolwiek refleksję. Ponieważ właśnie dowiedział się o śmierci Alexa, myśli o tym, by wyciągnąć z głębi szafy trzy kasety, które Alexandre nagrał u niego podczas swojej ostatniej wizyty, ukryte za równo poukładanymi plikami pism „Maximum Rocknroll”, „Mad Movies”, „Cinépage”, „Best” i „Rock&Folk”. Mógłby spróbować je sprzedać... Potem Vernon zdejmuje martensy, by włożyć swoje ulubione buty z cholewką. Chwytą żółty plastikowy budzik, kupiony dziesięć lat temu na chińskim bazarze, nadal działający bez zarzutu. Torba jest ciężka. Wychodzi z mieszkania bez słowa. Komornik zatrzymuje go na klatce schodowej, nie, jest mu obojętne, skąd odbierze rzeczy, ma na to miesiąc, musi podpisać w tym miejscu, nie ma sprawy. Potem Vernon schodzi po schodach, w sumie nadal przekonany, że to jeszcze nie koniec, że wróci.

Na schodach spotyka konsjerżkę. Zawsze darzyła go sympatią. Jest idealnym lokatorem, kawalerem, który zwykle zamieni z nią słówko na temat hałasu z powodu robót drogowych na ulicy, prognozy pogody, zażartuje – umizgi bez konsekwencji zachwycają tę sześćdziesięcioletnią kobietę. Pyta go, co słyhać – nie skojarzyła, że ślusarze poszli właśnie do niego. Vernon nie znajduje słów ani odwagi, żeby jej to powiedzieć. Nie dziwi się, że schodzi z tak wielką torbą,

dziesiątki razy widziała, jak niesie paczki na pocztę. W tym momencie Vernon odczuwa wstyd z powodu tej sytuacji. Kiedyś został już wyrzucony, z liceum. Przeszedł do szkoły po kwasie, razem z kolegą Pierrotem, który później powiesił się pod mostem w niedzielę o świcie, i zostali wysłani do dyrektora, który ich relegował. To wspomnienie przywodzi mu na myśl kuchnię w rodzinnym domu. Jego rodzice umarli w młodym wieku. Nie jest pewien, czy by mu pomogli. Byli surowi. Dbali o zasady, nigdy nie akceptowali tych jego wszystkich rock'n'rollowych historii. Chcieli, żeby zatrudnił się w administracji. Zawsze mówili, że źle wyjdzie na tym sklepie. Okazało się, że mieli rację.

Na ulicy wspomnienie przedmiotów pozostawionych w mieszkaniu, które powinien był zabrać, przepełnia go goryczą. Czubkami palców dotyka złożonego w czworo dokumentu w tylnej kieszeni spodni. Ręce mu drżą, odmawiają posłuszeństwa. Musi gdzieś sięść, spokojnie się zastanowić, jak rozwiązać całą tę sytuację. Tysiąc euro. To dużo, ale da się znaleźć. Nie stracił swoich rzeczy – nie sądził, że aż na tyłu mu jednak zależy. Zegarek, który podarował mu Jean-Noël. Próbną tłoczenie pierwszej płyty Les Thugs, które trafiło do niego przypadkiem, gdy manager niezależnej wytwórni Gougnaf Mouvement przez jakiś czas u niego pomieszkiwał. Piersiówka z logo Motörhead, którą Eve przywiozła mu z wypadu do Londynu. Oryginalna odbitka portretu Jella Biafry, który Carole wykonała w Nowym Jorku. I książka Huberta Selby'ego z dedykacją.

Groźba eksmisji wisiała nad nim od tak dawna, aż w końcu uwierzył, że to znajomy dźwięk syreny zapowiadającej tylko próbny alarm. Gdyby Alexandre żył, Vernon wiedziałby, co ma robić: poszedłby pod jego dom i poruszył niebo i ziemię, żeby go odnaleźć. Ani trochę by się tego nie wstydził, jego stary druh byłby szczęśliwy, że wyciąga go z tarapatów. Koniec końców, potrzebował Vernona właśnie z tego powodu: by nadać swoim pieniądzom jakąś realną wartość.

Gdyby pomyślał o tym, by spotkać się z Alexandre'em, zamiast wysyłać mu sporadycznie grzecznego maila, czekając, aż oprzytomnieje. Gdyby Vernon wprosił się do jego domu, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Ćpałiby razem,

spokojnie, w apartamencie, a Alex nie poszedłby do jakiegoś zapyziałego hotelu, żeby się tam kąpać. Zamiast tego słuchaliby japońskiego koncertu Led Zeppelin.

Od jakiegoś czasu Vernon wie, jak funkcjonować w mieście bez pieniędzy. Sale kinowe, sklepy z ciuchami, piwiarnie, muzea – mało jest miejsc, gdzie można usiąść w cieple, nic nie płacąc. Pozostają dworce, metro, biblioteki i kościoły oraz ławki, jeśli ich nie usunięto, by tacy ludzie jak Vernon nie mogli na nich zbyt długo przesiadywać gratis. Dworce i kościoły nie są ogrzewane, myśl, by bez biletu dostać się z tym ciężkim bagażem do metra, trochę go przeraża. Idzie w górę aleją des Gobelins, w stronę placu d'Italie. Ma szczęście, jaskrawe słońce oświetla ulice, a przecież przez ostatnie dni bez przerwy padało. Gdyby wytrzymał jeszcze tylko miesiąc, zacząłby się zimowy sezon ochronny.

Stara się trzymać fason. Próbuje odpędzić czarne myśli, patrząc na dziewczyny. W jego czasach gdy tylko błysnęło słońce, laski wyciągały najkrótsze kiecki, by to uczcić. Dziś rzadziej noszą spódnice, częściej trampki, a ich makijaż stał się dyskretniejszy. Widzi dużo kobiet po czterdziestce, które robią, co mogą, by wyglądać dobrze w ciuchach kupionych na wyprzedaży – urzekły je na wieszaku, to niedrogie rzeczy, które nieźle udają te nienagannie skrojone, markowe. Ale gdy je włożą, widać już tylko ich podeszły wiek. A nastolatki, nastolatki zawsze są piękne, lecz gorzej się ubierają. Trzeba przyznać, że powrót lat osiemdziesiątych wcale im nie służy.

W czwartki biblioteki otwiera się o czternastej. Vernon ma już dość chodzenia po ulicy. Idzie w górę alei de Choisy i siada na przystanku. Miał zamiar pójść do parku, ale torba mu ciąży. Siada obok jakiejś czterdziestki, która z wyglądu przypomina trochę Jean Jacques'a Goldmana. Postawiła między stopami wielką płócienną torbę na zakupy pełną ekologicznej żywności. Wszystko w jej postawie podkreśla inteligencję, swobodę, powagę i pretensjonalność. Kobieta ostentacyjnie unika jego wzroku, ale pierwszy nadjeżdżający autobus jej nie pasuje. Wyciąga papierosa z kieszeni żakietu, Vernon próbuje nawiązać rozmowę, wie, że uzna go za natręta, ale musi zamienić z kimś parę słów.

– Czy to się z sobą nie kłóci, to znaczy zdrowa żywność i palenie tytoniu?

– Tak, ale cóż, mogę chyba robić, co zechcę?

– A nie poczęstowałyby mnie pani papierosem?

Odwraca głowę, wzdychając, jakby naprzykrzał się jej od trzech godzin. Bez przesady, myśli Vernon, to nie jest jakaś wystrzałowa babka ani nie pierwszej młodości, kiedy robi zakupy, nikt co sto metrów nie składa jej propozycji. Vernon nalega, uśmiecha się, wskazując na swój bagaż:

– Dziś rano eksmitowano mnie z domu. Miałem pięć minut, żeby zabrać rzeczy i wyjść. Zapomniałem wziąć papierosy.

Waha się, czy mu uwierzyć, potem zmienia front. Widząc, że jej autobus się zbliża, wyjmuje paczkę papierosów z torby i mu ją podaje. Patrzy mu prosto w oczy, Vernon dostrzega, że jest wzruszona. Kobieta musi być wrażliwa, jest bliska łez.

– Niewiele mogę dla pana zrobić, ale...

– Daje mi pani paczkę? Super. Będę miał co palić. Dzięki.

Macha do niego ręką zza szyby autobusu, coś w rodzaju „niech się pan trzyma, wszystko się ułoży”. Litość, bez śladu wzgardy, przygnębia Vernona znacznie bardziej, niż gdyby zwyzywała go od ostatnich.

W ciągu godziny wypalił pięć papierosów. Czas płynie nieznośnie wolno. Vernon chciałby zostawić gdzieś torbę. Gdyby na dworcach istniały jeszcze przechowalnie bagażu.

W końcu otwierają bibliotekę. Dobrze zna to miejsce. Wypożyczał tu wiele komiksów i płyt DVD. Gdy nie można jeszcze było przeczytać wszystkich gazet w sieci, często tutaj przychodził, żeby przejrzeć codzienną prasę. Siada obok kaloryfera i otwiera egzemplarz „Le Monde”, którego nie ma najmniejszego zamiaru czytać. Gdyby był kobietą, chętnie zagadnąłby mężczyznę czytającego „Le Monde”, zwłaszcza gdyby robił to ze skupioną miną, miną faceta, który chce się czegoś dowiedzieć, ale ma swoje zdanie.

W myślach wertuje nieistniejącą książkę adresową, sporządza listę osób, które mogłyby go poratować, od A do Z. Na pewno jest ktoś, do kogo mógłby pójść, kto

ma wolną kanapę albo na jakiś czas użyczy mu pokoju. Zaraz sobie przypomni.

Dostrzega brunetkę przy sąsiednim stole. Ma ściągnięte do tyłu włosy i niemodne kolczyki, podłużne i pozłacane, z lśnącymi kamykami. Jest zadbana, ale z jej elegancją coś jest wyraźnie nie tak – trąci myszką. Sprawia wrażenie osoby, której doskwiera samotność. Otworzyła kilka książek z dziedziny medycyny. Może cierpi na jakąś bardzo poważną chorobę. Mogliby się porozumieć. Vernon wyobraża ją sobie samą w wielkim apartamencie, jej dzieci mogłyby już być dorosłe, studiować za granicą, i wracać do domu wyłącznie na święta. Może lubi seks i niedojrzałych mężczyzn, dość się już nacierpiała, by wiedzieć, że gdy ma się u boku odpowiedniego faceta, trzeba się starać, by go przy sobie zatrzymać, rzecz jasna, bez przesady, nie można go też więzić. I może jest sama, bo na przykład bardzo pochłania ją praca albo niedawno odszedł od niej jakiś typ, jeszcze od niej bogatszy, zadurzył się w młodej lasce, więc na odchodnym zostawił jej kupę szmalu. Wdzięczna losowi, że znów ma w domu mężczyznę, dałaby Vernonowi do dyspozycji pokój w apartamencie, urządziłby w nim salon muzyczny, meblując go byle jak, ale inwestując w dobre nagłośnienie, i czasami wieczorem siadaliby tam razem, śmiałyby się z jego kolekcji pirackich płyt, lecz w gruncie rzeczy byłaby pełna podziwu dla jego szlachetnej pasji. Kobiety lubią chłopców, którzy lubią rocka, jest w tym wystarczająca doza abnegacji, by je trochę przerazić, a zarazem dobrze się to komponuje z burżuazyjnym zbytkiem.

Te myśli przez kilka minut zajmują go i wprawiają w prawdziwą euforię, po czym się rozwiewają. I Vernon przypomina sobie te wszystkie sytuacje, gdy widział w metrze ludzi, którzy udawali, że są pasażerami, a jednak zostawali na peronie, gdy on wsiadł do wagonu i ich obserwował. Na stacji Arts et Métiers, na linii 11, w stronę Ratusza, był ten młody Murzyn, który spał zawsze na tej samej ławce, z ogromną cystą zniekształcającą policzek. Był tam przez ponad dwa lata. Rumunka ze stacji République karmiła piersią niemowlę, potem dziewczynka nauczyła się chodzić, później piła coca-colę u stóp swojej matki.

Jeszcze nie wie, kto udzieli mu gościny, ale wie, że nie powie prawdy. To zbyt krępujące. Wykombinuje jakąś bardziej lajtową historię. W końcu ludzie lubią być

okłamywani. Tacy już jesteśmy. „Żyję teraz w Kanadzie, muszę załatwić parę urzędowych spraw, poszukuję jakiegoś lokum na trzy noce, mógłbym się przespać w waszym salonie?” Trzy noce. Więcej to byłoby nadużycie. Kanada jest dobra – prawie nikt tam nie jeździ, nie będą mu zadawać pytań, na które nie zna odpowiedzi. Piję syrop klonowy, Hells Angels nadal dają się ludziom we znaki, koka jest tania, dziewczyny chętne, ale trzeba się oswoić z tym dziwnym akcentem.

Emilie! Musi mieć niezły mętlik w głowie, skoro od razu o niej nie pomyślał, mógłby do niej trafić z zamkniętymi oczami. Dwa pokoje na piątym piętrze bez windy, za Dworcem Północnym, które rodzice kupili jej, gdy skończyła dwadzieścia lat. Odbywały się tam pamiętne imprezy. I dziesiątki wieczorów w małym gronie, tańczył tam, pił, wymiotował, często pieprzył się w łazience, jadał kolacje, palił blanty, słuchał The Coasters, albumu Siouxsie i grupy Radio Birdman. Emilie była basistką. Lubiała L7, Hole, 7 Year Bitch i inne dosyć okropne rzeczy, których tylko dziewczyny są w stanie słuchać. Na scenie była sztywna i nieprzyjemna, na nowojorską modłę. W cywilu była miła. Może nawet zbyt miła. W miłości niekoniecznie szczęśliwa. Często się rumieniła, uważał, że to seksowne. Nosila wysokie boty jak bohaterka serialu *Rewolwer i melonik*, a kiedy stała na scenie, jej biodra zataczały zmysłowe i dziwnie konwulsyjne kręgi, trzymała bas na wysokości kolan i uderzała struny, odwracając głowę, by spotkać wzrok perkusisty, przypominało to posuwanie od tyłu. Dobrze grała. Nikt nie wie, dlaczego zerwała z muzyką, gdy grupa się rozpadła. Kiedy zadzwoniła do niego, we łzach, by go poinformować, że Jean-No nie żyje, zrobiło mu się przykro z jej powodu. Że nadal w tym tkwi, sypia z facetami, którzy są zajęci. Po pogrzebie nalegała, żeby się spotkali, ale nie zareagował. Emilie umieściła na jego stronie na Facebooku całą serię szyderczych komentarzy. Na które nie odpowiedział. Wcale nie ma jej tego za złe, wie, że czasami całkiem tracimy rozum.

Vernon zamyka drzwi łazienki. Emilie siedzi wyprostowana na krześle i dwoma palcami szczypie dolną wargę, patrząc w dal. Kiedy to sobie uświadamia, obciąga zbyt ciasny sweter, który odsłania lędźwie. Często widziała, jak jej matka wykonuje ten sam gest, wbijając wzrok w jeden punkt i sprawiając wrażenie nieobecnej.

Nalewa sobie drugi kieliszek białego wina, słyszy Vernona pod prysznicem. Szybko zjedzą kolację, potem pójdzie do swojego pokoju z iPadem i butelką, im wcześniej, tym lepiej. Kiedy go zobaczyła przed drzwiami, poczuła w trzewiach zapiekłą złość, ale mimo dwóch lat psychoanalizy wciąż nie potrafi wypowiedzieć tego, co naprawdę myśli. Wyrzuty nie mogą jej przejść przez gardło. Jest zła na Vernona, dziesiątki razy wyobrażała sobie tego rodzaju scenę: ktoś z ich grupy prosi ją o pomoc, a ona spluwa mu w twarz. Zamiast tego poczuła, że opadają jej kąciki ust, gdy spytał, czy mógłby wprosić się do niej na wieczór, i zasepiła się jeszcze bardziej, gdy zaczął mówić o Alexie, żeby trochę ocieplić atmosferę. Nie ma ochoty wspominać Alexa ani wracać do przeszłości. Gwałtownymi ruchami wyjęła kieliszki, rzuciła na stół tekturowe podkładki i wsypała do miseczki prażone migdały, wykonywała gesty świadczące o gościnności, ale jakby z przymusu, tak by pozostało nieprzyjemne wrażenie. Patrzyła, czy Vernon nie popłami czasem szwedzkiego stolika, który kupiła za sześćset euro na wyprzedaży w ekskluzywnym sklepie. Emilie stała się fanatyczką na punkcie czystości. Wcześniej miała to gdzieś. Dziś mogłaby poderżnąć gardło za kilka okruchów zostawionych na stole czy wapienny osad na kranie. Ale coś za coś – odczuwa niewysłowioną przyjemność, gdy wszystko jest poukładane i czyste.

Vernon udał, że nie zauważa napięcia, spytał: „Obciąłabyś mi włosy? Pamiętasz, jak wszystkim układałaś fryzury?”. I zamiast powiedzieć mu coś do słuchu, odparła: „Teraz, jesteś pewien?”. Drugi kieliszek białego wina, trochę złagodniała. Kiedy jej opowiedział, że sprzedał wszystkie płyty, przypomniała

sobie aneks przy sklepie, jego dawne mieszkanie. Poczowała empatię. Jej złość przygasła. Często tak ma, nie tylko za sprawą wina. Jej najbardziej dojmujące uczucia topnieją i zastępuje je ich dokładne przeciwieństwo.

Vernon bardzo się zmienił. Teraz wszystko w nim zdradza słabość. A przecież fizycznie nie jest z nim wcale źle. Chłopcy z dużymi oczami są uprzywilejowani. Włosy mu posiwiały, ale ma tylko zakola na czole. Szczęściarz, zachował szczupłą sylwetkę. Problemem są zęby. Patrząc na jego poźółkły uśmiech, to trochę odrażające.

Gwiżdże na to. Nie ma zamiaru się z nim całować. Nie tylko Vernon się zmienił. Emilie przytyła – dokładnie ile? Dwadzieścia kilogramów w ciągu dziesięciu lat? Straciła rachubę, stale kłamiąc na temat swojej wagi, jakby wyjawienie prawdy miało jakikolwiek wpływ na jej sylwetkę. Z początku walczyła – dieta ćwiczenia talasoterapia kremy i zabiegi antycellulitowe, które kosztowały majątek i podczas których czuła się jak we wnętrzu kruszarki. To się opłacało, zahamowała proces. Potem machnęła na to ręką. Jej metabolizm najwyraźniej wyrwał się spod kontroli. Nie rozpoznaje się w lustrach. Przelewa się, bez względu na to, co na siebie włoży, zawsze wyłania się jakiś walek. Zwłaszcza gdy zjawia się w miejscu, w którym nikt jej nie zna, wtedy najlepiej czuje, jak bardzo się zmieniła. Jeżeli ludzie mają wybór, zwracają się do dowolnej osoby obok niej, unikają kontaktu z grubą.

Jej mieszkanie też się zmieniło. Wyczytała zdumienie na twarzy Vernona, kiedy wszedł do środka. Zdumienie i zawód. Nie ma tam już żadnego plakatu z koncertu. Kiedyś przyklejała je bezpośrednio do ścian, w salonie i w pokoju, kuchnia była zarezerwowana dla zdjęć pięknych młodzieńców. Fugazi, Joy Division, Die Trottell, Dezerter ustąpili miejsca oprawionej fotografii Fridy Kahlo i reprodukcji obrazu Caravaggia. Ściany są pomalowane na biało. Jak u wszystkich dorosłych osób z jej otoczenia. Stała się taka, jaką zawsze pragnęli ją widzieć rodzice. Wygrała konkurs, pracuje w zaopatrzeniu, zamieniła irokeza na dyskretnego boba. Ubiera się w Zarze, jeśli znajdzie tam coś w swoim rozmiarze. Przepada za oliwą z oliwek, zieloną herbatą, prenumeruje „Teleramę” i rozmawia o przepisach kulinarnych

z kolegami w pracy. Zrobiła wszystko, czego od niej oczekiwano. Tyle że nie urodziła dziecka. Na rodzinnych obiadkach to ona jest czarną owcą. Jej wysiłki nie zostały wynagrodzone.

Pod prysznicem woda wciąż płynie. Emilie rozchyła ogromną torbę, z którą przyszedł. Nie ma kosmetyczki. Tylko maszynkę do golenia. Kiedy szedł pod prysznic, powiedział, że prawdziwi faceci nie podróżują z kosmetyczkami. Jest pewna, że nie przyjechał z Kanady. Czy żyje na ulicy? To do niego niepodobne. To spokojny chłopak, robi, co trzeba, żeby uniknąć problemów, nie jakiś wariat, który by całkiem odpuścił i wylądował na bruku. Dramatyczne zerwanie? Być może. Ale Vernon jest zbyt popularny, by trafić do przyjaciółki, której od tak dawna nie widział. Coś tu jest nie tak, a on najwyraźniej nie chce o tym mówić.

Subutex zawsze był tym poczciwym facetem, który z lekkim uśmiechem na ustach stał za ladą swojego sklepiku z płytami. Kawalarz – nie jakaś niewyparzona gęba, ale stać go było na odpowiednią ripostę. Potrafił wydobyć z rozmowy jakiś zabawny element i go uwypuklić, umiał żonglować słowami. W świecie dzieciaków, z których każdy chce zwyciężyć w zawodach w sikaniu na odległość, Vernon sprawiał wrażenie luzaka, który nie musi się wysilać, by dowieść, że jest kimś. Miał pozycję, był sprzedawcą płyt. Nie miał prestiżu gitarzysty, ale w hierarchii znaczył więcej niż byle przeciętniak. Vernon łamał serca kobietom. Obsypywał je komplementami, kiedy je poznawał, stawiał na piedestale, siedemset metrów nad ziemią, a potem jego uwaga wędrowała gdzie indziej i rzucał je, łaknące pięknych słówek i spojrzeń pełnych podziwu.

Emilie grała rolę faceta w ich bandzie. Kiedy wsiadała do ciężarówki, sama dźwigała wzmacniacz. Była dumna, że dobrze znosi alkohol, miała poczucie humoru, piękną kolekcję płyt i nie bała się zaszaleć na scenie. Zaakceptowana. Potem grupa się rozpadła. Sklep z płytami został zamknięty. Każdy poszedł swoją drogą. I kumple zapominali o tym, żeby do niej zadzwonić. Kiedy szli razem na piwo przed koncertem, wybierali się do kina, urządzali proszoną kolację albo coś świętowali, zwykle jej tam nie było. Potem kumple mieli skonsternowane miny,

kiedy po jakiejś chałturze chciała pójść z nimi za kulisy. Wiedziała, co to znaczy, ale nigdy wcześniej nikt tak na nią nie patrzył. Była to reakcja na namolną grubaszkę, która nalega i której trudno się pozbyć. A kiedy udało się jej wprosić do towarzystwa i zasiąść z nimi przy stole w restauracji, miała wrażenie, że jej głos zanika. Nie słyszeli jej. To nawet nie była niechęć. Musieliby zwracać na nią uwagę, by mogła wzbudzić agresję. Kiedy rozmawiała o tym z Jeanem-No, mówił, że zwariowała, że ciągle musi być w centrum uwagi i że nie pogodziła się z rozpadem grupy. Było w tym sporo prawdy. Sébastien, gitarzysta solowy, postanowił rozwalić wszystko w dniu, w którym facet z Virgin Music zaproponował im kontrakt. Dla zasady. A przecież Sébastien był jedyną osobą w ich gronie, która pracowała już dla dużej wytwórni. Jednak właśnie tak rozumował: nie grał w grupie po to, by zrobić z tego zawód. Żadnych kompromisów, żadnego planowania kariery. Tylko rock w czystej postaci. Chciał mieć hobby, które pozwoli mu poczuć się buntownikiem, wieczorem, po robocie. Więc żadnej telewizji, żadnych agentów, niczego, co byłoby zbyt profesjonalne. To ma pozostać proste, sprawa między kumplami, dostawczy peugeot bez siedzeń i catering na bazie libańskiego tabbouleh. Sébastien miał zmysł porządku jak wszyscy mali burżuje wydzielający sobie przestrzeń, w której mogą poszaleć. Miał piękne mieszkanie przy ulicy Galande, które kupili mu rodzice. Z wyjątkowym zapalem obmawiał ludzi z ich środowiska, twierdząc, że się sprzedali, że są obłudni, że to same farbowane lisy i oszuści. Sébastienowi zawsze przeszkadzało, że ma w grupie laskę. Psuła klimat. Punk rock powinien pozostać męskim sportem. Kiedy się spotykają po dwudziestu latach, widzi faceta, który jak na zatwardziałego punka nieźle poradził sobie w życiu. Został szefem redakcji kulturalnej w kablówce, dyrektorzy zawsze go uwielbiali – dostarcza im pewnej dozy męskiego radykalizmu i nie jest jakimś lumpem.

Kiedy grupa Poskromiciele Smoka się rozpadła, nikt do niej nie zadzwonił, by zaproponować jej zastępstwo na scenie. Emilie się tego nie spodziewała. Dobrze grała, nie wątpiła w swoje umiejętności. Włożyła bas do futerału, zniosła wszystko do piwnicy i zajęła się czymś innym. Nigdy nie oddaliła się od swoich dawnych

przyjaciół. Została odsunięta. To nie to samo. Tylko Jean-No nadal się z nią widywał. To normalne, spał z nią, kiedy tylko przyszła mu na to ochota. Z początku przypominało to historię, która się nigdy nie skończy, bo zbyt wiele w niej namiętności. Potem zmieniło się raczej w uzależnienie. Gdy zażywamy substancję już nie dla przyjemności, ale żeby złagodzić poczucie braku. Na świat przyszło jego pierwsze dziecko. Z inną. Emilie przyjaźniła się z jego siostrą, jako jedna z pierwszych dowiedziała się, że jest w ciąży, trzeba było stuknąć się kieliszkami i zachować uśmiech. Natomiast o drugim dowiedziała się dopiero w wiele miesięcy po jego narodzinach. Znajdując pluszowego misia w jego torbie. Emilie stała się dziewczyną, która nie może przedstawić innym swojego faceta, laską trzymaną w odwodzie, która zawsze przychodzi sama na imprezy urządzone przez kolegów z pracy i ma mnóstwo kumpelek, bo dobrze się czują w towarzystwie takiej ofiary losu. Teraz jest już po wszystkim, nie zacznie życia od nowa i tak upłynie jej młodość, na czekaniu, aż jakiś głupek zadzwoni do niej albo nie zadzwoni, okłamię żonę, żeby się z nią zobaczyć, zrobi z niej swoją metresę na boku, a ona nie będzie w stanie tego wszystkiego zatrzymać, zająć się czymś innym, już sama nie wie, jak wytrzyma ten nieznośny ból. Dlaczego niektórzy tak zawzięcie niszczą samych siebie, gdy innym z taką łatwością przychodzi robienie tego, co należy robić. Prawda jest taka, że kiedy nie cierpiała z jego powodu, powodem był ktoś inny.

Gdy Jean-No umarł, chciała z kimś o tym porozmawiać. Fakt, że była jego kochanką, nie miał żadnego znaczenia – to był facet, z którym sypiała od dziesięciu lat. Zwróciła się z tym między innymi do Vernona. Nigdy nie odpowiedział. Jak gdyby ledwie się znali i ona naprzykrzała mu się, wydzwanając do niego po śmierci Jeana-No. Teraz może zdechnąć na ulicy jak pies, jeżeli o nią chodzi, sprawa jest zamknięta, nie chce już o nim słyszeć. Teraz jego kolej.

Wychodzi z łazienki, a ona rozkłada duży ręcznik na podłodze, stawia na nim krzesło i przy pierwszym pociągnięciu grzebieniem zagryza wargi, żeby się nie rozpłakać. Wściekłość nagle opadła i zastępuje ją głęboka melancholia, której się nie spodziewała. Gdy była małą dziewczynką, obcinała włosy swojemu dziadkowi w każdą niedzielę, gdy w telewizji nadawano satyryczny program „Mały

donosiciel”, a jej matka wznosiła oczy ku niebu, „ta mała robi z nim, co chce”. Stojąc za krzesłem, musiała podnosić ramiona, żeby dosięgnąć do trzech zbyt długich włosków na karku. Skóra dojrzałego mężczyzny, bardzo cienkie włosy przyprószone siwizną i charakterystyczny zapach. Dotyka opuszkami palców czubka głowy Vernona, żeby pochylił czoło. Pociąga kosmyki i obcina końce, próbuje nadać włosom objętość, choć nie ma już za bardzo nad czym pracować, można tylko skrócić tę przerzedzoną czuprynę, która opada mysimi ogonkami na plecy. Zalewa ją fala czułości niemająca nic wspólnego z pożądaniem, nie jest też uczuciem, jakim darzymy dzieci. To czułość dorosłej kobiety, która rozkleja się na widok czyjejś słabości. Walczy z sobą, żeby się nie rozpłakać. Dopiero od niedawna jej się to udaje. W pierwszych dwóch latach depresji ryczała z byle powodu, siła woli, która powstrzymywała łzy, ją opuściła: tak jak pod niektórymi uginają się nogi, jej łzy płynęły nieprzerwanym strumieniem. To się zmieniło pod koniec lata. Któregoś ranka wstała i była w stanie powstrzymać płacz. Ból wciąż był taki sam, ale nie musiała już poprawiać makijażu w windzie, kiedy szła do pracy, tylko dlatego, że w metrze przez całą drogę płakała. Od tego wiecznego mazania się sól łez zniszczyła jej skórę po oczami. To było nieodwracalne.

Vernon ma cerę starego człowieka. Cerę mężczyzny w jego wieku. Czują już coś podobnego w kontaktach z Jeanem-No. Mówi się, że mężczyźni starzeją się lepiej niż kobiety, ale to nieprawda. Ich skóra szybciej traci elastyczność, zwłaszcza kiedy palą i piją. Staje się wiotka, ma się wrażenie, że mogłaby się złuszczyć pod naciskiem palców. Nigdy nie była w stanie zrozumieć, jak młode dziewczyny mogą spać z facetami starszymi od siebie. Delikatna i sprężysta skóra młodych mężczyzn jest o wiele miłsza w dotyku. Mężczyźni w jej wieku ją odstręczają, gdy ją im wiszą, przypominając stwardniałe głowy żółwi. Chyba by zwymiotowała, gdyby musiała ich dotknąć. Nie cierpi mężczyzn, którzy po paru posunięciach dostają zadyszki albo po pięciu minutach kładą się na plecach, bo opadają z sił, a partnerka musi sama dokończyć dzieła. Nie cierpi ich wzdętych brzuchów i chudych, szarych ud.

Kobiety zmieniają się stopniowo wraz z wiekiem. Starają się zrozumieć, co im się przydarza. Mężczyźni tkwią w miejscu, heroicznie, a potem od razu się poddają. Im są starsi, tym bardziej miłość i seks kojarzą się im z dzieciństwem. Lubią rozmawiać jak z dziećmi z dziewczętami, które przypominają podlotki, robić świństwa, które robiło się na przerwach w szkole. Nikt nie chce słuchać o pożądaniu starców, to zbyt żenujące.

Im więcej pije, tym Vernon wydaje jej się starszy. Zawsze był łatwym chłopcem. Wystarczyłoby otworzyć butelkę whisky, by coś się wydarzyło. Wie, że gdy jest wstawiona, zapomina o własnym ciele, o tym, do jakiego stopnia przestało być godne pożądania. Ale nawet jeżeli myśl o seksie może ją jeszcze pociągać, wprowadzenie jej w czyn raczej ją zniechęca. Straciła resztki libido już kilka lat temu i prawda jest taka, że świetnie się bez niego obywa. Słuchają *Trans-Europe Express*. Emilie nie wiedziała, co wybrać ze swoich zbiorów. Przeglądając płyty, pomyślała ze smutkiem, że od lat nie słuchała niczego nowego czy ciekawego. Przestało ją to zajmować.

– Pamiętasz, jak kiedyś bez przerwy słuchałaś Edith Nylon?

– Nie wiem, co się z nią stało. Nigdy nie widziałam jej płyt w internecie.

– Nie znasz programu Snapz Pro? Zainstaluję ci, kiedy skończysz mnie strzyc.

– Zostawiłeś swoje winyle w Quebecu?

– Sprzedałem wszystko na eBayu. Po zamknięciu sklepu właśnie z tego żyłem. Teraz wszystko jest w sieci.

– Zostało mi trochę kasztanowej farby, chcesz, żebym przykryła ci siwe włosy?

– Jasne. Uwielbiłam, gdy ich dotykasz.

Jedzą kolację przed telewizorem, siedząc obok siebie. Lepiej wygląda ostrzyżony i z pofarbowanymi włosami. Kutas, wciąż ma te szare pociągające oczy. Nie czekając, aż skończy jeść, nalewa sobie kieliszek wina, mówiąc, że jest skonana, rozkłada dla niego kanapę i zamyka się w swoim pokoju. W wieku dwudziestu lat miałyby poczucie winy, że Vernon jest na ulicy, a ona grzeje się w ciepłym domu. Musiałyby mu zaproponować, by został na kilka dni. Wielu

przyjaciół traktowało jej mieszkanie jak hotel, a potem bez żenady odwracali się do niej plecami, gdy już jej nie potrzebowali. Miała ich już po dziurki w nosie, tych niewydarzonych poetów. Facetów zbyt delikatnych, by zająć się jakąś robotą. Nikt nigdy się nie przejmował tym, co ona czuje. Emilie wiele zawdzięcza terapii, która nauczyła ją zatrząskiwac drzwi od czasu do czasu, to dzięki niej jeszcze funkcjonuje. Nie ma chęci go gościć, nie musi się usprawiedliwiać, a tym bardziej obwiniać.

Arabski Barbès, już od rana panuje tu ścisk. Vernon przedziera się przez tłum z torbą na ramieniu. Ludzie są czujni, poszukują pieniędzy. Kartony fajek, podróbki perfum i torebek, chwytają go za ramię, by mu pokazać towar, ale on udaje faceta, który zmierza w ściśle określonym celu, by nie spotkać wzroku osoby, która go zatrzymuje. Idzie szybkim krokiem, wie, że za placem Pigalle będzie już spokojniej. Autokary Japończyków, Chińczyków i Niemców jeszcze nie parkują. Moulin Rouge wygląda jak dekoracja z tektury. Fasada teatru Élysée Montmartre jest nadal poczerniała. Nigdy nie cierpiał placu Clichy, zbyt wielki zgiełk, za dużo samochodów.

Wczorajsze słońce zniknęło, jest zimno i czuje głód. Dobrze znane uczucie, że ma pusty żołądek. Kiedy mógł zostać w domu, to mu nie przeszkadzało. Emilie je rano płatki zbożowe, po których facetowi wywraca się żołądek i które smakują jak owies, zrezygnowany zjadł kilka łyżek, ale bał się, że może mu to zaszkodzić. Wczoraj udało mu się skorzystać z toalety w McDonalddie. Ale większość ma kody przy drzwiach do toalety, by ludzie w jego sytuacji nie czuli się zbyt dobrze.

Zachowanie Emilie, która wyraźnie żywiła do niego urazę, zmroziło go. Do ostatniej chwili wierzył, że da mu klucze do swojego mieszkania. Przynajmniej na dzień. Zrozumiała, że nie ma gdzie pójść. Wcisnęła mu w dłoń dwa banknoty po dwadzieścia euro, na chodniku, unikając jego wzroku, i niemal biegiem ruszyła do stacji metra. To, co stało się z Emilie, to najsmutniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widział. W powietrzu, którym oddycha, unosi się jakiś zatęchły zapach, który wszystko przenika i odbiera energię. A przecież z wiekiem stała się bardziej pociągająca. Nie jest tak świeża, zaokrągliła się, ale dobrze się trzyma. Pewność siebie dodaje jej uroku, kiedyś była drętwa.

Negocjował do upadłego, by pożyczyła mu swojego MacBooka. Było mu wstyd, że tak bardzo nalega, przy śniadaniu – ale nie miał wyboru. Musi się podłączyć. Błagał ją. Wyjął z torby kasety z wywiadem Alexa i wymachiwał nimi,

jakby to były mojżeszowe tablice: „To jego testament, Emilie. Rozumiesz? Nie chciałem ci o tym mówić, ale także z tego powodu wróciłem do Paryża. Zostawię ci je w zastaw – pożyczysz mi komputer, najwyżej na tydzień, a kiedy przyjdę go zwrócić, odbiorę kasety. Strzegę ich jak źrenicy oka”. Nie potrzebuje tego laptopa – ma iPada, iPhone’a i ogromny komputer, którego używa jako telewizora. Była oporna, nalegał. W końcu odpuściła, zde gustowana, że tak się poniża. Znał spojrzenie, jakim go obrzuciła – tak samo patrzył na kumpli ćpunów, gdy przychodzili do sklepu i zawracali mu głowę, bo potrzebowali kasy, „którą oddadzą jutro, na sto procent”, i Vernon w końcu się godził, zrezygnowany, byle już sobie poszli.

Kiedy na dole wyjęła dwa banknoty, miał ochotę powiedzieć: „Co ty wyprawiasz?”, ale włożył je do kieszeni, odwracając wzrok.

Miała do niego żal, i to wielki, że nie zadzwonił do niej po śmierci Jeana-No. Nie, naprawdę, nawet nie pomyślał, że to może być dla niej takie ważne. Jean-No nigdy o niej nie mówił. Nigdy.

Mijając Starbucksa, znowu zadaje sobie pytanie, co takiego mają w sobie te kafejki, że w Paryżu stale otwiera się nowe. Wchodzi do środka, to trochę jak McDonald, tyle że komfortowy, woń frytek zastąpił zapach ciastek z kremem. Wszystko go dziwi, od stroju kelnerów po system składania zamówień. Ale wyczuwa, że wkroczył do rajy palaczy blantów: słodyczne, wielkie fotele, cicha muzyka i przytłumione światło – gdyby prawo na to zezwalało, z dnia na dzień mogłyby przekształcić się w coffee shopy i każdy chciałby zamieszkać w pobliżu. Zagaduje młodą kobietę za ladą, nikt za nim nie stoi, a dziewczyna ma jakieś dwadzieścia lat, to ładna Murzynka o wysokich kościach policzkowych, zbyt mocno wydepilowanych brwiach i ciepłym głosem. Vernon chce się dowiedzieć wszystkiego o kawach widniejących w karcie. Odpowiada mu neutralnym tonem, nie jak dziewczyna, którą się podrywa. Zwraca się do niego jak do perwersyjnego staruszka, który uciekł z pobliskiego hospicjum i odkrywa trzecie tysiąclecie. Chciałby ją sobą zainteresować, poczuć, że może wprawić ją w zakłopotanie,

chciałby zamieszkać u niej i spędzić zimę w jej łóżku. Ale nic w jej postawie nie pozwala mu dłużej nalegać. Odchodzi z poważną miną i kawą za dwa sześćdziesiąt.

Rozparty na kanapie, podłącza komputer i widzi swoje odbicie w szybie. Przynajmniej Emilie dobrze obcięła mu włosy. Rozgląda się po lokalu. Zasadnicza różnica między prawdziwym barem a tym miejscem to brak kontuaru. W barze musi być kontuar. Jeśli go nie ma, jesteśmy w herbaciarni. Dzięki kontuarowi w barze wiemy, że możemy tam wejść samemu, znajdziemy sobie miejsce. W sklepie też miał kontuar. Żeby można się było oprzeć o niego łokciami i stać tak godzinami, rozmawiając to z tym, to z owym. Odwrotnie niż u psychoanalityka: stojąc naprzeciwko rozmówcy, bez ograniczeń czasowych. Bóg wie, ile nasłuchiwał się głupstw przez ponad dwadzieścia lat prowadzenia sklepu z płytami.

Wchodzi na swój profil na Facebooku, zamieszcza kawałek Crampsów, grany na żywo w szpitalu psychiatrycznym, stary film o niezrównanym wdzięku, który powinien wzbudzić sympatię oglądających. W nocy pojawiło się mnóstwo komentarzy w związku ze śmiercią Alexa. Niech spoczywa w pokoju, niech spierdala, on i jego infantylne piosenki, niech przejdzie na drugą stronę tęczy, i wszyscy zamieszczają swoje nowe zdjęcia, swoje anegdoty – spotkałem go w barze, czytał Novalisa, spałam z nim, to dla mnie napisał tę piosenkę, dał mi gumę do żucia, kupowałam papier toaletowy, a on szynkę, kiedyś wieczorem widziałem go nachlanego i postawiłem mu piwo, widziałem, jak leżał na ziemi we własnym gównie, było mi go żal, to był wielki poeta, pęka mi serce.

To skomplikowana sprawa wybrać kogoś z listy znajomych. Ma ich wielu. Sprzedawca płyt przyciąga do siebie ludzi. Na stronie głównej miga mu świetne zdjęcie Harleya Flanagana Jr, dyskusja toczy się w najlepsze już od trzech miesięcy – Harley Flanagan Jr zasztyletował gościa, który zastąpił go w reaktywowanym składzie Cro-Mags. Lajkuje jak szalony. Kawa jest niezła, wypija pół litra, aż pali mu żołądek.

Po pięciu minutach w dyskoncie Monoprix Xavier ma chęć wysadzić wszystko w powietrze. Monoprix w jego dzielnicy prowadzą niedorozwoje. Tak jest zawsze: czekają, aż w sklepie będzie pełno ludzi, i każą pracownikom wykładać towar na półki. Muszą mieć pewność, że maksymalnie utrudni to jazdę wózkami. Mogliby robić to rano, kiedy sklep jest zamknięty, mogliby to robić wtedy, gdy w sklepie jest pusto. Nie, wybierają godziny szczytu: postawisz mi trzy palety między stoiskami, niech ci durni klienci trochę się pomęczą.

Wszystkie te beznadziejne opakowania produktów budzą jego agresję. Pomyśleć, że faceci w biurach projektowych dyskutowali całymi tygodniami, jakimi barwami ozdobić słoik korniszonów... i cały ten intelektualny wysiłek poszedł na marne. Marie-Ange zaczęła ciosać mu kołki na głowie, żeby zrobił zakupy – i że w niczym jej nie pomaga, to ona wiecznie zasuwa, dlaczego to zawsze ona musi i tak dalej. Zawsze ta sama głupia śpiewka. Lista zakupów, którą wysłała mu na telefon, jest tak szczegółowa, że musiała spędzić nad nią więcej czasu, niż gdyby sama zrobiła te zakupy. To nie do wiary, że tak bardzo interesuje się markami pakowanego chleba... A teraz jak głupek szuka jogurtów zero procent bez aspartamu, ponieważ madame dba o linię, ale po aspartamie pierdzi jak gazownia.

Xavier ma ochotę wymierzyć solidnego kopniaka w dupę grubej Arabce w hidżabie, która paraduje tuż przed nim. Na litość boską, czy nie można przejść dwustu metrów ulicą, nie patrząc na ich chusty, na dłonie Fatimy na lusterkach wstecznych i nie musząc znosić ich agresywnych bachorów? Paskudna rasa, nic dziwnego, że ludzie ich nie lubią! On robi zakupy, zamiast zająć się pracą, bo jego żona nie chce uchodzić za kurę domową, a te leniwe brudasy włóczą się po mieście, nic nie robią, żyją sobie spokojnie z państwowych zasiłków, spędzają dzień w kawiarni, a ich babska harują. Nie dość, że bez szemrania robią wszystko w domu, chodzą do roboty, żeby ich utrzymywać, to jeszcze mają potrzebę

wkładania hidżabu, by zmanifestować wszystkim swą uległość. To jest wojna psychologiczna: chodzi o to, żeby francuski samiec poczuł, jak bardzo stracił na wartości.

To tym bardziej deprymujące, że te arabuski miały przecież wybór. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zgarniały dobre posady i dawały radę, nawet jeśli na ogół było dosyć jasne, że szukają przede wszystkim bogatego męża, w końcu były nie w ciemną bitę. Ale ciężko tyrały i odnosiły nawet większe sukcesy niż inne. Potem nastąpił zwrot. Wolały wycofać się z rynku pracy i zakładać chusty, żeby mieć pewność, że nie upokorzą swych braci. Ach, chciałby to zobaczyć, jak jego żona przestaje pracować, żeby utwierdzić go w jego męskości... Kurwa. Swoją drogą, gdyby to zrobiła, tkwiliby w gównie po uszy...

Ma tego dość. Wczorajszy wieczór całkiem go wykończył. W nocy coś nieprzyjemnie bulgotało mu w brzuchu. Zjadł kolację z Serge'em Wergmanem, który proponuje mu pracę nad scenariuszem nowego serialu. Obaj wiedzą, że to kiepski pomysł – rzecz jest planowana od lat, stacja nie może się zdecydować na rozpoczęcie zdjęć, nigdy do tego nie dojdzie. Temat jest beznadziejny od samego początku: pani chirurg wykonuje operację na otwartym sercu i zakochuje się w pacjencie, który jest przemytnikiem. Wergman to przyzwoity gość, Xavier wie, że dostanie pieniądze. Zgodził się. Podkreśli trochę intrygę i poprawi dwa dialogi, następnie jego praca będzie polegała głównie na tym, by jakoś znieść częste, niemające końca, bezcelowe i uciążliwe spotkania z debilami ze stacji telewizyjnej... dwadzieścia cztery lata, synowie zamożnych rodziców, którzy nie mają bladego pojęcia o niczym, będą przesuwali grubymi paluchami o obgryzionych paznokciach po wyróżnionych liniijkach, „widzi pan, to się na pewno nie sprzeda”. Jakby matoly wiedziały, co może urzec publiczność. Smarkacze tylko dlatego zajmują wysokie stanowiska, że ich rodzice zadzwonili gdzie trzeba.

Jednak zawsze to jakieś zajęcie. Cieszy się, że je ma. Był zadowolony, gdy Serge zaprosił go na kolację do dobrej włoskiej restauracji, o parę kroków od kanału Saint Martin. Rozmawiali o nowym zbiorowym układzie pracy, który ma

wejść w życie, o związkach zawodowych, które na ich oczach zabijają autorskie kino... A Xavier, wiedząc, że Serge produkuje także dramaty psychologiczne i społeczne, wolał nie mówić, co w gruncie rzeczy myśli o kinie autorskim. To nie był zły wieczór. Dopóki nie przyszła Elsa. Pod rękę z Jeffem. Xavier nie wiedział, że są razem. Niczego nie dał po sobie poznać, ale od razu poczuł palenie w przełyku, nie był w stanie trawić.

Jeff również był scenarzystą. Ale dwa lata wcześniej jego film wszedł w fazę realizacji. Sto dwadzieścia minut traktorów pod szarym niebem, fabryk i gruboskórnych roboli z niskimi czółkami. Żadnej muzyki, jest za droga, żadnego scenariusza, szorstki film, jakie uwielbia krytyka – ponieważ nudzą się podczas projekcji jak mopsy, a obrazy są brzydkie, są przekonani, że faktycznie oglądają film o świecie proletariuszy. Kiedy film wszedł na ekrany, Xavier nie mógł otworzyć gazety, by nie przeczytać steku głupstw, i pęknięty wrzód żołądka poharatał mu trzewia. Nie spodziewał się, że Jeff, ten loser, wyprzedzi go przed metą. Żaden z oryginalnych scenariuszy, jakie Xavier pisał od piętnastu lat, nie doczekał się realizacji.

Jeff przygotowuje swój drugi film. Zaproponował rolę Elsie. Przyszli razem, a z nimi jakaś brunetka z tłustymi włosami, która przedstawiła się jako asystentka. Wszyscy wydali radosne okrzyki, zachwyceni, że spotykają się tu przypadkiem, a przecież nikt nikogo w tym towarzystwie nie lubił. Tylko radość Jeffa nie była pozorowana. To musiało być super, zobaczyć się z kolegą, z którym często pracował, i móc go zmiażdżyć swoim małym żalonym sukcesem. Triumfował. Ach, nie można powiedzieć, by krył się ze swym szczęściem... Tarzał się w nim jak świnia.

Xavier nigdy nie spał z Elszą. Nie zdradza żony. To nie w jego stylu gardłować „ja, proszę pana, jestem porządnym chrześcijaninem”, a potem wsadzać swojego wacka, gdzie popadnie. Ma swoje zasady. Kiedy był młody, korzystał z życia. Teraz ma żonę, jest ojcem i uważa na siebie. Ale z Elszą to było trudniejsze niż z innymi. Ona nie tylko go podnieca, ona go do głębi porusza. Ma ochotę ją chronić spać przytulony do niej pytać co robiła w ciągu dnia ma chęć całować jej plecy aż po

łędźwie polecić jej lekturę książki *Sympathy for the Devil* i słuchać bluesa ma ochotę wsiąść z nią do pociągu i paść na łóżko w pokoju z widokiem na morze chce czuć jej zapach rano chce chodzić z nią na castingi i pocieszać ją kiedy nie zostanie wybrana chciałby cieszyć się wraz z nią dobrymi wieściami przyciskając ją mocno do siebie. Z Elszą ma ochotę na wszystko. I wcale mu to nie przechodzi. Zdarzają się takie stany silnego zadurzenia, ale to ma swój kres, któregoś dnia znów widzimy tę dziunię i nic nie czujemy. Gorzej, odkrywamy, że ma nieświeży oddech, niezbyt gładką skórę, nieprzyjemny głos albo że nie podoba nam się jej sylwetka. Ale jeśli chodzi o Elbę, los sprawia, że stale się spotykają i nie ma temu końca. Wie, że to wzajemne. Ona tylko czeka na jakiś gest z jego strony. Czuje to samo co on i wie, dlaczego się powstrzymuje. Ale szanuje jego decyzję. Ponieważ w dodatku jest to porządna dziewczyna – nie jakaś lafirynda, która pod pretekstem, że jest wyzwolona, rozbija małżeńskie stadła. To superniunia, ma w sobie tyle klasy, że nie powinna być aktorką, zresztą niełatwo jej się przebić, a przecież jest o wiele ładniejsza i bardziej utalentowana niż większość anorektycznych lachociągów, które szwendają się po planie filmowym. I właśnie z powodu Elsy Xavier dołączył do grupy, kiedy ta świnia Jeff powiedział: „Chodźmy do mnie – właśnie kupiłem mieszkanie – chodźmy do mnie tu jest ciasno, zamówimy coś do domu”. Jeff kupił beznadziejne mieszkanie. Coś się za tym kryje, facet kłamie, z daleka czuć tu spadkiem a ten pozuje na gościa który niczego nie zawdzięcza rodzicom ależ to oczywiste że to rodzinna lokata kapitału, nawet ostatni przygłup jak Jeff nie kupiłby sobie takiego badziewia. Jednak parę razy powtórzył, że kosztowało go to czterysta tysięcy euro, jakby chciał podkreślić, że może wyrwać, kogo tylko zechce. To był okropny wieczór. Obmawiali Jean-Luca Delarue, jakby wszyscy nagle się dowiedzieli, że ten gość to zwykły śmieć występujący w otoczeniu bandy usłużnych debili, którzy zabiliby własnego ojca i matkę, żeby mieć newsa na jutro. Xavier trzymał język za zębami – nie chciał zaszkodzić swoim relacjom z Serge’em, gdyby go poniosło. Ani pokazać Elsie, jak bardzo jest zniesmaczony. Chciałby wziąć ją na bok i powiedzieć, co leży mu na sercu – jak bardzo mu się podoba, że myślał o niej nawet wtedy, gdy nie widzieli się przez pół

roku... Tyle tylko, że gdy komuś powiesz: „Podobasz mi się”, to tak, jakbyś zapytał: „Czy mogę cię pocałować?”. Jest tylko jeden sposób na to, by pozostać wiernym: trzeba zachować fizyczny dystans. Kiedy trzymasz się o trzy metry od pożądanego ciała, ryzyko, że to się źle skończy, zdecydowanie maleje.

Jeff przez cały wieczór naigrawał się z niego z sympatyczną miną. Xavier to wytrzymał. Słuchał, jak dwaj intelektualiści francuskiego kina winszują sobie nawzajem, że stworzyli tak wartościowe dzieła, i wyrażają radość, że spotkają się w Cannes. Cannes, myślał Xavier, to święto grillowanych kiełbasek z kurwami w szpilkach z kolekcji Louboutina. Wszyscy rzygają kawiozem, z nosem pełnym koki, kiedy nagrodzą już jakiś rumuński film. Lewicowi mądrale uwielbiają Romów, bo przecież widać, że cierpią, a nigdy się nie skarżą. Wyśmienite ofiary. Ale w dniu, w którym jeden z nich wreszcie zabierze głos, lewicowi mądrale poszukają sobie innych milczących ofiar. Dla tej bandy nieudaczników, myślał Xavier, największym bohaterem był Jean-Luc Godard, gość, który myśli wyłącznie o kasie i wypowiada się z pomocą kalamburów. Ale cóż, nawet po tak pięknym początku potrafili stoczyć się bardzo nisko. Trzeba mieć talent.

Xavier wrócił do domu wystarczająco pijany, by czuć się nie najgorzej. Wytrzepał się w klozecie, myśląc o Elsie, potem umył ręce i poszedł do sypialni, by paść na łóżko obok swojej żony. Nie cierpi tego robić, ale inaczej nie zdołałby zasnąć. Dopiero rano uświadomił sobie, jak bardzo trudno będzie mu dojść do siebie po takim wieczorze. A przecież miał za sobą już wiele paskudnych, upokarzających imprez. I przez cały ranek nie był w stanie skupić się nad tym, co miał do napisania, w kółko przeżuwał monologi, próbując się przekonać, że nie, oczywiście, że nie zazdrości Jeffowi. Kto chciałby być na miejscu takiego pajaca? Nie mógł się powstrzymać, by nie układać sobie w myślach rozmowy, podczas której wyjaśnia Elsie, że realizacja pierwszego długometrażowego filmu, który zbierze trzy pochlebne recenzje, to nie jest żaden wyczyn. Cierpiał, gdy wyobraził sobie, że Elsa mogłaby dojść do wniosku, że porównanie wypada na jego niekorzyść. W nieskończoność obmyślał warianty monologów, by jej przekazać,

jak źle ocenia Jeffa, i że naprawdę nie czuje się urażony, wiedząc, że przygotowuje kolejny film. Naprawdę, ani trochę.

Teraz, w Monoprix, z chęcią chodziłby po sklepie z bazooką. Gruba blondyna w szortach, z obrzydliwymi udami, która wystroiła się jak lolita, a jest zwykłą krową: kula w łeb. Para w ciuchach od The Kooples, już na pierwszy rzut oka ultraprawicowi katole, ona w okularach retro, z włosami ściągniętymi do tyłu, on z buźką lalusia i słuchawką w uchu, dzwoni, chodząc między regałami, i wybierają wyłącznie megadrogie produkty, oboje w beżowych prochowcach, by wszyscy od razu widzieli, że popierają prawicę: kula w usta. Otyły buc, który zerka na tyłki dziewczyn, wybierając koszerne mięso: kula w skroń. Żydówka w peruce, z ohydnyymi cycami, które urosły jej prawie do pępka, a on nie cierpi bab z balonami na brzuchu: kula w kolano. Strzelać w tłum, patrzeć, jak uciekają i kryją się jak szczury między stoiskami, cała ta kurewska hołota, która tutaj przyszła, żeby się obżerać, podkradać, oszukiwać, kłamać w żywe oczy, wcinać się, paradować. Rozwalić to wszystko. Ale jest tatą, jest żonatym mężczyzną, jest dorosłym człowiekiem, więc trzyma gębę na kłódkę, napełnia wózek i pieni się z wściekłości a gdy wróci będzie jeszcze musiał to poukładać bo Marie-Ange strzeli focha i przez kolejny dzień niczego nie napisze. Boli go szczęka od zaciskania zębów.

Przy kasach są kolejki, bo w Monoprix nie dość, że zarabiają na swoich klientach, to muszą jeszcze oszczędzać na personelu. Wybiera Hinduskę, ponieważ ją zna: jest szybka. Przynajmniej raz ktoś dobrze wykonuje swą pracę... Nie traci czasu na uśmiechy, jakby była tu po to, by wszystkim robić laskę, i nie zwalnia, nie musi przez pięć minut przeprowadzać oględzin, gdy ma po prostu przesunąć produkt przed skanerem. Zasuwa. Z chęcią przyłożyłby w mordę małemu dupkowi z kosią bródką, w sraczkowatej kamizelce, który stoi przed nim, ma brudne włosy i pyszczek jak kuna, nie cierpi młodych z brodami. To ci sami, którzy parę lat temu nosili peruwiańskie czapki i dredy. Uważają się za ekstraklasę i myślą, że mogą patrzeć na wszystkich z góry. Rzadka bródka białasa, to pewne, że gdyby się zbliżyć to tej kupki gówna, zaczęłoby śmierdzieć, widać, że to brudas. Długie

wstrętne włoski, oczywiście, że cuchną pełno w nich resztek żarcia od samego patrzenia robi się niedobrze, kula w potylicę głupku to cię nauczy golić się rano i wyglądać jak człowiek. Xavier pali paczkę dziennie, kiedy ostatnio próbował rzucić, myślał, że zwariuje, na nowo odkrywając zapachy ludzi. Gdy tylko podniosą ramię, od razu czuć, że śmierdzą, nawet bez odwracania głowy czuć, że się zbliżają. Musiał powrócić do nałogu.

Xavier wyciąga telefon i zagląda na Facebooka. Chciałby, żeby Elsa zostawiła mu wiadomość, a równocześnie woli, by tego nie robiła – co miałyby jej powiedzieć? Że miło ją było widzieć? Właśnie takie wiadomości wysyłają do siebie. Nie ma w nich nic szczególnego, a jednak są pełne palących niedomówień. Nie zostawiła żadnej wiadomości, lecz sprawia mu przyjemność, że Vernon wysłał mu parę słów. To porządny gość. Jacy byli młodzi... Vernon pojechał za jakąś dziunią do Kanady i wraca do Paryża, poszukuje miejsca, gdzie mógłby się przespać. Xavier od razu odpowiada nie mogłeś lepiej trafić stary draniu, mamy rozkładaną kanapę która kosztowała nas krocie i do niczego nie służy właśnie szukaliśmy kogoś od pojutra, żeby się zajął suką. Nie masz uczulenia na sierść?

Czuje się trochę nieswojo, że się angażuje, nie konsultując tego z Marie-Ange. Nie lubi, gdy ktoś u nich mieszka, kiedy wyjeżdżają. Ale Vernon to przecież stary kumpel, to coś zupełnie innego. Prawie jak rodzina. A poza tym ktoś musi zostać z suką. Inaczej będą musieli zrezygnować z weekendu w Rzymie i Marie-Ange znowu strzeli focha, że nigdy nie robią razem niczego fajnego. Wysła jej entuzjastycznego esemesa, że znalazł rozwiązanie, pytając, co o tym myśli. Nie odpowiada i Xavier się rozluźnia – powie jej, że musiał działać szybko i dlatego zdecydował, nie czekając na jej reakcję.

Cieszy się na myśl o spotkaniu z Vernonem. Vernon szaleje za muzyką. Tacy goście jak Xavier wiele mu zawdzięczają, pokazał im tyle rzeczy. I jest jedną z tych nielicznych osób, z którymi rozstajemy się w lepszym nastroju niż w chwili spotkania. Mają szereg cudownych wspólnych wspomnień, a niedługo już tylko oni będą je przechowywać. Imprezy, koncerty, festiwale, ale też ciężkie chwile. Cała ta epoka, gdy nie trzeba było się niczym aż tak bardzo przejmować: wszystkie

problemy załatwiało się pięścią. Vernon jest częścią tamtego życia, jest gwarantem, że w młodości Xavier nie był facetem skomplikowanym: pierwszy, który spojrzał na niego bokiem, tracił dwa zęby. Potem wystarczyło piwo przy barze, by wyzerować liczniki, i wszyscy byli zadowoleni. To były inne czasy, inne środowisko. Wszystko to ma już za sobą.

Xavier męskim, ostentacyjnym gestem przyciska Vernona do serca. Potem, klepiąc się po brzuchu, usuwa się na bok, by mógł wejść do środka.

– Widziałeś, jak przytyłem?

– Dobrze jest, wyglądasz jak kawał chłopca.

W salonie dziewczynka z kucykami jeździ jak opętana dookoła stołu na trójkołowym rowerku. Wykrzywia buzię, ale wygląda zabawnie. Trudno sobie wyobrazić, że kiedyś będzie miała nos ojca. Vernon uśmiecha się i puszcza do niej oczko. Dzieci innych go nie obchodzą, ale wie, że trzeba dawać do zrozumienia, że nas interesują. Potem pochyla się, by pozwolić obwąchać dłoń suce, która go wita. Psy innych też go nie interesują, ale to dzięki niej zostanie tu przez weekend. A w tym salonie wszystko tchnie przepychem, rozkoszą i spokojem. Dobrze trafił, bez dwóch zdań.

– Tato, czy mogę pograć na konsoli?

Xavier przykuca, by jej pokazać, w którym miejscu będzie duża wskazówka, gdy ma wyłączyć urządzenie i przyszykować się do kąpieli. Przytakuje z powagą, skupiona na tej historii z zegarem, potem biegnie do swojego pokoju, by nie uронić ani jednej sekundy gry.

– Gra już w gry wideo?

– Tak. Wiesz, chińczyk wyszedł z mody. Ale nie pozwalamy jej samej wchodzić do internetu...

– Ze względu na porno?

– Nie. Z powodu gier. Nawet sobie nie wyobrażasz, co tam oferują dziewczynkom, to naprawdę chore. Boję się nawet wysłać córkę do szkoły, bo nie wiem, co jej tam nawkładają do głowy. Ale internet dla rodzica to jest coś takiego, jakby ci ukradziono dziecko, zanim nauczy się czytać. Ty nie masz dzieci?

– Jeszcze nie. Mam czas...

- To najpiękniejsza rzecz, jaki mi się zdarzyła.
- Nie spotkałem odpowiedniej laski.

Ludzie mający dzieci zawsze wkurzają tych, którzy ich nie mają. Ale nie znoszą, gdy ktoś im mówi prawdę – gdy patrzę na twoje życie, to wolę wszystko, byle nie to. To nie dzieci wadzą Vernonowi. Lecz wszystko, co się z tym wiąże, przyprawia go o mdłości. Prezenty pod choinkę, przedszkole, oglądanie po dziesięć razy tego samego filmu na DVD, zabawki, podwieczorki, przechodzenie odry, gotowane warzywa, rodzinne wakacje... oraz bycie rodzicem. Ludzie z jego otoczenia zaprzęgli się do kieratu z pewnym entuzjazmem. Vernon już nie liczy kumpli, których widział na ulicy z przewieszoną przez ramię torbą w kwiaty, w której nieśli pieluchy, z butelką ze smoczką w zębach i wózkami za tysiąc euro, kumpli, którzy zmieniają się z dnia na dzień i próbują ci wytłumaczyć, że nawet twardziele jeżdżą na kucykach. Ależ skąd. Facet z niemowlęciem to facet skończony. Gdyby choć można było wychowywać je bez matek, może dałoby się znaleźć jakąś sensowną drogę, żeby zachować męskość, gdy się zostaje ojcem. Dzieciaki mogłyby wzrastać w szałasie, w leśnym mateczniku, można by je nauczyć, jak rozniecać ogień i obserwować migrujące ptaki. Można by je wrzucać do lodowatych strumieni i kazać im chwytac ryby gołymi rękami. Nigdy by się ich nie przytulało. Tylko spojrzenie, które znaczy „następnym razem będziesz uważał, mój synu”.

Ale w obecnym stanie rzeczy jedyną rozsądną strategią jest ucieczka. Albo byłeś w błędzie, słuchając Slayera w wieku dwudziestu lat. Albo popełniasz życiowy błąd dzisiaj. I niech nikt mu nie wciska kitu w rodzaju „wszyscy jesteśmy pełni sprzeczności”. Trzeba też umieć dokonać wyboru. Choć z drugiej strony teraz dzieciak bardzo by mu się przydał. Zwłaszcza już dorosły, który miałby mieszkanie, pracę i nazywałby go swoim ukochanym tatkiem, uprzątając dla niego gościnny pokój.

Wychodzą na balkon na papierosa – ta bestia z asfaltowej dżungli nie pali w mieszkaniu i Vernon mógłby się założyć, że kiedy nie ma gości, chodzi po domu w kapciach, żeby nie niszczyć parkietu.

Trzaskają drzwi wejściowe i Marie-Ange rzuca torbę na kanapę w salonie, głaszcze psa, który szaleje na jej widok, szybkim ruchem głowy wita się z Vernonem, z daleka, na tyle chłodno, by poczuł się nieswojo, potem znika w pokoju córki. Nie jest ładna. Jest chuda, ma nieprzyjemny wyraz twarzy, zbyt wąskie wargi. Źle się ubiera. Wygląda jak zdesperowana laska, która znalazła w pojemniku na śmieci trzy wytarte swetry jakiejś starszej pani i włożyła je do spodni z kantem, za krótkich, ukazujących kostkę. Vernon wie, że jest to look dzianej laski. Miał kiedyś taką kumpelkę, filigranową, ale pociągającą. Nosiła sukienki khaki, które wyglądały jak wykrojone szewskim nożem z worka, lub długie kamizelki z wielkimi dziurkami na guziki. Ponieważ często widział ją nago, wiedział, że jest całkiem do rzeczy. Ale gdy była ubrana, nikt by się tego nie domyślił. Panienska z dobrego domu, była tancerką klasyczną, nerwowa i muskularna, z okropnie zniekształconymi stopami.

Kiedyś podczas rozmowy Vernon uświadomił sobie, że wydawała fortunę na ciuchy. Wcale nie miała depresji – jak sobie wyobrażał – i nie przeżyła silnej traumy na tle seksualnym, po której postanowiła ukrywać ciało, nie wycinała sobie ciuchów z zasłon, żeby wyglądać jak najbardziej szkaradnie. Przeciwnie, to były drogie łąszki, wybierała je bardzo starannie i była z nich dumna, uważając, że broni prawdziwej sztuki życia. To rzeczywisty problem, gdy dziewczyny toczą intymny dialog z innymi dziewczynami, po czym dochodzą do wniosków, które wymykają się wszelkim regułom zdrowego rozsądku, i niech nikt nie twierdzi, że nie ma w tym w gruncie rzeczy głębokiej niechęci do męskiego libido.

Xavier włącza telewizor i zwraca się do Elizabeth Lévy ze stacji informacyjnej, jakby była wśród nich, nie słuchając nawet słowa z tego, co opowiada. Rzuca:

– No, skoro nie lubisz Francji, pakuj walizki i wracaj do siebie, zdziro. Mam potąd syjonistów, wszędzie ich pełno. Żyjemy w chrześcijańskim kraju, nie? Nigdy nie byłem antysemitą, ale gdyby ktoś mnie zapytał o zdanie, potraktowałbym napalmem cały ten ich grajdoł, Palestynę Liban Izrael Iran Irak. Wszystko jak leci: napalm. I byłyby tam tylko pola golfowe i tory Formuły 1. Szybko załatwiłbym im

ten problem... Bo na razie mamy wieczny ból dupy, słuchając, jak ta pół-Żydówka i pół-muslimka opowiada o Francji, jakby była u siebie.

Xavier zawsze był prawicowym dupkiem. To nie on się zmienił, to świat dostosował się do jego obsesji. Vernon woli nie rozwijać tematu. Jeśli o niego chodzi, ceni Elizabeth Lévy. Od razu widać, że kobieta lubi seks. I kokę – co niczemu nie przeszkadza. Woli pomówić o czymś innym:

– Słyszałeś o Alexie? Co za głupota, przecież był jeszcze młody...

– Taa... Ale on zawsze był głupi, przynajmniej nie będziemy już musieli oglądać tej gęby idola małolatów... nie? Widywałeś się z nim?

– Czasami.

– Mnie nie będzie go brakowało... Jedno trzeba mu przyznać, na szczęście nie grał hip-hopu.

Marie-Ange znów się pojawia, z drinkiem w dłoni, bardziej rozluźniona. Xavier zaczął mówić o rapie, tej antymuzyce, którą manipuluje żydowskie lobby, żeby odmóżyć ludy pochodzące z Afryki. Marie-Ange słucha go z uśmiechem, który znaczy lubię gdy gadasz głupstwa to mnie bawi, a Vernon wyczuwa, co może być w niej ekscytującego. Jej oczy trudnej do określenia szmaragdowej barwy nadają twarzy wyraz spokojnej siły, która jest przywilejem bogaczy. Elegancja widoczna w każdym ruchu nadgarstka, uniesiona głowa, siła, która z łatwością przeradza się w agresję. Tacy faceci jak oni nie mogą się powstrzymać, by nie posuwać takich lasek jak ona.

Uprzejmie zagaduje Vernona: „Więc to pan jest tym Rewolwerem?”, jakby do czterdziestki bawił się elektryczną kolejką. Potem nalewa sobie drugą whisky i pokazuje im na swoim perłowym telefonie zdjęcie, które zrobiła jakimś bezdomnemu z jego małym psiakiem. Przejmuje się losem szczeniąt, zastanawia się, co z nimi robią, kiedy już dorosną? Czy je zjadają? „Oni” oznacza Romów, których jadłospis jest dość tajemniczy. Na zdjęciu widać mężczyznę w dzielnicy Le Marais, siedzi przed fasadą sklepu z ciuchami, wsparty plecami o ogromny afisz

z wyretuszowaną twarzą kobiety, efektownej brunetki, bardzo pięknej. Ktoś nakleił jej na oku fioletową gwiazdę Dawida. Nie tak łatwo było to zrobić na trzech metrach wysokości. Albo facet chodził z drabiną, albo kumpel podstawił dłonie pod jego stopę, by mógł zrobić ten głupi dowcip.

Nie sposób określić wieku człowieka siedzącego na chodniku, który wydaje się spać w przenikliwym chłodzie. Może mieć od trzydziestu do siedemdziesięciu lat. Marie-Ange nie interesuje mężczyzna, skupia się na szczeniaku, którego powiększa na ekranie. Przypomina małego liska, z długimi uszami, to prawda, że jest rozkoszny. Vernon zastanawia się, co takiego mógłby powiedzieć, by wyrazić swoje współczucie dla pieska, który tak ją rozczulił.

Marie-Ange spogląda na zegarek i oznajmia, że czas na kąpiel Clary, kończy rozmowę, kładąc dłoń na ramieniu Xaviera: „Może macie ochotę pójść na szklaneczkę do baru? Położę Clarę spać, potem mam na Skypie rozmowę z Los Angeles, nie będę mogła długo wam towarzyszyć... Może wolicie pogadać w męskim gronie?”.

Xavier nie traci ani sekundy, jest jak dzieciak, któremu dano wolne, szuka kluczy i karty kredytowej. W windzie, zapinając stylową kanadyjkę, nie przestaje mówić:

– Gdyśmy się tu wprowadzili, bar naprzeciwko to była stara zatęchła spelunka, pełna stałych bywalców, ale tam było wesoło. Marie-Ange schodziła, żeby mnie tam szukać, gdy miała już dość czekania. Codziennie tam siedziałem. Teraz prowadzi go para pedałów, to lokal dla dzieciarni, ale trzeba się przystosować, nie?

– Miło na was popatrzeć, na ciebie i Marie-Ange, wygląda na to, że dobrze wam ze sobą.

– Życie razem na dłuższą metę to niełatwa sprawa. Żeby to działało, trzeba się ciągle starać. Chcę, żeby to działało. Marie-Ange tak samo. Nie po to zrobiliśmy sobie córkę, żeby się rozstawać. Dziecko to odpowiedzialność. Ale trzeba się dostosować, na przykład gdy twoja niunia zostanie już matką, od razu się zmienia. Kiedy już przejdzie hormonalna burza z czasów ciąży, widzisz przed sobą nieznaną

ci kobietę. Zrozumiałem, dlaczego tylu facetów poszło w odstawkę, kiedy na horyzoncie pojawił się pierwszy dzieciak: laski nie mają litości, dotąd myślały tylko o tym, żeby ci się podobać, ale gdy już mają bachora, nie jesteś im do niczego potrzebny. Sprowadzają cię do roli statysty. Ty się na niczym nie znasz, to nie twoje zabawki, spadaj. Tak czy owak, jeśli chodzi o szmal, mają cię w garści i możesz być pewien, że są tego świadome. Wiesz, mogą nam wciskać tę swoją feministyczną gadkę, ale kiedy już mają bobasa w kołysce, wiedzą, że dostaną i prawo do opieki, i alimenty. I to ty będziesz je płacił, draniu. Kiedy Marie-Ange zaczęła oznaczać terytorium i ograniczać mi dostęp do pokoju małej, nie pozwoliłem na to. W porządku, zrozumiałem, jak się zmienia pieluchę i jaką temperaturę ma mieć mleko w butelce. Właśnie na tym polu toczy się wojna płci i jeśli nie będziesz czujny, wylądujesz na linach. Dzieci: to jest to terytorium. Gdy Clara się urodziła, od pierwszej sekundy wiedziałem, że będę dobrym ojcem. Bierzesz toto na ręce, ta słabość kompletnie cię rozbraja, stajesz się innym człowiekiem. Nie pozwoliłem usunąć się w cień. Codziennie stoję przed ogrodzeniem przedszkola i to się nie zmienia, gdy będzie zdawała maturę. Marie-Ange pragnie drugiego dziecka. Chciałaby chłopca. Ale nigdzie nam się nie spieszy. Jestem istotą ludzką, do cholery, a nie pojemnikiem na spermę. Na początku seks między nami... nie będę wchodził w szczegóły, ale to było... naprawdę coś. A ja zachowywałem się jak ostatni palant: doprowadzałem ją do orgazmu, więc byłem pewien, że trzymam ją w garści. Wyobraź sobie, laska, w której żyłach płynie błękitna krew, ssie mi kutasa, byłem w siódmym niebie. Zobaczyłbyś jej rodzinę, facet, nikt mnie tam nie lubi, włącznie z najmłodszą siostrą, ale teraz, gdy widzą, że oprócz nas wszyscy się rozwodzą, odzyskałem odrobinę należnego szacunku. Załatwiłem ich wytrwałością. Jej starzy nigdy nie zhańbili się żadną pracą. Dasz wiarę? Arystokracja, to nadal istnieje. Żadnej roboty. Tata pomnażał rodzinny majątek, a mama mu pomagała. Bogacze to straszne kutwy, każdy grosz się liczy. A posłuchałbyś, co mówią o ludziach tyrających za najniższą stawkę... Sam jestem liberałem i pragmatykiem, znasz mnie, nigdy nie przemawiały do mnie bolszewickie fantazje. Ale trzeba by ich posłuchać, żeby w to

uwierzyć. Jakie to szczęście mieć etat! Przede wszystkim na tych ludziach nie ciąży żadna odpowiedzialność. Mój teść sam nigdy w życiu nie pracował, ale bezrobotni to dla niego lenie, którym się nie chce ubrudzić rączek. Mówi to szczerze. Są przekonani, że każdy dostaje to, na co zasłużył. W ich logice ci, którzy mają mniej, po prostu się nie starali. Sądzą, że gdyby jutro znaleźli się na lodzie, dzięki zadbanym fryzuirom i ich dobrej woli od razu znaleźliby pracę, a ponieważ dokładaliby starań i nie szczydzili wysiłków, pieliby się w górę. Zasługi, bogacze ciągle jeszcze żyją w tym świecie. To niesamowite. Tak między nami, nie ukrywam, że atmosfera jest czasami napięta, jako scenarzysta nie zarabiam tak dużo, jak mogłem się spodziewać... sumując wszystko, w ciągu roku z trudem wyciągam najniższą krajową. To dlatego dostaliśmy najgorsze mieszkanie z zasobów jej zgredów: uważają, że Marie-Ange mogła się lepiej wydać. Jej stary często powtarza: „Nie ma nic gorszego dla kobiety, niż pójść do łóżka z kimś o klasę niżej”, i jest zdziwiony, że denerwuję się, kiedy to słyszę. Wiesz, scenarzysta to nie takie proste. Z początku miałem szczęście, a że to był początek, myślałem, że zawsze będzie tak samo. Nie wiedziałem, że moja godzina chwały skończy się w wieku dwudziestu pięciu lat... Ale córka daje mi siły, walczę, nie odpuszczam.

Xavier popycha drzwi baru i siada przy kontuarze. Z nikim się nie wita i nie przestaje mówić. Vernon widział dziesiątki klientów cierpiących na słowotok, ludzi, którzy muszą podtrzymywać rozmowę, nie przerywając jej ani na chwilę, żeby odsunąć od siebie myśli tak zatrwajające, że mogłyby ich unicestwić, doszczętnie. Niegdysiejszy apasz, który stał się gadułą, przypomina dziecko wymachujące szabelką w nadziei, że w ten sposób oddali od siebie niepokojące myśli. Czuje ciężar na sercu i mówi, jakby gdzieś pędził. Vernon nie widzi żadnych przeszkód, by być biernym słuchaczem.

Od miesięcy nie spędził wieczoru w barze. Zapomniał, jak przyjemnie jest popijać przy kontuarze. Kiedy chlejesz samemu w domu, trudno powiedzieć, żebyś się dobrze bawił, że prowadzisz hulaszczy tryb życia, zawsze dopada cię trochę

ponury aspekt tego, czego szukasz w alkoholu. Piją szklanka za szklanką i Vernon jest w swoim żywiole. Lubi gwar, widok ludzi przechodzących od stołu do stołu, wybuchy śmiechu, muzykę flamenco, której nigdy nie słuchałby u siebie w domu, zapachy alkoholi perfum i płynu do mycia naczyń, w głębi sali siedzi niezła brunetka, która na niego patrzy, z daleka, to trochę jak taniec – podryw końcami rzęs, gdy robi coś innego, zaciekawienie mgliste, a jednak uporczywe. Ma ładne jasne oczy, wysokie kości policzkowe i białą cerę. Tatuaż w postaci ukwieconej gałązki rysuje się na szyi, podkreślając jej delikatność. Zerka na tę małą z nadzieją, że wstanie i wyjdzie na papierosa... Xavier, w dźwiękowym tle, milknie tylko po to, żeby opróżnić szklankę.

– Wiesz co, pedałów mam naprawdę gdzieś. Widzisz tych dwóch za barem? Zniewieściały czarnuch i jego arabski kochaś. Chodzić tak po Belleville: szacun. Trzeba mieć odwagę. Rączka w rączkę, zawsze kiedy wychodzą. Tak jak ta ruska z Femenu, zawsze na golasa. Swoją drogą, Rosjanki to albo kurwy, albo aktorki porno, ale jeśli tylko pokazują cycki, nie mam nic przeciwko. Na samym środku ulicy de la Goutte d'Or nawoływać Arabki w burkach, żeby się obnażyły. OK, laska, masz jaja. Respekt. Nie, ja najchętniej rozpierdoliłbym tych gości, którzy udają facetów, a są zwykłymi ciotami, tych, co grają twardzieli w Canal Plus czy w Cannes. Bad boys na salonach. Dajesz dupy producentowi, nie pal głupa. Gdybyś ty wiedział, jak jest mi ciężko, bo nie chcę być fagasem... We Francji bycie scenarzystą to pomyłka. Każdy reżyser ma nadzieję, że jego gniota puszcza w telewizji, i nie ma najmniejszej chęci dzielić się prawami... kino autorskie, gadanie, raczej kino pijawek. Nie potrafią napisać ani jednej linijki, od czasów matury nie zajrzeli do książki, ale pieniądze za scenariusz to też niezła gratka. Biorą sto tysięcy na łapę i szukają murzyna, możesz też być pewien, że kiedy znowu zgarną sto tysięcy, bo ich chłam puszcza w telewizji, nie odezwą się do nikogo, żeby się podzielić. Ale, rzecz jasna, wszyscy są z lewicy... tyle że to im przejdzie. Każdy chce być jak najbliżej żłobu, to proste. Teraz, gdy rozumieją, że wkrótce dotacje będzie przyznawała skrajna prawica, mogę się z tobą założyć

o wszystko, że zmienia ton – cała ta klika zmienia front ot tak... daj im cztery albo pięć lat, a ci sami, którzy pitołą o biednych imigrantach, wysmażą ci arcydzieła o żydowskich bankierach, romskich złodziejach i zachłannej Rosji... Poradzą sobie, nie mam żadnych wątpliwości... Marie-Ange nie cierpi, kiedy wracam zalany. Trzeba przyznać, że kiedy się narąbię, staje się nieznośny, mnie samego to męczy. W pewnym wieku lepiej sobie odpuścić bijatyki w barze... Nigdy nie zdradziłem Marie-Ange. Nigdy. Każda rzecz ma taką wartość, jaką jej przyznajemy, nie zdradzam matki mojej córki ani ślubnej żony. Jest dobrą matką. Jest uczciwa, stała, odpowiedzialna. Nawet gdybym jutro miał kopnąć w kalendarz, mała zostanie w dobrych rękach. Zapamiętaj me słowa: matka jest najważniejsza. Nie wolno robić dzieci z byle lafiryndą, tylko dlatego że staje ci na jej widok. To, że matka twojego dziecka ma ładne cycki, niewiele ci pomoże. A co z twoją Kanadyjką? Chce mieć dzieci? Jeśli to porządna laska, wal śmiało. Nigdy nie doświadczyłem czegoś tak wspaniałego, jak to uczucie, gdy moja mała zasypia z główką na mojej piersi. Nie mamy już po dwadzieścia lat, musimy budować. Dziś, jak powiedziałby Tai-Luc, moja przyszłość jest za mną. A skoro mowa o Souris*, mówisz, że widywałeś się z Alexem? Ten gość był żalorny aż do swojej śmierci.

– Dla mnie to był wstrząs. Tak, widywałem się z nim.

– W Quebecu?

– Wiele razy przyjeżdżał na koncerty. W Kanadzie jest bardzo popularny.

– Z całym szacunkiem, Kanadyjczycy mają gówniany gust... Powiedzmy sobie szczerze, to dziwne, że z naszej bandy właśnie Alexa ogłoszono „artystą”... Był najmniej zdolny, najmniej autentyczny...

– Za to był przystojniakiem.

– Był cholernym czarnuchem, tak. Niech sobie mówią, co chcą, każda biała samica marzy, żeby ją przeleciało stado nieposkromionych lwów z Kamerunu.

– Alex nie był chyba Kameruńczykiem?

– Był czarny. To był dupek. Zwyczajny dupek...

– Właśnie się zastanawiałem, czy któryś z twoich kumpli reżyserów nie zechciałby nakręcić dokumentu na jego temat... Mam na taśmie cztery godziny wywiadu, który przeprowadził sam z sobą. Zostawił to u mnie w domu i nie wiem, co z tym zrobić. Myślę, że może dałoby się to sprzedać...

– Dokument o tym stukniętym idolu nastolatków... Nie sądzę, bym miał w notesie kogoś, kto by się tego podjął... Chciałbyś to sprzedać?

– Jeśli znalazłby się nabywca...

– Niech głupek zdycha w piekle.

Po tych słowach Xavier – bardziej pijany, niż można by sądzić na podstawie jego wywodów – nagle wgryza się w szklankę. Wypluwa białe okruchy razem ze strużką krwi i groźnie patrzy w pustkę, jego oczy nie są w stanie skupić się na żadnym konkretnym przedmiocie. I zaczyna się cyrk, trzeba mu pomóc poszukać karty kredytowej, dwaj barmani mają zblazowane miny, chyba widzieli go już w akcji i wiedzą, że dalej się nie posunie. Vernon jest zawiedziony, z chęcią zostałyby znacznie dłużej, porozmawiał z małą, która wciąż mu się przygląda, chciałby podyskutować z facetem, który siedzi na drugim końcu baru w pomarańczowej odbłaskowej czapeczce na głowie, chętnie kontynuowałyby wieczór. Ale Xavier stale go zanudzał, nie zwracając uwagi na ludzi, którzy ich otaczali. Trzeba go podtrzymywać, kiedy przechodzą na drugą stronę ulicy. Zawszy był taki sam. Wrażliwy i delikatny kolos. Gdy zaczyna się uzewnętrzniać, traci nad sobą kontrolę. Ten dupek waży co najmniej sto kilo. Vernona bołą plecy, kiedy się na nim uwiesza, nim nie wejdą do windy.

Rodzina wyjeżdża o świcie, ich samolot startuje wczesnym rankiem. Vernon musi wstać i nadrabiać miną, w bokserkach i wysłużonym T-shircie – jakby w jego głowie nie były wszystkie dzwony apokalipsy – podczas gdy Marie-Ange spisuje starannym drobnym pismem, linijka po linijce, niekończącą się listę rzeczy, które należy robić, opiekując się suką. To znacznie bardziej skomplikowane, niż mogłoby się wydawać: zwierzę je o ustalonych porach starannie przemyślaną mieszankę świeżych warzyw, drobiowych krokietów i pasztetu bio, trzeba je

wyprowadzać cztery razy dziennie zgodnie ze ściśle określonym protokołem, gdyż wieczorny spacer należy odbyć inną trasą niż poranny itd. Suka nazywa się Colette. Vernon omal nie parsknął śmiechem, kiedy się o tym dowiedział. Siedząc obok walizek, spogląda smętnym okiem na przygotowania do podróży. Xavier przytula do piersi zaspaną córeczkę, w milczeniu i heroicznie walczy ze skutkami kaca. Potem drzwi się zatrząskują i Vernon czeka kilka minut, by się upewnić, że niczego nie zapomnieli, a następnie pędzi do kuchni. Jest wygłodniały. Ulega pokusie i pije zimny sok pomarańczowy, by od razu tego pożałować – to był nierozważny wybór, co potwierdza reakcja żołądka. Musi się zadowolić serem, ucina sobie duży kawałek comté i pożera go na stojąco, przepatrując lodówkę. Kurczak z wolnego chowu, karmiony dobrym ziarnem, przed wyjściem Marie-Ange uprzedziła, że kończy się termin ważności, poradziła, by go szybko przyrządzić, ale w żadnym wypadku nie dawać Colette kości, tylko mięso i skórę, uwielbia je. Oczywiście, że da suce tego kurczaka za dziewiętnaście euro. Na opakowaniu jest cena. Dziewiętnaście euro. Sukinsyny. I czekoladowe jogurty Sveltesse, od których nie przybędziesz nawet grama na wadze. I serki Kiri – tylko najlepsze marki – i miód kasztanowy, i widzi cenę na szklanej butelce soku Canberry – 12,80 euro. Vernon dokańcza comté.

Suka siedzi u jego stóp, cierpliwa i uważna. „Przylepa z ciebie”. Przechyliła głowę, słuchając go. W końcu dociera do niego, że czeka na ser. Daje jej całą skórę z nadzieją, że jej nie zaszkodzi. Zadowolony, że odgadł, czego od niego chciała, po raz pierwszy ją głaszcze. Potem wraca do pokoju, żeby się położyć, suka wskakuje na sofę i po dwóch sekundach zasypia i chrapie.

Vernon ma zwyczaj trzymać myśli w ryzach. Dusza to wielki okręt, którym trzeba ostrożnie sterować. Dość dobrze mu to idzie, nie jest facetem, który przez nieuwagę wpada na mieliznę. Lecz teraz czuje się słaby, to cisza, a może komfort. Musi dokonać wysiłku, by nie ulec masochistycznej skłonności do uzalania się nad samym sobą. Powtarza sobie, że szczęście mu sprzyja, pomimo tej katastrofy. Ma wielu przyjaciół. Historia z *dog-sitting* była niespodziewana. Mieszkanie jest duże,

przyjemne, przez cały weekend będzie mógł oglądać filmy, napychając sobie żołądek. Ale czuje wyraźnie, że jakiś ciężar przygniata mu pierś. Gdyby był u siebie, zaczęłyby porządkować rzeczy. Zawsze był królem segregacji. Musi za wszelką cenę unikać myśli, które zaczynają się od „gdybym był u siebie”, ale słowa są szybsze niż jego wola. Grzmot, suchy trzask w klatce piersiowej, rozdarcie, a potem gorzki smak popiołu, który nie ma nic wspólnego z kacem.

Otwiera piwo i zwiedza całe mieszkanie. To apartament rodziców, z całym mnóstwem bezużytecznych rzeczy, których na pewno by nie kupił. Xavier zrozumiał, na czym polega życie: musi sobie znaleźć kobietę, która ma pieniądze. Kiedyś byli młodzi, szukali wojowniczek, demonów seksu, lasek jak marzenie, pragnęli rock'n'rolla i suk myślących tylko o tym, mieli chęć na lolitki, bezwstydne diablice i amazonki, których można dosiąść. Starzejąc się, mamy to wszystko gdzieś. Minęło sporo czasu, nim Xavier uświadomił sobie, że tak naprawdę liczy się dupa z mieszkaniem jak to, długie weekendy w słońcu i pełna lodówka.

Potem Vernon zapada w drzemkę przed telewizorem. *Paryż, Teksas* z dubbingiem, komedia o drużynie piłkarskiej, program na temat zbrodni, jakiś kaszalot na diecie, para prymitywów, obleśny facet i jego masochistyczny lachon. Suka przytula się do jego brzucha i chrapie. Vernon myślał, że będzie musiał zamknąć ją w innym pokoju, by nie zawracała mu głowy, ale ona ciągle śpi. Znowu zaczyna ją głaskać, obiecując sobie, że ją wyprowadzi, ale bez przekonania.

Zastanawiając się, jak podłączyć swojego iPoda do wzmacniacza, niechcący włącza radio. Głos Alexa wypełnia pokój: „...i śpię w twoich ramionach, bo inna mnie nie chciała”. Chętnie śpiewał takie masochistyczne głupoty, robił z siebie Gainsbourga dla dzierlatek. Z kolumn płynie ten basowy dźwięk – miękki, płynny, szarpane nuty, które zamieniają się w dźwiękowe kule, zapożyczone z muzyki funk, lecz przybrudzone przesterowanymi gitarowymi riffami. Na tej pierwszej płycie głos Alexa brzmi wzgardliwie, drwiąco, agresywnie. Seksownie, nawet dla chłopców. Alex jeszcze nie wiedział, że zwraca się do milionów słuchaczy, śpiewał jakby był w kuchni i chciał rozbawić kumpli. Ta pierwsza płyta była naprawdę

genialna. Chrapliwy głos, przy którym dziewczyny się rozplęwały, a chłopcy chcieli go naśladować. Wyobcowany dżentelmen, niesforny i zraniony. Takie lekkie melodie, a tyle w nich zła. To również później utraci, z czasem stanie się prawdziwym twardzielem w życiu i sentymentalnym chłopcem w swoich kompozycjach. Jak można być nieszczęśliwym, gdy jest się uwielbianym, gdy można podróżować, a życie szykuje nam tyle dobrych niespodzianek – dla otoczenia to niezrozumiałe. Ale ostatecznie Alex nie jest pierwszą gwiazdą rocka, która metodycznie niszczy meble swojego pałacu. Pod koniec z facetem było naprawdę źle. Przez ponad dwa lata nie był w stanie napisać ani jednego numeru. Vernon niespecjalnie chciał się wgłębiać w przyczyny tej katastrofy. Czy był dobrym przyjacielem – oczywiście nie. Lecz w jego sytuacji wydawało mu się wręcz niemożliwe, by przyjść z pomocą wokaliście, który prawdopodobnie zarabia miliony. Przypomnił sobie szalone wywody Alexa na temat synchronizacji fal mózgowych. Zrobił mu długi wykład o hercach – gamma alfa beta, wygadywał kosmiczne bzdury na temat słyszenia dwuusznego i neurodynamiki... Nie mogąc wydać kolejnej płyty, Alex wbił sobie do głowy, że zaprogramuje istoty ludzkie. Na początku tej dyskusji Vernon pomyślał, czemu nie miałyby grać hipisowskiej muzyki, przecież jest mu bliska, ale gdy wokalista zaczął opowiadać o piramidach w Egipcie, których kamienne bloki miały być ponoć przemieszczane za pomocą dźwięku... jednak się zaniepokoił. Ale nie zrobił nic, by Alex bardziej się nie pogrążał.

Kolejny zmarły. Vernon sztywnieje, nagle huczy mu w uszach i wpada w panikę. Suka kładzie mu głowę na dłoni w tak delikatny sposób, że na chwilę zamiera, nie ośmielając się ruszyć. Każde wspomnienie jest pułapką. Kołdra, którą pieczołowicie naciągnął na swoje lęki, ześlizguje się – skóra jest obnażona. Jego kula był szczelna, bezpieczna i dobrze wyposażona. Żył w formalinie, w świetle, który się zawalił, przywiązany do ludzi, których już tu nie ma. Mógłby przemierzyć planetę, palić rzadkie rośliny, słuchać szamanów, rozwiązywać zagadki, badać gwiazdy – zmarłych już tu nie ma. Ani niczego z tego, co zniknęło.

Vernon wydaje z siebie jęk. Sam jest nim zdziwiony. Suka staje na tylnych łapach i zaczyna gorączkowo lizać go po oczach. Próbuje ją odepchnąć, ale stawia opór. Jedynym żywym stworzeniem, które przejmuje się jego rozpaczą, jest pies, próbuje pogłębić się jeszcze bardziej tą myślą, ale jej śmieszny łepiek sprawia, że się uśmiecha. Colette zbyt przypomina klauna. Zeskakuje z kanapy i biegnie w stronę drzwi, przebiera łapami przed smyczą, patrząc na niego tak, jakby proponowała mu superrozrywkę, „no, wyprowadź mnie zobaczysz, będzie zabawa”.

Gdy są już na ulicy, ciągnie jak oszalała, Vernon pozwala się prowadzić. Suka zna drogę do parku.

Przy wejściu do Buttes-Chaumont jakiś mężczyzna siedzący na pierwszej ławce je jogurt i mówi sam do siebie. Z czegoś się śmieje, ma podarte buty przywiązane do kostek sznurkiem. Suka obwąchuje tę część alejki, po czym przykuca i sra. Nie ma mowy, by miał cokolwiek zbierać. Rozgląda się wokół z obojętną miną, coś w stylu „tak naprawdę to wcale nie mój pies”. W sumie ma wrażenie, że afiszowanie się z taką małą suczką jak ona zdecydowanie narusza jego męski wizerunek. Chciałby zaznaczyć swoją postawą, że nie jest jej panem, jest wprawdzie sympatyczna, ale trudno się do niej przyznać.

Trzydziestoletni mężczyzna sterczy przy bramie, jest wyraźnie wściekły. Podchodzi do niego kobieta z dwiema dziewczynkami. Starsza ma na nogach buty z kółkami zamontowanymi w podeszwach, młodsza przyciska do brzucha pluszowego Noddy’ego. Idą szybkim krokiem, są spóźnione. Kobieta podaje mężczyźnie zieloną płócienną torbę, bezkształtną, pewnie z ich rzeczami. Mężczyzna bierze dziewczynki za ręce i odchodzi bez słowa. Małe idą za nim, odwracają się i kiwiają głowami na pożegnanie.

Vernon podąża swoją drogą. Kompletnie nie zna się na psach, nie wiedział, że ta rasa tak bardzo podoba się dziewczynom. Czy biegną, czy paplają, czy siedzą na trawie albo palą fajki na ławce – można by dojść do wniosku, że na całej jego trasie równomiernie rozmieszczono kobiety, by wyrażały zachwyt: „jaka milutka”, „ach,

zobacz, to buldog francuski”, „uwielbiam te psy”, „popatrz, jaka ładna”. Vernon uśmiecha się, promienieje, zwalnia kroku, przytakuje głową, idzie naprzód, zadowolony z siebie. Czarne myśli się rozwiewają. Colette jest afrodyzjakiem. Pojmuje, dlaczego Xavier strzeże jej jak źrenicy oka. Vernon nigdy nie był w swoim myśleniu na tyle konsekwentny, by się naprawdę załamać. To zawsze go ratowało. Przestał się już przejmować powagą sytuacji.

Ładne nogi. Rozpoznaje tę brunetkę w szortach. Z warkoczem i tatuażem. To dziewczyna, która na niego patrzyła w barze i do której się nie odezwał, bo Xavier był zbyt nachlany i musieli opuścić lokal. Jest wyższa i dużo młodsza, niż mu się wydawało. Rozmawia przez telefon, napotyka jego spojrzenie, ale nie reaguje, Vernon zwalnia. Suka, dobra kumpelka, wybiera właśnie tę chwilę, żeby wytarzać się w trawie, na grzbiecie, wijąc się na wszystkie strony. Dziewczyna patrzy na nią z uśmiechem. Vernon nachyla się i drapie Colette za uszami, przybierając minę faceta, który cieszy się życiem, nie oczekując na nic szczególnego. Dziewczyna nie odrywa ucha od komórki, trudno ją zagadnąć i nie wyjść na natręta. Trzeba by tutaj tkwić i pożerać ją wzrokiem, czekając, aż zakończy rozmowę, by się potem przekonać, że jakakolwiek próba zbliżenia ją zniechęca. Vernon przechodzi obok, zrezygnowany. Wszystko tak się układa, że to już nie jest przypadek: spojrzenia w barze, nazajutrz spotkanie w parku, głupio byłoby znowu stracić się z oczu. Ale dziewczyna idzie za nim, wciąż z telefonem przy uchu, uśmiecha się do niego i kuca obok Colette. Jej uda się rozchylają, kiedy ugina kolana, ma apetyczną skórę, przywodzi na myśl ciastko. Wciąż słucha kogoś po tamtej stronie, wznosi oczy do nieba, by zaznaczyć, że trwa to długo, ale jeśli może zaczekać dwie minuty, ma mu coś do powiedzenia. Nie musi się spieszyć, nie ma sprawy. Daje jej znak, przytykając dwa palce do ust: czy nie ma papierosa? Rozkłada ręce, jest jej przykro, ale nie pali, a w każdym razie nie ma przy sobie fajek. Vernon patrzy na drzewa w oddali. Długo. Obserwuje drzewa w tak wielkim skupieniu, że pewnie jej się wydaje, że to jego zawód.

W końcu dziewczyna mówi: „Słuchaj, mogę do ciebie oddzwonić? Stoję przed wejściem do metra, teraz muszę zejść – oddzwonię za godzinę, zgoda?”. Sądząc po tonie głosu, to pewne, że rozmawia z chłopakiem i to z chłopakiem, z którym jest blisko. To dobry znak, że już go okłamuje.

– Widzieliśmy się wczoraj, prawda?

– Tak, rozpoznałam pana. Uwielbiam te psy, marzyłam, żeby mieć takiego. To suczka? Ile ma lat?

– Trzy lata. Ale to pies kumpla. Mam ją na kilka dni. Nazywa się Colette. Zналиśmy się już wcześniej, jest pani pewna?

– Tak, prowadził pan sklep z płytami niedaleko placu Republiki...

Entuzjazm nieco opada, lekkie rozczarowanie. Nie wpatrywała się w niego zafascynowana jego charyzmą drapieżnego samca. A jednak nikłe światełko nadziei – pamięta sklep, nie widzi w nim starego losera, lecz gościa opromienionego aureolą rocka. Potem prawie robi z niego wałacha z czarującą prostotą, która z pewnością nie jest całkowicie naiwna:

– Często przychodziłam tam z ojcem. W soboty, kiedy byłam u niego, wszystko było zapisane jak na pięciolinii: szliśmy na pchli targ przy Porte de Clignancourt, żeby oglądać winyle, jedliśmy małże z frytkami i szliśmy do pana. Mój ojciec za panem przepadał. Nie pamięta mnie pan, to normalne, byłam mniej więcej taka.

Wskazuje dłonią talię, by pokazać, ile miała wzrostu. Vernon szczypie podstawę nosa kciukiem i wskazującym palcem – wykonuje ten gest, gdy sytuacja wydaje mu się złożona, ale jeszcze nie beznadziejna. Korzysta z okazji, by przyjrzeć się jej dokładnie, jakby chciał sobie coś przypomnieć. Dziewczyna przechyla głowę, rozbawiona, widząc jego zakłopotanie. Vernon ma wrażenie, że nie przeszkadza jej, że ją podrywa.

– A jak nazywa się pani tata?

– Bartholemy Jagard. Policjant. Fan metalu.

To nic trudnego. Wąsacz, jowialny typ, scjentolog. Kompletnie stuknięty. Zamawiał dla niego winyle z fińską muzyką metalową, był świetnie obeznany

w temacie. Kolejna papla. Po pewnym czasie słuchanie go stawało się uciążliwe, zawsze miał w zanadrzu historie o dewastacji grobów, romantycznej nekrofilii i rytualnych mordach i opowiadał je z szerokim uśmiechem na ustach. Bartho przychodził do jego sklepu trochę jak do sex shopu: wolałby zająć się czymś bardziej konkretnym, wydawać pieniądze na książki o geopolitycznych problemach świata. Ale to mu się nie udawało. Często przychodził z córką, która śpiewała piosenki z *Króla Lwa*, bawiąc się w kucki przy regałach. Jej główka nie sięgała lady, gdy jej ojciec opisywał w szczegółach, jak rozbawieni Wikingowie zarzynają żywe zwierzęta na scenie. Vernon wpatruje się w jej oczy:

– Tak, teraz sobie przypominam. A co u pani ojca? Nadal słucha metalu?

– Nie. Jego nowa laska nie przepada za gitarami. Chce wszystkim wmówić, że lubi teatr i literaturę z czasów średniowiecza, ale ogląda tylko reality show i obżera się chipsami.

Nietrudno się zakochać. Najpierw jej skierowane na niego spojrzenie, wczoraj, jej młodość i lekka nonszalancja, bez śladu wulgarności, na tyle, by pobudzić ciekawość. Potem ta prosta sylwetka, ma ochotę dotknąć jej pleców, dotykać wargami wnętrza ud, i brzmienie jej głosu, nutka rozbawienia, kiedy do niego mówi, trochę zbyt szybko wymawiając słowa – żadnych zgrzytów. I ta swoboda, zupełnie nieświadoma, wynikająca z jej młodego wieku – z całkowitej niewiedzy o ciosach, które zainkasuje. Po czterdziestce wszyscy przypominają zbombardowane miasto. Zakochuje się w niej, kiedy wybuchą śmiechem – cielesne pożądanie jest dopełnione obietnicą szczęścia, utopia spokojnych chwil we dwoje – wystarczy, że odwróci głowę w jego stronę i pozwoli się pocałować, a znajdzie się w innym świecie. Vernon wie, na czym polega różnica: kiedy jest podniecony, czuje pulsowanie w podbrzuszu, kiedy jest zakochany, uginają się pod nim nogi. Część duszy gdzieś uleciała – i ten stan zawieszenia jest błogi, a zarazem niepokojący: jeśli ona nie zechce podtrzymać ciała, które ciąży w jej stronę, upadek będzie tym boleśniejszy, że nie jest już młodzieniaszkiem. Cierpimy coraz bardziej, jakby emocjonalny naskórek stał się cieńszy, wrażliwszy i nie mógł już znieść byle uderzenia.

Ma na imię Céleste. Vernon się miota. Dziewczyna używa słów z młodzieżowego języka, wypowiada je, nie wiedząc jeszcze, że to śmieszne. Mówi „przyznam”, mówi „odlot”, mówi „ale kwas” i Vernon rozpoznaje ten głupkowaty entuzjazm, z jakim umieszczamy w zdaniu zawsze te same wyrażenia. Chce iść do McDonalda, żeby postawił jej deser czekoladowy. Nie jest w stanie rozszyfrować, czy prosi go o to w sposób, w jaki zrobiłaby to mała dziewczynka, która przyszła wraz z ojcem do sklepu z płytami: „Kupisz mi loda?”, czy jako młoda ponętna kobieta, dla której jest czymś naturalnym, że jest rozpieszczana. Vernon odpowiada, że nie ma nawet centa, nie, nawet na loda, a gdyby miał, litości, nie zaprosiłby jej do Maca. Jak to, nie ma nawet na kawę? Czuje, że ją traci. Upiera się: można być splukany i nie stracić klasy; jeśli dobiera znajomych ze względu na ich siłę nabywczą, pomija to, co naprawdę ważne. Dziewczyna wątpi: „Wybacz, lecz w twoim wieku nie mieć nawet na kawę? Rozumiesz, że to mnie dziwi”. Jest wstrętną małą kurwą. Bardzo mu się podoba. W ostentacyjny sposób podkreśla wartość pieniędzy i można by dojść do wniosku, że chce go sprowokować. Ale jej słowa zabarwia ta irytująca niewinność i nie jest wykluczone, że mówi to szczerze. Vernon zatrzymał się w poprzednim stuleciu, gdy ludzie jeszcze się upierali, że lepiej jest być niż mieć. I nie zawsze była to hipokryzja. Spędził całe życie z dziewczynami, dla których jego zablokowane konto nie miało najmniejszego znaczenia. Podczas ich rozmowy jakiś molos, który waży pewnie z osiemdziesiąt kilo, zaczepia Colette i natarczywie obwąchuje jej zadek – Vernon zamiera, już wyobraża sobie, jak ten potwór chędoży biedną suczkę, i nie bardzo wie, jak miałby temu zapobiec. Colette na to przyzwala, przez dziesięć sekund, w bezruchu, potem odsłania zęby, a rottweiler cofa się o trzy metry, szczekając jak pudelek. Potężny pies zachowuje pełen respektu dystans, potem z entuzjazmem przypuszcza kolejny atak. Colette szczyrzy zęby i doprowadza go do porządku. Céleste z rękami w kieszeniach triumfuje, chwali sukę, „ale dominująca”. Vernon przybiera minę luzaka, którego to bawi. Nie bardzo wie, jak zwierzę podobne do pluszaka mogłoby nad czymkolwiek dominować, ale wygląda na to, że także u psów to przede wszystkim kwestia mentalności.

Céleste mówi, że ma coś do zrobienia, że musi iść. Pyta go o numer telefonu i Vernon się domyśla, że robi to raczej po to, żeby się go pozbyć, nie po to, by mu wysyłać namiętne wiadomości. „Nie mam francuskiej komórki, jestem tu przejazdem. Ale dołącz mnie do znajomych na fejsie, będziemy w kontakcie”. „Nie bardzo lubię Facebooka”. „Ale masz konto? Nazywam się Vernon Subutex”. „A cóż to za dziwny pseudonim? To z *Harry’ego Pottera*?” „Nic nie wiesz, naprawdę, nie masz pojęcia o niczym. A ty jak się nazywasz?”. „Céleste. Wyślę ci zaproszenie, będziesz pamiętał, że to ja?”

Puszcza oko i odwraca się do niej plecami, zadając sobie pytanie, czy sprawia wrażenie męskiego i zdecydowanego faceta, czy też wygląda na ofiarę losu.

Wychodzi z parku z głową pełną wyraźnych, brutalnych obrazów, jak kładzie ją na stole w salonie Xaviera, jak wprawnym gestem opuszcza jej majtki, żeby bez ceregieli wdrzeć się w nią od tyłu, i jak podnosi jej sweter, żeby ujrzyć dziewczęce piersi, rozgniecione na blacie, i urocze dźwięki, jakie z siebie wydaje, gdy grozi, że zaraz się wycofa, a ona go błaga, żeby nie przestawał.

* La Souris Déglinguée, LSD (Poroniona Mysz) – francuska grupa grająca alternatywnego rocka, założona w 1976 roku w Paryżu przez wokalistę i gitarzystę Tai-Luca (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Dojmujące, nieprzyjemne i dokładnie umiejscowione uczucie, problem z oddychaniem. Przeciągły świst między gardłem a klatką piersiową. Laurent zostawia płaszcz dziewczynie przy wejściu, prosi o stolik w ustronnym miejscu, z dala od przeciągów, dostrzega swoje odbicie w wielkim lustrze na ścianie sali w głębi. Jest szczupły. W pół roku stracił dziesięć kilo. Dziwi go własny wygląd – jest dumny i czuje satysfakcję, że jego sylwetka wygląda tak dynamicznie. Jeszcze nie do końca się z nią utożsamia, kiedy myśli o sobie, widzi się w ciele z ostatnich dziesięciu lat. Musi popracować nad muskulaturą. Zawsze miał ciało kobiety. Kiedy rośnie mu brzuch, jakby mniej to widać, gdy jest przy tuszy, wygląda groteskowo, ale bardziej męsko. Lecz gdy tylko odzyska linię, ramiona stają się węższe, pośladki wystają, ma zniewieściały wygląd. Myśli o Danielu Craigu, którego widział niedawno w roli Jamesa Bonda. Zaprzedałby duszę diabłu, by tak wyglądać w smokingu.

Szarmanckim gestem wskazuje Audrey kanapę. Mogłaby się wysilić. Nie ma na twarzy śladu makijażu. Luźny sweter wycięty pod szyją, płaskie tenisówki, trzy centymetry od nasady włosów widać ciemniejsze odrosty, od miesiący nie była u fryzjera. I jak trudno jej się uśmiechnąć. Sypia z Bertrandem Durotem i nikt w Paryżu nie chciałby się narazić temu bonzie z France Télévisions. Laurent tak naprawdę nie mógł odmówić jej tego spotkania. Nie wyprodukuje jej filmu. Na horyzoncie już teraz widzi same problemy. Po co miałyby się w to pakować? Nie obejrzy tego nawet trzydziestu widzów. To jakaś nowa mania reżyserek: historie kobiet po menopauzie, które palą fajki, dyskutując z różnymi nieudacznikami. Chciałby być z nią szczery, powiedzieć jej: wiesz nie po to wykonuję ten zawód żeby na planie filmowym osaczały mnie zgryźliwe histeryczki, na których widok w ogóle mi nie staje. I na razie publiczność podziela jego zdanie, wszyscy chcą marzyć.

Audrey właśnie zahacza o temat reżyserek filmowych, które są notorycznie dyskryminowane we Francji. A tym bardziej za granicą. Szczyt wszystkiego. Bo gdy na drodze kariery korzysta z niezliczonych przewag kobiecości, to już jej nie oburza. Nie otworzyła karty, Laurent chciałby szybko złożyć zamówienie, skończyć z tym jak najszybciej. Mógłby zamówić za nią, pewnie wybierze najdroższe dania z karty.

Jednak to nie obecność reżyserki sprawia, że czuje się źle. Musi sobie przypomnieć wszystkie dzisiejsze zdarzenia, a potem to, co stało się wczoraj, by odnaleźć moment, który wywołał ten stan. Zna to uczucie, ale musi się skupić, żeby sobie przypomnieć, o czym była mowa, w którym momencie poczuł się nieswojo. Codziennie widuje tylu ludzi, tak dużo się dzieje. Jego coach NLP nauczył go tej metody – przy pierwszych oznakach niepokoju odciąć się od rzeczywistości, skupić. Odnaleźć newralgiczny punkt. Bankiet po premierze ostatniego filmu Podalydèsa. Jakiś pseudoscenarzysta, którego nazwiska nie może sobie przypomnieć, rozprawiał z kieliszkiem szampana w ręku – Fred ze studia Wild Bunch mówił o śmierci Alexa Bleacha, a tamten powiedział: „Tak się składa, że mój przyjaciel ma niepublikowane taśmy z jego ostatnim wywiadem, to podobno prawdziwa bomba. Chciałby coś z tym zrobić, ale nie znalazł producenta”. Właśnie. Od tego się zaczęło. Laurent podszedł do scenarzysty i zapytał, czy znał Alexa, powiedział, że pracowali razem nad projektem, który nie został sfinalizowany, to była wyjątkowa osoba, jaka strata, co za ból, przypadkowa śmierć, nieprzyzwoite zachowanie mediów, piękne pożegnanie przez prawdziwych fanów. Stąpał po kruchym lodzie. Scenarzysta to był ociężały typ z ogoloną głową i gębą idioty. Mówił, że nie oglądał tych taśm, ale dobrze znał Alexa, i czując, że zaciekał Laurenta, użył słowa „wyznanie”, „mój kumpel powiedział, że ten wywiad jest naprawdę godny uwagi. Alex był naćpany, ale miał tyle rzeczy do powiedzenia, może się spodziewał, że jest już u kresu, to był jego testament...”. Laurent, któremu alkohol już zaszumiał w głowie, pomyślał, że okazywanie zbyt wielkiej ciekawości może się obrócić przeciwko niemu, starał się nakłonić

scenarzystę, by powiedział mu jak najwięcej, nie posuwając się jednak do propozycji: proszę przekazać swojemu przyjacielowi, by skontaktował się ze mną jak najprędzej. Wiedział, że jeśli da mu wizytówkę, ten golec się nie odczepi. Zna ludzi tego rodzaju. To jeden z tych, co przechowują na twardym dysku piętnaście scenariuszy – jest przekonany, że wszystko to arcydzieła, filmy niezwykle inteligentne i oryginalne. Sam dziwi się swej odwadze, a jeszcze bardziej urzeka go własne poczucie humoru. Sądzi, że negatywna reakcja na jego scenariusze wynika wyłącznie z tego, że oceniają je ludzie chorzy na umyśle, bezduszni uzurpatorzy. Można pięćdziesiąt razy powiedzieć mu to samo, a on pięćdziesiąt razy znowu nadmucha swoje ego i po raz kolejny spłodzi jakiegoś gniota. Brak talentu u tego typu gości wiąże się zwykle z alergią na jakikolwiek wysiłek. Jeśli Laurent da mu swój numer telefonu, by go przekazał koledze, ten typ bez najmniejszych skrępowań będzie po dwadzieścia razy dziennie wydzwaniał do biura, żeby zaprezentować mu jakiś projekt. Golec jest szczery, właśnie dlatego jest groźny: nie widzi różnicy między swoimi durnymi wypocinami a ostatnim sukcesem kasowym na rynku. W każdą środę musi pójść na seans o jedenastej, na swoją porcję batów, wybiera film, o którym się mówi, i jest pewien, że dziesięć lat wcześniej napisał taki sam scenariusz, nawet lepszy, i właśnie okradziono go z jego pomysłu. Ale Laurent jeszcze nigdy nie słyszał o scenarzyście po czterdziestce, którego talent nie został zauważony. Istnieją beztalencia, ćpuny, mitomani, ale niedocenione talenty to rzadkość. Ci faceci mierzą bardzo wysoko, żaden producent, żaden sławny reżyser nie jest oszczędzany. Gdyby miał w zanadrzu coś, co jest warte zainwestowania choćby niewielkiej sumy, byłoby o tym słyhać. Laurent męczył się z nim przez sporą część wieczoru, próbował skierować rozmowę na tego przyjaciela i wywiad Alexa Bleacha z samym sobą, ale chłopak był sprytny, uparł się, by mu opowiadać o pomysłach na scenariusze, a równocześnie robił mu wykład z najnowszej historii kina, proszę, co za okazja, smutas przedstawił mu swą opinię na temat najnowszych francuskich filmów, które widział w kinie, a Bóg wie, że spędził wiele czasu na widowni. Laurent słuchał go wspaniałomyślnie, przez cały czas powtarzając w duchu, pomyśl, durniu, gdyby nie było żadnej różnicy

między gównem, którym srasz, a złotem, którym obracam, nie musiałbyś od pół godziny odstawiać mi tańca brzucha. Miałbym cię w książce telefonicznej, bylibyśmy w kontakcie, już dawno pracowalibyśmy razem.

Ale nie miał czasu przemyśleć tej historii z nagrany testamentem. W drodze powrotnej w taksówce Amélie zrobiła mu scenę zazdrości: „Nie mówię, że z nią sypiasz, zastanawia mnie tylko, dlaczego zachowujesz się w taki sposób. Nigdy nie widziałam cię w podobnym stanie”. Chodziło o jakąś marną aktoreczkę, którą brał pod uwagę w realizowanym projekcie i która przez cały wieczór podsuwała mu pod nos swój ogromny biust, wywołując tym tylko jego przeciągłe ziewanie, ale Amélie ma swoje fobie. Kiedy robi mu scenę z powodu kobiety, zawsze myli się co do osoby. Żeby ją uspokoić, Laurent postanowił utracić tę aktorkę i wstając nazajutrz rano o siódmej, zadzwonił do reżysera, mówiąc mu, że ona jest do niczego i nie chce więcej słyszeć o niej na castingu.

Uczucie, że wbito mu w gardło długą zardzewiałą igłę, nie opuszczało go od tej pory. Przywykł do odczuwania lęku. Czasem te ataki są tak silne, że musi się odizolować. Cieszy się dobrym zdrowiem. To napięcie. Nauczył się głęboko oddychać przeponą. Jego terapeuta czasami w trybie pilnym urządza mu seanse hipnozy przez Skype'a. Laurent zamyka się w swoim gabinecie, siada na rozkładanym fotelu, zakłada słuchawki i nie zawsze jest w stanie się rozluźnić, ale to często pomaga, rytm serca wraca do normy.

Reżyserka mówi, że nie zamierza kręcić zdjęć w Luksemburgu, że już nie chce się bawić w taką koprodukcję, uważa, że zaszkodziło to jej ostatniemu filmowi. Jej kreatywność ucierpiała z powodu absurdalnych ograniczeń, jakie jej narzucono. Wciąż jej się wydaje, że żyje w latach dziewięćdziesiątych. Jej kreatywność. W tamtych czasach jeszcze się o tym mówiło, to fakt. Kiedy Laurent nauczył się zawodu, należało słuchać, gdy reżyserzy rozwodzili się na temat oryginalnych ujęć, i wszyscy akceptowali fakt, że to kosztuje krocie. Uważano za rzecz dopuszczalną, że ktoś trwoni fortunę na film, który nie ściąga widzów, ze względu na prestiż. Dziś wszyscy patrzą na to, kto ma największą frekwencję, nikt już nie widzi prestiżu tam, gdzie nie ma konkretnych wpływów. I nawet dobre filmy mogą okazać się

klapą. Publiczność woli chłam. Ale do Audrey nie dotarło, że czasy się zmieniły. Jeżeli jej się zdaje, że nadużywając zagmatwanych dialogów, zrobi na kimś wrażenie, to nie wie, na jakim świecie żyje.

Laurent długo pracował nad sobą. Wie, dlaczego uprawia ten zawód. Ma pięćdziesiąt lat. Jest ze sobą szczery. Lubi władzę. Wyrósł z wieku, w którym można sobie opowiadać bajki. Ma nosa, umie postawić na projekty, które się sprawdzają, potrafi sporządzić piękny montaż finansowy, ma kontakty, jest uparty, jest twardy w negocjacjach. Dąży do sukcesu. Lubi wrzawę, która mu towarzyszy. Lubi atmosferę stresu i euforii, jaka panuje w ekipach, gdy telefony się urywają, lubi liczby, które szybują w górę, ten nieprawdopodobny nagły wzrost napięcia, myśl, że wszystko może się zdarzyć i wszystko się zdarza, a przede wszystkim to, co nieprzewidziane. Lubi czuć, że ludzie rywalizują o przywilej zbliżenia się do niego. Uśmiechać się, gdy słyszy nieszczerze komplementy kolegów, i gardzić tymi, którzy nimi szafują. Lubi wrócić późno do domu, być w nim jedyną osobą, która nie śpi, nalać sobie ostatnią whisky, patrzeć przez okno na Paryż i powtarzać sobie „to działa”, starając się poczuć rytm sukcesu we własnym ciele i w arteriach miasta. Chce mieć poczucie mocy tak samo intensywne jak ukąszenie porażki, kiedy go dotyka. Ale lubi także przegrywać, być na dnie i czuć, jak wściekłość przywraca go do życia, niezłomna determinacja, żeby się zrewanżować.

Ten, kto nie sprawuje władzy, nie wie, co to znaczy. Ludzie myślą, że polega to na siedzeniu w gabinecie, wydawaniu rozkazów i życiu bez trosk. Wyobrażają sobie, że to łatwe. Przeciwnie, im bliżej jesteśmy szczytu, tym zacieklejsza staje się walka. Im wyżej się pniemy, tym więcej kosztują nas ustępstwa. I tym częściej musimy się na nie godzić. Mieć władzę znaczy zachować uśmiech, gdy potężniejsi od nas nami poniewierają. Na samej górze upokorzenia są bardzo dotkliwe i nikt nas nie wysłucha, kiedy zaczniemy się żalić. To podwórko dorosłych chłopców, nie piaskownica dla niewinnych baranków bez skazy. Tylko szefowie najniższego szczebla cieszą się swoją władzą, wyżej jest tylko strach, że ktoś wbije nam nóż w plecy, szaleństwo zdrad i trucizna fałszywych obietnic.

Dla Laurenta najgorszy jest sukces innych. Premiery, jedna za drugą, *Nietykalnych* i *Artysty* rozwały mu cały rok. Wszystko, co dobrze szło w jego stajni, wydało mu się niewiele warte. Zaczął uprawiać sport – godzinę, pięć razy w tygodniu, w domu z osobistym trenerem, małym Murzynem, który uśmiecha się tylko wtedy, gdy zobaczy, że dał mu porządnie w kość. Najważniejsze, by nie zapomnieć o tym, że inni podlegają tym samym regułom co on: są panami świata, dopóki koło się nie obróci.

Wie, że nie powinien czuć się taki rozbity tylko dlatego, że wczoraj wieczorem ktoś powiedział mu o nagraniu Alexa. To myślenie magiczne, daje wiarę intuicjom pozbawionym podstaw. Nie ma żadnego istotnego powodu, żeby się tym przejmować. Musi poszukać w samym sobie punktu zaczepienia, który pozwoli mu przejść nad tym do porządku dziennego. Opróżnia koszyk z chlebem, czekając na ostrygi. Ależ ona go nudzi...

Alex Bleach to był dupek, arogancki i słaby, domorosły poeta – gówniarz, który myślał wyłącznie o kasie, ale na zdjęciach w albumie pozował na buntownika. Artysta w glorii chwały: myśli, że wszystko mu wolno, i gardzi tymi, którzy naprawdę harują. Problem z publicznością często polega na tym, że wybiera sobie wyjątkowo żalosnych idoli. Ludzie lubią być oszukiwani. Alex to dobrze wyczuł. Kłamał w każdym wywiadzie, a lud go uwielbiał. Laurent wielokrotnie miał z nim do czynienia. Nie dość, że się ośmieszał, obrażając publiczność, to jeszcze zdobył numer jego komórki i raz, kompletnie naćpany, zadzwonił do niego w środku nocy, żeby mu ubliżyć. Ten gość był niepoczytalny, nie miał bladego pojęcia o niczym. Kiedy Laurent dowiedział się o jego śmierci, odetchnął z ulgą. Nigdy nie wiadomo, jak daleko może się posunąć tego rodzaju furiat, nie zależało mu na tym, by mieć takiego wroga. Za słaby na jego kategorię. Ale chciałby zamknąć tę sprawę raz na zawsze.

– Słucha mnie pan?

– Tak, tak, przepraszam... Ostatnio mam mętlik w głowie, od czasu śmierci Alexa Bleacha.

– Znał go pan dobrze?

– Owszem. Od dawna go nie widziałem i jego odejście strasznie mnie poruszyło. Ale słucham panią. Proszę mówić dalej.

Przebiera palcami w powietrzu. Reżyserka nawet nie udaje, że się tym przejmuje. Działa jak buldożer – zamknięta w hałasie, jaki wywołuje, obsesyjnie skupiona na swoim celu. Najpierw pomyślał, że młodzi reżyserzy są źle wychowani – nikt jej nie nauczył, że trzeba udąć współczucie, gdy jej rozmówca udaje, że się wzruszył? Potem zrozumiał, że nie chodzi o wychowanie. W jego czasach oczekiwano od dzieci, że przystosują się do życia w społeczeństwie, że będą sympatyczne. Na przykład zareagują empatią na smutek rozmówcy. Człowiek inteligentny pojmował w lot, że okazanie sympatii może być opłacalne, zwłaszcza jeśli oczekiwał czegoś od drugiej osoby. Ale pojawił się Facebook i to pokolenie trzydziestolatków składa się z zamkniętych w sobie psychopatów na granicy obłądu. Ambicja w stanie surowym, bez jakiegokolwiek troski o to, czy jest uprawniona. Audrey podejmuje przerwany wątek. Chce zrobić film o pięćdziesięcioletniej kobiecie, która pracuje w perfumerii. Traci matkę, z którą była związana, i nie może znieść myśli, że jej ojciec zamierza rozpocząć nowe życie, choć od pogrzebu minęły niespełna trzy miesiące. Los uśmiecha się do biednego staruszka, a córka wyrusza na wojnę ze swoją macochą. Porywające. Audrey jest przekonana, że napisała komedię. Nie wyobraża sobie budżetu niższego niż trzy miliony. No proszę. Szurnięta pięćdziesięciolatka, która nie może znieść, że jej ojciec ponownie się żeni. Supertemat na komedię. Jeśli ludzie stojący w ogonku przed kasą będą mieli wybór między Scarlett Johansson w negliżu i starą postrzeloną wariatką, to pewne, że będą się długo wahali, zanim kupią bilet.

Polewa ostrygi winnym octem z szalotką. Lubi tę piwiarnię – to jego kantyna, jest tu znany, kelnerzy mu nadskakują. To pomaga odreagować. Nie jest materialistą. Pieniądze same w sobie go nie interesują. Mógłby jadać w pizzerii i spędzać wakacje na kempingu. Ale tutaj ma blisko z biura, to wygodne.

Nie sądzi, żeby aż tak bardzo dał się we znaki Alexowi Bleachowi, by ten w każdym swoim wywiadzie starał się mu zaszkodzić. Próbuje się opanować. Owszem, dochodziło między nimi do spięć, ale od tego czasu upłynęło już dużo

wody pod mostami, co nawet taki czubek powinien zrozumieć. Tak czy owak, kto dałby wiarę paranoicznym zwierzeniom takiego kretyna?

Audrey przegląda kartę deserów, kiedy on wtrąca: „Przykro mi, nie mam czasu, wypije pani kawę?”. Zamawia café gourmand, nie kryjąc rozczarowania. Co za menda. Wpatruje się w nią intensywnie, mrużąc oczy, jakby zaciekała go ta historia sprzedawczyni z perfumerii, która nie może znieść szczęścia swojego ojca, bo dzieje się to zbyt szybko – jeszcze nie wie, że mężczyźni nie potrafią żyć sami, jak można czynić im z tego zarzut. Laurent przypomina jej, jak bardzo sytuacja jest obecnie trudna, nawet dla niego. Poklepuje dłonią scenariusz, jakby nie mógł się już doczekać, kiedy znajdzie się w swoim biurze i pogrzeży w historii tej pomyłonej babki. „Tak trudno jest teraz wyprodukować wartościowy film, jestem zmuszony dokonywać drastycznych selekcji. A najbardziej nie cierpię dawać złudnych nadziei. Jeżeli pani powiem w porządku, to znaczy, że to zrobię. Ale jeśli będę miał wątpliwości, czy jestem w stanie to wyprodukować, powiem to pani również bez owijania w bawełnę. Może zaplecze, którym dysponuję, nie jest najbardziej odpowiednie do filmów niskobudżetowych – wie pani, o czym mówię, technicy niczego nie rozumieją, pracując dla mnie, nie dadzą z siebie tego wszystkiego, czego wymaga produkcja autorskiego filmu. W każdym razie bardzo szybko dam pani odpowiedź”.

Patrzy na zegarek, przybiera minę, jakby właśnie doszło do jakiejś katastrofy, pospiesznie wstaje, daje dziesięć euro dziewczynie w szatni i z ulgą wypada na zewnątrz. Wchodząc do biura, przypomina sobie, że ma spotkanie z Diwą. To nie jest jego dzień, z całą pewnością Merkury jest w odwrocie. Ściska wilgotną i wiotką dłoń młodego agenta dystrybucji. Nie każdy pedał jest piękny. Diwa, od stóp do głów ubrany u Prady, zawsze wygląda tak, jakby przed chwilą wyszedł ze śmieciarki. Okropna aparycja. Nic dziwnego, że jest złośliwy. Laurent zadaje sobie pytanie, czy Diwa już zrozumiał, że chce go zastąpić. Obiecał, że da mu film Caneta, jeżeli weźmie Bayonę, którego koprodukował, ale już odstąpił Caneta agentom Mars Distribution – nie pracują lepiej od niego, chciał zrobić Diwie na złość. Jeśli jest w stanie uratować to, co plajtuje szybciej, niż można się było

spodziewać, proszę bardzo. Jest wielu chętnych. Zostawia go w gabinecie, pyta, czy chce kawy, powierza go Justine, która właśnie po to tu jest. I prosi o wybaczenie. Ma sprawę do załatwienia, pilną, zaraz wraca.

Puka do drzwi Anaïs. Przegląda film: obraz wideo, niechlujny, źle skadrowany, ponoć młodzi to uwielbiają. Poprosił ją, by rozejrzała się trochę wokół, chciałby wiedzieć, czy nie warto czasem zająć się tymi filmami kręconymi w kilkoro, które kosztują poniżej stu tysięcy euro, a kiedy są udane, dzieciarnia rozchwytuje je w internecie. Zawsze należy być o krok do przodu. Nie może się zadowolić widowiskami dla całej rodziny, kinem dla ramoli. Musi być nowatorski, pojawiać się tam, gdzie nikt się go nie spodziewa, być tam przed innymi. Anaïs jest w tym genialna. Ma młode oko i umysł. Za dziesięć dni przedstawi mu raport na temat trzech czy czterech najlepszych reżyserów nowego pokolenia – i wie, że może na nią liczyć, że dokona dobrej selekcji. Laurent Dopalet postanowił zatrudnić dziewczynę w jej wieku, gdy jego własna córka wbiła sobie do głowy, że będzie „youtuberką”. Zainteresował się tym, co robi, z obawy, by tak jak dzieci niektórych kolegów nie zaczęła zamieszczać w internecie swoich sekstaśm z udziałem nieletnich chłopców. I ze zdumieniem odkrył świat młodziutkich dziewcząt, które mają świetną prezencję, potrafią wykadrować, a potem zmontować obrazy i zamieszczają w sieci „tutoriale makijażowe”, które osiągają pięćdziesiąt sześć milionów odsłon, chociaż na filmie widać tylko ich pokój. Pomyślał, że chyba umyka mu coś ważnego i że potrzebuje w biurze kogoś, kto przeglądałby internetowe witryny, szukając nowych trendów. Pięćdziesiąt sześć milionów młodych dziewcząt nie może się przecież mylić.

Siada na poręczu jej fotela. Między nimi nic się nie dzieje, ale lubi tę bliskość. Lubi jej spokój, jej uśmiech, sposób, w jaki go uspokaja. Anaïs jest promienna. Nie jest ładniejsza od innych, jest pogodniejsza. Laurent wzdycha:

– Byłem na obiedzie z królową nudziarzy... a w moim gabinecie siedzi właśnie Diwa, nie wyobrażasz sobie, ile mnie to kosztuje. Może podetnę sobie żyły, by nie oglądać reszty tego dnia.

– Mam przyjść po ciebie za dwadzieścia minut?

– Trzydzieści. Muszę jednak omówić z nim dwie czy trzy kwestie w związku z premierą Bayony.

– To się nie sprzedaje. Film jest za ciężki. W tym momencie ludzie nie mają na to ochoty.

– Posłuchaj, wczoraj na bankiecie poznałem młodego scenarzystę... no, nie bardzo młodego... coś mnie w nim zaniepokoiło, chciałbym, żebyś mi poszukała informacji na jego temat. Dasz radę go odnaleźć? Ma na imię Xavier. Zapomniałem nazwiska.

– Naprawdę mam się dowiedzieć, kim jest scenarzysta o imieniu Xavier, który był obecny na wczorajszym bankiecie?

– Owszem. Jeff mi mówił, że napisał jakiś scenariusz dziesięć lat temu i film odniósł sukces, ale nie pamiętam tytułu...

– Ok. To może mi pomóc.

– Chciałbym wiedzieć, dość szybko, kto to właściwie jest, może znajdziesz jakiś jego projekt, który gdzieś u nas leży... żeby mieć pełny obraz. Chciałbym wiedzieć, gdzie mieszka, z kim się widuje, czy ma pracę... takie małe podsumowanie.

– Na wczorajszym bankiecie było co najmniej trzysta osób.

– Tak. To niełatwe. Jednak tobie się uda. Dlatego cię uwielbiam.

– A właściwie dlaczego chcesz się z nim zobaczyć?

– Jeszcze nie wiem, czy chcę się z nim zobaczyć. Chciałbym go tylko... powąchać.

Hiena siada w głębi sali i odruchowo sprawdza w komórce, czy nie dostała jakiegoś esemesa. W Globie jest pusto, jak często po południu. To dzielnicowy bar, w ciągu dnia można tu spotkać młodych brodaczy w dzellabach i sportowych butach we fluorescencyjnych barwach, stare alkoholiczki w wyśmienitym humorze i okolicznych handlarzy. W porze aperitif, około *happy hour*, bar zmienia się w platformę spotkań podpitych młodzieńców zdecydowanych zostać tu do zamknięcia lokalu, którzy pilnują, by żaden sąsiad nie spał, kiedy wychodzą zapalić na chodniku.

Hiena spogląda na zegarek w swoim telefonie, poirytowana spóźnieniem rozmówcy. Laurent Dopalet lubi się z nią spotykać w tego rodzaju barach, które wydają mu się egzotyczne, oddalone od dzielnic, w których się obraca. Dopalet wsiada na mały skuter i jedzie w górę ulicy Sainte-Marthe, wystarczy minąć trzech żulików, by poczuć się jak w Bronksie. Często spotykają się w nietypowych miejscach. Dopalet woli, by nie widywano ich razem.

Hiena przestawiła się na portale społecznościowe. Żyje z tego już od pewnego czasu. Ale to nie był jej pomysł. Spotkała starego przyjaciela Tareka, który jadł sam w pizzerii na placu des Abbesses, usiadła, żeby z nim wypić kawę. Poznała go jako dziennikarza miesięcznika porno, to było na początku lat dziewięćdziesiątych, branża była wówczas na fali. Tareka zapraszano do Cannes, na wielkie fety w Canal Plus, otaczali go kumple aktorzy. Wszyscy chcieli gościć go przy swoim stole, to było w dobrym stylu. Potem internetowa eksplozja spowodowała kolejną ewolucję sektora i Tarek, nie znajdując tam dla siebie miejsca, skorzystał ze swojego notesu z adresami, by stać się nagle rzecznikiem prasowym tradycyjnych filmów, na które nikt nie postawiłby złamanego grosza, ale było to dziesięciolecie, w którym do głosu doszła kultura undergroundu i filmy odniosły niewiarygodny sukces. Właśnie wtedy ponownie go zobaczyła, był w świetnej formie, nadal

jeździł do Cannes, choć był bardziej zestresowany niż w czasach, gdy pisał długie sprawozdania z pracy na planie filmów Johna B. Roota.

Rozumiejąc, że w ciągu dnia Hiena nie ma nic szczególnego do roboty – była akurat między jedną fuchą a drugą – zaoferował jej pomoc, zajmował się pewnym filmem i potrzebował kogoś do pracy w internecie. Można było nieźle zarobić. Należało zalać sieć pozytywnymi opiniami, podając się za spontanicznie piszących zachwyconych widzów. Było z tym trochę roboty – ale w tamtych czasach można się było zarejestrować dwanaście razy z rzędu na tym samym portalu, podając różne tożsamości, trzeba było tylko stworzyć fikcyjne adresy mailowe. Hiena spartaczyła tę misję, ale Tarek oświadczył, że jest zachwycony rezultatami jej pracy. Nie był głupi – film wywołał entuzjastyczne reakcje, „prawdziwi ludzie” zamieścili szczerze pozytywne komentarze – ale lubił z nią pracować i wołał myśleć, że to ona zrobiła filmowi reklamę. Zajęli się drugim filmem. I Hiena szybko skumała, że można się na tym obłowić, lecz pochwały wcale nie są najlepiej płatne.

Odkupiła zbiór fałszywych tożsamości od dawnego kolegi, któremu już bokiem wychodziło zamieszczanie debilnych komentarzy na debilne tematy. Miała teraz do dyspozycji pięćdziesiąt pseudonimów – żeby wiadomości były wiarygodne, muszą być podpisane przez internautów od dawna zarejestrowanych na serwerze, którzy są na Facebooku i mają konto na Twitterze. Którzy wydają się istnieć, jeśli ktoś zada sobie trud, by ich poszukać w Google. Co do reszty, wystarczy nie bać się zmieniać adres IP i zapamiętać, który z komentatorów i jakim tonem coś mówi. Hiena nie bawi się w ortografię w stylu nastolatków, którzy piszą zawsze „keske” zamiast „*qu'est-ce que*” i nigdy nie uzgadniają rodzaju i liczby przymiotników z rzeczownikami. Nie lubi kokieterii i robi to, co jej każą. A chętni znaleźli się bardzo szybko, wsuwając jej w dłoń dwa czy trzy banknoty o nominale stu euro, jak w czasach koki, tyle że teraz tajniacy mogą ją przeszukiwać do woli, nie ma przy sobie niczego, co mogłoby jej przysporzyć kłopotów, rozprawdza zółć. Na zamówienie obrzydza danego artystę, projekt ustawy, film czy grupę elektro. Wystarczą cztery dni i może zastąpić armię. Jej zeszyt z fałszywymi tożsamościami

jest teraz znacznie grubszy i może powiedzieć bez fałszywej skromności, że jej głupota jest zaraźliwa. Może skazać się w dwie doby: o ile jej wiadomo, w całej paryskiej wiosce nikt nie jest tak skuteczny. Potem to już samo się toczy – dziennikarze zaglądną na Twittera, czytają komentarze i czują się w obowiązku wziąć pod uwagę bzdury, jakie tam znajdują. Toteż wszystko, co wysyła, zostaje w końcu wyryte w marmurze. W wypadku nielicznych zleceń na pozytywne kampanie, jakie jeszcze dostaje, korzysta z usług dawnych współpracowników, którzy sztucznie nabijają liczniki wyświetleń, a we współczesnej kulturze opartej na liczbie „lajków” jej strategia okazuje się diabelnie skuteczna – to prawdziwa gorączka złota, nikt niczego z tego nie rozumie, ale każdy chce znaleźć samorodek. To najgłupsza robota, jaką się kiedykolwiek parała. Ale dobrze płatna, zważywszy, jak niewiele wysiłku wymaga. Trzyma swych pracowników twardą ręką za jaja, dla tych, którzy prowadzą własną politykę, szkodenie konkurencji jest rzeczą bezcenną.

Uruchomić procedurę medialnego linczu jest łatwiej, niż zrobić komuś pozytywną reklamę – Hiena twierdzi, że potrafi i jedno, i drugie, ale epoka promuje brutalność. Ten, kto atakuje, jest chętniej słuchany, trzeba zawsze przybrać męski pseudonim, by kogoś sponiewierać. Jedyne głośniejsze nerwy furiantów grasujących w sieci to głos klawisza, który gruchocze kości któremuś z więźniów. Trzy pochlebne komentarze na temat zwiastuna programu, a internauci już są nieufni i wietrzą manipulację, trzydzieści przepojonych wrogością krytycznych komentarzy i nikt nie zadaje sobie żadnych pytań. I gapie mogą z satysfakcją poklepać się po brzuchu: „A mnie to się nie zdarzyło”, już przyswoili, co chciano im przekazać. Pogarda jest bardziej zaraźliwa niż świerzb.

W pewnych paryskich kręgach szybko rozeszła się wieść, że ta dziewczyna może być przydatna. Jest zapraszana na kawę, dyskretnie, do barów, do których ludzie tego pokroju na ogół nie zaglądną lub w których na pewno nikt ich nie zobaczy. I proszą ją, by poturbowała konkurenta, przyjaciela, wroga. Za dwieście euro łamie wirtualną nogę, za podwójną stawkę szkodzi reputacji w sieci, a jeśli ktoś ma odpowiednie środki, może dosłownie zatruć życie swojemu bliźniemu.

Internet jest narzędziem anonimowych donosów, dymu bez ognia i plotek, które krążą, choć nie znamy ich źródła. Choćby ten nudziarz Laurent Dopalet, który wydzwania do niej od wczoraj, wydaje niewiarygodne sumy, żeby pogrążyła aktorkę, która nie odpowiedziała przychylnie na jego propozycje, kolegów, którzy odnieśli lub mogą odnieść sukces, byłych wspólników, którzy odwrócili się do niego plecami... Wpisuje wiele nazwisk na swoją czarną listę, a ona jest wiedźmą wudu. Stała się dla niego osobą niezbędną. Spotykają się raz w miesiącu.

Dopalet jest całkowicie skoncentrowany na własnej osobie. Bywa antypatyczny, trzeźwy, czasami zabawny, nedorzeczny, szalony, ale zawsze mówi tylko o sobie. A przecież jego ego jest słabe – byle słowo krytyki go rani, najmniejsza rysa na jego reputacji doprowadza go do białej gorączki. Jeśli usłyszy w radiu komplementy pod adresem kolegi, natychmiast widzi w tym zakamuflowany przekaz, że on sam jest śmieciem. Dopalet czyta prasę, ogląda telewizję, wchodzi do internetu i cierpi. Aktorzy są lepiej opłacani. Reżyserzy cieszą się większym szacunkiem. Agencje dystrybucji doprowadzają go do ruiny. Publiczność się na niego uwzięła. Wszyscy prócz niego otrzymują dotacje ze środków publicznych. Wszyscy się dobrze bawią, wszyscy korzystają z życia, tylko nie on, biedny człeczyna, który tyra jak wół i otrzymuje w zamian jedynie kopniaki. Wszystko to rozgrywa się na dwustu metrach kwadratowych z widokiem na Sekwanę, gdyż poślubił nadzwyczaj majątną kobietę, lecz to go nie pociesza. Cierpi. Jest wymarzonym klientem. Hiena jest mu niezbędna do zachowania psychicznej równowagi, w którą inwestuje niewyobrażalne pieniądze... Trener gimnastyki, psychoanalityk, hipnoterapeuta, nauczyciel medytacji, masażystka, specjalista od akupunktury, bioenergoterapeutka, osteopata walczą co miesiąc o godziwy łup i jeśli dodać do tego weekendy oraz jego kochanki, można się zastanawiać, kiedy Dopalet znajduje czas na pracę. Hiena wystawia mu wyśrubowane faktury. Ze swoich dilerskich czasów dobrze zapamiętała, że narkoman pragnie, by jego dostawca był nieprzejednany. Co czyni z niego półboga.

Wyspecjalizowała się w kinie. Dzięki temu nie musi brać sobie na głowę zamówień politycznych, które nie są lepiej wynagradzane i wymagają znacznie

większych starań. W roku 2014 filmy interesują wyłącznie profesjonalistów. Nikt nie zamierza już tracić nawet dziesięciu minut na dyskusje o ujęciach z ruchomej kamery, na obronę jakiegoś thrillera czy zmieszanie z błotem dramatu psychologicznego. Hiena często pracuje dla aktorek. Nie wszystkie są małosłowne i interesowne. Żyją w poczuciu zagrożenia i mają dużo pieniędzy. Dobra kombinacja. Są gotowe zapłacić za to, by w internecie pojawiły się miłosne wyznania, zdjęcia, entuzjastyczne opinie i z życia wzięte historie świadczące o tym, jak bardzo są przystępne i jaką mają klasę, kiedy spotyka się je w kawiarni na rogu. Jednak w większości przypadków jej rola polega na likwidacji konkurentek do upragnionej roli. Lub też ma sprawić, by jakaś nowicjuszka zbyt szybko nie pięła się w górę. Dla czystej satysfakcji. Bardzo szybko dochodzi do konfliktu interesów: czy można wziąć klientkę, gdy właśnie staramy się ją zniszczyć na prośbę innej? Oczywiście, że można. To trzecie tysiąclecie, wszystko jest dozwolone.

Ma swój skorowidz. Czarny notesik, wybrany ze względu na format i gładkość sztucznej skóry, przedmiot, który przyjemnie trzyma się w dłoni. Zapisuje go, używając swego rodzaju szyfru, żeby nie mieć kłopotów w razie przeszukania. Żeby go odkodować, trzeba by dołożyć starań niewspółmiernych do wartości tej niepozornej rzeczy. Numery obok pseudonimów nie istnieją, 06 wskazuje, że może wysyłać komentarze z własnego komputera, 01, że ma to robić z kafejki internetowej na dole, 04, że musi zmienić dzielnicę. Numer kończący się na 7 oznacza komentarze na temat filmów, druga cyfra symbolizuje rok utworzenia danej tożsamości i tak dalej. W tym systemie czasem coś zmienia – ale fałszywe numery, po rozszyfrowaniu, wskazują jej te, których może używać. Nie jest to szyfr na tyle skomplikowany, by nie można go było złamać w przypadku poważnego śledztwa, ale jeśli ktoś spojrzy niezbyt uważnie, może go to zmylić.

Dopalet ma swoje przepisowe trzydzieści minut spóźnienia, nieuprzejmość to jego zasada. Wystroił się, jakby była niedziela i spędził popołudnie na łące, grając z dziećmi w piłkę. Rozciągnięta bluza, dżinsy w nieodpowiednim rozmiarze, tylko dłonie jak zawsze wypielegnowane. Zwykle przychodzi sam. Ale teraz od razu przedstawia swoją towarzyszkę: „Tym razem sprawa jest dość szczególna”, po

czym musi odebrać telefon i daje ręką znak, że trzeba zaczekać dwie minuty. Lachon, który z nim przyszedł, to najciekawszy element tego powitania. Ta mała to prawdziwy hit, jak melodia, którą puszczają w radiu i której nie słyszeliśmy nigdy wcześniej, ale natychmiast ją rozpoznajemy, jakby istniała od zawsze, mamy ją w głowie przez cały dzień i najchętniej słuchalibyśmy jej na okrągło. Skoro tak, to w porządku, warto było włożyć wełnianą czapkę i rękawiczki, ruszyć dupę i wyjść z domu mimo niepogody. Lolitka mówi: nazywam się Anaïs. Hiena udaje, że nie jest poruszona.

Dopalet wraca i siada z zasepioną miną. Ma głęboko osadzone oczy, choć nie na tyle, by nadać mu wygląd gbura, nos zbyt zadarty, ukazujący ziejące owłosione nozdrza, wąskie wargi, skóra twarzy wydaje się zwiotczała. To grubasek. Nawet gdy trochę schudnie, toczy się jak kula, trzymając ramiona z daleka od torsu. Anaïs zabiera głos. Słuchając jej, Dopalet energicznie porusza zuchwą na prawo i lewo, jego spojrzenie jest puste. W regularnych odstępach robi dziwne grymasy, by poświadczyć, że słucha i że się z tym zgadza.

Z tego, co opowiada jego asystentka, wynika, że producent chce odnaleźć w Paryżu „pewnego typu”, ale nie zna jego nazwiska ani adresu. Ten „typ” powiedział innemu „typowi” – Xavierowi, którego przedstawiają jako „scenarzystę” – że dysponuje pewnymi nagraniami. Szef chce je przejrzeć. Trzeba odnaleźć tych gości. Scenarzysta waży jakieś sto kilo i ma ogoloną głowę. Więc zadzwonili do Hieny. Przygląda im się, zadając sobie pytanie, czy kpią.

– Ale niby jak mam to zrobić?

– To samo powiedziałam – odpowiada cud asystentka, rozkładając ręce na znak bezradności.

Dopalet zaczyna się irytować, wierci się na krześle. Hiena pociera palcem powiekę, nie próbując ukryć, że jest w rozterce:

– A co to za nagrania?

To pytanie powinno uspokoić Dopaleta, dobierze właściwe słowa i wyjaśni, że zdarza mu się dyskutować o kwestiach geopolityki z trzema bardzo młodymi

chłopcami i wolałby, żeby nie wyszło to na jaw. Wiemy, jaki jest plebs, nie ma pojęcia o wyrafinowanych formach pożądania swoich zwierzchników. Asystentka reaguje:

– To wywiad. Nie wiem, czy słyszała pani o wokaliście Alexie Bleachu, prawdopodobnie chodzi o nagranie, na którym przeinaczył pewne...

Hiena przerywa Anaïs i zwraca się do jej szefa, zmuszając go, żeby na nią spojrział:

– To nie ma nic wspólnego z tym, co zwykle dla ciebie robię.

– Wszyscy wiedzą, że wcześniej się tym zajmowałaś.

– Zmieniłam fach... a nawet gdybym robiła to nadal, z przykrością musiałabym ci oznajmić, że ta twoja misja to kompletne szaleństwo. Nie mam zamiaru szukać w całym Paryżu gościa, który ma na imię Xavier...

– I jest scenarzystą.

– Gdyby naprawdę był scenarzystą, którego spotkałeś na imprezie, nie płaciłbyś mi za ustalenie jego nazwiska... Nikt nie zna tego typu?

Anaïs znowu zabiera głos, siedzi jak uczennica, z dłońmi opartymi na stole.

– Zadzwoiłam do kilku osób obecnych na bankiecie... ale to nic nie dało. Myślę, że nie obraca się w kręgach naszych znajomych.

– W całym waszym biznesie działa kilkanaście osób. Więc taki z niego scenarzysta jak ze mnie koronczarka. Wniosek: chcecie mi powiedzieć, że poszukujecie gościa o imieniu Xavier, który mieszka w Paryżu, jest korpulentny i łysy. Super. Już wiem, od czego zacząć poszukiwania.

Anaïs unosi brwi, zaniepokojona, że ktoś zwraca się tym tonem do Dopaleta. Ale koniec końców jej wypowiedź oznacza, że rozumie problem: to trochę za mało jak na punkt wyjścia. Dopalet wsuwa iPhone'a do kieszeni marynarki – jeśli o niego chodzi, spotkanie mogłoby się już zakończyć.

– Może i nie wiesz, od czego masz zacząć, ale powiem ci, dlaczego masz w tym wielki interes: to może kosztować drogo nas oboje. Poza tym nie szukasz po całym

mieście „jakiegoś Xaviera”, szukasz typa, który spotykał się z Alexem Bleachem.

– O tym nie wspominałeś.

– O kosztach czy o Alexie Bleachu?

– O jednym i drugim.

– Znali się. A gość, który przechowuje nagrania, spotykał się z nim na krótko przed jego śmiercią.

– Alex Bleach...

– Nienawidził mnie. To była obsesja. Żałosna obsesja. Nie wiem dlaczego. Pewnie zbyt często robiłem mu przysługi... Chcę uprzedzić fakty i zobaczyć ten wywiad, nim ktoś go upubliczni... i mam wiele powodów, by sądzić, że właśnie ty możesz mi w tym pomóc.

Nie wie, dlaczego Bleach zawziął się na niego... Hiena uważnie mu się przygląda: ile razy polecał jej, by zajęła się przypadkiem Bleacha? Jeśli wrogość Alexa była po prostu manią, można również powiedzieć, że była wzajemna. Kto jak kto, ale ona doskonale wie, jaką Alex miał reputację: gwałciciel, brutal, antysemita, podejrzany o konszachty z islamistami i defraudację pieniędzy publicznych. To jej dzieło, podejmowali temat wiele razy. Gdyby żył, można by go jeszcze oskarżyć tylko o pedofilię. Dobrze zna jego akta, bardzo dobrze. Jeśli Bleach odgadł, kto jest zleceniodawcą brutalnych ataków na jego osobę, miał powody, by pragnąć całkowitego zniszczenia małego imperium Dopaleta.

Alex był idealnym celem – wystarczająco eksponowany dzięki swojej sławie, by dowolna bzdura na jego temat wywoływała plotki, lecz pozbawiony solidnej ochrony, tak że można było sięgnąć po każdy środek, by go zniszczyć. Dziennikarze byli zachwyceni. W ich oczach gość uosabiał wszystkie znienawidzone cechy poprzedniego stulecia, reprezentował to, co nazywali „myślą wspólnotową”, ideologią, która chciała postawić tamę brutalności, przeciwstawiając jej kilka zasad etycznych czy szlachetne odruchy... Nikt spośród ludzi zatrudnionych w przemyśle rozrywkowym nie staje już w obronie tej wspólnotowej myśli prócz trzech czy czterech egzaltowanych beatników w rodzaju

Alexa Bleacha. Można ich policzyć na palcach jednej ręki, raz na pięć lat wydają nową płytę i mówi się, że sprawują dyktat. Media rzucały się na wszystko, co mogło zaszkodzić jego wizerunkowi. Irytowało je, że ten czarnuch wie dzie beztraskie życie. Trzeba przyznać, że z tą anielską buźką i głosem croonera musiał posuwać więcej dup niż wszyscy redaktorzy naczelni pism razem wzięci. Oskarżenia o gwałt czy akty przemocy na pewno nie zniechęciły do niego dziewczyn, wiadomo, że laski hetero za tym przepadają. Kiedy zmarł, wszyscy jednogłośnie zaczęli chwalić jego talent, ale uczucie ulgi było wyczuwalne w każdym artykule. O jednego mniej. Alex Bleach należał do tych bardzo nielicznych artystów, którzy nie są synami żadnej osoby z branży.

Dopalet kłamie jak najęty, patrząc jej prosto w oczy przy świadku, jakby nigdy wcześniej nie rozmawiali o Alexie Bleachu.

– Bleach często do mnie wydzwaniał, ubliżał mi, wysyłał mi maile z wyzwiskami... Wahałem się, czy to zgłosić, ale z powodu jego sławy to było kłopotliwe... Wyobrażasz sobie reakcję prasy, gdyby się okazało, że całkiem mu odbiło?

– A jednak można powiedzieć, że nigdy się z nim nie rozstałeś.

Dopalet nie znosi bezczelności, nawet w homeopatycznej dawce. Hiena może wyczytać w jego spojrzeniu „poczekaj jeszcze trochę”, ale na razie uważa, że jej potrzebuje. Wstaje i nie patrząc w jej stronę, oznajmia: „Potrzebuję szybkich rezultatów”.

Potem wychodzi z baru, nie regulując rachunku i nie mówiąc do widzenia, z telefonem znowu przyklejonym do ucha. Co za dupek. Hiena szuka wzroku asystentki, ale w jej oczach widać tylko satysfakcję, że szef odzyskał pewność siebie.

Sylvie siedzi po turecku na wielkim biurowym fotelu i czyta horoskopy Roba Breznsy'ego, horoskopy w „Village Voice”, na stronie „The Huffington Post” i w „Le Figaro Magazine”, potem horoskopy pisane przez Susan Miller. Robi to samo od lat. Życie wyregulowane jak mechanizm zegarka. Trzeba będzie to wszystko zmienić. Wstawała o szóstej, robiła sobie herbatę i włączała komputer, słuchając radia, bardzo cicho. Otwierała swoje profile na Facebooku – ma ich trzy. Dwa fejki służą jej do zamieszczania komentarzy, za które nie chce brać odpowiedzialności na swojej prawdziwej stronie, do sprawdzania wierności kochanków czy zastawiania pułapek na znajomych. Założyła swój pierwszy fałszywy profil, żeby się zemścić na uczniakach z liceum, którzy naprzykrzali się jej synowi. Misja została wykonana, a ona zasmakowała w labilnych tożsamościach. O siódmej trzydzieści szykowała śniadanie dla Lancelota, kawa z cykorii, opiekany bajgiel posmarowany śmietankowym serkiem Philadelphia, i wchodziła do jego pokoju, żeby go obudzić. Rozsuwała story i zaczynał się prawdziwy dzień.

Lancelot szedł na uczelnię, a ona zaczynała grać w internecie. Candy Crush, Ruzzle, Criminal Case – i tak spędzała rano. Po południu miała spotkania: pilates, manicure, aqua gym, fryzjer... Starła się być w domu przed Lancelotem, nie wyobrażała sobie, by jej syn wracał do pustego mieszkania.

Odszedł przed dwoma tygodniami. Z entuzjazmem spakował swoje rzeczy do pudełek. A przecież trzeba go było prosić dziesięć razy, zanim cokolwiek zrobił, stękając z byle powodu. Posortował ubrania, poskładał książki, wyrzucił papiery, które wały się po jego pokoju od lat. Nie musiała mu w niczym pomagać, jego skuteczność rozdzierała jej serce. Najgorsza była ta radość. Uprawniona, zrozumiała, możliwa do przewidzenia. Ale tak trudna do zniesienia.

Kiedy był mały, całusy syna były dla niej najlepszym pocieszeniem. Wspomnienia jego dzieciństwa są takie wyraźne, wcale by jej nie zdziwiło, gdyby

za kuchennymi drzwiami ujrzała Lancelota, jak stoi na taborecie i szpera w szafkach, szukając tabliczki czekolady. Trzeba było chować słodycze wysoko, bo objadał się nimi bez umiaru, aż robiło mu się niedobrze. To wszystko już skończone. To drobne ciało, które obsypywała pieszczotami. Jego maleńkie stópki, poszewka kołdry z bohaterami serialu *Dragon Ball Z*. Gdy skończył szesnaście lat, było trochę trudniej. Nigdy nie przestała go kochać, ale mogłaby go zamordować za futbol i chamskie reakcyjne teksty, jakie jej stale serwował. Czowała się zraniona i zdradzona, zawsze tak dobrze się rozumieli. Trzy lata spięć, potem to minęło. Jej syn ma prawicowe poglądy. Z początku myślała, że chce ją po prostu wkurzyć, ale w końcu musiała się z tym pogodzić: dzisiaj nie wszyscy młodzi inteligentni ludzie muszą popierać lewicę.

Jest zakochany. W jakiejś małpie, która udaje damę, ale nie potrafiłaby wyjąć pizzy z piekarnika. Ta mała jest praktykującą katoliczką. Oby tylko od razu nie urodziła mu bachora... Znaleźli sobie dwa pokoje w XIX dzielnicy. W wyjątkowo przygnębiającym miejscu, gdzie nikt nie chciałby mieszkać. Obie turkawki są raczej uczulone na kwestie islamu i judaizmu, więc na pewno będą szczęśliwe przy metrze Crimée. Lancelot pokazał jej swoje mieszkanie z głupkowatą radością, jaka cechuje go od chwili, kiedy się zakochał. Wie, że musi się od niej oddalić. Matki się nie zabija, od matki się odchodzi. Nigdy nie dała z siebie tak wiele żadnemu mężczyźnie, bo nikt inny nie dał jej tyle szczęścia. I nie zostawił po sobie takiej pustki.

Vernon pojawił się w idealnym momencie. Tak wiele wspomnień powraca, od kiedy u niej jest. Gdy przychodziła do sklepu z płytami, otwierał jej biuro na zapleczu, by mogła dyskretnie skręcić sobie jointa. Zamykała drzwi i ściągała kreski heroiny, której jeszcze wtedy nie wstrzykiwała. Nie mówiła o tym nikomu, w świecie rocka wszystko jest dozwolone oprócz najlepszego z narkotyków. Odstawiła herę w czasie ciąży, wróciła do niej, gdy zaczęła karmić dziecko smoczkiem, i rozstała się z nią naprawdę dopiero w klinice w Szwajcarii, kiedy Lancelot uczył się czytać. Trudno jest być dobrą narkomanką, niewielu ludziom się to udaje. Dobrzy narkomani, tak jak dobrzy pijacy, to ci, którzy umieją radzić sobie

z nałogiem. Niełatwo znaleźć stan równowagi – sprawować kontrolę nad ulubioną substancją, ponieważ powoduje, że tracimy głowę. Należała do tej elity. Ale w wieku trzydziestu lat uświadomiła sobie, że rozsądne dozowanie dragów nie wystarczy: starzała się szybciej niż inni. Odstawiła. Po piętnastu latach wciąż marzy o małych łyżeczkach, o dilerach, którzy się spóźniają, i o przygotowanych banknotach. Zobaczy, jak będzie z menopauzą. Jeśli to rzeczywiście takie trudne, jak mówią, zamierza wrócić do twardych narkotyków, teraz, kiedy Lancelot odszedł, a jej uroda i tak już zanika, dlaczego nie miałyby się trochę zabawić. Zawsze marzyła o domu seniora, w którym można by wybrać sobie rodzaj kuracji – MDMA kokaina haszysz morfina czy crack... Skoro i tak sprawa jest przegrana, dlaczego nie mielibyśmy po prostu odlecieć?

Czasy Vernona, słowo Rewolwer, wypisane czerwonymi literami na czarnej fasadzie sklepu płytowego. To było inne życie. Nie była jeszcze mamą. Gdyby ktoś jej wtedy powiedział, że któregoś dnia oszaleje na punkcie Vernona Subutexa, wzruszyłaby ramionami... Była czarująca, była zabawna, miała wszystkich chłopców u swoich stóp. Bardzo lubiła sprzedawcę płyt, ale miała inne priorytety. Woląa muzyków. Groupies mają złą prasę, ale właśnie dlatego, że mogą robić to, o czym marzą chłopcy, nie mogąc sobie na to pozwolić: obciągnąć całej grupie w ciężarówce.

Gdyby Alex nie umarł przed kilkoma dniami, przypuszczalnie nie dałaby szansy Vernonowi. Jego nazwisko niewiele jej już mówiło. Kiedy na swojej stronie zamieścił link do filmu *La Brune et moi**, a ona dała lajka, wysłał jej prywatną wiadomość i uznała, że to miłe. Potem się dowiedziała, że poszukuje miejsca, gdzie mógłby się zatrzymać na kilka dni, najpierw odmówiła – mój syn właśnie się wyprowadził, myślę o remoncie... Ale Vernon widywał się z Alexem i może mógłby jej pomóc zrozumieć, co się właściwie stało.

Alex Bleach był dla niej kimś ważnym. Później nie była już taką samą osobą. Z czasem przestała myśleć o nim tak często.

Mimo to była przekonana, że kiedyś znów się spotkają, że ją przeprosi, że sobie wszystko wyjaśnią. To nie do pomyślenia, że byli sobie tak bliscy, a jednak są

skłóceni. Teraz Alex nie żyje, nie będzie już szczęśliwego zakończenia historii. Nigdy nie będzie mogła mu powiedzieć prosto w oczy wiesz, tak bardzo cię kochałam, już nie mam ci za złe, ale ta zamordowana miłość to było okropne. Nie odpowie jej zawsze żałowałam że to się tak fatalnie skończyło. Z żadną inną dziewczyną nie byłem tak szczęśliwy jak z tobą. Nie dowie się, w którym momencie zaczął ją okłamywać. Sylvie jest przekonana, że nie zostawił jej dla kogoś innego. Zostawił ją dla kreski heroiny albo fajki cracku. Odszedł, bo nie pozwoliłaby mu się tak wyniszczać. Jego kochanka nie miała ciała, numeru telefonu ani libido, jego kochanką była substancja. Sylvie zna tę namiętność. Nic nie uwalnia tak dobrze od lęku jak narkotyki, żadna kobieta nie jest tak wierna i słodka jak proszek.

Alex był gościem, który na wieść, że sprzedał sto tysięcy egzemplarzy swojego pierwszego singla, zaczął się pogrążyć w otchłaniach depresji. To było nieodrodne dziecko proletariuszy, panicznie bał się sukcesu. Stale odczuwał wstyd. Nazywał to uczciwością. Raniło go wszystko, co było choć trochę wyrafinowane. Zaproszenie na drinka do baru w luksusowym hotelu mogło się zakończyć katastrofą – płakał z wściekłości. Wszystko go raniło. Sylvie powiedziała mu, że ma bardzo wielu przyjaciół. Chce czuć się wszędzie jak u siebie, nie pozwolić się onieśmielić, nigdy nie okazać zakłopotania.

Sylvie bezgranicznie kochała Alexa. Oddała mu się, nie wyobrażając sobie, że mógłby ją zdradzić. A jednak bycie przyjaciółką Alexa miało nie tylko dobre strony. Były rzeczy przyjemne – przejść przed wszystkimi, omijając kolejkę, widzieć, jak zmieniają się twarze ludzi, gdziekolwiek się pojawią, jak na dźwięk jego nazwiska zwalnają się najlepsze hotelowe pokoje... ale prawdziwe chwile chwały przeżywała wtedy, gdy schodził ze sceny i szukał jej wzrokiem, by poznać jej opinię. Było dobrze? Było genialnie. Dopóki nie wyraziła zdania, oceny innych – owacje tłumów w Zenicie – nie były decydujące. Stać się dla niego osobą niezbędną, to był twardy narkotyk. Lubiła ścianę fleszy, zazdrość ładnych dziewcząt, wrzaski dziennikarzy, tę atmosferę wyjątkowości i zagrożenia. Nigdy nie uskarżała się na swoją pozycję – zawsze twierdziła, że nie słyszy obrzydliwych

docinków, jakich nie szczędzi się tej, która zajęła miejsce faworyty u boku bohatera dnia. Nigdy by nie pomyślała, że status „oficjalnej” budzi tyle wrogości – ludzie z otoczenia gwiazdy toczą z sobą walkę o wszystko i zgadzają się tylko w jednym: jego dziewczyna szkodzi mu najbardziej. Zaciskała zęby i uśmiechała się, pozwalała szeptać księciu do ucha plotki i wyrzuty. Była przy nim po to, by go wspierać. Chlipał od samego rana, wstając z łóżka, gromadziła całą swoją energię, by go postawić na nogi, jak trener bokserki krząta się w narożniku swojego zawodnika. Nigdy nie widziano tak słabego giganta. Nikt by nie odgadł, że ten arogancki brutal, który doprowadza do szaleństwa widowień w całej Francji, zmienia się w konającego pieska, gdy tylko oddała się od jupiterów.

Zniknął z dnia na dzień. Zostawił jej wiadomość na automatycznej sekretarce. Zobaczyła twarz nowej dziewczyny w tabloidach. Nigdy więcej się nie zobaczyli. Nigdy nie zrozumiała, co się właściwie stało. Musiała sama wymyślić sobie wiarygodną historię, która pozwoliła jej przejść do czegoś innego. Kiedy jesteśmy młodzi, wierzymy, że rany się zblizniają; okazało się, że bez amputacji nie zdoła tego przeżyć.

Myślała o tym rzadziej. Aż do śmierci Alexa. I pojawienia się Vernona Subutexa. To się stało samo. Zrozumiała, co się wydarzy, gdy otworzyła mu drzwi. Lecz nie sądziła, że dojdzie do tego tak szybko. Już pierwszego wieczoru wszedł do jej pokoju, dwa tygodnie temu. Odtąd są nierozłączni.

Dziś na kolację przychodzą do Sylvie koleżanki, umówiły się już dawno temu. Vernon zmył się, gdy tylko mu o tym powiedziała. Nie chce się narzucać. Wziął swoją torbę, musi się spotkać z kumplem, wróci dopiero jutro. Wybuchnął śmiechem, gdy zaczęła nalegać, żeby spędzili noc razem, spytał, o której może wrócić. Długo całował ją przed wyjściem. W kontakcie z nim się rozplęwa. Tak dawno tego nie czuła. Smak skóry i bluźnierstwa, dzikiego i niebezpiecznego chłopca. Vernon jest czuły, Vernon posuwa ją w boski sposób, Vernon jest trochę niepokojący. Vernon ma naprawdę wszystko, żeby się podobać.

Wychodzi, by złapać taksówkę na placu d'Iéna. Ambasada Somalii jest oblegana jak co dzień, długa kolejka stoi na chodniku. Wieża Eiffla wydaje się tak

bliska, że można by jej dotknąć, wyciągając dłoń. Serce podchodzi jej do gardła, kiedy wsiada do auta, w środku zalatuje niemytym samcem. Wystukuje na swoim samsungu zalotne esemesy do Vernona. Nie odpowiada od razu. Niepokoi się. Zapomniała, co to znaczy być zakochaną idiotką. Zimowe słońce, przed południem okolice Madeleine są puste, imponujące bulwary i Sylvie może w nieskończoność podziwiać piękno stolicy. Nigdy nie mieszkała dłużej w żadnym innym miejscu – kilka miesięcy w Nowym Jorku, parę tygodni w Los Angeles, lubiła Stany Zjednoczone, jak wszyscy, w latach osiemdziesiątych. Jednak nie wraca już tam z tym samym entuzjazmem – jedenasty września to był dzwonek na koniec przerwy. Uwielbia Rzym, lubi Londyn, dobrze czuje się w Andaluzji. Ale nic nie może się równać z Paryżem. Przez szybę taksówki Sylvie obserwuje trzy dziewczynki idące z naprzeciwka. Małe Rumunki. Widzi, jak jedna wsuwa dłoń do plecaka japońskiej turystki, scena rozgrywa się zbyt szybko, by mogła zareagować. Przejeżdża przed cukiernią Marcolini, grupa Rosjanek filmuje czekoladki. Przed Printemps z turystycznych autokarów wysypują się grupy Chińczyków. Sylvie nie przechadza się już po luksusowych działach wielkich magazynów.

W Galeries Lafayette Gourmet kupuje wielkie pudło ciastek od Sadaharu: wie, że tego wieczoru wymienią z koleżankami na pół rozbawione, na pół przerażone spojrzenia, gdy Laure nie będzie mogła oprzeć się pokusie, żeby je wszystkie zjeść. Jakby jej dupa nie była dość szeroka... Gdy Laure przychodzi na kolację, Sylvie dyskretnie kieruje ją w stronę sofy z obawy, by pod jej wielkim zadkiem fotel się nie załamał. Gdy mówią o facetach, Laure bierze udział w rozmowie, jakby należała do bandy. Ale dla tej dziewczyny z niewiarygodną gębą i manierami kierowcy ciężarówki alkohol jest jedyną szansą, by czasem coś zaliczyć. To musi być straszne, mieć taką powierzchowność, której żadna dieta, żadna siłownia czy chirurgiczny zabieg nie może poprawić.

Marie-Suzanne przypuszczalnie skupi na sobie uwagę przez większość wieczoru, czytając im esemesy, jakie dostaje od Bernarda. Od bardzo dawna utrzymuje z tym podstarzałym lowelasem cudzołożny związek i zachowuje w telefonie każdy jego mail i wiadomość tekstową, by koleżanki mogły popisać się

inwencją, wyjaśniając ich treść. Starają się jej nie mówić tego, o czym wszystkie wiedzą: dajesz się zwodzić, biedactwo, to jasne, że bzyka wszystko, co się rusza.

Kiedy Sylvie opowiadała Vernonowi o swoich kumpelkach, przerwał jej, wyciągając otwartą dłoń, i zaśpiewał *Stop! In the Name of Love*, a potem spytał: „Ale czy lubisz choć jedną z tego grona?”. Sylvie jest *bitchy*. Jest paryżanką. Najbardziej lubi u koleżanek to, że może je zniszczyć, gdy tylko odwróci się do niej plecami. Gdyby rozmowa nie była sarkastyczna, trudno byłoby uznać ją za ciekawą. W pewnym sensie urządza ją to, że Vernon nie został w domu. Ma ochotę opowiedzieć o swoim nowym kochanku, który na jakiś czas się u niej zatrzymał, ponieważ mieszka teraz w Kanadzie – przed koleżankami uda, że w to wierzy, chociaż wie, że Vernon kłamie. Nic nie wie o Kanadzie. Sylvie sądzi raczej, że jego była wyrzuciła go z domu i że wymyślił tę historię, by znaleźć dach nad głową... Powie jej prawdę, gdy będzie ją darzył większym zaufaniem. To nic takiego, wszyscy chłopcy kłamią.

Może się założyć, że zaraz po przyjściu każda z dziewczyn zawoła: „Ależ kwitnąco wyglądasz!”. Bo to przecież widać – dobry numerek wpływa lepiej na cerę niż seans talasoterapii, więc po dwóch tygodniach szalonego rżnięcia wygląda, jakby ubyło jej dziesięć lat. To on pootwierał czakry, ot tak. Powie im, że jest prawie w jej wieku, te ścierki rozpowiadają, że bzyka się z młodymi, bo boi się dorosłych mężczyzn, wie, bo ktoś uprzejmie jej o tym doniósł... To proste: gdyby któraś z nich przespała się z Bradem Pittem, wszystkie by grymasiły, że Brad jest już cieniem samego siebie. W rzeczywistości będzie je przypiekała żywcem na ogniu zazdrości, opowiadając o swoim kochanku rockersie, niepokornym i uczuciowym. Zaczeka, aż wszystkie przyjdą, postawi prażone migdały przed Laure, a gdy dziewczyny zaczną się niecierpliwić: „No, opowiadaj, co się takiego stało, że wyglądasz olśniewająco?”, opowie im, że podkochał się w niej, gdy miał dwadzieścia lat, ale czekał aż dotąd, żeby jej to wyznać. Uważa, że bardzo ładnie się zestarzał, i ma ochotę korzystać z życia jako singielka, teraz, gdy Lancelot odszedł. „Cholera, dziewczyny, co ja mam wam powiedzieć, nikt nigdy mnie tak nie pieprzył, jak miałabym nie zakochać się w nim do szaleństwa?”

To nie do końca fałsz. Radzi sobie w łóżku. Ma wprawę, ale też wady facetów, którzy zaliczyli zbyt wiele dziewcząt, rzną je taśmowo i w końcu tracą feeling. Zyskują technikę, lecz tracą zapał. Jednak nie wspomni o tych niewielkich minusach. Przedstawi im raczej swoją teorię zegara biologicznego: przychodzi taki moment, gdy ciało rozumie, że zostało mu już tylko kilka wspaniałych lat i jest gotowe na ostatni pokaz fajerwerków – szczytuje jak nigdy dotąd. Tak w każdym razie im powie.

Jest zadowolona, że nie chciał zostać, choćby dlatego, że może poczuć, jak bardzo jej go brakuje po zaledwie kilku godzinach nieobecności. I będzie się czuła o wiele swobodniej, jeśli zdoła wysłać go do dentysty na porządne piaskowanie zębów, zanim go komukolwiek przedstawi. Poza tym jest OK. Fizycznie dobrze się prezentuje i ma sporo wdzięku, gdy mówi. Kiedy zorganizuje następną kolację, z przyjemnością zaprezentuje dziewczynom swoją bestię.

Będzie się miała na baczności. Jeśli o nią chodzi, przespala się z większością stałych partnerów koleżanek. Facet musiałby być naprawdę okropny lub mieć problemy z higieną, by tego nie spróbowała. Czy może być coś bardziej ekscytującego niż facet dziewczyny, z którą jest się blisko? Zwłaszcza gdy wyglądają razem na szczęśliwych? Szybka laska w windzie leczy z wszelkiej zazdrości wywołanej szczęściem innych ludzi.

Sylvie przystaje przed witryną Eres, komplet haftowanej bielizny z żółtej satyny przyciąga jej wzrok. Nie planowała tego, ale teraz, gdy o tym pomyśli, wydaje się jej, że powinna kupić sobie bieliznę, której nie wkładała dla nikogo innego. Mieć go w głowie, bez przerwy. Gesty, jakie wykonuje, kiedy się pieprzą. Myśl o tym jest chyba nawet bardziej szalona niż sama czynność. To gorączka, ustawiczna, gdzieś w tle, obrazy bardzo nieprzyzwoite i tym bardziej ekscytujące, że towarzyszą jej na ulicy. Od jak dawna nie przeżyła historii z mężczyzną, który ją pociąga i jest wolny? Od jak dawna nie snuła wakacyjnych planów z chłopcem, który nie jest jej synem? Zaproponuje mu, by spędzili tydzień nad basenem w hotelu Chateau Marmont, Vernon na pewno skojarzy, o co chodzi. Wynająć samochód, powłóczyć się z nim po Amoeba Music. Faceci twierdzą, że nie lubią

być na czyimś utrzymaniu, ale całe jej życiowe doświadczenie dowodzi czegoś wręcz przeciwnego. Uwielbiają być rozpieszczani przez kobiety, z którymi sypiają. Fantazje sutenera? Być może. W każdym razie lubią, kiedy się im dogadza.

Wybiera kilka kompletów i zamyka się w kabinie. Przed miesiącem przymierzała rzeczy najszybciej, jak to możliwe, ale pożądanie Vernona pogodziło ją z własnym wyglądem. Dziś patrzy na siebie w satynowej bieliźnie i widzi bardzo ładną dziewczynę. Wysiłek się opłacił. Mięśnie trójgłowe i mięśnie klatki piersiowej stwardniały, piersi są uniesione. Brzuch jest bez zarzutu, mięśnie pośladków napięte, łydki na tyle wyrzeźbione, by podkreślić szczupłe kostki. Sylvie odwraca się, patrzy na siebie – niezła sztuka. Nie jest jeszcze gotowa, by skupić się na twarzy. Pierwsze zastrzyki z botoksu miały cudowny skutek, ale nie trwało to długo. Przedłużone włosy pozwalają zapomnieć o niedoskonałościach owalu twarzy. Nie miała jeszcze żadnego poważnego zabiegu. Czeka, aż będzie o dziesięć lat starsza.

Dopóki jesteśmy młodzi, nic nie rozumiemy z okrutnego procesu, który nas dotyka. Choć przecież o nim wiemy. Ale go nie dostrzegamy. Sylvie, jak wszystkie młode dziewczęta, myślała, że jej uroda to walor, którym dysponuje: zestarzeje się, ale pozostanie piękna. Tkwienie we własnej skórze stało się tragedią, straszliwą niesprawiedliwością, na którą nie może się nikomu poskarżyć. Bardzo długo sądziła, że jeśli dołoży starań, wszystko będzie dobrze.

To się skończyło pewnego lata. Brała prysznic, by ochłodzić ogorzałą skórę i spłukać sól. Kiedy się wycierała, stwierdziła ze zdumieniem, że wyczuwa piasek pod piersiami. Potem uderzyła ją oczywista rzecz. Stała oszołomiona, ugodzona niewidzialną strzałą. W samo serce. Zrozumiała: gdy już opadną, trzeba je podnosić, żeby się opłukać. Przypomniała sobie test z ołówkiem – gdy była mała, kobiety o tym mówiły: jeśli ołówek wsunięty pod piersi nie spada, to koniec. Podniosła oczy, by spojrzeć na swoje odbicie w zaparowanym lustrze, od jakiegoś czasu nie oglądała się nago. Zawsze w bieliźnie albo w kostiumie kąpielowym. Od tego się zaczęło. I ten epizod nie wydarzył się ostatniego lata.

Ale dziś wykorzysta to ciało: będą się bzykać jeszcze zawzięciej niż wtedy, gdy była młoda i nie wiedziała, że trzeba z tego jak najszybciej korzystać.

Przez cały czas chce być z nim. W sumie żałuje, że nie odwołała tej kolacji w gronie koleżanek – ludzie żyjący w pojedynkę twierdzą, że nie chcą już, by przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ktoś się do nich przyklejał, że taka jedność jest do niczego i że nią pogardzają, ale pogardzają nią tylko wtedy, gdy myślą o innych. Robi sobie wiele portretów w rozmaitych kompletach, przybierając korzystne pozy, przynajmniej raz oświetlenie kabiny jest dla niej łaskawe. Potem wysyła najlepsze ujęcia na jego Facebooka jako wiadomość prywatną i pisze: „Naprawdę wolałabym mieć cię dziś w moim łóżku, powinnam była zostawić ci klucze. Naprawdę nie chcesz wrócić?”. Chce jego kutasa, jego dłoni, jego żartów, chce oglądać z nim telewizję, chce czuć jego zapach, chce jego ciała... Nie wiedziała, że jest gotowa na tak wielką przygodę.

* *Brunetka i ja* – kultowy film Philippe’a Puicouyola z 1981 roku, ukazujący francuską scenę muzyki punkrockowej i *new wave* z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku.

Niech się od niego odczepi, litości, niech się od niego odczepi! Słucha Johnny'ego Casha, popijając piwo. Wzdycha. Przez dziesięć dni miał ją na głowie non stop. Ta dziewczyna zaczyna mówić, gdy tylko otworzy oczy. Wysysa całe powietrze. Pierwszego wieczoru to mu się podobało, ale szybko do niego dotarło, że ona bez przerwy nadaje, wspierając głowę na jego ramieniu i obserwując każdy jego gest. I nie da się pomyśleć o czymkolwiek innym, kiedy tak stale kłapie. Ta laska nie może znieść, gdy się choćby na chwilę zamyśli. W sumie niewiele znosi. Vernon za dużo pali, źle się odżywia, ma dyskusyjne poczucie humoru, rośnie mu brzuch, za długo siedzi w łazience, nie jest zbyt czytany... Ile piw wypiełeś, wiesz co, dużo palisz nie otworzyłbyś okien, wystarczy, teraz zamknij, zrobiło się zimno, za bardzo hałasujesz nie mogę zasnąć, posłuchaj nie mógłbyś wkładać talerzy do zlewu kiedy skończysz jeść... Co, słuchasz tego syfu? Podoba ci się Stromae? Muszę cię poznać z moim synem, posłuchacie sobie razem tej gównianej muzyki. I pomóż mi wreszcie, szykuję żarcie więc marsz do kuchni obierzesz mi to, i wynieś śmieci, potrafisz naprawić szafę? Nie? Jej drwiący uśmiezek. Ach, mężczyźni, wszyscy są tacy sami: do niczego. I miny małej dziewczynki, kiedy go pocałuje – litości, kobieto, masz już swoje lata, przestań udawać dziecko, kiedy mnie całujesz, a poza tym nie całuj mnie przez cały czas, nie jestem pluszowym misiem...

Z początku traktował to pobłaźliwie. Tak bardzo chciał wierzyć, że to im się uda. Kiedy się u niej zjawił, nawet trochę spanikował: Sylvie była urzekająca, wyglądała jak bohaterka filmu Hitchcocka, klasyczna czarna suknia za kolano, wysokie obcasy i upięte włosy. Zrozumiał, że będą się pieprzyć, i przestraszył się, że nie stanie na wysokości zadania. Sylvie była jedną z jego wielkich młodzieńczych fantazji. Mieszkanie wydało mu się dość nijakie: grube dywany, staroświeckie złocenia, pejzaże na ścianach, jak u zamożnej cioci w latach osiemdziesiątych. Za to sofa była wygodna, a ekran telewizora ogromny. Pieniądze

sprzyjają kobietom, a fakt, że była lekko naruszona przez czas, sprawiał, że wydawała się jeszcze bardziej pociągająca, trochę bardziej bezbronna. Co chwila zakładała nogę na nogę, spoglądając na niego, wybuchała śmiechem po każdej jego refleksji, pochylała się naprzód, by słuchać z zaciekawioną miną. Zapomniał, jak ożywiamy się w takich właśnie momentach, gdy wiemy, że wszystko jest już na dobrej drodze, a każdy gest potwierdza to wrażenie. Czuł, jak w jego żyłach nabrzmiewa ta charakterystyczna, dziwna euforia: rozkoszne upojenie przed pierwszym pocałunkiem.

Sylvie ma dobrą pamięć. Vernonowi schlebiło, że wspomina imprezy i koncerty, na których się widywali. Sylvie pocieszała go w jego cierpieniu, którego rozmiarów jeszcze nie potrafił ocenić. Nie zdawał sobie sprawy, że ostatnio czuł się aż tak samotny. Słuchali Johna Lee Hookera i Cassidy Wilson. Mówili o Alexie, była poruszona jego śmiercią, uświadomił sobie, że dla niej była to wciąż bolesna historia, i kurtuazyjnie przemilczał, że Alex rzadko o niej mówił, że nie należała do dziewcząt, które coś dla niego znaczyły. Potem powiedziała: „Już późno pewnie jesteś głodny, zobaczę, co mam w kuchni”. Vernon wstał, by poszukać Thee Oh Sees na swoim iPodzie – stanęli twarzą w twarz, zrobiła krok do przodu, pochylił się w jej stronę i nie było już mowy o tym, by mieli zjeść kolację przed czwartą nad ranem.

Pierwszej nocy to była ekstaza. Rozebrał ją powoli, między jednym uściskiem a drugim. Jego gesty były zmysłowe, wykonywał je w zwolnionym tempie. Odkrył, że ma małą panterę wytatuowaną czarnym tuszem między pępkiem a łonem. Ich ciała były zsynchronizowane, w ciemnościach głos Sylvie brzmiał bardziej chrapliwie. Vernon nie pieprzył się od lat – gdy wstał, by poszukać fajek, dostrzegł swoje odbicie w lustrze przy drzwiach wejściowych: uśmiechał się jak gamoń, bezwiednie. A najzabawniejsze było to, że nie był w stanie przestać. Czuł, jak odżywają w nim dawne siły.

Dobrze się rozumieli. W tym domu było dla niego miejsce. Lubiała mu gotować, uwielbiał jej wielkie łóżko, czerwone metalowe puzderko w kształcie serca, pełne trawy, ona lubiała, kiedy nastawiał muzykę, brał pilota i decydował, co obejrzą

w telewizji, lubili te same seriale i spędzili kilka dni w objęciach, za zaciągniętymi storami. Miał wrażenie, że wylizła już swoje rany i że on zdoła opatrzeć własne. Delikatnie się nad nią pastwił, manipulował jej ciałem, miał wrażenie, że coraz mniej udaje i coraz częściej szczytuje. A przecież wiedział z doświadczenia, że trzeba wystrzegać się kobiet, które muszą powtarzać po dziesięć razy dziennie, że uwielbiają mężczyzn. Zwykle kryje się za tym coś brzydkiego.

Wkrótce zaczęła go bombardować negatywnymi sądami na każdy temat i kompletnie go to rozłożyło. Jej zmysł krytyczny, który w pierwszej chwili go bawił, usunął w cień dobry humor. Tylko najgorsze starocie – filmy Billy’ego Wildera, muzyka Coltrane’a czy powieści Flauberta – nie wywoływały jej zapiekłej złości. I niektóre luksusowe marki. Poza tym bez względu na temat rozmowy i nigdy nie milknąc, sporządzała listy oszustów, hipokrytów, kretynów, pozerów, zwykłych kutasów i nieudaczników... Vernon zaczął zamykać się w toalecie. Szedł tam co pół godziny, by mieć trochę spokoju, ale wystawała pod drzwiami i nadal go zadręczała. Nie śmiał już wykonać najmniejszego gestu – strach, że go zbeszta, krępował jego ruchy. Vernon wstawał o szóstej rano, by spokojnie wypić kawę, nim ona się pojawi.

Sylvie nie tylko jest nieprzyjemna jak lodowata mżawka, która przez cały dzień daje się wam we znaki, bywa też groźna, gdy ktoś się jej sprzeciwi. Któregoś popołudnia, gdy szlochała po wizycie u swojego syna w jego nowym mieszkaniu, ponieważ nie mogła znieść, że traktuje ją jak obcą osobę, Vernon chciał trochę rozluźnić atmosferę: „Tak, ale przypomnij sobie, jak nam zależało na widywaniu rodziców, gdy byliśmy w jego wieku”. Odwróciła w jego stronę twarz skrzywioną z nienawiści, potem go zwymyślała – co on może wiedzieć o macierzyństwie, kto pozwolił mu ją pouczać? – a następnie wymierzyła mu kilka solidnych kopniaków, zmuszając go do opuszczenia pokoju. Zostawił ją, aby się uspokoiła, i poszedł zajrzeć do szafki z lekarstwami w łazience, gdzie znalazł leki przeciwłękowe. Od tego dnia każdego ranka zażywał jedną tabletkę, kiedy słyszał, że wstaje. Przypomniawszy sobie blog pewnej młodej dziewczyny, która brała pół tabletki bromazepamu przed każdym stosunkiem analnym. Nigdy więcej nie wyraził żadnej

opinii na żaden temat. Sylvie odnalazła swój rytm: na zmianę przeżywała stany miłosnej euforii i wściekłej agresji, po czym domagała się czułości i seksu, jakby nic się nie stało. Vernon starał się spełniać te oczekiwania z narastającym uczuciem, że całkowicie zamyka się w sobie, i udawał serdeczność tylko po to, żeby uniknąć spięć. Liczył sztychy, myśląc o tym, żeby oszczędzać łądźwie – rżnięcie stało się ciężką pracą, jedynym sposobem na to, by uciszyć ją na pięć minut.

Teraz, zamknięty w hotelowym pokoju, czterdzieści euro za noc, Vernon wreszcie oddycha. Zachowuje się tak jak wtedy, gdy miał swoje miejsce. Wchodzi na strony gazet i notuje tytuły nowych płyt, potem ich słucha, opróżniając kolejne piwa. Nikt mu nie mówi ile piw dzisiaj wypieś, nie kładź skarpet na łóżku są brudne.

Pozostało mu niewiele czasu, by odebrać rzeczy. Nie udało mu się pomówić o tym z Sylvie. Najpierw czekał na odpowiedni moment, a później zrozumiał, że jeśli pożyczycy mu taką sumę, to będzie trochę tak, jakby kupiła sobie szczenię: już nigdy nie zechce mu zdjąć obroży. Zadaje sobie pytanie, czy komornicy spakowali jego rzeczy w pudła, czy wrzucili wszystko do worków na śmieci... Całe jego materialne życie, niewiele przedmiotów, jakie posiada – noże Laguiole zabrane z domu matki, garnki, które kupił w Ikei, kiedy ktoś go tam podwiózł, pierzyna z prawdziwego gęsiego puchu, której używa od trzydziestu lat. Te przedmioty, które oczyścił, zachował i których używał. I papiery. Poświęcił tyle czasu, żeby je posortować. Kilka zdjęć. Karta wyborcza. Nigdy jej nie użył. Listy, na których mu zależało. To wszystko w obcych rękach, ani wrogich, ani życzliwych, w rękach, które zajmują się licytowaniem rzeczy zadłużonych osób. To tak, jakby umarł za życia, jakby skonfiskowano mu przeszłość. Jest tak słaby, że czuje, jak niewidzialny sznur wiąże go z tymi rzeczami, i wie, że kiedy znikną, może rozpuścić się w powietrzu.

Gdyby porozmawiał szczerze z Sylvie o swojej sytuacji, od ręki wyciągnęłaby tysiąc euro, tak jak on płaci za kawę z mlekiem. W jej świecie tysiąc euro to tyle co para skarpetek. Torebka kosztuje więcej. Często mówi: „Mam gdzieś pieniądze”,

jakby to była jakaś wyjątkowa zaleta. Ale nigdy jej ich nie brakowało – zachowała mieszkanie po rozwodzie, dostawała alimenty w wysokości dwóch najniższych pensji i wydawała pieniądze z wynajmu nieruchomości należących do jej rodziców. Kto w tych warunkach przejmowałby się kasą? Vernon też byłby zdeklarowanym poetą, gdyby nie musiał się martwić o zapłacenie czynszu.

Mógłby odpowiedzieć na tę wiadomość na Facebooku: „Skarbie myślę o tobie tak chcę cię już zobaczyć”, odczekać, zjawić się nazajutrz rano z dwoma croissantami, przybrać zakłopotaną minę i wyznać: okłamałem cię nie mam już mieszkania nie śmiałem ci o tym mówić. Dalej wszystko poszłoby już gładko. Zająłaby się wszystkim. Musiałby tylko dyskretnie odłożyć na miejsce kilka tomów z Biblioteki Plejady, które sobie pożyczył, a także złoty zegarek, zapewne jej syna. Wziął, co mógł, zanim wyszedł, kiedy była w wannie. Wmawia sobie głodne kawałki, żeby się uspokoić, obiecuje, że wszystko odkupi, gdy tylko będzie mógł. Usprawiedliwia się: nie zrobił tego z premedytacją. Mówiła o tym wieczorze, wiedział, że się zmyje, wyobraził sobie, jak chodzi po ulicy bez grosza w kieszeni, i złapał dwie czy trzy rzeczy. To małostkowa zemsta. Ale pragmatyczna: sprzedał pięć tomów w księgarni Gibert Jeune, dwa Stendhale i trzy tomy Karola Marksa: sto euro. Gotówką. Podłość tego uczynku nie odebrała mu przyjemności, jaką odczuwał, schodząc w dół bulwaru Saint-Michel w poszukiwaniu hoteliku, gdzie spędzi spokojną noc. Daje radę.

Najtańszy hotelowy pokój z Wi-Fi znajduje się za Bastylią. Zna tę ulicę. Mieszkała tam Céline. To było lato z *Groove Is in the Heart*. Céline była szalona, miała słabą głowę i codziennie piła. Ale zanim z hukiem wywalila go za drzwi, bo myślała, zresztą słusznie, choć nigdy tego nie przyznał, że pod jej nosem podrywa inną dziewczynę, spędzili razem całkiem niezłe lato. Dzielnica była jeszcze wtedy zapuszczona. Co dzień chodzili do kina. Céline była kinooperatorką, miała darmowy karnet do wszystkich sal, z osobą towarzyszącą. Było bardzo gorąco, poszukiwali sal z klimatyzacją. Lubili kino z wielkim ekranem przy placu d’Italie, ale nie wyświetlano tam najlepszych filmów. Lubiała Caraxa i Téchiné, on wołał Scorsese i De Palmę. Nigdy później nie myślał o Céline. Miała niezłe piersi.

Trzy prywatne wiadomości od jakiejś dziennikarki, Lydii Bazooki, która uznała, że nie musi czekać czterdzieści dni, by przystąpić do pisania biografii Alexa. Sępy już się gromadzą wokół nieostygłego trupa, zajmują najlepsze miejsca, zanim go rozszarpią. Laska kontaktuje się przez internet ze wszystkimi, którzy znali Alexa Bleacha, i Vernon jest zdziwiony, że do niego dotarła. Nigdy nie był znaną osobą. Jak wielu ludzi w jego wieku Alex był naznaczony kometą Cobaina. Często powtarzał, że dla przemysłu fonograficznego ideałem jest praca nad zmarłym wokalistą. Dlatego z takim zapalem spycha się ich do grobu. Lydia Bazooka pamięta, że Alex mówił czasem w wywiadach o jego Rewolwerze. Kiedy sklep jeszcze istniał, to była niezła reklama, choć jej efekty były krótkotrwałe. To dziwne, uświadomić sobie po czasie, że Alex tak bardzo chciał mu pomóc, a on nigdy nie widział w tym przejawu życzliwości, raczej chęć potwierdzenia swej siły. Dziennikarka nalega. Aż się prosi, żeby ją olać. Ta śmierć budzi w nim czułość, jakiej dawno już nie doświadczył. Vernon postanawia nie odpowiadać, potem zmienia zdanie i wysyła: „Idę o zakład, że płacą ci za to, żebyś napluła na jego grób”. Chce po prostu zobaczyć swe nieistotne nazwisko na okładce książki i bierze, co jej wpadnie w rękę.

Vernon spodziewa się, że dziewczyna uniesie się honorem lub zacznie usprawiedliwiać. Odpowiada niezwłocznie: „Przywykłam, że płacą mi tyle, co kot napłakał, bez obaw. Ale spotkaj się ze mną i porozmawiajmy, postawię ci kawę za fatygę”. A ponieważ zwleka z odpowiedzią, dodaje: „Uwielbiam twoje oczy na fotografiach, chciałabym cię zobaczyć w realu”. Jest zabawna. Szuka zdjęć Lydii Bazooki w Google i znajduje dwa. Jest nisko zawieszona, ma zbyt duży perkaty nos, rzadkie włosy i bladą cerę. Stara się to zrekompensować prezencją – głęboki dekolt, długie paznokcie, bardzo krótka spódniczka. Wystylizowana pin-up girl, która radzi sobie z tym, czym dysponuje. Świetna. W jej wypadku brak urody zmienia się w zaletę, wysiłki, jakich dokonuje, są wzruszające. Pyta ją, gdzie mieszka.

Znajduje w internecie wiele artykułów, które opublikowała na temat Alexa. Pisze dość chaotycznie, lecz ma to więcej sensu, niż mógł się spodziewać. Jest

prawdziwą fanką, od samego początku. Podczas tych poszukiwań natrafia na mnóstwo tekstów na cześć zmarłego wokalisty. Pojawiły się inne tematy, na portalach społecznościowych już się o nim nie mówi. Lecz w pierwszych dniach po jego śmierci każdy musiał napisać artykuł na ten temat. To strawa dla gawiedzi kłapiącej dziobami w pustce i produkującej słowa, których nikt nie czyta.

Potem Vernon czyta wiadomości utrzymane w przyjacielskim tonie, jakie wysłała mu Louis, dawny klient sklepu, i dziwi się, bo nigdy nie byli w zażyłych relacjach. Louis pisze do niego z entuzjazmem, który wydaje mu się podejrzany – Vernon pamięta chłopaka, który był serdeczny i opryskliwy zarazem, jedno niekoniernie wyklucza drugie. Niepokoi go fakt, że gość zamieszcza na swojej stronie klipy i zdjęcia GBH, The Exploited i Kortatu... Ile może mieć teraz lat? Czterdzieści? Gdy stwierdza, że facet mieszka w Cergy-Pontoise, podtrzymuje tę sympatyczną rozmowę, nie mówiąc mu, że poszukuje chaty. Louis prowadzi księgarnię, lubi zajebiste czarne kryminały i uwielbia wypowiadać swe zdanie na temat aktualnej sytuacji na świecie. Pasjonuje go Syria, jest przekonany, że Baszszar al-Asad padł ofiarą obrzydliwej akcji propagandowej prowadzonej przez Izrael i Waszyngton, sławetną koalicję Żydów i masonów. Należy do skrajnej lewicy, ziejącej nienawiścią, najwyraźniej gotowej, by przejść na ciemną stronę mocy. Tym, co fascynuje Vernona u takich ludzi, jak Xavier, Sylvie czy Louis, którzy nie mają ze sobą zbyt wiele wspólnego, jest fakt, że nie mają żadnych wątpliwości. A przecież widzą, że nikt się z nikim nie zgadza, mogliby wziąć to pod uwagę i zadać sobie pytanie, co zrobić z taką masą sprzecznych opinii. Ale nie, oponenti wydają się ich utwierdzać w głębokim przeświadczeniu, że są nieomylni.

Facebook nie ma już nic wspólnego z tym radosnym bajzlem, w jakim Vernon uczestniczył przed dziesięciu laty. Nie bardzo było wiadomo, czy chodzi o gigantyczną agencję towarzyską, nocny klub, miejsce, gdzie cały kraj dzieli się wspomnieniami. Internet wynajduje równoległą czasoprzestrzeń, historia wpisuje się w nią w sposób hipnotyczny – zbyt szybki, by serce mogło wprowadzić tam nostalgiczny wymiar. Nic nie ma czasu wybrzmieć, pejzaż stale się zmienia. Vernon snuje się po swojej fejsbukowej sieci, jakby wałęsał się po cmentarzu,

ostatni mieszkańcy tych miejsc to oszalałe zombie, które wydają z siebie wrzaski jak zwierzęta laboratoryjne, zamknięte w klatkach, żywcem odarte ze skóry i posypane gruboziarnistą solą.

Lydia Bazooka jest jedyną dosyć zabawną osobą w tej koszmarnej galerii. Vernon rozdziera paczkę chipsów, otwiera piwo i szuka czegoś, co mógłby obejrzeć w telewizji. Wie, że musi przypiekać ją na wolnym ogniu. Jeśli jej zaraz odpowie, przyjemne erotyczne napięcie, które zaczyna ich łączyć, pęknie jak stara gumka. Blokuje Sylvie, która zarzuca go coraz bardziej niespokojnymi wiadomościami. Jedząc, kruszy dokoła siebie, myśląc o Sylvie i jej wrzaskach, gdyby to zobaczyła, obrzuciłaby go wyzwiskami, zaczęłaby mu grozić, po czym przytuliłaby się do niego jak mała dziewczynka, żądając, by powiedział, jak bardzo ją kocha. Jest mu dobrze samemu. Może opłacić sobie drugą noc, nie mówiąc o zegarku, którego jeszcze nie sprzedał, ma schronienie jeszcze przez kilka dni. Mała Lydia Bazooka będzie musiała poczekać.

„*I fink u freeky and I like you a lot...*” – muzyka grupy Die Antwoord unosi się w powietrzu, w dźwiękowym tle. Bar jest pełen ludzi. Na ekranie telefonu – porysowanego na skutek upadku, a przecież właśnie go odzyskała – Lydia nieustannie śledzi swoje ostatnie wpisy na Instagramie, Facebooku i Twitterze. To nałóg. Infouzależnienie. Tego wieczoru czeka zwłaszcza na wiadomość od Vernona Subutexa. Ze względu na pracę. Już prawie zgodził się na spotkanie. Ale to nie z powodu pracy tak ją ekscytuje. Ma na niego ochotę ma na niego ochotę ma na niego ochotę i niczego sobie nie wmawia: zaczął z nią flirtować. Spędziła dwie doby, zaglądając na jego stronę – najmniejszy lajk działał na nią jak ruch frykcyjny, komentarz równał się ejakulacji, a każda prywatna wiadomość wprawiała ją w euforię. W ich wymianie nic nie zostało wyrażone wprost, a jednak mogłaby przysiąc, że nadają na tej samej fali: seks, seks, seks. Ale od wczoraj, od soboty, prawie nie pokazał się na Facebooku, w pośpiechu dał tylko lajka. Wpatruje się w jego stronę, zastanawiając się, co do cholery robi. Oby tylko nie zmienił zdania. Oprócz tego, że ją podnieca, musi się z nim zobaczyć z powodu książki. Bo jeśli chodzi o kasę, wielkiego szału nie ma.

Przy jej stole toczy się dyskusja o biurach obsługi klienta w sieciach telefonii komórkowej, każdy opowiada na ten temat ponurą anegdotę – i przedrzeźnia akcent konsultanta. Ten stół to nie jest idealny line-up. Lydia nie lubi pokazywać się z ludźmi, którzy jej nie imponują. Nie wierzy w udane związki ani w to, że buty Nike są lepsze od czółenek. Trampki są wygodniejsze i zdrowsze dla kręgosłupa, co nie zmienia faktu, że najlepiej wygląda się w szpilkach stiletto. To samo dotyczy osób, z którymi się zadajemy: jeśli na nikim z zewnątrz nie robi to wrażenia, to znaczy, że siedzimy przy niewłaściwym stoliku. Na przykład teraz jest tylko panną Nikt siedzącą przy stole anonimowych osób w nieciekawych ciuchach. Nie ma powodu, by czuła się wyróżniona.

Eseme od Cassandre – siedzą w Mécano. Ponieważ wie, że ta wiadomość nie wystarczy, by Lydia ruszyła tyłek i do nich dołączyła, a Cassandre zależy na tym, żeby przysłała, bo nawet jeśli nie ma przy sobie koki, to ma przynajmniej numer do diler, wysłała drugiego esemesa: „Właśnie zjawił się Paul. Jest sam”.

Zgoda. Lydia blokuje ekran iPhone’a, wkłada go do kieszonki swojej balenciagi, którą nieustannie trzyma na kolanach, to jej jedyna markowa torebka, droga jak diabli, jeżeli ją poplamie albo ktoś ją jej zwędzi, chyba się zabije.

Nie ma koki. Jej diler jest jeszcze na wakacjach. Jeśli nie jedzie akurat na ślub do Normandii, przebywa na południu w domu swojej matki, robi zakupy w Amsterdamie, jest u kumpla w Berlinie albo diluje na jakimś ślubie w Tuluzie. Nie wspominając o tym, że znika na Boże Narodzenie, wyjeżdża na Wielkanoc i na półtora miesiąca w lecie. Ostatnim razem sto dziesięć euro za gram. Nic dziwnego, że dilerzy nigdy nie manifestują na rzecz legalizacji. Byłoby im trudniej w ciągu pół roku trzykrotnie podnieść cenę. Sto dziesięć euro za gram – myślała, że przyjaciele, dla których robiła zakupy, wykluczą ją z imprezy. Prawda jest taka, że sprzedawał gram za sto euro, ale Lydia uznała, że skoro musi fatygować się do Saint-Ouen, a później przechadzać się po mieście z dziesięcioma gramami, tamci mogą się zrzucić także na jej gram. Ale gdy usłyszeli sto dziesięć euro, zdębieli. Zwłaszcza że koka była taka sobie. Zresztą mówiło się na to koka, raczej żeby sobie zrobić przyjemność, bo tak naprawdę to był zwykły speed. O trzeciej nad ranem trzeba było wyciągać wielkie paczki papierowych chusteczek, wszyscy mieli kompletnie zatkane nosy. Ciekawe, co było w środku. Tak czy owak, tego wieczoru nie ma żadnego diler.

Lydia wychodzi z baru, jakby szła na papierosa, nie żegnając się z nikim. Jutro nikt nie będzie pamiętał, że się wymknęła ukradkiem. A gdyby powiedziała im, że wychodzi, miałyby ich na głowie do samego Mécano.

Dziewczyna musi mieć w sobie pewną dozę arogancji, żeby po jedenastej wieczorem iść pieszo z placu Bastylli do metra Oberkampf, na wysokich obcasach, w spódnicy przed kolano. Wszystkie półgłówki są na stanowiskach. Bojownicy o sprawę czują, że powierzono im misję: zatruć życie samotnym dziewczynom na

ulicy. Unikać wszelkiego kontaktu wzrokowego. Iść szybko. Trzymać się prosto, wyobrażając sobie, że ma w torebce od Balenciagi samurajski miecz, jak Beatrix Kiddo. Zamknąć gębę, śmigać. Ciche cmokanie, żeby przyciągnąć jej uwagę. Wyzwiska – dziwko, pindo, gruba kurwo, ty worze na spermę, chodź tutaj, gdzie idziesz chodź tutaj, rasistko, gówniaro zerzniemy cię, masz wielką dupę, uważaj na siebie złotko, ale masz usta mogłabyś mnie possać. Nie zwalniać. Lubi chłopców, lubi ich w sposób pragmatyczny, zachłanny, lubi ich całą skórą i wnętrzem podbrzusza. Ale też z chęcią kilku by zabiła. To powinno być dozwolone – obrona konieczna. Jest was cała zgraja, idziecie za mną i mi wygrazacie – wyciągam miecz i spadają głowy. Przywykła. Trzeba mieć odwagę, by wyglądać na ulicy jak cziksa. Nikt cię nie wesprze na tej ziemi. Ani faceci, z którymi się szlajasz, ani dziunie, które są twoimi koleżankami, ani kolesie, którym nie obciągniesz. Kiedyś na bulwarze Sébastopol jakiś osiłek chwycił ją za przegub, chcąc ją przymusić, żeby za nim poszła, wyrwała rękę, mówiąc „spadaj”, a facet zrobił się cały czerwony, widziała, że zaraz wpadnie w szal i jej przyłoży. Zażądał przeprosin. Przeprosiła, potem wyrwała do przodu. Przez cały czas, gdy ją przytrzymał i groził, nie widziała, żeby ktoś zwolnił czy rzucił na nich okiem. Mógłby ją skopać i zabić na chodniku, ludzie patrzyliby w inną stronę.

Wchodzi do baru. Ty Segall w głośnikach. Lydia dostrzega stolik Cassandre, Paul uśmiecha się na jej widok. Przy stole nie ma już wolnego krzesła, przysuwa się do swojego sąsiada na ławie, żeby jej zrobić miejsce. Przykleja się do niego, nie zdradzając swojego zadowolenia. Nie jest naprawdę ładny. Ale jest sexy. Nigdy nie wiadomo, od czego to zależy, są faceci, z którymi chce się pójść do łóżka. Lubi jego zuchwałość, kiedy ją podrywa. Nie jest agresywny, nie narzuca się. Zmierza prosto do celu. Górna część ciała Lydii na niego nie zważa, jej pierś jest zwrócona w stronę Cassandre, której opowiada o koncercie grupy The Chacals, gówniane nagłośnienie, śmieszne małowaty, tańczące coś w rodzaju postpogo, to było żałosne, ale wzruszające, numery podobne jeden do drugiego, chociaż przy pierwszym kawałku zaskoczenie, bo całkiem nieźle grają, przez chwilę jest odjazd, ale po kilku numerach już nic się nie dzieje i idziemy po piwo. Pod stołem, z dala od

spojrzeń, jej noga znalazła sobie miejsce przy nodze Paula. Ich uda się stykają, choć twarze nie wyrażają żadnych emocji. Rozgląda się wokół, uśmiechnięta, spokojna. A w jej brzuchu odbywa się szalona gonitwa, ma ochotę wziąć go do ust, w podnieceniu pomieszanym z uczuciem wdzięczności – to cudowne, że on ma chęć na to samo. Zerka jednak na ekran swojego iPhone'a, Vernon nadal nie wysłał jej żadnego newsa. Przykre. Paul to zauważył:

– Czekasz na kogoś?

– Nie. Tak sprawdzam. Wiesz, piszę biografię Alexa Bleacha i czekam na odpowiedź od jego przyjaciela, mieliśmy się spotkać i porozmawiać, ale chyba wystawia mnie do wiatru...

Skrzyżowali kostki, dłonie leżą na stole, nie biorą udziału. Jego oczy tak jej się podobają – sposób, w jaki się nimi uśmiecha. Od miesięcy krążą wokół siebie i nigdy nie było okazji. Czuje, że robi się wilgotna, co podnieca ją jeszcze bardziej. Nie myślała, że będzie taki bezpośredni. Potrafi sobie radzić także z nieśmiałyimi, ma swoje sposoby, by im pomóc wykonać pierwszy krok, lecz gdy wiedzą, czego chcą, to jest elektryzujące. Cassandre im się przygląda, ale w ich zachowaniu nic nie zdradza tego, co dzieje się poza kadrem. Uważa, że to wstrętne, że Lydia tak często zdradza swojego chłopaka. Ale zacznijmy od tego, że Cassandre jest zbyt ładna, by sypiać z byle kim. Jest wybredna, normalne przy takim wyglądzie. Lecz koniec końców Lydia odnosi wrażenie, że źle na tym wychodzi. Że nie korzysta z życia. Po co właściwie udawać nieosiągalny ideał i nudzić się jak mops w łóżku, żeby pozostać wierną, gdy twój superfacet na superstanowisku jak zwykle wyjechał służbowo za granicę – lepiej być zwykłą laską, która może zaszaleć, przespać się z każdym chętnym i w miarę do rzeczy facetem. Nie będą zbyt długo młode i akurat są w wieku, gdy seksualna chcica nie jest jeszcze żalosna.

Paul szepcze Lydii do ucha obojętnym tonem:

– Przepraszam, że od jakiegoś czasu nie odzywam się do ciebie na fejsie, moja mnie pilnuje, żebym nie pisał z dziewczynami.

– Jest zazdrosna?

- Piekło na ziemi.
- Ma rację. Mój facet też jest zazdrosny.

Pod stołem ich nogi przywierają do siebie i wolno się pocierają, każdy milimetr ciała daje do zrozumienia, że czeka ich dziki seks. Końcowe odliczanie jest trudne do zniesienia. Lydia nigdy nie myślała tak uporczywie o swoim kolanie, które szuka jego kolana. Cassandre pochyła się nad stołem i pyta ją szeptem:

- A masz... farlopę?

Po sześciodniowych wakacjach w Barcelonie nie może powiedzieć normalnie koks, charlie czy po prostu kokaina – tylko farlopa. Lydia też pochyła się w jej stronę i daje znak, że nie:

– Nic. Chcesz coś? Może jeden kupel kręci się po dzielnicy, przesiaduje w barze o dwie ulice stąd. Mam sprawdzić?

Tak, Cassandre jest bardzo zainteresowana. Trudno jej spędzić wieczór, jeśli nie ściągnie kreski. Opowiada, że bierze tylko sporadycznie. Ale kiedy nic nie ma, poruszyłaby niebo i ziemię, żeby coś załatwić. To genialna wymówka, Paul bierze marynarkę:

- Jeśli masz jakiś plan, też jestem chętny. Mogę iść z tobą?

Cassandre tak bardzo zależy na tym, by przypudrować nos, że nie zwietrzyła podstęp. Zwykle jest bystrzejsza. I bardziej perfidna. Ale za bardzo chce jej się wciągnąć kreskę, by zwęszyła, co naprawdę się dzieje.

Na dworze robią parę kroków, kontynuując rozmowę o ostatnim koncercie Gossip, skręcają za rogiem, Paul widzi, że jakaś para wchodzi do kamienicy, szybko blokuje drzwi, nie przerywając rozmowy, jakby jedno z nich wracało do domu i kończyło dyskusję, zanim ściągnie windę. Para nie zwraca na nich uwagi, nie odwracając się, wchodzi na schody. Paul wciąga Lydię do bramy, za windą jest pusty kąt. Całują się po raz pierwszy i wypili dość alkoholu, by każdy gest był płynny, ale zbyt mało, by robić szalone rzeczy. Jutro będzie pamiętała tę chwilę w najdrobniejszych szczegółach. Wprawdzie nie tylko to interesuje ją w życiu, ale to interesuje ją w sposób szczególny: po raz pierwszy się całują, po raz pierwszy

podnosi jej sweter i kładzie dłoń na staniku, potem wsuwa opuszki palców, żeby go opuścić, pozbyć się go, po raz pierwszy położyła dłoń płasko na jego kutasie jeszcze w spodniach i był tak twardy, że omal nie zemdlą, po raz pierwszy zgiął dłoń w przegubie, by ją położyć na cipce, a dwa palce od razu wśliznęły się do środka i posiadł ją, robiąc palcówkę jakiej nikt nigdy jeszcze jej nie zrobił i bardzo szybko zaczęła szczytować, stojąc, unosząc biodra w jego stronę, wpatrując się w jego oczy, żeby mógł widzieć, jak to na nią działa. Chciała go ssać w bramie, ale szepnęła: „Możemy iść do ciebie?“, i odparła tak, możemy pójść mojego faceta nie ma. Wyszli z bramy, żeby poszukać taksówki. Szaleństwo i codzienność znowu zaczęły się ze sobą mieszać. Po drodze Paul komplementował jej sposób pisania. Sądziła, że jest bardziej wyrachowany. Nie z tych, którzy mówią ci miłe rzeczy, kiedy ich wpuszczasz do łóżka. Jest uroczy. To się potwierdza, gdy są już w jej mieszkaniu i mogą zrzucić ciuchy, i zacząć się pieprzyć. Jest delikatny, cierpliwy, ujmujący. Czuje się zawiedziona. Zbyt długa gra wstępna. To nie jest totalne fiasko, lubi jego gesty i zapach, ich ciała są skłonne pocierać się o siebie. Ale gdyby chodziło o miłą atmosferę, wystarczyłoby się cmoknąć po opuszczeniu baru, a potem każde z nich mogło grzecznie wrócić do domu. W seksie z facetem, który nie jest jej narzeczonym, lubi poczucie zagrożenia, wrażenie, że coś ją przerasta i porywa w powietrze. Zawsze jest uprzejma dla facetów, z którymi sypia, nie wzdycha jak jakaś zdzira, by dać do zrozumienia, że umiera z nudów. Symuluje, cierpliwie, czasem kiedy udaje, w końcu sama potrafi się przekonać, ale czasami nie.

Na szczęście on dosyć szybko się zmywa. Też musiał się nudzić. Myślała, że akurat z nim to będzie ciekawsze. Zamienia drapiącą halkę na T-shirt ze zdjęciem Ramones i wciąga grube skarpety. Siada przed kompem. Żadnych wieści od Vernona. Zdegustowana surfuje po sieci.

Gérard Depardieu został Rosjaninem. No proszę. Tylko tego brakowało. Świetnie. Może i Francja jest gównianym krajem, ale żeby zamieniać francuski paszport na rosyjski... Zresztą w wywiadzie Gérard wcale nie jest aż tak poirytowany, mówi, że jest Francuzem, Rosjaninem, a wkrótce także Belgiem.

W porządku, facet, w domu wszyscy zdrowi? Pewnie doszedł do wniosku, że ulokowanie całej swojej rodziny w przemyśle filmowym to jeszcze za mało, żeby wszystkich wkurzyć. Masz rację, matołku, w dyktaturze zajmą się jak należy twoim uzależnionym synalkiem. Francuska kasta aparatczyków to jak na jego gust stanowczo za mało. Swoją drogą, chciałyby być córką kogoś ze środowiska. Tylko o nich się mówi – gdzie nie spojrzeć, rodzina Bedos, Higelin, Sardou, Audiard, Lennon albo Coppola – a rodzice nie przestają narzekać, że ich dzieci dokładają zbyt mało starań. Musi kliknąć na coś innego, bo zaraz się rozplacze. Tak. Putin jest sexy. Putin jest tym bardziej sexy, że to kawał skurwiela, który ma wielką władzę, ale nawet bez tego byłby jednak sexy. Półnagi na koniu, naprawdę daje czadu. Uda ściskające wierzchowca. To przywodzi na myśl całą masę rzeczy. Lydia, jak wszystkie samice, jest wrażliwa na bezwstydną argumenty. Nigdy nie przespała się z Rosjaninem. Ma jeszcze tyle rzeczy do zrobienia.

Mówi półgłosem sama do siebie, jak zwykle, schylona nad ekranem. Paul wysłał jej już trzy wiadomości. Nigdy by go o to nie podejrzewała. Natręt.

Wstaje i zagląda do kuchennej szafki. Mleczna czekolada, chipsy, prażone orzeszki ziemne, ciasto Trzech Króli dla sześciu osób, które kupiła w supermarkecie Dia, krem czekoladowy udający nutellę. Wydaje na to połowę swoich zarobków. Potrzebuje tłuszczu. Nawet w słodkich produktach musi być tłuszcz. Zaczyna od czekolady. Cała tabliczka, gdy siedzi przed ekranem. Je bez pośpiechu, ale nie przestaje. Te ataki bulimii kosztują ją więcej, niż gdyby brała crack. Jeszcze przed miesiącem uważała je za napady chorobliwego łakomstwa. A zmuszanie się do wymiotów po kilka razy w ciągu nocy wydawało się jej jedynym sposobem na to, żeby tak się obżerać i pozostać szczupłą. Jest szczupła. Nie ma wyboru: nie jest szczególnie ładna. Musi przynajmniej zachować sylwetkę.

To Sophie, laska w jej wieku, która pisze dla magazynu „Grazia”, w rozmowie z nią po raz pierwszy użyła słowa bulimia. Obydwie zostały wysłane przez swoje redakcje do Seattle i mieszkały w tym samym superhotelu: spotkały się na śniadaniu, przy bufecie. Widząc, jak Lydia wielokrotnie napełnia swój talerz,

Sophie uśmiechnęła się do niej znacząco: „Zmuszasz się do wymiotów? Ja też”. Lydia nie zdążyła zaprzeczyć, zbyt zaskoczona pytaniem. Sophie parsknęła śmiechem: „Dwie bulimiczki w *selfie*, zaszalejemy”. I przypuściły atak: croissanty, babeczki, ser i wędliny. Trzeba je było niemal wyciągać z kantyny za włosy, między jedną tacą a drugą chodziły do kibla, żeby wymiotować. Bulimia. Lydia nigdy nie skojarzyła tego, co robi po kryjomu, z tym słowem. Bulimiczka. Cholera. Tylko tego jej brakowało...

Co pół minuty klika w zakładkę Rosaliethatslife, zerka na Facebooka. Interesuje ją zwłaszcza to, kiedy wróci Vernon i zerznie ją lajkami albo uraczy wirtualnym wytryskiem, zostawiając na jej stronie kilka komentarzy. Od czterech dni nie robi nic innego, tylko szpera w necie, szukając czegoś, co mogłoby wywołać jego reakcję. Cisza w eterze. Umiera.

W końcu zrezygnowana otwiera Worda. Powinna zacząć książkę. Potem wchodzi na swoje konto bankowe, po kolei sprawdza wydatki, przerywa, żeby poszukać płyty zespołu God Is My Co-Pilot, następnie śledzi potyczkę słowną na Twitterze, z której nic nie rozumie, losuje karty na stronie tarot.com, po czym przypomina sobie, że musi wysłać czek i opłacić czynsz, wypełnia go i wsuwa do koperty, którą zostawia otwartą, bo nie chce jej się szukać adresu agencji. Ma zdolność koncentracji tresowanej pchły. Wraca do swojego pustego dokumentu w Wordzie.

Od kiedy zaczęła pracować nad tą książką, większość czasu zajmuje jej sporządzanie konspektu. Wydawca, który się z nią skontaktował, nie ma bladego pojęcia, kim był Alex. Nie potrafiła zrozumieć, jak wpadł na ten pomysł. Wygooglowała jego wydawnictwo, nim poszła na spotkanie, niezbyt rock'n'rollowe. Gość ma piętnastoletnią córkę, która zaczęła ciosać mu kołki na głowie. Postanowił opublikować książkę, żeby ją przeczytała i dała mu spokój.

Na obiedzie oniemiała na jego widok. Facet miał na sobie fajansiarski garnitur, brakowało tylko krawata, i maniery sprzed pierwszej wojny światowej. Poszukał informacji na jej temat, nim się z nią skontaktował, to znaczy poszukał jej zdjęć

w internecie. I spodobała mu się. Lydia jest raczej śmiałą dziewczyną, ale zadała sobie pytanie, czy czasem nie żartuje, kiedy do niej dotarło, że facet wyrywa ją na swój subtelny sposób. Ktoś sypia z takimi gośćmi? Nawet nie chce sobie wyobrazić, jakie nosi skarpetki.

Wydawca jest zabawny. Nie ogląda telewizji, nie przesiaduje w necie. Zrobił jej wykład na temat zarządzania prawami cyfrowymi: „Nie chce pani odstąpić praw do dzieła w postaci cyfrowej na tych samych warunkach, jakie obowiązują w wypadku edycji na papierze? Autorzy wyobrażają sobie, że skoro nie ma już magazynów, transportu do księgarni ani samych księgarzy, mogą na tym zarobić więcej... Ale czy pani wie, ile kosztuje rozwój tych pionierskich technologii? Uczestniczymy w badaniach”. Z ulgą przyjęła wiadomość, że Apple i Amazon mogą liczyć na solidarność wydawców i ich autorów. Nie byłaby w stanie znieść myśli, że te mikroskopijne firmy muszą radzić sobie same. Super. Facet pewnie nigdy nie słyszał o przemyśle fonograficznym. W przeciwnym razie zadałby sobie pytanie, czy rzeczywiście chce uczestniczyć w masakrze.

Zatem ten gość nie słucha ani popu, ani rocka, ani funku i chce opublikować książkę o Alexie Bleachu. W tych dosyć mglistych okolicznościach zdołała wyciągnąć trzy tysiące euro zaliczki z chwilą podpisania umowy. Otrzymała ją nazajutrz mailem. I podpisała lotem błyskawicy. Tym razem koperta nie leżała przez dwa tygodnie na rogu stołu. Zainkasuje kolejne trzy tysiące, gdy odda maszynopis. Musi szybko pisać.

To Kemar jej doradzał. Gdyby nie on, nie ośmieliłaby się zażądać takiej sumy. Przyszedł, żeby ją zmotywować na dzień przed spotkaniem. W ogóle się na tym nie zna, pracuje w telewizji kablowej jako technik. Uwielbia go. W jej prywatnym rankingu najlepszych kochanków z łatwością plasuje się na trzecim miejscu. Rzadko się zdarza, by tak długo bzykała się na boku z tym samym facetem. Albo zaczynacie być parą, albo robicie to trzy, cztery razy, ale coś między jednym a drugim to nie takie proste. I niezbyt przyjemne. Ale nie z Kemarem. Jest bystry, sypie żartami jak z rękawa i można zrywać boki ze śmiechu. Jest napakowany, ma

członka wielkości sajgonki, szpetnego jak stary gnom, ale zawsze odstawia numer stulecia. Pieprzy się tak dobrze, że od razu się zapomina, jak to było z innymi. Nie tylko ona tak myśli. Faceci zastanawiają się, co takiego robi dziewczynom. Mają rację. Dziewczyny też zadają sobie to pytanie. Kiedy od niej wychodzi, czuje się lepiej niż po dwóch godzinach bikram jogi: wszystkie energie są płynne. Unosi się w powietrzu aż do następnego dnia. Nieczęsto ją odwiedza, ale całkiem o niej nie zapomina. I oprócz tego, że ma talent do seksu, potrafi udzielać dobrych rad. Na przykład zrobił jej trening tuż przed tym spotkaniem: dziesięć tysięcy euro. Jest specjalistką od Alexa Bleacha, ma kontakty, jakich nie ma nikt inny, gość był megagwiazdą, jego fani czekają, kupią książkę. Dziesięć tysięcy euro to minimum. Powinna zażądać piętnastu. Leżąc na brzuchu, z podbródkiem wspartym na złączonych dłoniach, słuchała go uważnie i z niedowierzaniem, całkiem naga, na kołdrze. Chodził wokół łóżka i zachęcał ją, by poprosiła o piętnaście tysięcy, a zwłaszcza żeby nie zeszła poniżej dziesięciu. Poprosiła o dziesięć. Dostała sześć. Bez jego cennej rady zadowoliliby się tysiącem.

Siadła przy biurku Pierre'a. Na trzydziestu metrach kwadratowych, które dzielą, zdołali urządzić dwa miejsca do pracy. Wszystko inne rozgrywa się w okolicy łóżka. Siadają na jego skraju, aby zjeść kolację przed telewizorem. Potem przesuwają się o dwa metry, żeby się oprzeć o ścianę, przykryć kołdrą i oglądać dalej. Kiedy ktoś ich odwiedza, odwracają dwa krzesła stojące przy biurkach w stronę niskiego stolika obok łóżka, a sami siadają na swoich zwykłych miejscach. Rzadko przyjmują więcej niż dwie osoby, ale gdy to się zdarza, goście lokują się tam, gdzie jest trochę miejsca, między biurkami.

Uwielbia siedzieć przy jego biurku. Ten nieład ją inspiruje. Dziwaczny krępy skrzat w czerwonej czapeczce. Wielki niebieski ice-watch z pękniętą bransoletką. Zippo z emblematem AC/DC.

Wyjechał na dwa tygodnie. Na festiwal tańca w Dijon. Nagłaśnia imprezę. To jego zajęcie. Często jest całkiem sama. To znaczy bez niego. Nie mówi mu, co robi, kiedy go tu nie ma. Sądzi, że się domyśla, a jeśli nie, to trudno. Tak jest bardzo

dobrze. Wcześniej, gdy była z jakimś facetem, miała z tym mnóstwo problemów, zawsze w którymś momencie bez uprzedzenia nie wracała na noc. Pierre często wyjeżdża na trzymiesięczne tournée, więc ma okazję sypiać poza domem. Gdy jest na miejscu, tak bardzo chce go zobaczyć, że nie ma obaw, by miała szukać szczęścia gdzie indziej.

Jest freelancerką. Prasa papierowa zanika, tak jak przemysł płytowy. Podpisuje się Lydia Bazooka. Kiedy opublikowała swój pierwszy artykuł, miesiącami chodziła jak odurzona. Już jej przeszło. Laska w świecie rocka. Cokolwiek by zrobiła czy napisała, zawsze powiedzą, że jest stuknięta i niekompetentna.

Nigdy nie przespała się z Alexem Bleachem. Jego śmierć kompletnie ją załamała. Jego głos. Jego akordy. Półbóg. Nigdy nie pomyślała o tym, żeby zaliczyć Alexa Bleacha. To byłoby świętokradztwo. Jest mu nieskończenie wdzięczna. Zanim posłuchała jego płyt, nie wiedziała, że jest w stanie odczuwać tak głębokie emocje, Alex pozwolił się jej rozwinąć. Wzywał do siebie jakąś jej część, której sama nie знаła, to była łączność z nowymi siłami duchowymi, lubiła tę obecność, chociaż bywała tak intensywna, że aż bolesna. Drzwi otwarte na wielką niewiadomą. Spotkała się z nim wiele razy, dla różnych gazet. Bardzo ją lubił. Aż do dnia, w którym opublikowała na muzycznej witrynie szalony artykuł – przyznała, że był szalony, bo wywołał powszechne oburzenie, choć tak naprawdę chciała tylko dać wyraz swojej fascynacji. Alex Bleach go przeczytał – i powiedział, że nie chce jej więcej widzieć.

Poświęciła całe lata, wiele bezsennych nocy, by artykuły o nim były bez zarzutu, godziny oczekiwania w hotelowych barach, godziny lotu, by zobaczyć jego koncert na drugim końcu świata albo w bretońskim Quimper.

I któregoś dnia magazyn „Paris Match” poleca jej napisać relację ze studia, w którym nagrywa nową płytę. Lydia była cała w skowronkach – w świecie papierowej prasy „Match” to było eldorado dla freelancerów. Potem cios prosto w serce: szef działu zadzwonił do niej na dzień przed wywiadem. Redakcja zdecydowała: „nigdy więcej Lydii Bazooki”. Kiedy doszło do tej rozmowy, akurat wybierała się do salonu piękności Body’minute. Świat się zawalił. Nikt nie jest

w stanie sobie wyobrazić rozpaczy krytyka rockowego, który popadł w niełaskę u swojego idola.

To trwało dwa lata. Musiała się zadowolić lekturą wywiadów, przeprowadzonych przez innych, płacić za wejście na koncert i przestać się snuć jak potępiona dusza w pobliżu garderoby artysty. Dwa mroczne lata, aż któregoś dnia jego rzecznik prasowy zaproponował, by zrobiła z nim wywiad na oficjalnym fanpejdżu, i nawet jeśli na filmie jej głos słychać jedynie w tle, to jednak był to jej głos, zadawała pytania, a zatem wszyscy mogli się przekonać, że wraca do środowiska. W końcu podjęli dawno przerwana rozmowę.

To miał być jego ostatni album. Lydia tego nie wiedziała.

Trudno jej zaszpanować ludziom, z którymi się zadaje, mówiąc, że pisze biografię Alexa Bleacha. Jej pokolenie infantylnych faszoli nie ceni prostodusznych megabogatyh lewaków. Alex to przeszłość. Ma to gdzieś. Niech sobie myślą, co chcą.

W wywiadzie, jakiego udzielił dziennikarce „Vogue’a”, mówił dwa lata przed swoją śmiercią: „Wcale mnie to nie bawi, gdy sobie wyobrażam łodzie pełne białasów, którzy próbują dotrzeć do Egiptu przez wzburzone morze, bo w Emiratach Arabskich podobno jest praca, wcale mnie nie podnieca, gdy sobie wyobrażę, że lądują na plaży i dostają wycisk od miejscowych bojówek albo kamienują ich muzułmanie, bo uważają, że blondyni śmierdzą, a blondynki to kurwy – ani trochę mnie to nie bawi. Ale tak właśnie będzie. Europa jest skończona i jutro to wy będziecie emigrantami. Wolałbym wierzyć, że znajdziemy jakieś inne wyjście. Ale nie sądzę, by nam się to udało. To jedyna zaleta skażonej wody – nowotwór ma gdzieś, czy modlisz się na kolanach, stojąc, i ile masz na koncie. Guz zżera ci mózg i basta”.

Na stronie francuskich narodowców ten wywiad zyskał uznanie.

Lydia czyta wszystkie jego wywiady bardzo wnikliwie. Nie może niczego napisać, więc zanurza się w swoim temacie. Wsłuchuje się w głos Alexa ze słuchawkami na uszach. Lubi z nim spędzać czas. Codziennie wprowadza zmiany

na liście osób, z którymi musi się spotkać. Ci, z którymi już się skontaktowała, odmówili. Mówią, że jest za wcześnie. Chodzi zwłaszcza o to, że jako dziennikarka nie jest szczególnie znana. Panuje nad tematem, wie, że Vernon był osobą ważną dla Alexa, był od niego tylko o trzy lata starszy, ale to w Rewolwerze Alex odkrył rocka i związał się z nim na zawsze.

Chciałaby zobaczyć kretyna, który zdecydował, że wszystkie tytuły tekstów zamieszczanych na stronie głównej Yahoo! muszą brzmieć jak zagadki: „Niewiarygodne odkrycie na lotnisku w Chicago” pisze jakiś psychopata, który znalazł najbardziej irytujący sposób na to, by internauci klikali, bo nigdy nie mówi się im wprost, co znajdą w artykule.

Raz jeszcze otwiera Facebooka. Tak. Vernon zostawił prywatną wiadomość. Jeśli jej na tym zależy, mógłby wpaść na kawę i posłuchać, czego od niego chce. Och, tak, zależy jej na tym. I to bardzo.

Pamela przeszła się na ulicę de Marseille, żeby kupić chleb, który Daniel uwielbia. Nagle zrobiło się zimno, nastawia grzejniki na maksimum, mieszkanie przypomina gorący brzuch. Daniel zaparza zieloną herbatę, to rytuał, zanim otworzy butelkę jägermeistera i skręci pierwsze blanty – urządzają sobie wieczór pod hasłem dogadzam mojemu ciału. Pamela Kant mówi o swoim najnowszym genialnym projekcie: napisze książkę dla dzieci, podręcznik edukacyjny, wprowadzający w świat porno. Ponieważ chłoną to w internecie, zanim nauczą się czytać, sądzi, że warto by im wyjaśnić, co to właściwie jest.

– No przecież to prawda, nie możesz ściągnąć serialu, nie patrząc, jak jakaś laska obciąża kutasy, trzeba im w końcu coś o tym powiedzieć, może się mylę? Jeśli chodzi o ilustracje, wymyślimy coś sympatycznego...

– Ale co właściwie chcesz im wyjaśnić?

– Myślę, że najpierw trzeba zarysować historię, lata siedemdziesiąte, cenzura państwowa, lata osiemdziesiąte, magnetowid, lata dziewięćdziesiąte, małe kamery... i wreszcie internet. W ten sposób można im będzie przedstawić klasyczne tytuły, zacząć od filmów soft, później chciałabym wytłumaczyć, jak się kręci scenę, jak się robi makijaż, ile osób pracuje na planie... przestać w końcu robić z tego dramat.

Daniel starannie opróżnia imbryk z resztek zielonej herbaty, po czym płucze filtr. Zawsze był maniakiem. Gdy robi coś aż tak długo, Pamela wie, że nie chce jej udzielić szczerzej odpowiedzi. Od lat szuka tematu książki, którą musi napisać. Wszystkie liczące się gwiazdy kina porno mają na koncie przynajmniej jeden tytuł. Nie chce być jedyną w całym Heksagonie, która nie chodzi do księgarni, by podpisywać książki. Długo zastanawiała się nad biografią Gypsy Rose Lee, potem zarzuciła ten projekt, gdyż najwyraźniej nie budził entuzjazmu rozmówców. Daniel zwraca uwagę:

– To dobry pomysł. Ale nie jestem pewien, czy ludzie są gotowi. Fakt, że dziewczyna grająca w hardcorowych filmach zwraca się do ich dzieci, może nie przypaść im do gustu... Wiesz, jacy oni są.

– Tak. Właśnie. Rodzice na pewno im nie pomogą. To proste, kiedy tylko ludzie usłyszą o porno, światło gaśnie, w głowach zapada ciemność, jakby ich inteligencja wybrała się na wakacje. Wchodzisz czasem na YouPorn?

– Nigdy.

– To mnie nie dziwi. Dla ciebie ważne jest tylko to, że rzekomo nigdy nie zagrałeś w pornolu.

Celowo przybiera agresywny ton, bo nawet z Danielem trudno jej się o tym rozmawia. Sama często wchodzi na YouPorn. Czuje się jak zła macocha z *Królewny Śnieżki*: odwiedza strony, na których można pobrać pornosy, by sprawdzić, czy filmy z jej udziałem wciąż są najbardziej rozchwytywane. Sieci, sieci, powiedz przecie, że jestem najbardziej wyzywająca na świecie... Przestała grać przed dziesięciu laty, przetrwała w ludzkiej pamięci dłużej niż jakakolwiek inna aktorka. Ale jej czas się skończył. Pogodziła się z tą myślą. Epoka prawdziwych gwiazd porno jest zamknięta. Dziś na Facebooku byle dzierlatka nazywa siebie seksbombą, a przecież żadna nie nakręciła nawet trzech amatorskich filmów... Kiedy ostatnio zajrzała do internetu, natknęła się na ten film. Dziewczyna była chyba Węgierką. Leżała przywiązana do łóżka. Facet wlewał jej do ust jakiś biały alkohol. Nie zgadzała się. Błagała, nie trzeba było napisów, by zrozumieć, co mówi. To był gang bang, faceci, którzy ją brali, mieli na głowach papierowe torby, żeby zachować anonimowość. Dziewczyna płakała. Nie udawała, by scena była bardziej ekscytująca. Sytuacja nie posunęła się zbyt daleko, a ona nad niczym już nie panowała. Od początku tej sceny starała się opierać. Pamela chętnie pomówiłaby o tym z Danielem, jeśli ktoś może zrozumieć, co poczuła, nie próbując się na niej zemścić i jej upokorzyć, to wyłącznie on. Ale poczuła się tak zbrukana, kiedy to oglądała. Nie jest w stanie o tym rozmawiać. Na tym polega wstyd. Odbiera mowę.

Myśli o tych feministycznych szmatach, które już zacierają ręce: proszę, mówiliśmy przecież, seks zawsze degraduje kobietę. Te wszystkie stare raszple, ułożone mamuśki, które czują, że mają piczkę tylko przy porodzie, to by je rajcowało, przecież zawsze twierdziły, że pragnienie zostania gwiazdą porno i fantazje o gwałcie to jedno i to samo. Ale Pamela wie, że to nie było to samo. Coś takiego widzi po raz pierwszy w życiu i nie ma to nic wspólnego z tym, co sama robiła.

Zaczęła grać na początku lat dwutysięcznych. Miała szczęście. Przeżyła ostatnie godziny chwały całej branży. Dobrze zarabiała – więcej niż kiedykolwiek mogła sobie zamarzyć. Zdarzały się dupki, wszędzie można ich znaleźć – ale panowała dobra atmosfera. Mówiło się jeszcze wtedy o prawdziwych gwiazdach. Dziewczyny rywalizowały ze sobą, nawet jeśli dobrze się rozumiały, każda była tam po to, żeby być najlepszą. Pam chciała wyrobić sobie nazwisko. Nie każdy to potrafił, ale nie było to też bardzo skomplikowane. Wyeliminować konkurencję, przejąć jak największą część rynku, uwydatnić swoje wyjątkowe walory – miała w liceum nauczyciela ekonomii, którego dobrze zapamiętała, doskonale wiedziała, co musi uruchomić, żeby być na topie. Całkiem dobrze jej szło.

Najtrudniej było przestać, jej i innym dziewczynom z branży. Ludzie nadal rozpoznawali ją na ulicy, ale straszliwie brakowało jej atmosfery na planie, sesji zdjęciowych, tego stanu upojenia, gdy jesteście w centrum uwagi i możemy dać z siebie to, czego inni od nas oczekują. Uwielbiała, gdy nazywano ją ladacznicą. Gwiazdą kina.

A później ta okropna świadomość, że to się nigdy nie kończy. Jesteśmy odcięci od środowiska, tracimy przyjaciół, tracimy łatwe pieniądze, ale jesteśmy napiętnowani na całe życie. Gdy grała w filmach porno, spotykała się tylko z ludźmi, którzy wykonywali tę samą pracę, nie zwracała sobie głowy publiczną dezaprobatą. Lecz nosić gwiazdę porno w świecie normalnych ludzi, dzień w dzień, to coś zupełnie innego. Wolałaby szczeznąć, niż powiedzieć to głośno, ale zacni ludzie zawsze wygrywają: tak utrudniają wam życie, że nawet taka dziewczyna jak ona musi to w końcu przyznać: zrobiłaby lepiej, nie wychylając nosa ze swojego

kąta. Po dziesięciu latach nadal nie może sama zrobić zakupów w supermarkecie, by jakaś głupia cipa jej nie rozpoznała i nie uraczyła bezlitosnym spojrzeniem, kobiety są najbardziej bezwzględnyimi sędziami. Te, które zadowolają się tym, co dozwolone, nie znoszą amazonek. Gdyby mogły, spaliłyby bożyszcza swych mężów. Wiedzą, że ich facetom staje na widok Pameli Kant, i nie mogą tego ścierpieć. Porno stało się ponurym przemysłem na miarę chorych marzeń tych suk.

Przed dwoma miesiącami zgodziła się malować i czesać aktorki na planie. Myślała, że skorzysta z okazji, by robić dziewczynom zdjęcia. Kręcenie zaczynało się o ósmej rano i już od szóstej trzeba było przygotowywać aktorki. O trzeciej w nocy były jeszcze w pracy. Dwie z pięciu aktorek łykały leki przeczyszczające, by zachować szczupłą sylwetkę, przez cały dzień bolał je brzuch i miały zniszczoną skórę. Jedna była z facetem, który bez przerwy wysyłał jej esemesy, prosząc o nagie zdjęcia z planu filmowego. I spełniała tę prośbę. Facet drugiej histeryzował, bo nie mógł znieść myśli, że inni mają większe kutasy od niego, ale to on ją namówił, by została aktorką, i załatwił jej pierwszą rolę... a był od niej tylko o trzydzieści lat starszy. Ostatnia nie miała większych problemów, ale grała już od pięciu lat, porno z nią skończyło, wystąpiła u wszystkich reżyserów, we wszystkich wytwórniach, powinna się wycofać... W tym zawodzie trzeba wiedzieć, kiedy powiedzieć pas. Pamela nauczyła się tego od Coralie, Ovidie, Niny Roberts czy Elodie... Trzeba potrafić odejść, nim zaproponują nam role, których nie powinniśmy akceptować. Najbardziej zszokowało ją to, że wszystkie panicznie bały się analu. Nie można wykonywać tego zawodu, kiedy się tego nie cierpi. To tak, jakby ktoś powiedział mam uczulenie na mąkę, chcę zostać piekarzem. Ejże, niunia, na litość boską, zmień branżę.

Daniel otwiera puszkę kasztanów. Objada się jak świnia i nie przybywa mu nawet grama tłuszczu. Pamela nie może się bez niego obejść, bez przerwy są razem, ale ją irytuje. Daniel wie o tym. Jest transem, *female-to-male*. Pamela nie miała pojęcia o tych sprawach do chwili, gdy jej najlepsza przyjaciółka Déborah postanowiła zostać Danielem. Już sam wybór imienia powoduje nie lada zamieszanie. Wzięło ją to nagle, jak chęć, żeby się wysikać. Déborah zaczęła

i skończyła z porno w tym samym czasie co Pamela. Były dobrymi kumpelkami. Przeżyły razem wiele chwil, zabawnych i trudniejszych. Aż tu któregoś dnia – bum. „Zażywam testosteron”. Kurwa, z początku Pamela nie wiedziała nawet, o co chodzi. Myślała, że Déborah chce złagodzić bóle menstruacyjne albo stracić na wadze, w owym czasie miała skłonność do tycia. Nic nie zapowiadało ani nie usprawiedliwiała tej decyzji. Chodziło – tylko – o to, by stać się mężczyzną. Pamela zasięgnęła języka, zwykle gdy ludzie to robią, już od dawna chodziło im to po głowie, to coś w stylu „zawsze czułam, że jestem facetem zamkniętym w ciele kobiety”. W takim razie zgoda – możemy zrozumieć powody tej decyzji. Ale Déborah... doprawdy, zrobiła to tylko po to, żeby wszystkich wkurzyć. „Ale dlaczego to robisz?” „Mam ochotę spróbować. Przecież mam tatuaże. Przecież grałam w pornosach. Przecież wdychałam crack. Dlaczego nie miałabym zostać facetem?” Bo to nie jest to samo, głąbie kapuściany... Nie bierze się codziennie zastrzyków z testosteronu, by sprawdzić, jak to jest. I Pamela ostrzegła ją, że zgotuje sobie piekło na ziemi: choroby, depresja, wyrzuty sumienia, poczucie dziwności... nie wspominając o etycznym aspekcie sprawy – do cholery, dziewczyno, nie wiesz, że faceci to ostatnie dupki? I naprawdę chcesz, by cię uważano za jednego z nich?

Jednak najbardziej denerwujące jest to, jak bardzo Daniel jest zadowolony z faktu, że jest Danielem. Choroby, depresja, wyrzuty sumienia oraz cała reszta może faktycznie kiedyś się pojawią, ale na razie widzimy... małą muszkę pod szyją, krótkie džinsy odsłaniające skarpetki, muskulaturę, cienki wąsik hipstera... Daniel tak dobrze symuluje, że ta zmiana mu służy. Aż trudno w to wątpić. Bez wahania usunął piersi, podając równie absurdalny argument, by uzasadnić ten gest: „Przecież powiększyłam biust, dlaczego nie miałabym go usunąć?”. Jeśli zaczniemy robić wszystko, co tylko jest możliwe, nie będzie temu końca, ale cóż... Dziś nosi koszulkę polo od Freda Perry’ego i męską marynarkę od Diora. Dzięki swym tatuażom, delikatnym rysom, wielkim zielonym oczom i wypomadowanym włosom ma niezłą prezencję. I pieniądze. Znalazł pracę w jednym z pierwszych w Paryżu sklepów z e-papierosami. Tym razem także Pamela nie postawiłaby

złamanego grosza na ten biznes fałszywych fajek – kto chciałby palić swoje wieczne pióro? – a jednak rozwinął się w niewiarygodny sposób. Daniel zaś niedługo był sprzedawcą i zarabiał najniższą stawkę, został przedstawicielem firmy, rozwijając nowe punkty sprzedaży na terenie miasta. Tak naprawdę zrobił złoty interes. Pameli nie mieści się to w głowie: nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie zmiana płci. Jako była aktorka porno Déborah nie mogłaby zostać nawet ekspedientką. Albo zostałaby wyrzucona z roboty, gdyby ktoś się o tym dowiedział. No i jak tu iść do inspekcji pracy na skargę, że twój pracodawca cię dyskryminuje, bo w internecie można znaleźć filmy, na których obciążasz trzem dupkom po kolei! Cóż, Déborah zmieniła wygląd, zoperowała nos, przytyła dwadzieścia kilo, tak że nie sposób jej rozpoznać... Nie zleca się kobiecie poszukiwania nowych punktów sprzedaży w tak rozwojowej branży. Daniel opowiedział jej szczegółowo o swoim błyskawicznym awansie, zdumiony tym, co odkrył: wszystko sprowadza się do poklepywania po plecach, wymiany słonych żartów, do wieczorów w męskim gronie, gdzie pali się cygara...

Oburza ją pragmatyzm Daniela. Ale pozostał jej najlepszym przyjacielem. Nie może się bez niego obyć. Co gorsza Danielowi podobają się dziewczęta. To szczyt wszystkiego. Déborah była latawicą, lubiła wszystkich mężczyzn bez różnicy, zdarzało jej się nawet podkochiwać w swoich filmowych partnerach... Ale Daniel się przystosował: bo trzeba przyznać, że ma szalone powodzenie u kobiet. Gdy pewna czarująca brunetka zaproponowała, że będzie mu prasowała koszule i robiła zakupy, powiedział sobie: cóż, skoro najsprawniejsze ogiery moich czasów ujeżdżały mnie jak burą sukę, wiem, co trzeba robić, by zadowolić dziewczynę, która lubi te rzeczy. Pewny siebie jak jakiś pieprzony macho. Pamela czuje się urażona w swej dumie kokoty pierwszej klasy: nigdy nie używała przypinanego dilda, nie miała niczego takiego wśród swoich gadżetów. A teraz jej się wydaje, że jeśli chodzi o seks, Daniel wie rzeczy, o których Pamela nie mała bladego pojęcia. Ta myśl jest nie do zniesienia.

Życie z nim to kompletne szaleństwo. Paraduje w metrze, szpanuje na kawiarnianym tarasie, tańczy na imprezach – i nikt nie jest w stanie sobie

przypomnieć, dlaczego ta twarz wydaje mu się znajoma. To prawda, że aktorka porno, nawet sławna, kiedy już nie ma cycków, tylko małą bródkę... może zmylić tropy. Jaśnie pan zadaje szyku w mieście, podczas gdy Pamela chodzi na pocztę rano, gdy nie ma tam nikogo, robi zakupy przez internet i ogląda filmy ściągnięte z sieci, nie wychodząc z domu...

Pamela nie zazdrości mu w skrytości ducha, że od kilku miesięcy tak dobrze mu się wiedzie: nie, wcale nie kryje się ze swą zazdrością. I to bardzo bawi Daniela, nawet gdy jej agresja staje się uciążliwa. Ponieważ jest coś, czego zmiana płci jednak nie zmieniła: potrzebują siebie nawzajem. Pamela kładzie się na kanapie, podczas gdy on bierze się do zmywania naczyń. Nigdy nie przepadała za pracami domowymi, a on nie jest w stanie spędzić wieczora w jej mieszkaniu, gdy panuje w nim taki bajzel.

– Nie zgadniesz, co się stało. Wiesz, kto napisał do mnie na Facebooku?

– Zaczęłaś czytać wiadomości na fejsie?

– Nie czytam, ale czasem otwieram, wyobraź sobie, że Booba szuka ze mną kontaktu, a ja nie miałam o tym pojęcia.

– Booba do ciebie napisał?

– Powiedziałam tylko, że mam ekstra wiadomość, nie mówiłam, że moje życie się zmieni i zamierzam wyjść za mąż.

– Więc kto?

– To nie do wiary. Przeglądałam wiadomości i widzę zdjęcie młodej dziewczyny, która napisała do mnie już czterdzieści pięć razy... Z początku myślałam, że to jakaś durnowata Arabka, która chce zagrać w pornosie dozwolonym przez szariat i prosi mnie o adresy... Olałam ją, ale zadrezczała mnie tymi wiadomościami, więc się zdenerwowałam i chciałam powiedzieć jej coś do słuchu. Zgadnij kto to.

– Pam... jak niby mam to zgadnąć?

– Córka Satany. Aïcha.

– Satana miała córkę? Ile ma lat?

– Właśnie skończyła osiemnaście. Satana bardzo często mówiła o swojej córce... Nie mieszkała z nią, mała została z ojcem.

– Masz rację. Coś sobie przypominam.

Vodka Satana i Pamela Kant u szczytu kariery były jak Oasis i Blur, Beatlesi i Stonesi: dwie megagwiazdy, które ubiegają się o pierwszeństwo. Jedna szła w poniedziałek do programu Sébastiena Caueta, żeby pokazać cycki i oczernić konkurentkę, a nazajutrz druga pojawiała się prawie naga w Canal Plus, by szydzić z koleżanki. Nigdy nie zagrały razem – jeśli Satana wiedziała, że Pamela ma zagrać w filmie, podwajała stawkę i *vice versa*, aż w końcu zarzucano projekt. Nie cierpiały się, a potem któregoś lata obie znalazły się na lodzie w Los Angeles i były zmuszone dzielić z sobą mieszkanie... i wprawdzie na krótko, ale stały się nierozłączne. Kariera Satany była niezwykle krótka. Stała się znana z powodu długich nóg, metr dwadzieścia, smukłych, doskonałych. Mówiła, że jest Libanką, podczas gdy tak naprawdę jej rodzina to były jakieś kmiotki z Oranu. Była jedyną aktorką, która na planie zachowywała się jeszcze bardziej arogancko niż Pamela. Aktorzy nie lubili z nią grać, Satana była dla nich tak szorstka, że nawet najcierpliwszi mieli problem z utrzymaniem erekcji. Odbierała im męskość, a kiedy indziej lubiła się przymilać. Miała swoich pupilów.

Satana przeżyła historię z Alexem Bleachem, piosenkarzem. Pojawiła się na pierwszej stronie magazynu „Voici”. Pamela myślała, że nigdy się z tego nie otrząśnie. To był koniec współzawodnictwa, Satana przeniosła się w wyższe rejony. W tamtych czasach Bleach był zniewalająco przystojny. Wchodził do pokoju i dziewczyny czuły dokładnie to samo – wszystkie składały broń. Miał wysokie czoło, szczękę podkreślała kilkudniowa broda, równo przycięta, bardzo zadbana. Na scenie szybko obnażał tors, najpierw kaloryfer na brzuchu, potem mięśnie pleców, piekielnie piękne ciało. Pamela rzadko czuła się zmieszana, w kontaktach z nią mężczyźni szybko stawali się żałośni. Ale Bleach miał w sobie coś z kobiety – był zbyt świadomy wrażenia, jakie wywołuje, żeby dać się uwieść.

Satana przestała grać w filmach, mówiono, że przeszła na prywatne salony. To znaczy korzystała ze swojej sławy, ustalając superwysoką stawkę za numer. Bez

względu na to, co myślą o tym amatorzy, prostytutka to coś zupełnie innego niż aktorka hard porno. Kiedy jesteś aktorką, skupiasz się na kamerze, świetle, twój partner nie ma żadnego znaczenia. Będąc prostytutką, jesteś poskromicielką. Trzeba znać zwierzę, uprzedzać jego reakcje i umieć je skierować w wybrane przez siebie miejsce. Jeśli przestajesz nad nim panować, przy najmniejszej pomyłce odgryzie ci ramię. Satana lubiła dzikie bestie, nie bała się ich. Pamela przeciwnie, mężczyźni nie wzbudzali jej zainteresowania. Zbyt łatwo ulegali. Nie zna żadnego, który byłby nieokiełznany. Pogardza nimi nie dlatego że jest perfidna, ale dlatego że zachowują się jak cielęta. Nigdy nie mogła zrozumieć, jak mogli wciąż zajmować taką piękną kobietę jak Satana. Musiała jednak zrobić jakiś fałszywy krok – odebrała sobie życie w bardzo młodym wieku.

Daniel myje kafetierkę, jakby mu zależało, by wyglądała jak nowa. Pamela krzywi się, ale milczy – kawę będzie czuć płynem do zmywania. Daniel pyta:

– A dlaczego ta dziewczyna szukała kontaktu z tobą?

– Mówi, że jakaś kobieta odwiedziła jej ojca. Aicha słyszała ich rozmowę. Była w swoim pokoju i uczyła się, wyglądało na to, że nie wie, co dzieje się w salonie... Ta kobieta wypytywała się o Alexa Bleacha i nie wiem dlaczego, ale w rozmowie padło moje nazwisko...

– Może dlatego, że dobrze znałaś Satanę?

– W każdym razie ta mała wpisała moje nazwisko w Google, sprawdziła, kim jestem... Odezwała się do mnie i zapytała: „Chciałabym wiedzieć, co łączyło cię z moją matką”. Wyobrażasz sobie moją minę?

– I co odpowiedziałaś?

– Czy rozumiesz, co do ciebie mówię? Dziewczyna nie wie, kim była jej matka... Ojciec zawsze pomijał ten temat milczeniem.

– Mam być szczery? Na jego miejscu zrobiłbym to samo.

– Byłam oburzona. Ta mała jest pełnoletnia. Kurwa, ma chyba prawo wiedzieć. W końcu jej matka nie była w Waffen SS.

– Sama widzisz, wracamy do twojego przewodnika po filmie porno dla dzieci... Gdybyś go napisała, ojciec mógłby niechcący zostawić go na kuchennym stole, a kiedy jego córeczka zadałaby pytanie: „Tato, co to takiego gang bang?”, udzieliliby odpowiedzi: „To jest coś, co twoja matka robiła najlepiej”.

– Jesteś obrzydliwy.

– Jestem poważny. To delikatna sprawa, wyjaśnić własnej córce, że jej matka grała w pornosach. Niełatwo powiedzieć dziecku: twoja matka targnęła się na swoje życie, ale wchodzić w tego rodzaju szczegóły... Rozumiem, że mu się nie spieszyło.

– Znamy ze czterdzieści hardcorowych aktorek, które mają dzieci, i wszystkie świetnie dają sobie radę.

– Tak, ale one żyją... Chyba nie powiedziałaś jej na Facebooku, że jej matka występowała pod pseudonimem?

– Nie. Obejrzałam zdjęcia, zrozumiałam jej ból... Wygląda jak grzeczna dziewczynka, która odrabia lekcje w hidżabie na głowie, z zasmuconą twarzą, nie mogłam jej powiedzieć...

– Chodzi w chuście? Satana byłaby zachwycona... Swoją drogą, miała poczucie humoru.

– Wszystko się zmieniło. W naszych czasach, gdy ktoś chciał wkurzyć ludzi, grał w pornosach, ale dzisiaj wystarczy włożyć hidżab.

– Jednak zarobki nie są porównywalne... Więc nie powiedziałaś jej nic konkretnego?

– Nie, powiedziałam, że znałam jej matkę, ponieważ uwielbiała tańczyć, i ja także, że spotykałyśmy się na imprezach... Dziewczyna była wyraźnie zmartwiona, że jej matka wychodziła na tańce. Sam widzisz, nie jest gotowa. To pokolenie jest takie popaprane. Niech wszyscy szybko umrą z powodu wielkiej suszy.

Młode laski często ją przygnębiają – ten ich wygląd mormonek czy idiotyczne chusty. Jeśli nie chodzi o religię, to w grę wchodzi rodzina albo zadają sobie

pytanie, jak pozostać dziewicą do ślubu... Śladu romantyzmu. Jakby chcieli poświęcić swoje życie na gotowanie gulaszu albo pieczenie szarlotki.

Daniel nigdy nie przywyknie do bajzlu, jaki panuje w mieszkaniu Pameli. Sprząta za każdym razem, gdy spędza u niej wieczór, a kiedy wraca, znowu panuje tu chaos.

Pam rozmawia z nim, patrząc w ekran telewizora, z konsolą w dłoni, gra online w Tetris z Koreańczykami. Gra w to od czasu, kiedy się poznali, z niewiarygodną szybkością.

Oboje zachowują się tak, jakby ich relacje wcale się nie zmieniły. Z tą istotną różnicą, że teraz mogliby być parą. Od kiedy zaczął sypiać z dziewczętami, patrzy na nią inaczej. Stara się jej nie mówić, że widzi ją w innym świetle. Uznałaby to za zdradę. Nie może jej powiedzieć, jak działa testosteron, bez przerwy ma się chęć bzykać. A co drugi wieczór są razem. Nieważne, czy jest facetem, laską czy dwugłowym kangurem, to jedyna osoba, którą jest w stanie znieść przez trzy dni z rzędu. Pam potrzebuje po prostu czasu, by uświadomić sobie, że od lat żyje sama i że Daniel nie pozwoli nikomu zająć swojego miejsca. Pam bardzo powoli godzi się z wyborem, którego dokonał.

To było coś w rodzaju przebłysku intuicji. Wieczór w klubie 104, z okazji koncertu Lydii Lunch. Dźwięk był do niczego, zrobiło się zimno i Deb wyszła na dziedziniec, żeby zajarać fajkę. Na zewnątrz stały jacuzzi pełne gorącej wody parującej w ciemnościach. Na ścianach wyświetlano filmy. Dostrzegła krąg, w którym krążył joint, podeszła bliżej, jakby chciała podyskutować, i stanęła tuż obok gościa trzymającego blanta. Zaczęła rozmawiać z jego sąsiadem z prawej, małym, wytatuowanym przystojniaczkiem. Słyszała już słowo trans określające dziewczynę, która stała się chłopcem, ale nie odróżniała transwestyty od transa, miała to gdzieś, więc wyobrażała sobie, że jest to dziewczyna, która ubiera się jak facet. To jej w ogóle nie dotyczyło. Pięć jointów i trzy piwa później nadal z nim rozmawiała, urzeczona, ale mając się na baczności, ponieważ dziewczyna tego

gościa nie spuszczała ich z oczu. I jakaś kumpelka powiedziała jej, gdy się oddalił, żeby posłuchać koncertu: „Nie znałaś jej przedtem? Ja tak, miała jeszcze kucyki i mówiło się na nią Corinne”.

Natychmiast do niej dotarło: zrobi to. Jeszcze tego wieczoru zaczęła poszukiwania w necie. Deb skończyła dwadzieścia sześć lat. Jej ciało przybierało już rozmaite formy. Do dziesiątych urodzin była zwyczajną dziewczynką bez istotnych wspomnień. Potem się rozwinęła. Zaczęła być pulchna, ale mogła jeszcze pójść na basen i nikt jej niczego nie wytykał. Czuła się gruba jak niektóre inne dziewczynki: przerażona własnym okropnym wyglądem, choć na razie tylko ona to dostrzegała. A potem się zaczęło, w wieku dojrzewania zrobiła się ociężała. To trwało cztery lata, podczas których każdy dzień był trudny. Z grubymi można sobie na wszystko pozwolić. Prawić im morały w szkolnej stołówce, wyzywać, kiedy podjadają coś na ulicy, nadawać im wstrętne przydomki, drwić z nich, gdy jadą na rowerze, trzymać na dystans, udzielać wskazówek na temat diety, mówić, żeby zamilkły, gdy zabierają głos, wybuchać śmiechem, gdy wyznają, że chciałyby się komuś spodobać, patrzeć ze skrzywioną miną, gdy się gdzieś pojawiają. Można kogoś takiego szturchnąć, szczypnąć w kałdun albo wymierzyć mu kopniaka: nikt nie zareaguje. Może właśnie wtedy zobojętniała na swoją płęć: samce czy samice, bez różnicy, wszystkie grubasy padają ofiarami tego samego wykluczenia. Ludzie mają prawo nimi pogardzać. A jeżeli się skarżą na takie traktowanie, w gruncie rzeczy wszyscy myślą to samo: jedz mniej, gruba torbo, powinnaś się przystosować. Deb była uzależniona od cukru, tak jak kilka lat później będzie uzależniona od koki: bezgranicznie. Myślała tylko o tym. Słodkie produkty spożywcze wzywały ją w środku nocy. Mówiła o tym, przybierając komiczny ton, ale to była prawda: z kuchennych szafek dobiegał zniewalający śpiew, musiała wstać i najeść się do syta. To był przemożny impuls, a nie jej decyzja. Wracła ze szkoły najszybciej, jak mogła, w domu nie było nikogo, rodzice pracowali, a ona myślała, że jest wielką rozkoszną pandą, która wyleguje się na kanapie i sobie podjada. Bez przerwy oglądała telewizję, dostawała w prezencie zestawy płyt z serialami i pogrążała się w nich bez reszty. *Ally McBeal, Seks w wielkim mieście,*

Buffy – postrach wampirów były dla niej bardziej realne niż szkoła. Gdy tylko zasiadła przed ekranem, była elegancką szczupłą Amerykanką.

Gdy miała siedemnaście lat, dietetyczka o wyjątkowo despotycznym usposobieniu zdołała jej narzucić drakońską dietę. Jakby Deb przez pięć lat stała na peronie dworca i nagle, nie wiadomo dlaczego, podjęła decyzję: zdołała wsiąść do tego pociągu i po sześciu miesiącach stała się inną osobą. W tym wieku chudnie się tak samo szybko, jak się przybierało na wadze, wystarczy jeden sezon. Kolejna zmiana ciała. Miała nadwagę, gdy była jeszcze małą dziewczynką, i z tego bloku tłuszczu wyłoniła się młoda, raczej ładna dziewczyna. Deb oglądała zdjęcia kobiet w magazynach i porównując się z nimi, uznała, że jest niezłą lianą. Miała gładkie ramiona, uniesione i kształtne piersi, wcięcie w talii, długie nogi, szczupłe kostki. Przez cztery lata unikała luster, teraz mogła stać przed nimi całymi godzinami, odkrywając siebie. Ale się w nich nie rozpoznawała: dziewczyna w lustrzanym odbiciu nie miała wiele wspólnego z Deb. W istocie rzeczy przez całe życie myślała, że widok w lustrze wcale nie oddaje prawdy. Widziała jakieś ciało i bez względu na to, czy było otyłe, miało wąsy czy przypominało ósmy cud świata, było jej całkiem obce, jakby to był ktoś inny.

W ciągu sześciu miesięcy straciła osiemnaście kilo. Była wściekła, widząc, jak bardzo ludzie zmieniają do niej stosunek, diametralnie, w zależności od tego, ile kilogramów odejmie czy dołoży do swojego szkieletu. Gdy była gruba, mogła odgrywać rolę dziewczyny upośledzonej przez los, kozła ofiarnego, tej, która obrywa, tej, którą się upokarza, żeby rozśmieszyć innych, tej, w której stronę wędrują spojrzenia, jeśli na nieszczęście w wagonie metra pojawi się przykry zapach. OK, mogła być grubaską. Pogodziła się z tym, musiała mieć poczucie humoru i słuchać historii opowiadanych przez innych. Przywykła. Ale fakt, że może się to kompletnie zmienić, i to w tak krótkim czasie, doprowadzał ją do białej gorączki. Więc teraz będą ją traktowali jak ładną dziewczynę. Banda głupków. Kupowanie ubrań było prawdziwą udręką, musiała się niemal usprawiedliwiać przed ekspedientkami, że śmie pytać, czy mają jej rozmiar, a teraz wystarczyło wyciągnąć ramię, wsunąć je w rękaw i wszystko pasowało jak ulał. Podobnie było

z ludźmi. Tak już przywykła być miłszą od innych, żeby uniknąć przykrości i wykluczenia, była bardziej otwarta i bezpośrednia niż sprzedawczyni perfum. Wszystko się zmieniło. Wystarczyło pojawić się gdziekolwiek i każdy od razu lizał jej tyłek. Ponieważ miała na sobie ładną sukienkę. Ponieważ zajęła miejsce w szeregu.

Zapraszano ją na imprezy, przesuвано się, żeby jej zrobić miejsce, chłopcy prosili ją o numer komórki, by jej wysyłać nieśmiałe esemesy. A jej złość rosła jak guz toczący kości, najpierw wielkości orzecha, potem osiagający rozmiary zaciśniętej pięści, wstrętny, cuchnący, który w każdej chwili mógł wszystko rozwalić. I poznała Cyrila. Był to zamknięty w sobie chłopak, który się rzadko uśmiechał, lecz rozpromieniał się na jej widok. Z perspektywy czasu Daniel ocenia go jako wyjątkowego sobka, który w końcu stał się zadufanym prostakiem, ale gdy go poznała, poczuła się tak, jakby wkraczała w świat bajki. Był przystojny, podziwiany, szanowany przez innych. Lubił, kiedy nosiła proste czarne sukienki i bardzo wysokie buty, które kosztowały majątek. Siadał na niej okrakiem i masował jej plecy, opowiadając o swoich ulubionych powieściach kryminalnych. Ładnie się wysławiał i nieco aroganckim tonem prawił jej komplementy, które przyprawiały ją o zawrót głowy. Wściekłość zmieniła się w namiętność. Świeciło słońce, urządzali sobie wypadu samochodem, spędzali weekendy na łonie natury, wieczory, kiedy miksował muzykę i dziewczyny kręciły się wokół niego, ale on w to nie grał, był z nią. Te skrawki czasu lśniły jak samородki złota, to było przeciwieństwo tego, co znała do tej pory. Odsuwała od siebie obraz, który ją nachodził: w świecie baśni ptak przebija jej dziobem gardło, przyciskając ją całym sobą do kolczastego krzaka. Wiedziała, że ten stan słonecznej nieważkości nie może być prawdziwy. Traktował ją jak księżniczkę. Wydawał na nią dziesięć razy więcej, niż zarabiał. Hotele wagony pierwszej klasy restauracje owoce morza taksówki szampan na śniadanie. Zrozumiała, że od czasu do czasu kłamie i bardzo wielu ludziom jest winny pieniądze. Widziała, że coś tu nie gra. Nie było go stać na ten cały romantyzm. Starła się o tym nie myśleć.

Szybko uległa, gdy zaczął mówić o filmach. Żeby mu pomóc. Biedaczek tkwił w gównie po uszy. Był szczery, gdy błagał ją o wsparcie, wierzył w to, co mówi: „Tylko raz, dziecinko, przykro mi, potem mam pewien plan, na pewno się odkuję, tylko ten jeden raz”. A ona nie czuła zbyt wielkiego związku z tym apetycznym ciałem, które stało się jej własnością, nie widziała przeszkód, by się nim posłużyć. Jeden raz. Dla niego. Ponadto mieli zagrać razem, nie wydawało się to szczególnie skomplikowane. Przysiągł jej, że nikt inny jej nie dotknie. Znał faceta, który wynajmował willę w Saint-Germain-en-Laye, gdzie można kręcić filmy. Grali razem w pokera. Tak zrodził się jego plan. Ale o dziewiątej rano, gdy trzeba było nakręcić pierwszą scenę, Cyril nie miał erekcji. Werdykt profesjonalistów był nieodwołalny: „nie stał mu”, wyglądało na to, że ekipa zna takie przypadki i nie ma na nie rady. Deb jeszcze nie wiedziała, że na planie pornola pracują faceci, którym staje, i faceci, którzy długo utrzymują wzwód, ci, którym staje i którzy długo utrzymują wzwód nieprędko przejdą na bezrobocie. Trzeba było nakręcić scenę z kimś innym. Reżyser był zadowolony z efektu. Mówił, że Deb dobrze reaguje na światło. Cyril nie był już załamany, jego laska dawała radę, był dumny.

Nagrała drugą scenę, bardziej rozluźniona, gratulowano jej, nie od razu do niej dotarło, że wchodzi w skórę całkiem nowej postaci i że wcieli się w nią na lata. Zmienić się zawsze znaczy utracić część siebie. Czujemy, jak się od nas oddziela, po czasie adaptacji. To coś w rodzaju żałoby i ulgi zarazem. Jej osobista podróż ciągle trwała.

Kiedy wracali do domu samochodem, Cyril był uprzedzająco miły. Włączył muzykę na ful, jakieś przestrzenne techno. Trzymał dłoń na jej udzie. Kochał ją. Nie powiedział niczego, co należało powiedzieć. Patrzyła na pejzaż sunący za oknem. Tydzień później miał kolejny filmowy plan i naprawdę tkwił w gównie, jacyś goście chcieli mu rozkwasić nos, jeśli nie zwróci kasy, uwielbiał ją, czy mogłaby mu pomóc. Spodziewała się tego. I to była prawda, uwielbiał ją. Od tej chwili ich relacje się odwróciły – teraz to ona była gwiazdą.

Wrogość innych aktorek była miarą, na jej podstawie oceniała swoje szanse w porno. Wszyscy chcieli z nią pracować. Cyril wynegocjował supercenę za jej pierwszą operację piersi. Kolejna przemiana. Gdziekolwiek się pojawiła, ludzie myśleli wyłącznie o seksie. Wszyscy patrzyli na jej biust. Nie mogła zrzucić dwóch kilogramów, które dzieliły ją, w jej mniemaniu, od absolutnej perfekcji.

Widziała, że na planie są ludzie, którzy jadą na koksie. Nie od razu zaczęła brać. Od czasu do czasu chodzili do toalety, podając sobie małe zawiniątka. Kiedy w to wpadła, efekty były najpierw widoczne na twarzy. Nigdy nie wyobrażała sobie, że można aż tak wyszczupleć. Podziwiała swoje odbicie w lustrach. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście, że ma ciało tej dziewczyny.

Kiedy zaczęła wciągać, pozbyła się Cyrila w ciągu dwóch tygodni, koniec z masochistycznym romanssem: nie mogła znieść, że sięga po jej rezerwowy gram, gdy ona idzie spać. Drażnił ją. Mówił, że jest jej agentem, i nie zajmował się niczym. Nie szukał dla niej ról, nie negocjował stawek, a gdy już był na planie, pił piwo, dowcipkując to z jednym, to z drugim, czasem oddawał komuś przysługę, jadąc po zakupy, ale nigdy nie pomyślał o tym, by stanąć w jej obronie, kiedy reżyser w ostatniej chwili wymyślał sobie scenę – nie, nie przyjechałam tu po to żeby nakręcić gang bang i wiesz mówiono mi że to będzie klasyczna scena nawet nie myśl, że czterech facetów po kolei będzie mnie rżnęło w tyłek, nie, powiedziałam, bierzesz mnie za debiutantkę czy co? Z tych czterech typków wybierz sobie jednego, będziesz miał obciążanie, seks analny i wytrysk, i jakoś sobie poradzisz. Mówię ci, że to nie jest to samo. Jasne, zniszczysz mi karierę – pierwszy raz to słyszę. Cyril stał się bezużyteczny. Z gramem koki w torebce nie potrzebowała nikogo. Był piątym kołem u wozu.

Potem na jakichś prowincjonalnych targach erotycznych poznała Pam. To było zaraz po samobójstwie Satany. Rozmawiały o niej przez całą noc, ćpając. O świcie Pam oświadczyła:

- Kończę z koką.
- Ja też.

– Serio?

– Przybij piątkę.

Wróciły razem pociągiem, a dwa dni później Pam do niej zadzwoniła: „Wytrzymałam. A ty?”. „Ja też”. Nawzajem się pilnowały, z początku nie zadając sobie żadnych pytań – obydwie przekonane, że to tylko pauza. A potem to się zmieniło w dziwne współzawodnictwo. Wytrzymałaś? Ja także. Spotykały się, żeby o tym pomówić, na początku, by się pochwalić, jakie to super i łatwe. Ale niedługo potem, by stwierdzić, że strasznie je to męczy. Lecz ani jedna, ani druga nie chciała się poddać jako pierwsza. Chodziło o to, żeby pokazać swą siłę, ale też solidarność. Jednak nie było sensu się łudzić: życie jest o wiele ciekawsze z koką niż bez. Intuicyjnie nawzajem zrobiły sobie prezent – dały sobie spokój. A przecież jedna i druga wracały z bardzo daleka.

Pamela wytrzymała szok, zaczęła uprawiać sport, kupowała DVD z instruktażem i przed telewizorem robiła trening cardio, pompki, wzmacniała mięśnie brzucha i pośladków... Promieniała. Dla Deb to było trudniejsze. Źle znosiła koniec swojej kariery i równoczesne rozstanie z koką. Znow przybierała na wadze, myślała tylko o tym. Nie ufała facetom, których poznawała. Nie miała już pieniędzy na taksówki i nie mogła jeździć metrem sama. Często zbierało się jej na płacz.

A potem był koncert Lydii Lunch. Ten mały transseksualista. Niezły przystojniaczek. Deb od razu pojęła, że to jej wyjście ewakuacyjne. Szybko uświadomiła sobie, że w środowisku transów byłoby źle widziane, gdyby podjęła hormonalną terapię po to, by pozbyć się swojego dawnego ciała. Okłamała endokrynologa, opowiedziała mu wszystko, co wyczytała w sieci, i jakoś ominęła przeszkodę, kiedy musiała wyjaśnić, dlaczego powiększyła piersi, skoro zawsze czuła się mężczyzną. To już nie był wywiad lekarski, tylko trybunał Świętej Inkwizycji. Na szczęście facet, który ją badał, nie oglądał pornoli. Wyprowadziła go w pole. Żel, zastrzyki. Nie przewidziała, że tak bardzo zmieni się także wewnątrz. Jej charakter nie uległ zmianie. Ale uczucia stawały się z dnia na dzień bardziej intensywne. Nastąpiła radykalna przemiana wewnętrzna, którą odczuwała

silniej niż narkotyk. To, co brała z początku za ucieczkę do przodu, gest rozpacz, by wybrnąć z sytuacji, która ją przerastała, okazało się w istocie najbardziej inspirującą decyzją w jej życiu. Oszukiwała innych transów w necie, kopiowała i wklejała fragmenty ich własnych wypowiedzi. Ciało Daniela było tak fajnym wehikułem, że zadawała sobie pytanie: dlaczego mam tyle szczęścia? Śmiała się już wtedy, gdy została Debbie, gwiazdą kina porno, ale być Danielem, przystojnym i sympatycznym gościem, którego wszyscy uwielbiają, to było jak jazda rollsem. Przyjemność, że wchodzi się do sklepu i wszyscy traktują nas poważnie, że rozmawiamy z innymi facetami i czujemy, że darzą nas sympatią. Faceci tak bardzo lubią się nawzajem, dotąd nie zdawała sobie z tego sprawy.

A Daniel jest zakochany w Pam. Z Deb, jeszcze wcześniej, mogło być podobnie. Od pierwszej nocy, którą spędziły razem. Tylko że Daniel ośmiela się do tego przyznać. Następnym krokiem będzie rozmowa z nią na ten temat. Na razie siedzą przed telewizorem i oglądają *Grę o tron*, a on nie może nadążyć za intrygą. Mówi: „Ale to megaskomplikowane”, Pam nie patrzy na ekran, nadal gra w Tetris, od razu mu odpowiada: „Nie, to ty jesteś ograniczony. To proste”. Daniel otwiera esemesa, którego właśnie otrzymał. Pyta:

– Jak nazywała się ta kobieta, która przysłała do córki Satany?

– Nijak. Po prostu chciała porozmawiać o Alexie Bleachu.

– Bo dostałem wiadomość od laski, która twierdzi, że nazywa się Hiena, i pyta, czy moglibyśmy się spotkać i pomówić o Satanie.

– Nie, pokaż! To niemożliwe. Zmieniłeś ksywkę, zmieniłeś płęć i sto pięćdziesiąt razy zmieniłeś numer komórki, jak mogła cię odnaleźć? Myślisz, że to ma jakiś związek z Alexem Bleachem?

– Przecież nie oskarżą o to Satany, od dawna nie żyje.

– To byłoby naprawdę nie fair. Co jej odpowiesz?

– Lasce, która twierdzi, że nazywa się Hiena? Nic. Nie napiszę do niej ani słowa.

Blondynka w pikowanej kurtce, z torbą koloru fuksji pod pachą czyta Stephen Kinga, trzymając się poręczy. Brunetka w okularach żuje gumę, ma czarną koszulę w białe groszki i nie zapięła kilku guzików pod szyją, w uszach ma kolczyki z masy perłowej. Wygląda na zdeklarowaną zwolenniczkę prawicy. Czarny nastolatek wstukuje tekst na komórce, ma strapioną minę. Czterdziestolatek, z plecakiem i w żółtych fluorescencyjnych słuchawkach, siedzi, szeroko rozstawiając nogi, wydaje się nie znać miasta. Vernon jedzie linią pięć prawie od jej początku. Im bardziej zagłębia się w Paryż, tym bardziej różnorodni są pasażerowie. Począwszy od stacji Gare de l'Est, wagon jest przepełniony. Przygląda się ludziom, starając się nie patrzeć im prosto w twarz. Jakaś kobieta toruje sobie przejście, ma na sobie długi brązowy sweter i ciągnie wózek z niewielkim wzmacniaczem, który przypięła czerwonym gumowym paskiem, śpiewa flamenco pięknym ochrypłym głosem.

Wizyta u Lydii Bazooki źle się zakończyła. Wciąż jest tym poruszony. A przecież myślał, że spokojnie pomieszka u niej jakieś dwa tygodnie, skoro jej chłopak, akustyk, towarzyszy M na tournée i nie zanoszą się na to, by szybko pojawił się w domu. Vernon miał wolne pole i od razu poczuł się tam swobodnie. Lydia Bazooka okazała się nawet sympatyczniejsza, niż mógł się spodziewać. Zadzwoił do jej drzwi, tak jak się umówili, żeby pomówić o Alexie Bleachu, słuchała *Here Come the Munchies* Kida Loco w kółko i na cały regulator w małej kawalerce pełnej pluszowych zabawek. Laski mają czasami dziwaczne pomysły: skąd tej przyszło do głowy, by kolekcjonować pluszaki? Zaraz po przyjściu dostrzegł, że kanapa się nie rozkłada, poza tym leży na niej cała góra ciuchów. Gdyby chciał się tu przespać, musiałby dzielić z nią łóżko. Miała filigranowe i urocze ciało, jej skóra, bez tatuaży, była tak biała, że wyglądała jak sztuczna. Wstawiła na jego cześć kilka piw do lodówki. Gdy rozmawiali w necie, Lydia przystawiała się do niego jak szalona, ale gdy usiedli już twarzą w twarz,

nagle zrobiła się grzeczna i nieśmiała, co chwila się rumieniła, co czyniło ją pociągającą. Vernon przez pięć minut miał się na bacności, potem się rozluźnił. Ta laska to była dla niego oczywista sprawa, od razu poczuł zażyłość. Lubiła Jane's Addiction, Pixies, Hüsker Dü, The Smiths i Oasis – eklektyczne starocie, nic, co mogłoby go naprawdę porwać, ale też nic, co mogłoby go zrazić. Miała obsesję na punkcie rocka, znał ten typ – stuknięta dziunia, która znalazła azyl w świecie płyt. Nad biurkiem przypięła pinezkami kilka zdjęć Alexa. To była fanka z prawdziwego zdarzenia. Vernon musiał to przyznać, rock istnieje też po to. Mówi się, że fani nie są najbardziej obiektywni, gdy mówią o artystach, jednak Vernon uważał, że tylko oni są w stanie czuwać przez dwie noce z rzędu, by mieć pewność, że nie przegapią żadnej daty koncertu podczas tournée po kraju.

Był głodny, zrobił sobie jajka sadzone, w kuchennym kącie roilo się od karaluchów, Lydia nadała im nawet przydomki. Była z natury ciekawa, zadawała dużo pytań i umiała sprawiać wrażenie, że słucha. Uznała to za normalne, że Vernon krząta się po kuchennym aneksie.

Słuchał, jak opowiada o swoim projekcie książki. Była pełna zapału jak ci, którym się nie udaje wprowadzić planów w życie. Tylu ludzi mówiło mu o książkach, które zamierzali napisać, wspierając się łokciami o ladę jego sklepu z płytami – potrafił rozpoznać ten żarliwy słowotok, który zastępuje urzeczywistnienie. Rozpierała ją ambicja, chciała stworzyć coś naprawdę dobrego. Z tym zawsze jest problem. To, że ktoś myśli „narysuję galopującego wierzchowca czystej krwi”, nie znaczy, że zdoła to uczynić. Przypuszczalnie nagryzmoli coś, co z grubsza będzie wyglądało jak przejechany szczur. Dziewczyna chciała napisać książkę, która przypominałaby katedrę na tle nieba, pewnie wyjdzie jej coś w rodzaju domku z tektury.

Opowiadał jej o Alexie. Sam był zdziwiony, że stara się unikać cynicznego tonu i mówi na wstępie: „Podczas naszych ostatnich spotkań trudno było nie zauważyć, że woła o pomoc, a ja udawałem, że tego nie słyszę. Jak wszyscy bliscy mu ludzie, tak mi się wydaje. Bardzo go lubiłem, ale nie przyszło mi na myśl, żeby spróbować cokolwiek dla niego zrobić. Był za bardzo naćpany. Nigdy nie zrozumiałem,

dlaczego jest z nim tak źle. W końcu całkiem postradał zmysły. Ciągłe jeszcze tu był, ale ten ktoś w jego wnętrzu został uprowadzony – jak w *Porywaczu ciał*. Skończył sam z sobą. A ja go słuchałem, udając, że uważam to wszystko za normalne”. Lydia mówiła: „To też może być wyraz przyjaźni, dać mu święty spokój”. Chciała, żeby zaczął opowiadać od czasów, gdy Alex grał jeszcze w nieznanach grupach. Vernon starał się zebrać myśli: „Zawsze był przystojniakiem. Podobał się dziewczynom. To go wyróżniało. Był bardzo wyciszony, budził się dopiero wtedy, kiedy zaczynał śpiewać. Ale dla nas to były czasy Nirwany, wszyscy czekaliśmy na koncert grupy TAD czy Mudhoney – to nie jego widzieliśmy wtedy na mecie. Co do Nirwany wszyscy byli zgodni. Ale nie co do Bleacha. Nie myśleliśmy, że to właśnie on ma największy talent, uważaliśmy za niesprawiedliwe, że zgarnia całą pulę. To go dyskredytowało, że wszyscy go lubili, występował w programach typu *variétés*. Woleliśmy słuchać czegoś innego. Ale sukces jest jak uroda, o tym się nie dyskutuje, to się sprzedaje. I to się po prostu kręci. Czy to, że był czarny, działało na jego niekorzyść? Nie. Zaszкодziło mu, gdy zaczął o tym opowiadać w wywiadach. Niektórzy uznali, że przesadza – taki sukces, a ten chlipie w mankiet, że tak trudno być czarnym... Ale na początku to nie miało większego znaczenia niż jego fryzura. Ani dla niego, ani dla nas, jak mi się wydaje”.

Wspomnił o kasetach, które Alex nagrał w jego mieszkaniu. Miał nadzieję, że jej wydawca zechce za nie zapłacić. Powiedział jej nawet prawdę, że został wyrzucony z mieszkania i potrzebuje tysiąca euro, żeby odzyskać rzeczy. Lydia nie ukrywała, że nie obchodzi jej to, że jest bezdomny, ale była wyraźnie podekscytowana faktem, że Bleach przeprowadził sam ze sobą wywiad, o którym nikt nie wie. Nie mogła uwierzyć, że nawet nie przesłuchał tych kaset. Jednak w kwestii pieniędzy była nieugięta: „To nie ma żadnej wartości. No chyba że Bleach wyznaje, że był kochankiem ministra spraw wewnętrznych, wtedy można by na tym zarobić... Ale jeśli chodzi o mojego wydawcę, możesz postawić krzyżyk, nie da ani centyma więcej. Natomiast dla mojej książki – to mógłby być wielki plus, gdybym miała fragmenty niepublikowanych wywiadów”.

Próbował ostudzić zapał Lydii, wyjaśniając, że nie bardzo może zadzwonić do Emilie i zażądać, by mu oddała kasety, jeśli nie zwróci jej laptopa. Była zawiedziona, ale też przekonana, że znajdzie rozwiązanie. Zadzwoniła do kumpla, który wpadł i sprzedał jej gram koki. Potem spędzili z Vernonem noc, mówiąc o Alexie i o przeszłości. Myślał o seksie, obydwójce wiedzieli, że o tym myślą. Lecz tracił motywację, kiedy tylko pomyślał, że musi ją zaliczyć, żeby się u niej przespać. Późnym rankiem w końcu padli na łóżko, w ubraniach. Zbliżyła się do niego po kilku minutach, udał, że już śpi.

Spędzili kolejny dzień zamknięci w mieszkaniu w atmosferze spokojnej euforii, jaka panuje nazajutrz po koksie. Lydia była naprawdę zabawną laską. Wcale się nie boczyła, że jej nie przeleciał. Opowiedziała mu, jak natrafiła na płyty Alexa Bleacha – przez przyjaciółkę starszej siostry – i stało się to taką obsesją, że nikomu o tym nie mówiła. Kiedy wspomniała o swoim pierwszym wywiadzie z piosenkarzem, miało się wrażenie, że spotkała się z Najświętszą Panią.

Potem Lydia zamilkła i rzuciła się na Vernona. Dosłownie skoczyła mu na plecy, żeby go mocno objąć, gest na tyle niezdamny, że aż wzruszający. Z początku nie przypadło mu do gustu to, jak się całuje, wydawała się podenerwowana, a jej zęby zderzały się z jego zębami. Nie minęło dziesięć minut, a już siedziała na nim okrakiem, gwałtownie szarpiąc klamrę jego pasa, co było raczej dołujące niż podniecające. Laska należała do generacji wychowanej na porno, udawała z przesadną euforią i pozwalała się brać w dowolnej pozycji. W końcu to pobudziło Vernona. Jej drobne ciało gimnastyczki poddawało się wszelkim jego kaprysom. Prawdziwa specjalistka od seksu oralnego, nie sposób dociec, co robiła językiem i wargami – musiała mieć wrodzone poczucie rytmu. Ale w chwili wytrysku poczuł w sumie niewiele.

Przyjemnie się z nią mieszkało. Ciągłe było słyhać jej śmiech, jakby była małą dziewczynką. Czuł się tam dobrze. Zaglądał na Facebooka, żeby zamieszczać rozmaite głupstwa – zabezpieczał tyły, chłopak Lydii w końcu przecież wróci. Sylvie poszła na całość. Strasznie się wkurzyła. Szalejąc z wściekłości, strollowała mu konto i konta jego przyjaciół: kłamca, złodziej, oszust, psychopata, terrorysta,

gwałciiciel dzieci, kozojebca. Nie tyle kradzieże, których się dopuścił, co nagłe zniknięcie wprawiło ją w taki stan. Na szczęście mógł liczyć na zdeklarowaną mizoginię większości swoich znajomych i przypisać jej gwałtowne diatryby atakowi hysterii. Ale był zszokowany, widząc, jak daleko się posunęła, a zwłaszcza zaniepokojony tym, że najwyraźniej nie miała zamiaru przestać. Zablokował jej dostęp i zastanawiał się nad tekstem, którym mógłby rozbroić tę bombę. Skontaktowała się z nim Gaëlle: „Czyżbyś rozstał się z przyjaciółką?”, spróbował wytłumaczyć: „Tylko się z nią przespałem i strasznie ją poniosło”, Gaëlle odpowiedziała: „Nie przejmuj się nie cierpię jej, wkurza wszystkich, bez przerwy. Co słychać, weteranie?”. A gdy się dowiedziała, że rozgląda się za jakimś lokum w Paryżu, dała mu swój telefon, w jej mieszkaniu był wolny pokój. Lydia, której czytał te wiadomości, zdziwiła się, że zawsze szuka sobie miejsca u kobiet. Objął ją, dała się pocałować.

– Nie bądź zazdrosna. Nie ma mowy, żebym miał pójść do łóżka z Gaëlle – zawsze powtarza, że jest bi, ale nie widziałem jej jeszcze z facetem.

– Nigdy nie byłam zazdrosna. Przecież nie można mieć wszystkich. Ale dlaczego mieszkasz zawsze u dziewczyn?

– Zajętym facetom nie wolno sprowadzać kumpli do domu. A ci, którzy nie mają rodzin dzieci roboty... za bardzo przypomina mi to moje życie. Wolę być u dziewczyny.

Któregoś dnia Lydia zamieściła zdjęcie Vernona na swoim Instagramie. Nic kompromitującego. Pochylał się nad komputerem, szukał piosenki Yves'a Montanda w wersji Iggy'ego Popa, światłocienie kładły się na jego policzkach, to był ładny portret, w sumie rzadko tak się sobie podobał. W tle było widać lustro usiane białymi błyskami i zgiętą słomkę z McDonalda, co nadawało scenie świąteczny charakter.

Trudno powiedzieć, jak Sylvie na nie trafiła. I w jaki sposób znalazła adres Lydii. Musiała spędzić noc na poszukiwaniach w necie. Ale dała radę.

Nazajutrz rano Vernon i Lydia leżeli w objęciach, zbyt naćpani, żeby się bzykać, ale na zbyt dużym haju, żeby zasnąć, gdy ktoś zaczął dobijać się do drzwi wejściowych. Nawet gdyby niczego nie brali, byłiby zszokowani, ale w tym stanie poczuli się tak, jakby trafili do filmu Scorsese, helikoptery, nagłe wtargnięcie glin i krwawa łaźnia. Co wcale się nie zmieniło, gdy Lydia otworzyła drzwi.

To niesamowite, ile szkód może wyrządzić osoba o tak niewielkich gabarytach, zarówno w sferze dźwiękowej, jak i materialnej. Po raz pierwszy od chwili przybycia do tego mieszkania Vernon docenił walory okropnej kolekcji pluszaków: można nimi rzucać o ścianę, nie rozbijają się na kawałki i nie wydają dźwięków. Lecz wydawało się, że to tylko podsycza niszczycielski szal Sylvie.

Roztrzaskała dwa komputery, zdemontowała łóżko, uszkodziła sofę, potłukła naczynia i podeptała płyty, wyglądało na to, że zaraz przypuści atak na okna i fundamenty domu, wrzeszczała jak pomyłona, była to seria wyzwisk pod adresem Vernona, które znacznie wykraczały poza ramy ich wzajemnych relacji. Inkasował dobre dwadzieścia lat frustracji i rozczarowań. Reprezentował wszystkich mężczyzn, którzy ją zawiedli.

Vernon musiał przewyciężyć lęk, żeby się do niej zbliżyć, szepcząc, jakby chciał uspokoić nieokiełznane zwierzę, ale gdy tylko do niej podszedł, próbując coś powiedzieć, Sylvie ochłonęła. Vernon mówił: „Chodź porozmawiamy o tym wszystkim przy kawie, ja tylko u niej mieszkam, nie musi być świadkiem naszej kłótni, chodź ze mną”. Sylvie nadal protestowała: „A jej co ukradłeś? Ją też pieprzyłeś, co? Pani wie, kogo przyjęła pani pod swój dach? Nie, nie ma pani pojęcia, kim jest ten osobnik. Nie ma pani bladego pojęcia, kim jest Vernon Subutex!”. Ale zgodziła się z nim wyjść.

Vernona przerażała myśl, że znajdzie się z nią w barze. Sylvie powtarzała w kółko, że była na policji, by go oskarżyć o nadużycie zaufania, kradzież i paserstwo. Nie wiedział, czy blefuje. Było to tak niewspółmierne do tego, co zrobił, że wcale by się nie zdziwił, gdyby wyciągnęła gnata i strzeliła mu w głowę. Była opętana. I bardzo szybko spostrzegł, że chodzi jej tylko o to, żeby do niej wrócił. Po tego rodzaju scenie. Udał, że się waha, potem zaproponował, by

zaczekała na niego w domu. Musi zajrzeć do Lydii, przeprosić ją i zabrać rzeczy. Sylvie mu uwierzyła, ale upierała się, żeby mu towarzyszyć, żałowała tego, co zrobiła, i chciała to dziewczynie jakoś wynagrodzić. Vernon uniósł dłoń, żeby powiedzieć nie, wolę iść sam. Sylvie zrozumiała, że kłamie, znowu wpadła w złość. Rzuciła się na niego, żeby go uderzyć, a ponieważ się zasłaniał, nie oddając ciosów, ugryzła go w ramię, z całej siły. Odepchnął ją, potem zaczął uciekać. Sylvie była na wysokich obcasach, nie mogła za nim biec, wrzeszczała: „Łapcie go!”, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Biegł tak długo, aż całkiem opadł z sił, przy wejściu do stacji Hoche.

Musiał sięść na chodniku i czekać długie minuty, aż oddech się uspokoi i będzie mógł wstać. Nogi wciąż mu drżały. Wyszedł bez niczego, nie miał adresu Lydii. Tylko iPod w tylnej kieszeni spodni, dwa euro i numer do Gaëlle, zapisany na tekturowym opakowaniu bibulek. Krążył po Pantin, nie mogąc odnaleźć mieszkania, z którego wyszedł. Przerazała go myśl, że może się natknąć na Sylvie, która go nadal szuka, ale w tę i z powrotem przemierzał ulice. Wiedział, że przed domem Lydii jest stacja rowerowa. Rano oceniała przez okno rozmiary zniszczeń. Mówiła: „Czarni nie lubią rowerów, nie wiem dlaczego”, bo za każdym razem, gdy ktoś pastwił się nad rowerem, był to czarny wyrostek. „Przyszłoby ci do głowy, żeby podpalać rowery? Ale na pewno ma to jakiś sens...”.

Nie mógł rozpoznać ulicy, której szukał. W końcu zadzwonił do Gaëlle, dając dwa euro jakiejś nastolatce, by użyczyła mu swojej komórki. Podała mu telefon i przyblokowała Vernona przy murze, żeby mieć pewność, że jej nie ucieknie. Był zaskoczony, że Gaëlle od razu odebrała i powiedziała, że nie ma problemu, mogą się spotkać w barze przy kanale Saint Martin, potem pójdą razem do mieszkania.

Vernon przemierza plac Republiki. Para młodych Romów siedzi na materacu opartym o ścianę banku, wyglądają na zakochanych i zaniepokojonych, nie żebrzą, mówią o czymś ważnym, nachyleni ku sobie.

Gaëlle się nie zmieniła. Tatuaze dotarły do szyi i nadgarstków, ale poza tym jej twarz jest ledwie naznaczona przez czas. Gaëlle to motocykle, Hells Angels

i wszystko, co powoduje, że mamy ręce ubrudzone smarem. Była jeszcze podlotkiem, gdy pojawiła się w sklepie. Vernon nigdy nie słyszał określenia „*butch*”. Pod koniec lat osiemdziesiątych na tego typu dziewczyny mówiło się chłopczyce. Ale Gaëlle była filigranową blondynką i nikt by jej tak nie nazwał. Rzadko się uśmiechała. Słuchała Crazy Cavan, The Easybeats i Davida Bowie. Kradła po kilka płyt naraz, wsuwając je pod sweter, widziała to w filmie *My, dzieci z dworca ZOO*, ale nie miała w sobie prawdziwej złodziejskiej żyłki, chociaż sporo tupetu, i ponawiała próby. Vernon ją napominał, ale nie mógł jej zakazać wstępu do sklepu. Za bardzo przypominała rozdrażnionego kotka.

Gaëlle nazywa go starym kumplem i obejmuje ramieniem, by wypinając pierś, przedstawić go barmanowi: „Widzisz tego gościa? Walczyliśmy razem w Wietnamie”. Nie zadaje kłopotliwych pytań. Dobrze znała Alexa. Mówi o nim, skrupulatnie skubiąc tekturową podstawkę i układając ze skrawków papieru regularne stożki:

– Wiemy, że kiedyś zadzwoni telefon i ktoś powie: Alex nie żyje. Ale gdy przychodzi ten dzień, czujemy się jednak podle. Marzyłam, żeby być takim chłopakiem jak on. Zuchwałym, pięknym, utalentowanym, wściekłym... Myślę o jego ciele, na koncertach, w ostatnich latach zrezygnował z szaleńczych skoków, nie był już w stanie... Ale wcześniej... Pamiętasz? To pewnie najprzystojniejszy facet, jakiego widziałam na scenie. Ostatnie koncerty... Zostawiał muzyków na scenie, musiał pójść za kulisy, żeby coś wciągnąć. To było smutne. Ty też go widywałeś? Nie wszyscy zmarli zachowują się tak samo. Jedni od razu znikają, jakby tylko na to czekali. Inni krążą wokół ciebie, odwiedzają cię we śnie, czegoś chcą... Alex mnie budzi w środku nocy, robi mi wyrzuty. Mówi: „Nawet nie próbowałaś mi pomóc”. Usprawiedliwiam się: „Kurwa, sama ledwie zipię, jak miałabym kogoś ocalić”. Ale zgrzyt pozostał.

– Opowiadał ci o dźwiękach alfa?

– Tobie też?

– Przez całą noc kazał mi tego słuchać. Miałem szumy w uszach.

– Tak, mnie też tym zadręczał.

Vernon twierdzi, że ma problem z walizkami, że zatrzasnął drzwi do mieszkania, zostawiając klucze w środku, a jego kumpel wraca dopiero jutro... Gaëlle jest naprawdę *cool*, mówi: „Dzisiaj damy radę, zobaczysz, znajdziemy ci jakiś T-shirt na zmianę i coś do golenia”. Potem Vernon mówi, że jest w Paryżu, żeby wyrobić sobie nowy paszport i uregulować kwestię ubezpieczeń, Gaëlle wyraża współczucie. Ubezpieczenia społeczne? To zajmie co najmniej dwa tygodnie, chyba zwariował, jeśli myśli, że to szybko załatwi. „Wiesz, co robią, kiedy dojdą do wniosku, że mają za dużo pracy? Wyrzucają dokumenty do kosza. Przysięgam, oczywiście, że to prawda, powiedział mi o tym kumpel, który jest lekarzem. Utkwiłeś tu na dłużej... Widać, że dawno nie byłeś w kraju, wiele się tu pozmieniało... Nie, nie mam własnego mieszkania. Już od dawna. Zresztą nie mam też ubezpieczenia, ale nigdy nie choruję, mam to gdzieś... Zobaczysz, lokal jest spoko. Bardzo duży, w ósmej dzielnicy. Cieszę się, że mogę ci pomóc, wiesz... tyle nakradłam w Rewolwerze, że jestem ci coś dłużna. Tylko nie chcę żadnych problemów: jeśli narobisz mi syfu, odnajdę cię i powybijam zęby. Rozumiemy się? Nie chciałabym żałować, że miałam chwilę słabości. A tak poza tym cieszę się, że mogę ci oddać przysługę. Może nawet wreszcie się pokochamy, moja kumpelka akurat wyjechała. Żartuję, nie bawimy się w filmy Kechiche’a. Jest ode mnie o dwadzieścia lat młodsza. Stale chce imprezować, zamęcza mnie, nie wyobrażasz sobie, ile one mają energii w tym wieku... Kiedy ja byłam młoda, jednak dość trudno było być lesbijką. Ale dzisiaj te młode mają superżycie, imprezują co wieczór. W środowisku jest ich ze dwa tysiące, więc się afiszują... Nie wyobrażasz sobie, jak te suki się grzeją: przychodzą, od razu wyciągają uprząż i sztuczne penisy, wszystko wydaje im się naturalne. Do pewnych rzeczy dochodziłam latami, a te lochy od tego zaczynają”. I zaczęła podsycać jego uwagę, udając, że nie wie, co robi, opisując mu szczegółowo nowe przypinane dilda, przyjemne w dotyku i bardzo praktyczne.

Nigdy do końca nie zrozumiał, jaki zawód wykonuje Gaëlle, nie ma stałego miejsca zamieszkania, nie urodziła dziecka, żyje tak samo jak wtedy, gdy miała

dwadzieścia lat. Wygląda, jakby była o piętnaście lat młodsza, tłumaczy to tym, że nie używa podkładu. To dziecko z dobrego domu. Nie wygląda na to, żeby miała pieniądze, cena piwa niepokoi ją tak samo jak Vernona. Lecz ma mentalność księżniczki. W jej psychice nie istnieje coś takiego jak nędza. Tacy ludzie jak ona należą do bohemy, to artyści – żyją w niewiarygodnie intensywny sposób. Nie są na marginesie. Nawet na zasiłku, nawet w mamrze, bez względu na to, co im się przydarzy, i – jeśli tylko ktoś nie wyrwie jej flaków, żeby cierpiała tak jak wszyscy inni – będzie się unosiła nad przyziemnymi kwestiami. Fakt, że niczego nie ma, ułatwia jej życie w stanie nieważkości.

Gaëlle wprowadza go do mieszkania, które ma trzy poziomy, powierzchnia musi wynosić jakieś trzysta metrów, trochę przypomina to supermarket, można się zmęczyć samym chodzeniem. Wzdłuż ostatniego piętra ciągnie się długi taras. Szare paryskie dachy ciągną się w nieskończoność, niebo jest monotonne, światło widać tylko przez kilka godzin dziennie. Tak jakby miasto było zamknięte pokrywką. Taras jest zbyt wysoko, by można było przyglądać się ludziom w dole, spojrzenie wędruje w stronę mglistego nieba i dostrzegamy samoloty, które się mijają, nieustannie. Vernon dygoce z zimna. Gaëlle otwiera puszkę piwa i dźwięk metalowego jęczyczka, który się odrywa, uwalniając gaz, natychmiast go uspokaja. Gaëlle ma gesty motocyklisty, nawet gdy robi najzwyczajniejsze rzeczy. W jej wykonaniu stają się dziwnie zmysłowe.

– Ale kto wymyślił sobie takie wielkie mieszkanie?

– Liczna rodzina. Na naszym piętrze mieszkała służba domowa – piętro niżej, wystarczy, że masz czworo dzieci, i wszystkie pokoje są zajęte, a na górze przyjmowano gości...

– Ile się płaci za coś takiego?

– Raczej: ile coś takiego kosztuje. To był kaprys. Biorąc pod uwagę dzielnicę, trzeba liczyć jakieś trzy miliony... miał je w gotówce, pewnie dostał niewielki upust. Może sobie na to pozwolić. Inwestuje cudze pieniądze, jego laska się kształci. Pracują oboje. Zobaczysz, jest tu całkiem *cool*. Tylko uważaj, nie opróżnij

lodówki. Nie znoszą tego. Jeśli chce ci się pić, jesteś głodny, schodzisz i kupujesz, co trzeba.

– Od dawna tu mieszkasz?

– Od jakiegoś czasu mam pokój, ale staram się nie spędzać tu zbyt wiele czasu. To za bardzo męczące. W pierwszych dniach ci się spodoba, a później się przekonasz, zejdziesz rano na kawę i zobaczysz w kuchni dziesięciu kompletnie skołowanych ludzi, którzy nie rozumieją już nawet, co sami opowiadają, w kółko o prawdziwym przesłaniu Chrystusa... Po jakimś czasie to zaczyna ci działać na nerwy. Ale przez dziesięć dni będziesz się czuł jak król.

– To mnie urządza, nawet nie wiesz jak.

– Mogłabyś puszczać muzykę dziś wieczorem. Pan domu robi małą fetę. Powiemy mu, że jesteś DJ-em.

– Mam iPoda. Mogłabyś pożyczyć mi swojego Maca? Jeśli mam przygotować playlistę, będzie mi dużo łatwiej... I muszę wejść na neta, skontaktować się z kumplem, u którego zostawiłem walizki.

Kiedy myśli o tym, żeby napisać do Lydii i wyjaśnić, że nie mógł odnaleźć jej mieszkania, wspomnienie popołudniowej sceny podchodzi mu do gardła i czuje, że w żyłach zamarza mu krew.

Dźwięk jest doskonały, ten facet to geniusz. Na Gaëlle zawsze można polegać. Kiedy go zobaczyli, wszyscy zadali sobie pytanie, co to za smętny zgred, a on podłączył iPoda, ten gość jest boski, to balsam dla ich uszu. Z kolumn Klipsch wylewa się muzyka Roda Stewarta, facet daje radę, ryzykuje wszystko i zawsze trafia w punkt. Prawdziwa Nadia Comăneci playlisty. Od tego wieczoru zawsze tu będzie DJ-em. Red Bull i kreski koki, zjawiają się dziewczyny, grupami. Są pijane, łatwe i wulgarne, nocą wszyscy to lubią. Jakiś dupek rzyga do donicy. Kiko chwyta go za ramię i wrzeszczy mu prosto w ucho: „Wypad z mojego domu wypad ale już!”, gość coś bełkoce, ale Kiko, nie słuchając, popycha go w stronę drzwi. Nie cierpi patałachów, którym szkodzi alkohol. Jakaś anemiczna blondynka, chuda jak patyk, chwieje się na niebywale wysokich obcasach. Jakby szła po linie. Wydatne obojczyki, ma chęć strzaskać jej kość. Gotuje się w środku. Przez głowę przebiega mu myśl, by przejść przez balustradę tarasu i skoczyć. Tylko po to, żeby się ochłodzić. Tego ranka po przebudzeniu Kiko powiedział sobie dziś wieczorem wrzucam na luz. Muszę odpocząć, zjeść sushi, pogapić się na film i zasnąć, żeby dojść do siebie. Ale zapomniał, że wieczorem organizuje imprezę – mógłby ją odwołać, lecz to wymagałoby zbyt wiele zachodu. Przyszła Claudia. Jest w Paryżu, bo ma pozować do okładki „Vogue’a”. Kiko lubi otaczać się ludźmi, którym udaje się zrealizować to, co zamierzeli. Emanuje od nich dobra energia. Przyleciała z kilkoma fotomodelkami, dziś modelki grają rolę *itgirls* z minionego dziesięciolecia. *Has been*. Jest ich zbyt wiele. Są jednorazowe. Byle przeciętniak może zaciągnąć do łóżka dziewczynę, która schodzi z podium. Ta formuła wydaje mu się zabawna, zamieszcza ją na Twitterze. Toczy dyskusję z Jé, piszącym z Szanghaju – która jest tam godzina, niemożliwe, by o tej porze zamieszczał wpis: „ogłądał moje zielone rzygi”, wraz ze stosowną fotografią. Ohyda. Ciekawe, co on tam robi. Poza tym że chleje. Po ostatnim Jamesie Bondzie Kiko obiecał sobie, że poleci do Szanghaju. Nie ze względu na pracę – poleci tam i będzie miał czas,

żeby wyjść z hotelu. Poczuć miasto. Tylko że ma mało wolnego czasu. To długa historia. Poświęcasz cały swój czas, żeby zarobić jak najwięcej szmalu, ale żeby go wydać, musiałbyś ograniczyć tygodniowy czas pracy. A w jego fachu tego się nie robi. Jego fach to tempo. Ludzie z zewnątrz tego nie rozumieją. Myślą, że bada kondycję przedsiębiorstw. Kiko jest sprinterem. Reaguje z prędkością jednej setnej sekundy, działa w rytmie maszyn. *Black holes*. Giełdowy krach trwa półtorej sekundy. Zyski liczy się w miliardach. Lub straty. I ktoś jest za to odpowiedzialny. To ultraniestabilność. Kiko nie ma czasu, by dotknąć ziemi, żyje w wymiarze skali logarytmicznej. Podłączony do podziemnych wibracji, których zwykły śmiertelnik nie potrafi odbierać. Reaguje z szybkością dźwięku. To się liczy w miliardach i to się liczy w sekundach. Stale musi być czujny, jak wytrawny wojownik. Britney Spears, *Work Bitch*. Subutex to niezły koleś, czyta w jego myślach, wie, co trzeba puścić, żeby ludzie tańczyli. Muzykę z sal gimnastycznych.

Jérémy naprzykrza się Marcii, żeby obcięła mu włosy, natychmiast. Kiko już go nie trawi. Kiedyś był zabawny i uroczy. Był jego najlepszym kumplem. Teraz stał się żaloszny. Znają się od dziecka. Ale Jérémy nie chce pojąć, że przestał być mile widziany. Narzuca się. Jest spłukany, ojciec odciął mu kasę, gdy zaczął za dużo wciągać. Dał się nawet wyrzucić z rady nadzorczej, trzeba mieć talent. Roztrzaskał krzesło na biurku prezesa. Z początku nawet się z tego śmiali. Ale po czasie, cóż. To była reakcja ćpuna. Spójrzmy prawdzie w oczy. Rozróby są dobre w nocy. W ciągu dnia należy oczyścić nos i za bardzo nie szumieć. Wkurza go. Od ostatniego lata, gdy Jérémy wprosił się do niego na festiwalu Calvi on the Rocks. Nie miał centa w kieszeni. Był jego utrzymankiem. Co za wstyd. A przecież Kiko powiedział, że są w dziesiątkę w chacie, basen też wcale nie jest olimpijski. Jednak przyjechał. Brak szacunku. Kiko tego nie znosi. Jeśli narkotyki ci szkodzą, trzeba iść na odwyk. Długo byli nierozłączni, zgadzali się we wszystkim. Ale to już nie działa. Jérémy nie jest na fali. Należy teraz do tłumu, który Kiko omija szerokim łukiem – nie ma zamiaru brudzić sobie rąk i mieć poczucia winy. Rozumie, że nie każdy może być taki jak on. Zawsze na pierwszej linii, zawsze w najwyższej formie. Większość z ludzi, których zna, nie nadaje się już do niczego. Gra jest

długa i twarda. Czyż nie dobija się koni, Kiko pozostanie na torze jako ostatni. Jérémy jest skończony. Ojciec nie zostawi go całkiem na lodzie, ale to już wrak. Jego mózg musi wyglądać jak stary chiński pączek. Który dawno ostygł. Już nie wejdzie na ring. Kiko się wkurza, że wciąż nachyla się nad Marcją – na widok Marcii jeszcze mu staje. I to jak mu staje! Nie jest pierwszej świeżości ani naprawdę w jego typie. I ona o tym wie. To dlatego, że tak się porusza, jakby się rzucała przy każdym oddechu. Czuć ją seksem. Prawdziwe laski to tak naprawdę faceci. Chwyta formułę w lot i zamieszcza ją na Twitterze. Jakby stał na wiadukcie i pochylał się nad autostradą. Nieustanny ruch. Boule2Kriss ma odlot na temat kobiety Barbie, laski, która dzięki zabiegom upodobniła się do lalki. Wypisuje pornograficzne teksty. Depeche Mode – ten typ jest genialny. Nie sposób wyczuć, co za chwilę puści – ale daje czadu. Ma pulsacje w korze. Impreza rozkręca się jeszcze bardziej, to się wyczuwa, to kręci, to kręci, to kręci. Janet Jackson, *All Nite*. Po kątach zaczyna się prawdziwa jazda, to kosmiczne i brudne, dokładnie tak, jak lubi. Dziewczyny są suche, kiedy są naćpane, boli je, gdy się pieprzą, chłopcy, uwaga na napletki. To zdanie zamieszcza na Twitterze. Tym gorzej dla obrzezanych, których kutasy niczym nie zalatują. Tego wieczoru może włożyć swojego między uda dowolnej dziewczyny. Po to przyszły, widzą rozmiary apartamentu, to je rozgrzewa, chcą obciągnąć facetowi, którego na to stać. Widzi wszystko. Jest ultraczułą i czujną powierzchnią. To narkotyk, ale nie tylko – jego mózg jest ogromnym węzłem drogowym. Jak w samym centrum Tokio. Przemierzają go informacje, on je porządkuje. Przez cały dzień obserwuje osiem ekranów, a równocześnie przez telefon wydaje polecenia. Jest zwielokrotniony. Rutyna sprawia, że jego mózg działa sto razy lepiej niż mózg dowolnego dyrektora spółki. Dyrektor banku to przy nim gość, który wjeżdża na górę na osle, podczas gdy on leci rakieta – trzy razy dookoła świata, codziennie, i nie tylko okrąży glob krokami olbrzyma, od giełdy do giełdy, ale odbywa tę samą podróż w przekroju poprzecznym – gromadzi informacje, wybiera te, które się dopełniają, łączy je ze sobą. Transceiver. Międzygalaktyczna sortownia. Podłączony do czasu świata. W sycylijskiej wiosce tak samo jak w indyjskim megalopolis, od tundry po

amazońską dżunglę, wszędzie obowiązuje czas Rynku. Naszą zaletą jest szybkość, wszechobecność jest naszym darem. Bolid pędzi zbyt szybko, by ktokolwiek mógł zmienić jego trajektorię, to kwestia feelingu. Kiko czuje czas, jest dużą wskazówką na zegarze. W czasie globalnym. Jest szybszy, jest potężniejszy. To nie ma nic wspólnego z narkotykami. Zarządza bazą danych. Szczypta koki rano i jedzie, nie biorąc nic więcej do pauzy o czternastej – pierwsza kreska. W ciągu dnia zarządza, bierze tylko tyle, ile potrzebuje, żeby utrzymać się na grzbiecie fali. Nigdy nie dać się przykryć. Jest świetnym surferem. To mieszkanie ma swoją wartość, jest warte dziewczyn, które poruszają tyłkami w salonie, jest warte twardych dragów. Jest warte jego butów od Berlutiego. Ma swój ciężar. Rozprzestrzenia się, idzie w górę – każdy oddałby wszystko, by być na jego miejscu. Kurwa, remiks Presleya w wykonaniu Trentemøllera. Właśnie w tym momencie, dokładnie to należało puścić. To dzika muzyka i dziewczyny ją uwielbiają, mogą kołysać biodrami na całego. Ten gość to fenomen. Uwielbia go. W swoim biznesie jest do niego podobny. Kiko jest wirtuozem – kierowcą bolidu, bolidem jest jego własne ciało. Słyszy krew w skroniach, dźwięk własnej krwi, uderza, jest mocny. Potężny. Nawet ci, którzy udają skromnych, robią to z frustracji, bo nie mogą być tacy sami jak on. Nie mogą skosztować dobrej zupy, więc plują do talerza, gdyby im go podano, zmieniliby zdanie. Nikt nie lubi biedaków. Tego starego kutasa Vernona omal nie wywalił za drzwi – nie lubi, gdy ktoś to robi, sprowadza mu do domu faceta, który nie powinien przekroczyć jego progę. Zaczął się irytować, kiedy zobaczył tę menelską gębę, a jeszcze ta historia z walizką, którą gdzieś zostawił, trzeba mu było pożyczyć koszulę. Kiko spojrzał krzywo na Gaëlle, a ona zrobiła minę, którą bardzo lubił: wyduła usta jak stary, pewny siebie kowboj. Wiedziała, co robi. Facet daje radę. W środku dnia w salonie wyglądał do niczego, a teraz, schylony nad playlistami, naprawdę trzyma fason. Prawie się nie porusza – prawdziwi faceci nie tańczą – ale jest cały dźwiękiem. Sukinsyn wykonuje zakręt o sto osiemdziesiąt stopni, puszcza gorącą kiczowatą muzykę i to działa. Kiko zerka na jego iTunes – Candi Staton, *I'd Rather Be An Old Man's Sweetheart*. No kurwa, jak ten ciul ośmielił się to zagrać, teraz. Dokładnie tego potrzebował, laski mogą się przy tym

rozgrzać pomimo koki. *Groovy Night*, nigdy nie widział takiego skurwysyna. Dlaczego jesteś biedny, dlaczego pozostałeś zafajdanym biedakiem. W młodości facet wcinał pewnie orzeszki ziemne z papierowego talerza, żarł mrożone naleśniki i nafaszerowane antybiotykami mięso. Kultura nędzarzy, na samą myśl ma odruch wymiotny. Tak by to wyglądało – przesolone żarcie publiczny transport harówka za mniej niż pięć tysięcy euro miesięcznie i kupowanie ciuchów w supermarkecie. Czekać na samolot na twardym krzeselku na lotnisku nic do picia żadnych gazet traktują cię jak śmiecia i podróżujesz w fotelach drugiej klasy, jesteś dupkiem z drugiej klasy, z kolanami pod brodą i łokciem sąsiadki pod żebrem. Rznąć stare mięso z cellulitem. Skończyć tydzień pracy i zabrać się do sprzątanania i robienia zakupów. Patrzeć na ceny, żeby sprawdzić, czy mnie na to stać. Kiko by tak nie robił, obrabiałby banki strzeliłby sobie w łeb znalazł jakieś wyjście. Nie mógłby tak żyć. Jeśli tak robią, to znaczy, że zasłużyli. Tacy faceci jak on nie wytrzymaliby tego. W czym właściwie bogaci są lepsi od biednych? Nie zadowolają się ochłapem, który ktoś im rzuci. Tacy faceci jak on nigdy nie zachowują się jak niewolnicy. Bez względu na okoliczności stoi mocno na nogach – wolałby zdechnąć, niż paść na kolana. Ten, kto pozwala się zdominować, zasługuje na to, by być zdominowanym. To wojna. Jest najemnikiem. Nie wolno się mazać, kiedy trafimy na front. Jesteśmy tu, żeby walczyć. Trzy dni temu Kerviel był w telewizji, facet go spytał: „Ale czy pan wiedział, co robi, spekulując surowcami”, i mówił inne idiotyczne rzeczy jak zwykły dupek, który nie chce zrozumieć, na czym polega ten fach, Kiko po prostu ślaniał się ze śmiechu. Myślisz, że mamy czas oglądać swoją dziurę w dupie i zastanawiać się, czy to dobre, czy złe. Najsilniejszy. Najszybszy. To jedyne pytanie. Kiedy przeczuwasz odpowiedź, wal śmiało. Goście użalają się nad gospodarką rynkową, zapraszają Kervielia i chcieliby, żeby przyznał, że jest wszystkiemu winny. A może zadajcie sobie właściwe pytania: kto sprzedaje programy? To są panowie świata. Zastanów się, co robi Google, zamiast szlochać, że już nie rozumiesz, jak funkcjonuje przemysł. Dwanaście pociągów spóźnienia, kolego. Kto wymyśla logarytmy? – to jedyne sensowne pytanie. Ludzie z dołów boją się wzrostu notowań skrajnej prawicy. Na giełdach to niczego nie zmieni. Ci

czy tamci, nie czuć żadnej różnicy. Już się nie cofniemy. Tkwią jeszcze w latach trzydziestych. Kiko jest podpięty do jedyne go nurtu, ma bezpośrednie połączenie z władzą, pieniądze się szamoczą, wierzgają, stają dęba, ale Kiko jest w siodle. Czy ktoś każe pilotowi bombowca przeżywać wewnętrzne rozterki? A ci jeszcze bronią szkoły czy ubezpieczeń społecznych. Zapóźnieni w rozwoju. Czy bezrobotny czuje potrzebę czytania w czasie wolnym? Mają dostawać pieniądze, skoro nie produkują? To koniec starego świata. Po co kształcić ludzi, których nie potrzebujemy już na rynku pracy? Kiedy następnym razem wystosuje się apel do ludów Europy, to z powodu wojny. Nie ma potrzeby uczyć ludzi literatury i matematyki, żeby ich wysłać na wojnę. Oto co mogłoby rozruszać gospodarkę. Wojna. Ale piśmienni bezrobotni – doprawdy, co za głupota. Ludzie myślą, że tam na górze przejmują się ruchami kontestującymi istniejący porządek, naprawdę wierzą, że komuś ściska się serce, gdy widzi paru oberwańców, którzy nie mają za co kupić sobie mąki. Zawsze tak było. To twarda rzeczywistość. To wojna. Kiedy Kerviel upada, nikt nie chce go bronić. Gdy przyjdzie czas na Kiko, on też będzie sam. Jest najemnikiem, wie, że nie może liczyć na nikogo. Wojny trzeba wygrywać. Przeżyć. Mieć dobre narzędzia. Precyzyjny logarytm. Reszta to poezja liryczna, zwykłe dyrdymały. Złudne obietnice. Oczywiście, że stan upojenia istnieje. A jak sądzisz, lebiego, że mi nie staje, kiedy dostaję sześciocyfrowe bonusy? Gdyby podszedł do Subutexa i powiedział wiesz dziś dorzuciłem setki tysięcy euro do mojej fortuny, nie zrozumiałby, że mu staje? Staje mu na maksa. Kiko jest bykiem na arenie, walczy. Zna takich, którzy odeszli na emeryturę w wieku czterdziestu lat. Pałace wielkie limuzyny i ładne dziwki, osiedlają się w krajach, gdzie nikt nie zawraca sobie głowy prawami człowieka, w krajach, które poszły naprzód, przestańcie wkurzać ludzi podatkami. I żaden nie wyciera oczu chusteczką, bo bambus nie dojada. Spróbuj zrobić to co ja, sam zobaczysz. Przyciągam, przewiduję, podwajam, uprzędzam ruchy, roluję. Zawsze w pogotowiu. Złe wieści dla Francuzów: zabawa się skończyła. Proszę się rozejść, nie ma już nic do sprzedania. Upłynniliśmy nasze lodówki nasze komputery teraz likwidujemy hurtownie i sprzedajemy gdzie indziej. I co? Co zrobicie, prócz

wylewania łez? Pozabijacie się nawzajem? Dobra myśl. Mamy broń na sprzedaż. Mieszkańcy jego kraju to durnie, niewdzięcznicy i aroganci. Wrzeszczą na ulicach i myślą, że coś znaczą. Nic. Stąd was nie słychać. Nie dociera do nas nawet szmer. Sprawa jest już zamknięta. Wymachujcie sobie do woli kartami do głosowania. Nie słyszymy was, nawet z daleka.

Nie powinien kłaść się zbyt późno. Jeszcze jedna kreska, ostatni kieliszek i lulu. Albert King, *Breaking Up Somebody's Home*. Vernon jest doskonały. Kiko wrzeszczy DJ REWOLWER IS THE BEST. Wie, że to żalosne ma to gdzieś jest u siebie i robi co chce. To nie do wiary, ten typ ma szósty zmysł. Trzyma stery, a jego pojazd kosmiczny startuje. To jest spójne, ludzie, ich ciała, światła i dźwięk – to niesamowicie spójne. Idzie do niego i obejmuje go ramieniem. Kurwa brawa za muzykę to prawdziwy odjazd masz superczysty dźwięk. *You're a bad bad bad ass motherfucker*. Najgorszego gatunku. Masz wszystko, czego ci trzeba w pokoju? Mów śmiało. Mam ci załatwić jakąś niunię? Były tu setki facetów, którzy puszczali muzykę, mieli styl, ale ty... *you're a bad ass motherfucker*. Popatrz na te suki, zobacz, co im robisz, zaraz zaczniesz się orgia. W sumie nawet ta jego gęba nie wygląda najgorzej. Nie jest nieśmiały, jest tajemniczy. Na pierwszy rzut oka wziął go za nieśmiałego. Nie cierpi takich ludzi. Matkojebcy są wściekli, mają niewyparzone gęby. Nie trzęsą portkami. Nieśmiałość to cecha farbowanych lisów. Klasy średniej, ustawionych lewaków. Zwykłych zer, które uważają się za niewiadomo co. Nieśmiałość znaczy kompleks, a kompleks znaczy zdrada. Trzeba uważać, kogo się wpuszcza do środka, jeśli chcemy, żeby impreza potoczyła się gładko. Trzeba filtrować. Mieszkaniem zarządza się tak samo jak krajem. Trzeba blokować dostęp niepożądanym gościom, być bezlitosnym, być w gronie ludzi, którzy lubią się bawić. Płacę za party, ale robię selekcję. Ten Vernon to zagadka, od kiedy puszcza muzykę, uległ totalnej przemianie. Artysta. Wygląda jak artysta. Paru takich zawsze się przydaje. Na przykład tego wieczoru brakuje aktorek. Zawsze coś wnoszą. Ludzie z telewizji nie. Są ciężcy. Psują klimat. Wszystkich zanudzają. Tak samo komicy. *So weit wie noch nie*, stare techno. Wszyscy tańczą, są w transie. Naprawdę ten gość to geniusz. Nie wiadomo, na czym to polega, ale

gdy jest w tym dusza, wszyscy to wyczuwają. Dokładnie w chwili, gdy Kiko zamierza pójść do łóżka, leci właściwa muza. Ta brunetka od pewnego czasu kręci się koło niego, myśli, że tego nie widzi, więc ponawia starania. Wkrótce będzie tańczyła nago, szukając jego wzroku. Ma taki smukły nos, Kiko zastanawia się, jak wciąga proszek, żeby od razu nie rozpuścił jej nozdrzy. Może to proteza, może zanim go zacznie ssać, zdejmie nos i pokaże swoją prawdziwą twarz, twarz zombie. Ruszaj się, mała, ruszaj. Zaraz się tobą zajmę. Dzisiaj cię nie zerżnę, jestem zbyt zmęczony, ale wezmę cię z sobą do łóżka. Zaśniemy w objęciach. Biancha tańczy z zamkniętymi oczami, Marcia przykleiła się jej do pleców. Mały lesbijski show, śmiało, dziewczyny, podpalcie ten salon. To istne piekło. Rytualny taniec. Uwielbiam to. Bierze brunetkę za rękę. Wygląda na szesnaście lat. Zasnę z dwoma palcami w twojej małej ogolonej cipce, ale cię nie zerżnę, nie mam na to dość siły, może mi obciągniesz, ale nie wydaje mi się, żebym mógł się spuścić. W jego domu porno rozgrywa się w łóżku, na żywo. Jest bogiem. Sypialnia jest dość daleko od salonu, więc ludzie mogą się dalej bawić. Jest księciem. Nie żegna się, daje znak małej, żeby za nim poszła. Wszystkie są takie same, a te, które zadzierają nosa, kiedy się na nie zagwiżdże, mogą od razu spadać, zawsze znajdzie się taka, która go rozgrzeje. Bo kto wie, może jutro przypomnę sobie o tobie i dostaniesz prezent. To zależy od ciebie, jak bardzo się postarasz.

W tym koksie nie ma koksu, nic nie czuć, gdy się go wciera w dżiąsła. Boli ją głowa i już czuje na plecach ciężkie zejście, a jest jeszcze na haju, czeka ją superporanek. Marcia ma sesję zdjęciową o piętnastej, zdąży odpocząć. Impreza jest taka sobie, lepiej by zrobiła, gdyby poszła spać. Zawsze te same twarze. Rozmowy w kółko o tym samym. Po powrocie do domu otworzyła paczkę papierosów i już jest pusta. Nikotyna wykańcza ją bardziej niż alkohol czy dragi, rano czuje się tak, jakby nie mogła oddychać. Powinna to rzucić. Palenie źle działa na cerę, przerzuciła się na tytoń bez dodatków, Gaëlle powiedziała jej, że naprawdę jest różnica, ale ona tego nie czuje. To łupanie w głowie. Już od godziny siedzi w tym samym miejscu, obok Framboise, która bez przerwy robi skręty z samego zioła. Od godziny mówi sobie, że pójdzie się położyć. Biały szum w dżiąsłach, supernieprzyjemny, bardzo dobrze to zna. Jutro musi odpocząć.

Przy pierwszych nutach jej świadomość otwiera się jak książka, *Construcción*. Hiszpańska wersja Vigliettiego, seria ruchomych obrazów, zapachy i dźwięki, to, co jej ciało czuło dokładnie w tym momencie. Beładne wertowanie książki, nie wybiera tego, co jej się przydarza. *Amó aquella vez como si fuese última*. Wtedy miała na imię Leo, skopiowała fryzurę Isabelli Rossellini. Belo Horizonte. Drzewa w mieście, potężne, intensywna zieleń jak w krajach południa, kiedy wyrastają nawet z betonu i gwałtownie pną się ku niebu. Dzielnica Floresta, niski dom, adapter w domu rodziców Silvia, którego nie było, i ten kawałek, puszcany w kółko przez wiele dni, ich prześladował. Chodzili do kina na *Betty Blue*. Kilka razy w ciągu jednego dnia i powracali nazajutrz. Pili piwo na ulicach, chłonęli silny zapach kwiatów dama da noite. Leo miał tenisówki Radleya, które uwielbiał. W mieście było mnóstwo volkswagenów, nie mieli samochodu. Zawsze chodzili tą samą bandą, w pięciu. Nosili bardzo jasne niebieskie džinsy. *Besó a su mujer como si fuese única*. Żaden z nich tam nie został. Świty były tak jasne, że światło raziło w oczy, pożerali pão de queijo, smak manioku, ich dziecięce ciała, które nigdy nie

były zmęczone. Błękitny walkman Sony, z którego była tak dumna. Słuchała Cazusy, *O tempo não pára*, AIDS jeszcze dla nich nie istniało. Lula wygrał wybory, była zbyt młoda, żeby głosować, nie miała jeszcze szesnastu lat. Pierwsze powszechne wybory prezydenckie w jej kraju. I już wtedy Europa, tylko Europa. Nie Stany Zjednoczone, Europa. Kochała się w nauczycielu literatury w najbardziej renomowanym liceum w mieście. *Sus ojos embotados de cemento y lágrimas*. Upajała się tym kawałkiem. To był snobizm słuchać go po hiszpańsku. Banda włóczyła się po Brodayu, bez „w”, chodzili na hip-hopowe koncerty, Racionais MC's, nie było żadnych białych, ten stan ekscytacji, że tam jest, ciała chłopców, złych chłopców. I papierosy *free*, elegancka biała paczka, a na niej dwie fale, czerwona i niebieska. Wszystkie te rzeczy, które sprawiały, że byli tacy, jacy byli, akcesoria ich gry. W tym pokoju na ósmym piętrze z tarasem, w złotym trójkącie Paryża, nikt nie przeżył tego co ona w wieku piętnastu lat. Całkiem się odcięła. Chciała wyjechać do Europy. Gdyby ktoś jej wtedy powiedział, gdyby ktoś jej powiedział, jakie to będzie cudowne – i tak umierałaby z niecierpliwości. *Por esa arpía que un día nos va a anular y escupir y por las moscas y besos que nos vendrán a cubrir*. Ta piosenka ją fascynowała – jej tragiczna spirala. Cały jej kraj – dążenie do dramatu w rozkołysanym rytmie.

Od początku imprezy Kiko nie szczędzi słów zachwyty: „Naprawdę świetny gość, co? Jest doskonały”, mówi o facecie, który puszcza płyty. Kiko ma swoje kaprysy, niektórych uwielbia. Czasem dochowuje wierności w przyjaźni. Marcia nie spędziła miłego wieczoru. Atmosfera była dla niej przyciężka – ludzie, którzy mają już siebie po dziurki w nosie, zmuszeni zapychać sobie zatoki, by okazywać wymuszoną radość. To jeszcze nie brzask, tylko ta dziwna chwila, gdy ciemność się rozprasza, ale słońce jeszcze nie wzeszło. Za dwadzieścia minut zacznie świtać, o tej porze woń miasta jest najprzyjemniejsza. Numer się kończy, żywa pamięć nagle wstrząsa nią do głębi, obraca się dokoła, unosząc w górę ramiona. „OK, Rewolwerze, dałeś mi pierwszy orgazm tej nocy”. Przygląda mu się, dotąd jeszcze ani razu na niego nie spojrzała. Dyskretny uśmiech, puszcza do niej oko i gra Prince'a – *Sexy Motherfucker*. Przednia myśl, didżeju. Wyłaniają się inne obrazy.

Teraz to Paryż – nikt już nie nazywa jej Leo, nosi mikroszorty, czarne błyszczące rajstopy z lycry, czerwone szpilki, które wybrała u Ernesta przy metrze Château d'Eau, zaczęła pracować w zakładzie fryzjerskim. Jej życie jest jak winylowy krążek, niektóre partie zostały już wytłoczone. To się rozwija, powraca w pamięci. To już Paryż, jej pierwsze lata, codziennie pada, tak jak wyobrażali sobie przybysze z Ameryki Południowej. Szarość kamienic nawiązuje do szarości nieba. Paryż początku lat dziewięćdziesiątych jest urzeczony Brazylią. Francuzi tak bardzo chcieliby umieć tańczyć, podrygują, jak umieją, przy muzyce, której w ogóle nie czują. Poruszają stopami, barkami, zero ruchu w biodrach. Przybyła do Paryża i pierwsze, co zobaczyła w telewizji, to był Johnny Hallyday. Zrozumiała, że wielu rzeczy nie będzie w stanie przyswoić. Trzeba się tu urodzić, żeby wszystko pojąć. Ale Paryż kochał Brazylię, a dziewczyny w jej wieku chciały mieć jej akcent, chciały poruszać biodrami, chciały być egzotyczne. Biedna brazylijska transseksualistka niemal automatycznie musiała trafić na plac de la Nation. Wprawdzie nie było takich drogowskazów, jednak to było dość oczywiste. Kiedy Marcia mówiła dziewczynom, które poznała na miejscu: „Nie, nie przyjechałam tu, żeby się sprzedawać”, patrzyły na nią z politowaniem. Ulica nie była opcją, to było jej miejsce. Seropozytywne Brazylijki przybywały z Brazylii całymi grupami, wiedziały, że we Francji będą miały lepszą opiekę medyczną. Ale Marcia przepadała za Scarlett O'Hara, mówiła sobie, że Scarlett poradziłaby sobie w inny sposób, nie poszłaby na ulicę. To, że Scarlett nie była biedna, zmieniało sytuację, lecz o tym nie myślała. Marcia nie miała wprawdzie pieniędzy, ale miała szczęście. Na imprezie w Gibusie zaprzyjaźniła się z dziewczyną z Bogoty, która brała estrogeny, jak ona. Ta dziewczyna była fryzjerką i dilerką, ludzie bez przerwy przewijali się przez jej zakład, cięcie włosów i dwa lub trzy gramy. I tak się nauczyła. Fryzjerstwa. Z początku farbowała włosy w łazience. To było łatwe. Wynajmowała pokój u Fabrizia – był jedyną znaną jej ciotką, która twierdziła, że ma kontakty z mafią. Fabrizio ją uwielbiał, mówił, że jest piękna jak Dalida, i wprowadził ją w środowisko. Uczyła się fryzjerstwa. Miała pierwsze sesje zdjęciowe. Rozśmieszała wszystkich, właśnie tego od niej oczekiwano. Dobrego

humoru. Dziewczyny, które poznała wkrótce po przybyciu, zaczęły umierać, niektóre popełniły samobójstwo, zanim wirus HIV do końca je oszpecił. Epidemia kosła też paryskich pedałów. Chociaż raz panowała swego rodzaju równość. Epidemia zabierała wszystkich bez różnicy. To dawało dziwne wrażenie, że należymy do tej samej kasty. Wszyscy. I życie toczyło się dalej – wokół nich śmierć uderzała bez chwili wytchnienia. A ludzie mieli to gdzieś. Stowarzyszenie Act Up Paris organizowało akcje *die-in*, ale ludzie zaczęli naprawdę myśleć o AIDS dopiero wtedy, gdy zrozumieli, że ich to również dotyczy. Kiedy epidemia dotknęła osoby hetero, choroba faktycznie zaczęła istnieć. Marcia jakimś cudem przechodziła między kroplami deszczu. Miała pracę i nadal nie chorowała na AIDS. Po pewnym czasie rodziło to poczucie winy, wyrzuty sumienia osoby ocalałej, ale także okrutną wdzięczność. Życie obchodziło się z nią tak łaskawie i nie było temu końca. Potem pojawili się kochankowie, którzy ją rozpieszczali. Podróże, ekskluzywne hotele, *jet set society*. W świecie mody lata dziewięćdziesiąte to była czysta magia. Evangelista, Campbell, Crawford, Schiffer, Casta, Alek Wek, Herzigová, Banks... Przywykła do luksusu, do obracania się w sferach, do których nigdy nie będzie się zaliczała. Mała syrenka: musi okupić bólem każdy krok, ale chodzi z gracją, zawsze z uśmiechem na ustach. Nigdy nie pomyślała o tym, by wrócić do Brazylii, nawet kiedy słyszała o gospodarczym cudzie. Lubi Europę. Bogactwo starego kontynentu, zasobność niższych klas, bez troskę tych społeczeństw, które mogły zapomnieć o upokorzeniach nędzy, o dyktaturach, społeczeństw przekonanych, że są bezpieczne, gdyż na to zasłużyły, więcej pracują, są inteligentniejsze. Podoba jej się, że wszędzie jest ogrzewanie, nawet urzędy pocztowe są czyste, każdy chciałby się urodzić Francuzem. Tylko oni nie są tego świadomi. Ale może to także w końcu się zmieni, jak tyle innych rzeczy, które wydawały się wieczne.

Po raz pierwszy od lat wspomina Belo Horizonte i ma ochotę cofnąć czas. Podejść do młodego chłopaka-dziewczyny, którym była, i szepnąć mu na ucho nie martw się nie uwierzysz w to wszystko co ci się kiedyś przydarzy zobaczysz

będziesz zblazowany luksusem i łatwym życiem, będziesz tak rozpieszczany przez życie że zaczniesz się skarżyć na nudę. Jak prawdziwa księżniczka.

Subutex. Kiko przez cały wieczór wykrzykiwał jego nazwisko. Nie zwracała na niego uwagi, ale teraz na niego patrzy, ona też uważa, że Vernon ma w sobie coś. Jest spokojny. Dojrzały. Ma bardzo piękne dłonie. Jego zmarszczki mimiczne to zmarszczki kogoś, kto musiał się dużo śmiać. Korzystać z życia. Podchodzi do niego. „Co to za kawałek?”, pyta szeptem, muskając wewnątrz łokcia opuszkami palców. Podnosi na nią wzrok, przygląda się jej bez uśmiechu. Jego spojrzenie jest zimne. Chwyta Marcję za trzewia. Odpowiada: „Freddie King”, ma piękny głos, głęboki, podaje tytuł, szepcząc jej do ucha: *Please send me someone to love*, jak na Francuza wymawia to poprawnie po angielsku, nie przesadza. Jest pewny siebie. Podoba się jej. Trochę. Jest pochłonięty muzyką. Zmienia dźwięki. *Tostaky*, *Noir Désir*. Szary świt rozsiewa trochę światła w salonie. Unosi nadgarstki nad głowę, wsłuchuje się w gitarę z na wpół zamkniętymi oczami. Zawsze dostawała od mężczyzn to, co chciała, kiedy dla nich tańczyła. *Tostaky*, ciężka francuska rytmika – zna to. Biodra posłuszne riffom gitary, plecy perkusji. Z Vernona musi być niezły świntuch. Rozpoznaje ich brzuchem: jeśli ma na nich ochotę, znaczy, że mają brudne łapska. Ma dramatyzm we krwi, szczytuje tylko z groźnymi facetami. Ci, którzy chcą zadać ci ból, są zawsze uprzedzająco grzeczni, inaczej miałybyś się na bacności. Nikt nie zaakceptuje pierwszego policzka, jeśli nie towarzyszy mu cudowny potok przeprosin, obietnic, żarliwych zapewnień, że nie chce cię stracić, nie zamierza cię stracić. Tym, którzy mogą cię zabić, zawsze najbardziej na tobie zależy. Naprawdę ma na nich ochotę, gdy czuje, że mogliby ją zabić. Nie musi szukać jego wzroku, by wiedzieć, że na nią patrzy. Gdy tańczy, musi panować nad swoimi ruchami, wyrosła z wieku, w którym robiła z siebie widowisko, powstrzymuje energię. Jej nadgarstki się łamią, chwytają powietrze, palce wskazują każdą nutę, potem wędrują za kark, wykonuje gest, jakby coś upuściła na ziemię, na wysokości lędźwi. *Tostaky*. Zdumiewające piękno tego francuskiego wokalisty – najbardziej latynoskiego ze wszystkich. *Crescendo*, jej obcasy stukają o podłogę, lekko – w Paryżu trzeba panować nad sobą nawet podczas tańca, nie szuka się

transu, pamięta się o uśmiechu. Nawet kiedy się tańczy do muzyki Noir Désir w salonach eleganckich dzielnic. Żadnego szaleństwa, nie w ciele. W Paryżu ciała nie zdejmują masek. Vernon płynnie puszcza Rihannę, inne sylwetki pojawiają się wokół niej. Zapomina się. Tańczy dla niego, nie zwraca na nią uwagi, złości ją. To ją podnieca. Lubi wszystkich chłopców. Lubi ich w każdym wieku, bez względu na posturę, wyznanie, zamożność czy charakter. Lubi ich wszystkich, ale najbardziej wtedy, gdy są odporni na jej ruchy biodrami. Zaliczy go.

Wychodzi zapalić na taras. Lodowaty wiatr chłozcze skórę, przyjemne uczucie. Oddycha pełną piersią – narkotyk wreszcie zadziałał. Dopiero teraz czuje energię świtu. Jérémy i Biancha mówią o problemach UMP po odejściu Sarkozy'ego. Strzępy rozmowy, po dziesięć razy powtarzają to samo, biją pianę. Poranne dialogi. Nie cierpi tego. Speed przestaje działać. Powinna była wziąć MDMA. Wszyscy to teraz biorą. Za mało wypła, to nieznośny stan. Wraca, Vernon nie ruszył się z miejsca, jest w swoim żywiole, samowystarczalny. Podoba jej się. Wychodząc, ociera się o niego, mówi: „Do jutra, didżeju. Wiesz, tutaj nikt nie pójdzie spać, możesz iść do swojego pokoju, kiedy zechcesz. Oni już nic nie słyszą”. Uśmiecha się, ale nie odpowiada. Coraz bardziej jej się podoba. On jest jej historią tej nocy, co sprawia, że ten wieczór nie jest do końca stracony.

Nazajutrz, wychodząc na sesję, nie spotyka go. Gaëlle jeszcze nie poszła spać, nadal robi sobie kreski, sama przed telewizorem, pijąc zieloną herbatę. Nie pyta jej, o której Vernon wyszedł. Pytanie zadane wprost wzbudziłoby podejrzenia, a Gaëlle nie umie trzymać języka za zębami. Kiko miałby jej za złe, że kręci się koło chłopaka, którego u siebie gości. Nie flirtują z sobą od lat, ale nigdy nie przyprowadza kochanków do domu. To cicha umowa – ma lokum w Paryżu, pieprzy się gdzie indziej.

To dziwne, że Gaëlle odsuwa od siebie telefon, żeby przeczytać wiadomość. Gest starej kobiety. Dla pasożytów, jakimi są obie, starcza dalekowzroczność to poważna wada. Rzadko komu udaje się zachować wdzięk, kiedy traci świeżość. Wprawdzie ludzie lubią czuć, że są komuś potrzebni i wspaniałomyślni, jednak odpychają ich stare ciała, oszpecone twarze i żalony spektakl przebrzmiałej

światności. Zamienią się w ruiny – coś, co kiedyś wzbudzało zachwyt, a teraz jest już tylko kupą kamieni. Gaëlle jakby czytała w jej myślach, przeciąga się gibkim ruchem i posyła jej jadowity uśmiech, który pasuje do niej jak ulał. Niespiesznie, z klasą i nonszalancją zapala papierosa, potem patrzy jej prosto w oczy.

– Dobrze wczoraj tańczyłaś.

– Tak, trochę... byłam półżywa, powinnam była pójść spać.

– Jasne, za to ja jestem młodą dziewicą, dziecino... Nie musisz mi mówić o Subutexie. Miałaś to wypisane na czole, że go nachalnie wrywasz.

Marcia stara się okazać obojętność. Rozpiera ją radość. Jest zakochana. Ma ochotę wymówić jego imię, chce się czegoś o nim dowiedzieć, chce, żeby Gaëlle powiedziała, że miał wypisane na czole, że ona bardzo mu się podoba... Nic nie wydaje jej się bardziej ekscytujące niż ostatnie dni – dni, zanim to się stało.

Gaëlle podnosi oczy ku niebu, udaje rozczarowanie:

– Tak długo się znamy, myślisz, że nie domyślałam się, o co chodzi?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– To nie jest zły wybór. To dobry chłopak. Gdybym lubiła mężczyzn, też chciałabym się z nim przespać. Jedyne szkopuł: złamiesz mu serce, dziecko.

– Ma bardzo ładne dłonie i na tym sprawa się kończy.

– A jak daleko sięgają jego dłonie?

– Lubię się kochać... to zbrodnia?

– Kochać, kochać... raczej lubisz, kiedy po tobie jeżdżą jak po lubieżnej suce, która w tobie drzemie. Ale powtarzam ci: złamiesz mu serce.

Marcia chce tego. Otworzyły się drzwi, ma chęć zobaczyć, co jest po tamtej stronie. *It may be wrong but it feels right to be lost in paradise.* Nie uważa, by był szczególnie atrakcyjny, chce, by miał na nią ochotę, chce, by ją wziął, by ją sponiewierał. Chce tego. To kaprys, a może pilna potrzeba.

Na placu budowy ciągnącym się wzdłuż targu Boqueria ogromny dźwig podnosi betoniarkę ponad głowami przechodniów. Hiena zbyt długo siedziała przed komputerem i czuje bolesny ucisk w dole pleców. Wyszła na spacer, żeby się rozluźnić.

Dwie dziewczyny w szortach i butach na koturnach, z plecakami na brzuchu, przechodzą przez plac Sant Agustí, patrząc na plan miasta. Mają wytatuowane ramiona i mówią w tak dziwnym języku, że Hiena zadaje sobie pytanie, czy go nie wymyślają. Jakiś brodacz popycha wózek z mięsem. Grupa turystów przejeżdża na rowerach, mają kaski w jaskrawych barwach. Bezdomni siedzą na cembrowinie fontanny. Mają po pięćdziesiąt lat i irokezy na głowach. Taksówki trąbią w korkach. Na fasadach budynków widnieją katalońskie flagi i transparenty „Chcemy godnego życia w dzielnicy”. Na skraju chodnika, z dala od przechodniów, mewa patroszy martwego gołębia.

Przyjechała do Barcelony dzień wcześniej. W telewizji mówiono o sześćdziesięcioletnim mężczyźnie, który rzucił się przez okno swojego mieszkania, gdy chciano go eksmitować.

Gaëlle dzwoni do niej z Paryża. Jest wściekła.

– Co, nie możesz teraz przyjechać?

– Nie ma mnie w Paryżu, dziewczyno.

– Dlaczego mnie nie uprzedziłaś? I co mam teraz zrobić?

– Zabawiaj go. Wracam za trzy dni.

– Wróc dziś wieczorem.

– Niemożliwe.

– Kpisz sobie ze mnie? Zrobiłam, co należało. Jeśli jutro Vernon się zmyje, dasz mi, co obiecałaś, zgoda?

– Co ci obiecałam?

- Dwieście euro.
- Nie mówiłyśmy o pieniądzach, laluniu.
- Masz alzheimera? Proponowałaś mi dwa razy więcej, ale chciałam ci oddać przyjacielską przysługę.

Dobrze rozegrane. Hiena protestuje, żeby zachować pozory, dziękuje jej, obiecuje, że szybko wróci. Rozłącza się i trzyma telefon w dłoni. Waha się, czy zadzwonić do Dopaleta. Powinna go powiadomić, że odnalazła gościa, którym się interesuje. Powiedziała by: „już?”, złożył jej gratulacje i odetchnął z ulgą. Poprosiłby ją, aby jak najszybciej wróciła.

Wkłada telefon do tylnej kieszeni dzinsów. Od dawna nie wyjeżdżała z Paryża. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej tego brakowało, innej scenerii. Nie zamierza być zbyt uczynna. Dopalet traktuje tę sprawę bardzo poważnie, codziennie wypytuje ją o nowiny. Hiena mówi mu bardzo niewiele.

W internecie nie znalazła żadnej wzmianki na temat ich współpracy. Dopalet z natury jest skrytym mrukiem, lecz na ogół, gdy się poszuka, można ustalić związek między nim a obiektem jego zapiekłej złości. Tym razem nie ma niczego.

Kiedy się dowiedziała, że ma odnaleźć kogoś, kto spotykał się z Alexem Bleachem w czasach jego młodości, od razu pomyślała o Sélimie.

Byli sąsiadami z tej samej klatki schodowej, w okolicy metra Porte des Lilas, kiedy byli młodszy. O jednej rzeczy Sélim nigdy się nie dowiedział – jeśli Hiena była częstym gościem w jego mieszkaniu, to dlatego że podobała jej się jego dziewczyna, ta zaś lubiła kokainę, którą Hiena w tamtych czasach zawsze miała przy sobie i chętnie oferowała małej popołudniową kreskę, zanim mąż wrócił do domu. To było niezbyt uczciwe z jej strony, dziewczyna nie miała jeszcze dwudziestu lat. Ale nie zamierzała prawić jej morałów, chciała jej sprawić przyjemność. Była bardzo młoda. Chodziło jednak nie tyle o wiek – Sélim i Hiena byli od niej tylko o siedem lat starsi – ile o brak doświadczenia. Przyjechała ze swojego zadupia i nie miała bladego pojęcia o życiu. Brakowało jej oglądy, ale była

tak lekka, że przypominała wróbla zamkniętego w kuchni. Ta nadzwyczajna energia była jej największym atutem. Sélim był naprawdę bardzo fajnym chłopcem, ale jednak chłopcem: nie był zbyt subtelny. Poślubił tę niunię, w której zakochał się do szaleństwa, i nie widział powodu, by miała się nudzić w życiu, jakie jej zorganizował. Lubił Rolanda Barthes'a, rosyjskie filmy i albumy Barbary. Ona miała dwadzieścia lat, chciała wychodzić na imprezy i tańczyć. Myślał, że jeśli jej zrobi dziecko, wszystko się ułoży. Wystraszyła się. I któregoś dnia odeszła, związując się z cwaniaczkiem z blokowiska obok. Tylko Sélim nie mógł tego zrozumieć – aż miało się chęć mu powiedzieć, przecież widziałeś, jak się nudzi w tej kuchni. Po odejściu żony Sélim zajął się małą Aïchą ze zdwojoną troską. Kiedy został z nią sam, nawiązali bliższe stosunki z Hieną – gdy musiał zrobić zakupy, często przynosił małą w koszyku do mieszkania sąsiadki. Dobrze się czuł w tym świecie złożonym z samych kobiet i w owym czasie był jeszcze na tyle zabawny i pełen energii, że dziewczyny także go zaakceptowały.

Kilka miesięcy po tym, jak jego żona odeszła do gościa, który prowadził wypożyczalnię wideo, Sélim natknął się na okładkę pornola na DVD. Hiena nigdy nie śmiała zadać mu pytania, czego właściwie szukał w takim dziale. Mała Faïza nazywała się teraz Vodka Satana. Hiena nigdy więcej nie widziała Vodki Satany aż do tej historii z Bleachem, jej zdjęcia były wtedy wszędzie.

Po spotkaniu z Dopaletem natychmiast zadzwoniła do Sélima. Nie tryskał entuzjazmem, gdy zaproponowała mu spotkanie przy kawie. Jednak powiedział, dosyć chłodnym tonem, żeby do niego wpadła.

Zmienił się. Dawny animusz zniknął, serdeczność zastąpiło zgorzknienie. Nie stara się niczego udawać, przeciwnie. Wyraźnie daje do zrozumienia, że nie jest z nim najlepiej, z tą samą afektacją, z jaką w młodości próbował urzec każdą osobę spotkaną na swej drodze. Sélim był bardzo błyskotliwym młodzieńcem i gdziekolwiek się pojawił, od razu skupiał na sobie uwagę wszystkich, nadawał ton rozmowie i rozkręcał imprezę. Był przystojny, elegancki, miał smukłą sylwetkę. Teraz jest łysym jegomościem z wydatnym brzuchem, w źle dobranych

ciuchach. Typem faceta, z którym nie ma się ochoty rozmawiać, jego złość została zaprawiona żółcią.

Hiena usiadła w salonie, wszystkie sprzęty zostały kupione w Ikei i wydaje się, że pokój celowo pozbawiono jakiegokolwiek wdzięku. Wyczekiwała na jakiś znak, który by dawał do zrozumienia: mamy tyle dobrych wspomnień, mimo wszystko cieszę się, że cię widzę, potem dała za wygraną, uznając, że nie powinna tu zostać dłużej niż pół godziny. Nie wiedziała zbyt dobrze, po co właściwie do niego przyszła, nim zdecydowała się przyjąć zlecenie Dopaleta, ale kiedy już siadła naprzeciwko Sélima, zyskała pewność, że pofatygowała się tu na darmo.

Sélim został wykładowcą na Université Paris 8, mogłoby się wydawać, że powinien czerpać z tego niejaką satysfakcję – można to powiedzieć przy kolacji bez rumieńca na twarzy. Tak przynajmniej myślała. Zdaniem Sélima w dzisiejszych czasach ludzie gardzą pracownikami naukowymi. Intelktualistami. Takimi ludźmi jak on.

Znała go jako człowieka, którego tak bardzo ciekawili inni, a w ogóle jej nie zapytał, co u niej słychać ani dlaczego do niego przyszła. Spróbowała:

– Pomyślałam o tobie po śmierci Alexa Bleacha. Nigdy o nim nie rozmawialiśmy w tamtych czasach, to musiało być straszne, wiedzieć, że jest z nim...

– Dla mnie to nie była najgorsza z jej decyzji.

– Nie chcesz wracać do tego tematu?

– Nie. Dużo o tym myślałem, gdy umarł. Była zakochana. Kiedy to się stało, czułem, rzecz jasna, upokorzenie, ale także ulgę... Myślałem, że może ją z tego wyciągnie. Sądzę, że on też był w niej zakochany.

– Ale on nie był w stanie nikomu pomóc... Ten gość był ludzkim wrakiem.

– Nie wiedziałem, że interesuje cię francuska piosenka.

– Bardzo go lubiłam.

– Jeśli przyszłaś tu po to, by mówić mi o Faïzie i tym gościu, to marnujesz czas. Powinnaś raczej spotkać się z jej dawnymi koleżankami, z Pamelą Kant albo

Stalową Debbie, ja w niczym ci nie pomogę.

– Pamela Kant... Zapomniałem o niej, no proszę... Przyjaźniły się?

Sélim wychylił się do przodu, spojrzał jej prosto w oczy i przez chwilę milczał. Jak aktor z czarno-białego filmu.

– Jednak przyszłaś tu po to, żeby o tym mówić.

– Ależ skąd. Nie sądziłam, że sprawię ci przykrość, gdy spytam, co u ciebie... Nie wiedziałam, że się gniewamy. Ale zadam ci jedno pytanie, bo dobrze znasz środowisko filmowe. Szukam scenarzysty o imieniu Xavier...

Uniósł brew, szczerze zdziwiony tym osobliwym pytaniem, ale nie zdążył odpowiedzieć. Do salonu weszła Aïcha z naburmuszoną miną, nie powiedziała dzień dobry, tylko spytała: „Moglibyśmy zamówić sobie pizzę wieczorem?”. Natura nie była dla niej łaskawa. Miała masywną sylwetkę jak ojciec, wielki nos, którego nie odziedziczyła po ojcu ani po matce, tylko po jakimś bliżej nieokreślonym przodku, nos, który wprawdzie nadawał jej twarzy pewien wyraz, ale pozbawiał ją wszelkiej harmonii. Na głowie miała hidżab i trudno było stwierdzić, że jej dodaje uroku, widać było tylko jej nos.

Sélim odpowiedział, że nie, żadnych mącznych potraw wieczorem – wyglądało to na mocno zakorzenioną regułę w tym domu, bo dziewczyna nawet nie zaprotestowała, wyduła policzki na znak sprzeciwu, ale nie nalegała. Sélim przedstawił jej Hienę:

– Nie znasz tej pani, ale mieszkała nad nami, kiedy byłaś mała. Często się tobą opiekowała.

A Hiena pokiwała głową i spojrzała na nią oczyma osoby dorosłej, tej, która posypywała wam tyłek talkiem, kiedy byliście dziećmi, nie powiedziała „pamiętam cię, kiedy byłaś ot taka” albo „jak ten czas leci ale ty wyrosłaś”, jej spojrzenie mówiło jednak to wszystko, bo dla dorosłych pozostaje na zawsze tajemnicą, jak te szkraby, które raczkują, zawzięcie ssąc smoczki, mogą w tak krótkim czasie zmienić się w potwory, które noszą buty w rozmiarze 42. Aïcha przez kilka minut

manifestacyjnie okazywała swój zły humor w salonie, po czym zamknęła się w swoim pokoju, „muszę się uczyć”.

– Studiuje?

– Prawo podatkowe.

– Dobrze jej idzie?

– Z tym akurat nie ma żadnych problemów.

– Masz szczęście. Dzisiaj młodzi sami nie wiedzą, czego chcą.

– Problemem jest Prorok.

– Słucham?

– Przez cały dzień zamęcza mnie Prorokiem. Dostaję od tego szału.

– Czasy się zmieniają.

– Od razu widać, że to nie twoja córka.

– Owszem, jestem w stanie wyobrazić sobie coś takiego... że dajmy na to, mam córkę hetero. To byłby koszmar, sama nie wiem, jak bym to przeżyła.

Uśmiechnął się po raz pierwszy. Przez chwilę słuchała, jak użala się nad losem rodzica, który musi samotnie wychowywać córkę. Potem się pożegnała.

Sélim zadzwonił do niej nazajutrz.

– Wczoraj nie mogliśmy spokojnie porozmawiać. Może ten twój scenarzysta to Xavier Fardin?

– Nie znam.

– Przypomnij sobie film z początku lat dziewięćdziesiątych *Śmierć mojej jedynej gwiazdy* – dzisiaj trąci myszką, ale kiedy trafił do kin, wszyscy byli zachwyceni tym gniotem.

Przytrzymując telefon barkiem, wpisała w Google „Xavier Fardin i Alex Bleach” – coś się pokazało, znali się. Hiena gwizdnęła z podziwu:

– Dobry trop.

– Zawsze pytaj się taty, kiedy czegoś nie wiesz. Powiedz mi, znasz się na psychologii dziewcząt?

– Toż to moja specjalność.

– Przestań się wygłupiać. Mówię o mojej córce. Możemy się spotkać?

– Znowu? Wczoraj nie chciałeś wypić ze mną kawy, a teraz mamy wziąć ślub czy coś w tym rodzaju?

Chodziło mu o to, by pojechała na tydzień do Barcelony. „By sprawdzić jego córkę”. Hiena nie mogła uwierzyć, że proponuje jej coś takiego. Ale mówił serio. Ssał elektronicznego papierosa jak nadąsane dziecko i obstawał przy swoim.

– Twoją córkę? I co mam właściwie sprawdzić?

– Że nie ma nic wspólnego z terroryzmem. Z walką zbrojną.

– Szuka tanich lotów do Iranu?

– Nie. Nie wiem, co robi. Nie mam ochoty jej szpiegować. Zresztą nie wiem, jak miałbym się do tego zabrać, nawet gdybym chciał. Ale mam wrażenie, że coś jest nie w porządku. Boję się, że prowadzi podwójne życie.

Trudno było mieć za złe Sélimowi, że w jego głowie rodzą się paranoiczne myśli. Czasy temu sprzyjają. Zwłaszcza gdy ktoś poślubi superładną Arabkę, nieśmiałą i zabawną, a ta go nagle porzuci, by pod rosyjsko-satanistycznym pseudonimem zalać świat scenami podwójnej penetracji... Taki gość ma później prawo podejrzewać, że płęć żeńska tak naprawdę jest zdolna do wszystkiego. Hiena zachowała tę refleksję dla siebie i próbowała go uspokoić:

– Widziałam ją przez pięć minut, ale doprawdy nie wygląda na kandydatkę do samobójczego zamachu... Masz stracha, bo nosi hidżab, tak?

– Nie. Ale ma obsesję na punkcie religii.

– Lepsze to, niż gdyby zaczęła wdychać crack.

– Nie wiem. Jednak właśnie w tym rzecz. Zastanawiam się, jak daleko jest się w stanie posunąć. Nie rozmawiamy ze sobą.

– OK. Nie sądzisz, że jej to przejdzie? Jest młoda, to taki okres... Jak miałabym śledzić ją w Barcelonie? Przecież nie będę się bawiła w tajniaka...

– Ależ nie, pojedziecie tam razem. To pomysł Aïchy. Nie chciałem jej puścić do Barcelony samej. Wczoraj wieczorem, gdy wyszłaś, zasugerowała, że mogłabyś zostać jej opiekunką. Powiedziała „będziesz spokojniejszy”. I to prawda...

A ponieważ robiłaś w życiu tyle dziwnych rzeczy i dobrze znasz kobiety, mogłabyś spędzić z nią parę dni, a potem mi powiedzieć, co o tym wszystkim sądzisz... Zależy mi na tym, żebyś dokładnie się jej przyjrzała.

- Skąd przyszedł jej do głowy taki pomysł?
- Wyraźnie brakuje jej kobiecego wzorca.
- Jestem dość szczególnym kobiecym wzorcem, jestem lesbą. Wie o tym?
- Nie mam zamiaru opowiadać jej o twoim życiu w szczegółach...
- Wybacz, Sélim, ale ta twoja propozycja to kompletny idiotyzm.
- Podsunąłem ci nazwisko Fardina, prawda? Ty też możesz wyświadczyć mi przysługę.

Hiena nie byłaby w stanie powiedzieć, jak właściwie do tego doszło, ale w niecałą godzinę sprawa była już przesądzona: pojedzie z małą do Barcelony. Często podejmujemy najbardziej ekstrawaganckie decyzje, jakby to było coś najbardziej naturalnego na świecie.

Trzeba przyznać, że faktycznie oddał jej przysługę. Xavier Fardin. Wystarczyło zadzwonić w dwa miejsca, by zdobyć jego numer – i umówiła się z nim jeszcze tego samego dnia w kawiarni naprzeciwko jego domu. Gość był heteroseksualnym bucem, zadowolonym z siebie i swoich głupkowatych opinii, powtarzał wyświechtane banały, pękając z dumy, jakby wynalazł ciepłą wodę, był przemądrzałym dupkiem, choć nie bardzo było wiadomo, z jakiego powodu – czuła, jak bez żenady rozbiera ją maślanym, pożądliwym wzrokiem. Powiedziała, że pracuje dla pewnego producenta i natychmiast przedstawił jej swoje *curriculum vitae*, zależało mu na tym, by wyraźnie podkreśliła fakt, że chciałby pracować nad filmem o Alexie Bleachu. Jednak nie był jej w stanie powiedzieć, gdzie szukać Vernona Subutexa, który dysponuje kasetami z wywiadem, sprawdziła na Facebooku, ale wyglądało na to, że się ukrywa, ma problemy z jakąś wyjątkowo agresywną eks. Na oko był to sympatyczny gość, który przez lata prowadził w Paryżu sklep z rockowymi płytami.

Wracając do domu, Hiena zadzwoniła do Gaëlle – tak, znała Subutexa, faceta z Rewolweru, to dobry chłopak, tak, mogłaby spróbować nawiązać z nim kontakt, nie ma problemu.

To już nie była sprawa, która rusza z miejsca, to była sprawa startująca jak balon wypełniony helem. Hiena nie powiedziała nic Dopaletowi, zwodziła go w telefonicznych rozmowach: „Wiesz, to bardzo skomplikowane, ale znalazłam już kilka tropów, będę informowała cię na bieżąco”. Jeśli powiemy klientowi, że rzecz nie wymaga specjalnego wysiłku, trudno będzie mu później wyjaśnić, dlaczego tak dużo go to kosztuje. A poza tym przyjemnie było czuć, że się zadrecza – miło czasem popatrzeć, jak się męczą ci mali despoci posiadający władzę.

Hiena przechodzi przez plac Uniwersytecki, idzie w górę ulicą Aribau w kierunku ich mieszkania. Barcelona jest nadal tą sympatyczną kurwą, która się uśmiecha, kiedy dostaje napiwek, jakby nic nie było w stanie unicestwić jej piękna, ani turyści, ani szyldy sklepów z ciuchami, ani betonowe nowoczesne budowle. Pojemniki na śmieci stoją rzędem na chodniku, ludzie otwierają je w regularnych odstępach, zerkają pod pokrywę. Nie są do siebie podobni. Alterglobalista znajduje dzinsy w swoim rozmiarze, facet z Europy Wschodniej, który popycha wózek z supermarketu, wyciąga zwinięty kabel, starszy mężczyzna nie znajduje dla siebie niczego ciekawego, Afrykanin zabiera wiklinowy koszyk, który wypełnia książkami i gazetami.

Spotkała się z Aïchą o dwudziestej pierwszej w pustawej kawiarni na dworcu Austerlitz, żeby razem wsiąść do nocnego pociągu. Hiena nie lata samolotami. Aïcha martwiła się, że przyjadą na miejsce zmęczone.

– Muszę wyjechać dzień wcześniej i będę padnięta. Jadę na sesję naukową, nie zdążę odpocząć.

– A wiesz, że wszyscy islamiści jeżdżą tym pociągiem? To dość znana sprawa.

Dziewczyna spojrzała w inną stronę, przygnębiona tą wymianą zdań. Ale to była prawda, w tym pociągu zawsze było pełno brodaczy, którzy marszczyli czoło, pogrążeni w zapamiętałej modlitwie.

Walizki Aïchy były tak ciężkie, że pytanie, czy nie przewozi broni, wydawało się uprawnione. Ale były to skrypty i książki. Musiała sobie powiedzieć proszę jadę na tydzień do Barcelony czemu nie miałabym zabrać z sobą całej biblioteczki.

Nie przypomina ojca. Wygląda na bardzo pilną – on był studentem pracowitym i zdolnym, ta kombinacja często daje dobre wyniki. Dopiero po studiach jego życie zaczęło się komplikować. Dobrze rozumiał zasady panujące na uniwersytecie, lecz w chaosie życia zawodowego poczuł się bezradny i w końcu stracił motywację. Aïcha nie odziedziczyła jego zmiennego charakteru. To dziewczyna zdecydowana, która patrzy ludziom prosto w oczy i szybko marszczy brwi, zawsze wydaje się mniej lub bardziej wściekła. Nie histeryczna, w stylu „zaraz komuś rozwalę gębę”, ale tak skupiona, że można to wziąć za hardość.

Jest niezmiennie uprzejma, pełna rezerwy, wręcz chłodna, i przypadła Hienie do gustu od chwili, kiedy ją zobaczyła. W sensie ogólnym, bo mała nie grzeszy urodą. Zbyt krępa i zbyt nadaśana. I właśnie to stanowi jej urok. Wyczuwalna inteligencja w połączeniu z siłą, bez jakiegokolwiek kobiecej serdeczności. Aïcha, mimo hidżabu na głowie, nie wygląda zbyt nowocześnie, ma twarz i mimikę dziewczyny z innej epoki. Przypomina laski z lat siedemdziesiątych. Może ze względu na nos. Do którego w sumie można się przyzwyczać.

Nie rozmawiały ze sobą, zanim wsiadły do pociągu. O tej porze peron dworca był opustoszały, pasażerowie snuli się po nim jak zjawy. Hiena dziesiątki razy jeździła tym pociągiem, lubiła ten anachroniczny klimat. Wagony były przestarzałe i dotąd ich nie zmieniono. Była zadowolona, że wsiada do niego po raz ostatni. Nocne pociągi miały wkrótce zniknąć. Były zbyt kosztowne.

– Co myślisz o tym, że twój ojciec tak bardzo się o ciebie martwi i wysyła cię z kimś do Hiszpanii, przecież masz już dwadzieścia lat?

– To smutne, nie?

– Masz mu to za złe?

– Nie. To mój ojciec. Kocham go, nigdy nie będę tak kochała żadnego mężczyzny.

Powiedziała to szczerze, jakby to było dla niej oczywiste. Hiena zrozumiała lepiej, czego jej ojciec może się obawiać, rzadko spotykała tak zdeterminowane osoby. Jej słowa zabarwił bezmierny smutek, jakby Aïcha już zdecydowała, że miłość, o której mówi, nie będzie zbyt zabawna.

– I nie masz chęci się zbuntować, skoro cię tak pilnuje?

Aïcha okazała zdziwienie, po raz pierwszy, i uśmiechnęła się, spoglądając w bok.

– Nie, nie chcę się buntować.

I sposób, w jaki odwróciła głowę, mówił wszystko: bunt przeciwko władzy to może istniał wtedy, gdy ty byłaś młoda, dawno temu. Widać, dokąd to was zaprowadziło. Moje pokolenie wybrało inną drogę.

Usiadły obok siebie w maleńkim dwuosobowym przedziale. Potem konduktorka poprosiła, by zaczekały na korytarzu, i rozłożyła kuszetki. Przedział był ciasny, trzeba było starannie poukładać walizki i torby. Aïcha wyjęła zeszyt z notatkami z wykładów i ćwiczeń z prawa podatkowego przedsiębiorstw – mówiła o tym, jakby chodziło o kurs angielskiego, rzecz całkowicie banalną. I pogрузyła się w lekturze. Hiena przejrzała najważniejsze tytuły gazet w swojej komórce, po czym ją zagadnęła:

– Co studiujesz?

– Jestem na drugim roku prawa podatkowego.

– Chciałaś iść na te studia?

– Nikt mnie do tego nie zmuszał.

Hiena skorzystała z chwili milczenia, by zadać sobie pytanie, co do licha tu robi. A równocześnie czuła się szczęśliwa, że jest w tym pociągu – tak dawno nigdzie nie wyjeżdżała.

– Więc znała pani mojego ojca, kiedy był jeszcze z matką?

– Mieszkałam piętro wyżej.

– Znała pani moją matkę?

– Byłyśmy sąsiadkami, tak. Przychodziłam do niej na kawę, a ona do mnie, gdy jej zabrakło oliwy...

– Dopóki nie odwiedziła nas pani w zeszłym tygodniu, nie wiedziałam, że moja matka była kurwą.

– Słucham?

– Nikt mi nie mówił, że grała w filmach porno. Usłyszałam, jak pani mówi o Pameli Kant. Sprawdziłam, kim jest. To było wstrętne. Napisałam do niej, by zapytać, czy znała moją matkę, odpisała mi byle co. Obejrzałam jeszcze więcej zdjęć. Dopiero po pewnym czasie rozpoznałam matkę.

– Nic nie mówiłaś ojcu?

– To zbyt krępujące.

– Czekalaś, żeby ze mną o tym pomówić?

– Tak. To dzięki pani wiem o tym, więc pomyślałam, że powie mi pani coś więcej.

Brzdęk. Brzdęk. To irytujący łoskot rzeczywistości, która szarpie jej drzwiami. Brzdęk. Ale nie tej codziennej, wczorajszej. Brzęk. Nie domowej. I nie chodzi nawet o żadną okropną rzecz złą wiadomość trzęsienie ziemi zdarzenie które wymagałoby podjęcia szybkich decyzji. Brzdęk. Brzdęk. To raczej szaleństwo, jest lekkie jak cień, ale pod ołowianym niebem. To czas miniony, coś, czego nie da się zmienić, tkwi wbity w sam jej środek odtąd już nic nie będzie takie jak dawniej.

Aïcha jest jak pusty pokój, w którym wyrzucono zawartość wszystkich szaf na podłogę – spustoszona. Nic nie powstrzymuje przeszłości. Jest zawzięta. Jej matka była kurwą. Wszyscy o tym wiedzieli. Nikt nic jej nie powiedział. Córka kurwy. Znanej prostytutki. Która była jak publiczny szalet. Ojciec jest wstrząśnięty, że się dowiedziała. Cholera, tato. Do jasnej cholery. Dlaczego jej nie zabiłeś.

Kocha swojego ojca. To bolesne kochać kogoś tak mocno. To jak brzytwa przyłożona do żyły. Kocha go tak, że mogłaby się dla niego wykrwawić. Wie, to niesprawiedliwie, że od dwóch lat coś ich dzieli. Kiedy poznała islam, poczuła, że jest to tylko odmienny sposób, by powiedzieć, że kocha go ponad wszystko. W domu nikt nie mówił jej o religii. Babcia zbyt szybko ich opuściła. W jej liceum nie było nikogo, z kim mogłaby o tym pomówić. Któregoś dnia miała okazję posłuchać imama i wszystko, co mówił, było jej bardzo bliskie. Wreszcie jej życie nabierało sensu. Chodziło o to, by nie składać go w ofierze na ołtarzu konsumpcji. Wszystko, czego uczył ją ojciec, odnajdywała, w bardziej wzniosłej formie, w każdym ze wskazań islamu. Wszystko, czym gardził, z czym walczył – Koran również uważał za godne nagany. Wszystko, czym się kierował: poszanowanie bliźnich, zmierzanie ku dobru, które jest najwyższą wartością, Koran także uznawał za słuszne.

Kiedy w pewien czerwcowy wieczór po raz pierwszy wstała od stołu, mówiąc: „Pójdę się pomodlić”, jej ojciec zbladł, powiedział: „Przepraszam?”. Aïcha nie spodziewała się, że to go oburzy. Myślała, że porozmawiają, że zaakceptuje jej

wiarę i będzie z niej dumny, bo zrozumie, że był to słuszny i niełatwy wybór. Nie pozwolił jej otworzyć ust. Zacisnął zęby i odwrócił się do niej plecami, opierając się o zlew, skinął głową w kierunku jej pokoju: „Wyjdź stąd, nie chcę cię więcej widzieć”.

To było niesprawiedliwe. Nie ma mu tego za złe. Żałuje, że cierpi z tego powodu. Jest cierpliwa. Kiedyś na pewno zrozumie, że wybierając religię, chce pokazać, jak bardzo go szanuje.

Po śmierci babci poskładali jej rzeczy w pudła, w których Aïcha znalazła nieznane jej fotografie. Ojciec jest na nich młody, na wielu śmieje się na całe gardło. Odchyła głowę do tyłu, mruży oczy, śmieje się całym sobą. Nigdy nie widziała, żeby śmiał się w ten sposób. Aïcha odnalazła w pudełku jego pracę magisterską na temat filmów Bergmana, artykuły Claude’a Juliena starannie wycięte z miesięcznika „Le Monde diplomatique”, projekt pracy na temat Victora Serge’a. Wszystkie dziewczęta, z którymi pozuje na zdjęciach z czasów studiów, są Francuzkami; mają krótkie włosy w stylu Jean Seberg, są szczupłe i skąpo ubrane.

Kim był ten młody człowiek? Ma inny wyraz twarzy, jego spojrzenie jest ufne, śmiałe. Nie ma w nim jeszcze tej rysy, smutku jak szczelina, przez którą wyciekł wszelki ślad radości.

Francja przekonała jej ojca, że jeśli przyswoi sobie uniwersalną kulturę, ona otworzy przed nim szeroko swe ramiona tak jak przed każdym ze swoich dzieci. Piękne fałszywe obietnice, bo Arabowie z dyplomami pozostali pariasami Republiki i wstydliwie trzymano ich na progu ważnych instytucji. Nie ma nic gorszego dla córki od uświadomienia sobie, że oszukano jej ojca – może poza odkryciem, że on bardzo w to wierzył. Zakpiono sobie z niego. Wmówiono, że w Republice liczą się osobiste zasługi, że nagradza się wybitne osiągnięcia, wmówiono, że w świeckim państwie wszyscy ludzie są równi. Żeby potem zatrząskiwac mu drzwi przed nosem, jedne po drugich, odmawiając mu prawa do skargi. W tym kraju nie ma żadnego sekciarstwa. Jednak zawsze przychodzi moment, w którym trzeba podać swe imię – które działa jak odwrotność zaklęcia „Sezamie, otwórz się!” – i mieszkania nie są już do wynajęcia, dane stanowisko

zostało już obsadzone, dentysta ma zbyt wielu pacjentów i już nie przyjmuje. Prosimy integrujcie się, a tym, którzy chcieli to zrobić, mówili no przecież sami widzicie że jesteście inni.

Patrzyła na dłonie ojca na zdjęciach, na dłonie intelektualisty, nieskazitelne, zadbane, które obracały cygarniczkę, te dłonie na fotografiach kreśliły wielkie idee. Tylko wiara może zatamować nienawiść, która trawi córkę. Nie chce być wielkim blokiem nienawiści, zranionym groźnym zwierzęciem. Tak jak nie chce sprzedawać swojego ciała na targowiskach. Nie chce zrezygnować ze swego człowieczeństwa. I tylko wiara może złagodzić tę złość, wskazuje jej drogę i przywraca godność.

Relacje z ojcem stały się napięte i Aïcha nie mogła nic na to poradzić. Powiedział: „Robisz to, żeby mnie wkurzyć”, mając na myśli wiarę. Wyklucza wszelki dialog. A przecież ją uwielbiał.

Nie była zła, że nie pozwala jej pojechać samej do Barcelony, nawet w ramach jej studiów. Wie, że się o nią martwi. Chciałaby, żeby ktoś go przekonał. Islam, który ona wyznaje, nie ma żadnego związku z tym, za którym przepadają brukowce masowo publikujące swoje farmazony.

Kiedy dzień wcześniej usłyszała, jak ta lesbijka mówi o Pameli Kant i o jej matce, nie wiedziała, o kogo chodzi, zapamiętała nazwisko, bo brzmiało zabawnie. Potem wpisała je w Google. Z uczuciem odrazy skontaktowała się z Pamelą Kant na Facebooku, ale starała się o tym wszystkim nie myśleć. To ją dręczyło, przezwyciężyła niesmak i przyjrzała się bliżej kobiecie, z którą jej matka lubiła chodzić na tańce. Wódka Satana. Nie skojarzyła od razu. Gdyby nie tatuaż, oko Izidy na łopatce, nie domyśliłaby się prawdy.

Powinna była powstrzymać ciekawość. Nie musiała poznawać prawdy o tym, czego nie zrobiła. Nie odpowiada za haniebne czyny, których nie popełniła. Allah wie o nas wszystko. Cholera. Wolałaby raczej zaszyć sobie powieki, niż zobaczyć to, co zobaczyła.

Wie, że dla kobiet z poprzedniej generacji życie we Francji było trudne. Jakby je wysadzono w powietrze podczas lotu. Mówiono im: „Jesteście bardzo piękne”, i nakłaniano, by uległy pożądaniu. Odwróć się od Allaha i podepcz swe dziedzictwo. Nie od razu pojęły, dokąd je to zawiedzie. Pralki, dobrze płatna praca, nieprzyzwoite stroje i obietnice łatwego życia. Matki niektórych z jej przyjaciółek farbują włosy na blond, pokazują pośladki i przesiadują w barach. Aïcha była dosyć tolerancyjna, bo nie chodziło o jej własną matkę. Wygrała los na loterii. Dlaczego teraz to na nią spadło?

Aïcha nawet nie cmoka się z chłopcami na powitanie. Zawsze zachowuje się nienagannie. Unika zbliżeń, bo wie, że jeśli nie będzie czujna, sytuacja może wymknąć się spod kontroli.

Była wdzięczna, że Hiena nie próbuje zbyć jej byle czym. Aïcha powiedziała jej, że o tym wie. Tamta na chwilę zamilkła, po czym podjęła wątek:

- Ale mnie wkurzasz, mała. Nie mogłabyś zapytać o to swojego ojca?
- Nie ośmieliłabym się rozmawiać o tym z ojcem.

Nikomu nie ośmieli się o tym powiedzieć. Ani swym przyjaciółkom, ani imamowi. To jej nie dotyczy, to jej nie plami – zachowuje dystans, to wszystko.

Co ją najbardziej brzydzi? Właśnie ona. Jej matka. Ludzkie śmieci, z którymi się zadawała. Kultura, która popycha kobiety do tego, żeby to robiły. Nie tylko na to przyzwalała, ale w dodatku je do tego zachęca. To są te same zdziury, które krzywią się na widok jej chusty. Co ją najbardziej brzydzi? Dlaczego jej matka nie wróciła do ojca, kiedy poczuła się zagrożona? Czy miała aż taką awersję do własnej rodziny? Ojciec by ją ocalił. Dlaczego nie poszukała schronienia? Kto mówi wewnątrz Aïchy? Kto snuje refleksje? Jej myśli są szybkie, wzajemnie sprzeczne i prowadzą donikąd.

Hiena jest kompletnie stuknięta. I właśnie dlatego można się zdobyć na śmiałość i pytać ją bez owijania w bawełnę.

- Twoja matka to była genialna laska.

- Genialne laski chyba inaczej zarabiają na życie, nie?
- Trzeba na to wszystko spojrzeć w odpowiednim kontekście...
- Zabiłabym ją. Gdyby jeszcze żyła, zabiłabym ją. Żeby się zemścić za ojca, za siebie i za nią samą.
- Gadanie. Tuliłabyś się do niej, przepadałabyś za nią. Wszyscy uwielbiali twoją matkę.

Jej lekkomyślność i cynizm budzą w Aïchy wzdąę. Ta kobieta jest przywiązana bez reszty do pogańskich wartości, wyznaje monoteistyczny kult wszechmogącego pieniądza, nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówi, bluźni tak, jak oddycha. Ale Aïchy sprawiało też przyjemność, że ktoś powtarza bez zmrużenia oka – twoja matka była czarująca. Nikt nigdy jej czegoś takiego nie powiedział. To nie do przyjęcia, ale zarazem miłe.

Rozmawiały prawie całą noc. Aïcha leżała na górnej kuszetce. Hiena, na dole, z całej siły kopała w materac, gdy dziewczyna powiedziała coś, co jej się nie spodobało. Stara lesbijka jest postrzelona, ale zabawna. Mierzi ją wszystko, co ma jakikolwiek związek z moralnością, reaguje rozbawieniem, typowym dla niewiernych, którzy uważają się za hedonistów i sądzą, że można korzystać z życia, nie przestrzegając zasad i nie ponosząc żadnych konsekwencji. Ale choć Aïcha podczas całej dyskusji nie chciała słyszeć o tym, że jej matka była kobietą godną ludzkiego szacunku, sprawiało jej przyjemność, że ktoś tak właśnie twierdzi.

Przyjechały pólzywe na Estació de França, słońce wyglądało jak oślepiający ekran.

W Hiszpanii jest dzień strajku generalnego. Rano nie działa radio ani telewizja, wyszły na balkon, jest mniej samochodów niż w niedzielę. Większość sklepów zamknięto, trafiki bary restauracje. Tylko Orxateria jest otwarta, ale metalowa żaluzja pozostaje do połowy spuszczone. Aïcha nie idzie na sesję, uniwersytet nie funkcjonuje. Katalońscy studenci uprzedzili ją, by wcześniej zrobiła zakupy, bo wszystko będzie pozamykane. Sklepikarze, którzy woleliby pracować, rezygnują,

boją się represji. Ludzie mówią, że po rozwiązaniu manifestacji w innych miastach ulice stanęły w ogniu – skutery pojemniki na śmieci samochody, wszystko, co można podpalić, spłonęło.

Na ulicy panuje ciężka atmosfera, którą podkreśla ołowiane niebo. Aïcha ma ochotę na spacer. Hiena myślała, że pójdą do kina, ale kino także jest nieczynne. Około dziesiątej rano na skrzyżowaniach pojawia się policja, ulicą jadą czarne pojazdy opancerzone. Hiena pyta, czy Aïcha nie chce skorzystać z okazji i zajrzeć do notatek. „Nie jestem pewna, czy powinnaś dzisiaj wychodzić, twój ojciec prosił, bym się tobą zaopiekowała”. Siedzi na sofie z laptopem na kolanach, pisze komentarze na stronach paryskich restauracji i śledzi przebieg wydarzeń, czytając informacje dziennika „La Vanguardia”.

Pierwsza eksplozja, w oddali. Policja strzela gumowymi kulami. Ulicą jedzie autobus, na przystanku pod ich oknami otaczają go demonstranci. W niecałe pół minuty przednia szyba zostaje pokryta naklejkami. Pasażerowie wysiadają, niezadowoleni, zrezygnowani, solidarni, rozbawieni i niezdecydowani. Pojawia się policja, każe siedzącej za kierownicą kobiecie odjechać pustym autobusem, chociaż ta nic nie widzi.

Helikopter wisi na niebie na zachodzie, gdzie – tak na oko – musi być La Rambla. Dźwięk jego śmigła wypełnia miasto, po którym nie jeżdżą samochody. Przechodnie na dole zachowują się tak, jakby nic się nie stało, jakiś starszy łysy mężczyzna, w kapciach i dresach, pali fajkę, mówiąc coś sam do siebie, para popycha wózek z dzieckiem. Co chwila rozlegają się policyjne syreny, jak w amerykańskim filmie, żółte karetki pogotowia przejeżdżają ulicą. Niewidoma kobieta ciągnie jedną ręką walizkę na kółkach, w drugiej ma białą laskę. Grupa cudzoziemców z walizkami w dłoniach rozgląda się za taksówką.

Aïcha mówi, że musi znaleźć otwartą aptekę, potrzebuje soku z karczochów. Hiena podnosi głowę znad ekranu laptopa. „Soku z karczochów? A czy zaraz po przyjeździe do Barcelony nie kupiłaś już sobie czarnej rzodkwi w granulkach?” Tak, ale czuje, że jej woreczek żółciowy nie toleruje tutejszych zbyt oleistych

potraw. Hiena wzdycha. „Jeszcze nigdy nie widziałam tak młodej osoby, która aż tak przejmuje się swoim trawieniem. Ciekawe, co będzie, gdy dożyjesz czterdziestki”.

Pociera twarz dłońmi, jakby ją wycierała. „Naprawdę chcesz wyjść, tak? Ale wiesz, że w mieście nie ma nikogo. Demonstracja ma być o osiemnastej, teraz wszyscy śpią”. „Tylko znajdziemy aptekę”. „Pójdę z tobą”.

Idąc, nie rozmawiają ze sobą. To nie jest wrogość. Obydwu to odpowiada.

Mijają Starbucksa, uderzenie ramieniem sprawia, że Aïcha traci równowagę. Nim jeszcze do niej dotrze, że jakiś mężczyzna wyrwał jej torebkę, widzi, jak on uderza całym ciałem o ścianę, i słyszy suchy trzask, Hiena zmiażdżyła mu kolano uderzeniem obcasa. Inny mężczyzna rzuca się na Hienę, Aïcha chwyta go za ramię i uderza w szczękę. Chwieje się. Hiena schyla się, żeby podnieść złodzieja, z okropnym akcentem, ale szybko cedzi po hiszpańsku: „Przepraszam, przestraszyłeś mnie, możesz chodzić?”. Klepie go po ramieniu i z niepokojem rozgląda się wokół. Mruczy pod nosem, wściekły, Hiena odwraca się w stronę jego kumpla, który nadal stoi niepewnie na nogach: „Zabierz go stąd, szybko, wszędzie są gliny ludzie na nas patrzą. Na co czekasz, chcesz iść z nim do szpitala?”. Ten patrzy na Aïchę i spluwa na ziemię, któryś z gapiów pyta ich po francusku: „Macie jakiś problem?”, a Hiena uśmiecha się do niego, ale jej szczeka jest tak zaciśnięta, że ten grymas wygląda strasznie: „Nie, niechcący wpadliśmy na siebie”. „Niczego wam nie ukradli?” „Nie, to był wypadek, wszystko w porządku...”. Odwraca się do mężczyzny, który wciąż leży na ziemi, jego przyjaciel próbuje dość brutalnie postawić go na nogi.

Hiena i Aïcha oddalają się, nie czekając na zakończenie całej tej historii. Aïcha wie, że powinna odczuwać wstyd w związku z tym, co się wydarzyło. A odczuwa raczej ekscytację, która współbrzmi z klimatem tego dnia, helikopterem i odgłosami eksplozji. Mówi jednym tchem: „Jak na twój wiek jesteś bardzo szybka, nie zdążyłam się zorientować że mi wrywa torebkę a już mu przyłożyłaś”. Hiena przystaje: „Jak na mój wiek? Ty też chcesz oberwać, Mike’u Tysonie?”. Unosi brwi i pstryka palcami na znak, że muszą się pospieszyć. „Jazda, wszędzie

jest pełno psiarni”. „Boisz się, że zapytają cię o papiery?” „Nie, cóż to za pomysł?” „Musimy tak pędzić? Dlaczego przyjechałyśmy tu pociągiem?” „Z policją nigdy nic nie wiadomo... Jeśli trafimy na dołek, jak wytłumaczę to twojemu ojcu? Możesz mi zdradzić, gdzie nauczyłaś się zadawać prawe proste?” „Na treningach”. „Trenowałaś boks?” „Kiedy byłam mała. Ale później ojciec poznał pewną dziewczynę, która uważała, że to niezbyt kobiece. Poradził mi, żebym z tym skończyła”. „Niezbyt kobiece?” „Tak, kiedy byłam mała, byłam czasem... niesforna. Teraz jestem inna. Ale pewne odruchy zostały. Dostrzegłam wolną przestrzeń i zrobiłam to bez namysłu – bum. Pierwszy raz podniosłam na kogoś rękę... chyba od czasów szkoły podstawowej”. „A to nie grzech, bić się, kiedy się jest dziewczyną?” „W żadnym wypadku, gdy ktoś cię atakuje, masz prawo się bronić, nawet jeśli jesteś kobietą. Nie znałyśmy ich”. „A gdybyśmy ich znały, to by coś zmieniło?” „Tak, to zależy od tego, czy są godni szacunku. Ale dla mnie nie są godni szacunku, to złodzieje. Nie moja wina, że jego matka wysrała na świat takiego lebiegę, takie chuchro, naprawdę powinien zmienić zawód”. „Całe szczęście, że nie jesteś już taka niesforna jak kiedyś. Wolę nie wiedzieć, jak wygląda twoja nieocenzurowana wersja”.

Od tego momentu coś drgnęło między nimi. Idą w stronę dzielnicy Gràcia, mijają ludzi, wymachujących katalońskimi flagami, inni niosą żółte sztandary manifestacji, rozproszone części orszaku przed wielką demonstracją.

- Chcesz iść dalej czy wracamy do domu? Zrobię ci coś do jedzenia.
- Wiesz, że beznadziejnie gotujesz? Trawię to potem całymi godzinami.
- Nikt nigdy mi nie mówił, że nie mam pojęcia o gotowaniu. Ale na ogół nie zajmuję się kuchnią.
- To pewnie dlatego.

Tego wieczoru Aïcha czyta notatki z wykładów, a Hiena postanawia ugotować bulion warzywny bez dodawania tłuszczu. Twierdzi, że to jej „dobrze zrobi na wątrobę”. Hiena podchodzi do stołu, dając jej znak, żeby zwolniła miejsce, „jemy

kolację, przesun te papiery, pózniej do tego wrócisz”, a poniewaz Aicha nie wykonuje polecenia, cofa się o krok i podnosi nogę do góry, pokazując kapeć z odklejoną podeszwą, przemawia w jego imieniu „dzień dobry jestem kapeć pospiesz się ugotowałem ci warzywny bulion”. I Aicha wybuch szalonym śmiechem, bo jest to tak idiotyczne, że w sumie dość zabawne. Siadają do stołu i przy pierwszej łyżce znów wybuchają szalonym śmiechem. Jedzenie jest ohydne.

Potem Aicha nagle ma poczucie winy. Sprząta ze stołu, zerkając na zegarek, chce się jak najszybciej pomodlić, odnaleźć duchowy spokój. Nie mówi ani słowa, ale Hiena komentuje na cały głos: „Skończ z tym cyrkiem, pośmiałyśmy się przez dwie minuty, ale to nie znaczy, że zostaniemy superkumpelkami. Co ty sobie myślisz? Tak czy owak, nie martw się, lesbijstwo nie jest zaraźliwe”. A Aicha patrzy jej prosto w oczy – czy ta czarownica potrafi czytać w myślach? Nie powinna zawracać sobie tym głowy, bo Hiena jest spokojna, widać, że nie zamierza perfidnie robić jej prania mózgu ani sprowadzać jej na złą drogę.

Patrice od dwóch dni ma kinol zapchany smarkami. Na brzegu nozdrzy skóra jest przekrwiona, wycieranie nosa stało się bolesne. Leczy się chlorkiem magnezu, po euro dziewięćdziesiąt torebka. Rozcieńczony wodą ma ohydny smak, od razu dostaje rozwolnienia, ale po dwudziestu czterech godzinach stawia go na nogi. Słyszy burczenie w rozdygotanych jelitach, pomimo bólu odczuwa przyjemność, gdy może się wypróżnić. Zwłaszcza że kibel jest najładniej udekorowanym miejscem w jego mieszkaniu, Patrice przykleja na ścianach najrozmaitsze fotki, najrozmaitsze to może za dużo powiedziane... są to zwłaszcza zdjęcia rozneglizowanych dziełatek, co sprawia, że wchodzi się tam jak do jaskini cycków, płaskich brzuchów, opalanej skóry i wydatnych warg. To odprężające. Trzyma tam wszystkie swoje kolorowe pisma. I spędza większość dnia, zwłaszcza gdy jest sam i może zostawić drzwi otwarte, by słyszeć muzykę dobiegającą z salonu.

Po przebudzeniu nadal czuje się chory. Zapomniał, że Vernon śpi na rozkładanej sofie, już miał iść do kibla z gołym tyłkiem i klejnotami na wierzchu. Stojąc nad muszlą klozetową, przez chwilę się waha, co jest priorytetem: rzygi czy sraczka. Trzeba wybrać. Często myślał, że w bardziej cywilizowanym świecie toalety powinny być urządzone tak, by można było siadać i pochyłać się naprzód, załatwiając wszystkie potrzeby bez zmieniania pozycji. Ludzie, którzy projektują wychodki, za mało piją, nie myślą o ważnych potrzebach życia codziennego.

Vernon przyszedł wczoraj z butelką rumu, pili, nie zważając na to, co będzie nazajutrz, a teraz wszystkie jego narządy wewnętrzne protestują. Nazajutrz po pijaństwie jest nie do użytku, zwłaszcza kiedy ma grypę. Jego ciało już od dawna źle znosi alkohol. Niecały rok temu trafił na pogotowie z objawami odmiedniczkowego zapalenia nerek, był cały rozpalony, pogrążony w zwierzęcym delirium, widział ogromne żółwie, aligatory leżące na jego brzuchu i czuł ich lepką, ciepłą skórę, widział, jak wielkie węże owijają mu się wokół nóg. To

przypominało odlot po meksykańskich grzybkach. Dopiero po tygodniu gorączka opadła. Leżał w pokoju z jakimś dziadkiem, który w nocy jęczał i wyrywał sobie kroplówki, stary chciał uciec, ale zanim docierał do końca korytarza, zapominał, jak ma na imię, a pielęgniarki, znudzone, przyprowadzały go z powrotem i krępowały na łóżku, choć nadal się buntował. Lekarze byli zdumieni, że tak długo z tym zwlekał, że nie zaniepokoił go stan jego zdrowia – nie zorientował się pan wcześniej, że jest chory? Odparł że nie rano myślałem że mam gigantycznego kaca, piłem piwo i mi przechodziło. Młody lekarz o bardzo jasnych oczach wyjaśnił mu, chyba z libańskim akcentem, że to było *delirium tremens*, spowodowane przedawkowaniem alkoholu. Poradził mu, żeby przestał pić. Po co? Żeby trochę później trafić do szpitala? Lepiej spać? Alkohol atakuje wątrobę, tytoń atakuje język, gardło i płuca, tłuste potrawy atakują tętnice – przynajmniej jedno niech mu się w życiu uda: nigdy nie będzie starym próchnem.

Vernon chrapie, leżąc na boku. Jemu też nie będzie łatwo powrócić do rzeczywistości. Patrice napełnia butelkę wodą, łupie mu w skroniach, jakby pod płatami kory mózgowej wyburzano ściany. Kurwa, gdy byli młodzi, nazajutrz po balandze budzili się radośni jak skowronki.

Patrice włącza radio i odpala komputer. Tak jak każdego ranka. Wie, że od tego wariuje. W latach osiemdziesiątych, kiedy zaczął kupować prasę i słuchać radia, było całkiem inaczej. Bywały rzeczy, na które się wkurzał, ale lubił też czytać czy słuchać niektórych dziennikarzy. Z zainteresowaniem śledził wypowiedzi tego czy innego artysty. Stosunek do mediów nie był oparty wyłącznie na podejrzliwości i wrogości. Głupawe komentarze na temat upadku muru berlińskiego, placu Tiananmen czy filmu Scorsese o Chrystusie wymieniało się, stojąc przy barze w gronie ludzi, którzy tam są, którzy się widzą, odpowiadają sobie i się ze sobą spierają. Nie mówiło się byle czego, z wściekłości, że jest się anonimowym, skazanym na wygłoszenie najbardziej lapidarnego głupstwa, które ginie w ogłuszającym milczeniu własnej niemocy. Dzisiaj chciałby wprowadzić do tego jakiś ład, ale nie jest w stanie. Otwiera gazety, których wcześniej nigdy by nie kupił. To oplata jego mózg zatrutymi mackami i nie sposób stworzyć z tego żadnej

syntezy, pozostaje wściekłość. Chęć, żeby się od tego wszystkiego uwolnić, koszarne uczucie mdłości. Nie ma chęci dołączać do chóru, nie ma ochoty prowadzić bloga, by wylać z siebie żółć, nie chce powiększać strugi gówna swoim własnym łajnem. Jednak nie potrafi się oderwać od tego otwartego okna. Co rano ma wrażenie, że siada i patrzy, jak cały świat gnije. I wydaje się, że elity sprawujące władzę nie mają świadomości, że trzeba natychmiast działać: wrzucić wsteczny bieg. Przeciwnie, wygląda na to, że zależy im wyłącznie na tym, by przeć ku najgorszemu najszybciej jak to możliwe.

Czyta historię małego Adama, który wtargnął do amerykańskiej szkoły, żeby zabić dwadzieścioro dzieci i dziesięciu dorosłych. Chciałby mieć jaja i zrobić coś takiego. Nie w szkole – w jego pokoleniu nie strzelało się do małych dzieci, brakuje mu pewnej dozy nihilizmu. Albo kretynizmu. Gdy to się stało, tak jak wszyscy rodzice dokładnie przyjrzał się szkole swoich dzieci. Jego dwaj synowie chodzą do tej samej. Gdyby któremuś spadł choćby włos z głowy... Dzień wcześniej w telewizji jakiś amerykański ojciec powiedział, że już przebaczył. To było wzruszające i bulwersujące zarazem.

Dzień, w którym Patrice został ojcem, nie był najpiękniejszym dniem w jego życiu. Raczej najbardziej przerażającym. Pracował nocą w halach w Rungis, to była dorywcza robota, Cécile wysłała mu wiadomość, by go uprzedzić, że jedzie do kliniki. Nie mogła rozmawiać. Esemesy były wtedy całkowitą nowością, to był jeden z pierwszych, jakie otrzymał.

Szefem ekipy był sentymentalny Portugalczyk o kaczym chodzie, kawał skurwysyna, ale był tatą, więc tym razem zachował się elegancko, zwolnił go, nie robiąc żadnych problemów. Nikt nie mówi wprost, co to znaczy kobieta, która rodzi dziecko. Nikt o tym nie mówi i dopiero kiedy do tego dochodzi, uświadamiamy sobie coś, o czym nie mieliśmy bladego pojęcia, zresztą na całe szczęście. Kiedy się tam pojawił, ze wszystkich pokojów dobiegały jęki. Była pełnia księżyca. Położne powtarzały to z porozumiewawczym uśmiechem. W każdym pokoju rozlegały się wrzaski i faktycznie wszystkie kobiety wykrzykiwały to samo: „Nie dam rady! Odczepcie się nie liczcie na mnie wyjdźcie

stąd zapomnijmy o tym co wcześniej mówiłam dajmy już temu spokój nie dam rady”. Wszystkie: „Nie dam rady”. Oraz: „Litości pomóżcie mi bo umrę”. Cécile tak samo jak inne. Przyjechał tam dwie godziny po odczytaniu esemesa, tyle zajęła mu jazda po zakorkowanej już obwodnicy. Ani śladu główki dziecka. Tylko jego żona, która go już nie słyszała, leżała zrana potem, opierając stopy – od trzech dni spuchnięte jak sine balony – na poręczy łóżka, nie miała siły przeć, była umęczona. Zdążyła już nasrać pod siebie. A to był dopiero początek. Poród trwał pięć godzin. Ekipa medyczna stwierdziła, że wszystko poszło gładko. Całe szczęście, że nie wiemy nic o porodach. Kobiety mają to dobrze poukładane: zapominają. Ale faceci nie. Facet, zanim tam wróci, naprawdę zada sobie pytanie, czy to ma sens. Cécile już rok po pierwszym mówiła o następnym. Wytarła z pamięci pięć godzin piekła i z całej tej jatkii zachowała tylko jeden obraz: gdy położono jej dziecko na brzuchu i, jak stwierdziła, po raz pierwszy w życiu zrozumiała, co znaczy drugi człowiek.

Ale on niczego nie zapomniał. Widzieć cierpienie osoby, którą uwielbiał, było najgorszym doświadczeniem w całym jego życiu, zapytał, czy jest pewna, że nie chce zaadoptować drugiego dziecka. Nie chciała o tym słyszeć. Wystarczyło, że ją szturchnął, dał jej prztyczka w nos, a jeszcze pół roku później była obrażona, ale rozerwać się na pół, to w każdej chwili była gotowa powtórzyć. I niech mu już nikt nie wmawia, że kobiety i mężczyźni są do siebie podobni. Miednica trzeszczy, kiedy się otwiera, by dziecko mogło wyjść. Trzask. Nikt o tym trzasku nie mówi, ani słowa. Za drugim razem czekał obok sali, nie chciał być przy porodzie. Cécile zrozumiała. Nie chodziło o gówna i krew ani o to, że kiedy dzieciak wychodzi, przypomina wyjące monstrum. Nie chciał patrzeć, jak cierpi. Co do reszty, OK – mógł wejść do środka i przeciąć pępowinę. Kiedy toto rozwarło japę, by wrzeszczeć... Dziecko oddycha, już po wszystkim. Położne dobrze znały swój fach, traktowały go jak opóźnionego w rozwoju, tak należało do niego mówić. Były też miłe dla Cécile. To było w ich interesie. Jedna zirytowała go podczas porodu, uznała, że trwa zbyt długo, i zaczęła jej rozkazywać: „Trzeba by w końcu wziąć się do roboty”, a Cécile leżała zalana łzami. Już miał się wtrącić, ale sobie przypomniał, że ona robi to przez cały dzień, gdy on tak naprawdę nie wie, o co tu

chodzi. Jego żona umierała, spłodzili szatańskie niemowlę, dziecko nabite gwoździami, z kolczastą czaszką, co mogłoby wyjaśniać, dlaczego ona tak bardzo cierpi, wydając je na świat.

Byli wycieńczeni. Kiedy spojrział na zegar, była dziewiąta, nie zmrużyli oka i aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak ciężkie było to doświadczenie. Cécile zasnęła z dłonią w jego dłoni. Tak jak lubił. Nie może o tym myśleć. Tak kochał tę kobietę. Swoją żonę. Jej oczy. Coś w jej twarzy sprawiało, że musiał złożyć broń, skapitulować, a od stóp po końcówki włosów przebiegał go dreszcz ekstazy. Zasnęła, a on patrzył na Tonia. Jeszcze przez kilka sekund nie dowierzał, a potem jego życie uległo zmianie, na zawsze. Strach. Jeszcze go nie znał. Chwycił go za trzewia i już nigdy nie puścił. Strach, że coś się może stać tej małej istocie. I wystarczyła sekunda, by to „coś” w pełni się rozwinęło: choroba, uraz, agresja, wypadek, zakażenie, przemoc, tortury, głód, zdrada, zły dotyk, penetracja, kidnaping, uwięzienie, pożar, zamach, pocisk, wojna, epidemia, tsunami, tajfun, uduszenie... „Żrenica moich oczu”. To wyrażenie nie oddaje do końca tego, co łączy rodzica z noworodkiem. Można by wyrwać mu źrenice oczu i nadal by żył – „szpik kości” chyba mógłby wyrazić w pełni, że to uczucie przenika nasze jestestwo i chodzi o więź, która powstaje, gdy jeszcze nie potrafimy rozpoznać swojego dziecka spośród innych. Ledwie się pojawiło, a Patrice’a już ogarnęło uczucie przerażenia.

Po narodzinach Tonia Patrice znalazł się w centrum uwagi jej rodziny. A przecież Cécile często płakała. Podczas ciąży, po porodzie, kiedy mały stawiał pierwsze kroki... Zapamiętał Cécile z tego okresu jako umęczoną kobietę z twarzą spuchniętą od płaczu, kobietę, która czka.

Przy drugim członkowie ekipy medycznej patrzyli na niego podejrzliwie, gdy przyjechał z nią do szpitala. W niedzielę. Tym razem ją przywiózł. Widzieli na niej ślady, kilka osób spojrzało na niego krzywo. Ale ten nieprzyjemny nastrój dość szybko się rozwiął, doszli do wniosku, że to nie to, co myślą, i zrobili się miłsi. Patrice łatwo nawiązuje kontakty. W jego towarzystwie ludzie się wyluzowują. To, co łączyło go z Cécile, było skomplikowane. To nie była historia w rodzaju

„brutalny facet bije ciężarną żonę”. To było bardziej złożone. Kochał ją do szaleństwa, traktował jak księżniczkę. Ale od czasu do czasu coś mu odbijało.

To był koszmar, kiedy od niego odeszła. Zaczęła podpisywać papiery, które ktoś za nią napisał, by dowieść, że między nimi tak właśnie to wyglądało. Przemoc domowa, tego rodzaju bzdury. Zdradziła go. Listy z sądu, okropne rzeczy. W haniebnym sposobie zdradziła ich miłość. Wokół niej kręciło się pełno wrednych bab. Jej matka, jej siostra, jej kumpelka Mafalda, ten gruby oszołom, tak bardzo szczęśliwa, że może zniszczyć prawdziwą miłość, bo sama nigdy nie zazna nawet seksu analnego. Jędze, które cierpliwie czekały na odpowiednią chwilę, żeby się go pozbyć.

Cécile odeszła siedem lat temu. Tonio miał trzy lata, Fabien dwa. Patrice ciągle do tego wraca. Czasami myśli, że to się w końcu ułoży, tylko na to czeka, w gruncie rzeczy on też nie chce już tak bardzo cierpieć. I znów to się zaczyna. Myśl o tym nie daje mu spokoju, nawet kiedy jest z ludźmi, nawet gdy pracuje, stale to przeżuwa. Picie niczego nie zmienia. Gdy jest trzeźwy, jest jeszcze gorzej z powodu bezsennych nocy.

Szybko zdał sobie sprawę, że Vernon kłamie, twierdząc, że wrócił z Quebecu, żeby załatwić sprawy urzędowe. Od trzech miesięcy codziennie gaworzy na fejsie z Francuzami, a miałby wylądować u gościa, którego ledwie zna i który w dodatku mieszka na zadupiu? Wylądował na bruku. W każdym razie wygląda na faceta, który znalazł się na ulicy. Kiedy Cécile go rzuciła, Patrice przez pół roku tułał się to tu, to tam. Pomieszkiwał u ludzi, którzy kazali mu w zamian sprzątać i robić zakupy. Albo u takich, którzy co wieczór zostawiali dzieci pod jego opieką. Niektóre nie rozumiały, dlaczego nie miałby spać w ich łóżku, skoro u nich gości. Ludzie bywają tak niechlujni, że jedzenie u nich czy picie z ich szklanek wywołuje odruch wymiotny, który trzeba ukryć. Myślał, że Cécile zmieni zdanie, nie spieszył się z wynajęciem mieszkania. Raz im się to już zdarzyło i stracili mnóstwo pieniędzy. Bez potrzeby. Sądził, że zmieni zdanie, ale po sześciu miesiącach miał dość spania na kanapie w czyimś salonie. Znał jednego faceta, kolegę ze szkoły, który pracował w biurze kwaterunkowym w Corbeil, na dalekich przedmieściach

Paryża. Zadzwoił do niego, skępowany, że musi go o coś prosić, o mieszkanie, i to najszybciej jak to możliwe. Ale kumpel zamiast go wysłać na drzewo, jak on sam uczyniłby na jego miejscu, ucieszył się, że może coś dla niego zrobić. Po dwóch miesiącach sprawa została załatwiona. Zamieszkał w Corbeil. Mieszkanie bez zarzutu. W dzielnicy, gdzie ma się chęć kupić szpadel wykopać dół i zagrzebać się w nim żeby na to nie patrzeć. Problemem nie jest łobuzerka z okolic, po prostu ma się uczucie, że przebywa się w jakimś niebywale rozległym więzieniu. Ale gdy wejdzie się już do mieszkania, jest całkiem przyjemnie. Jest dość wysoko, naprzeciwko są drzewa, widać niebo i zielen, i jest dużo okien. Przyjemnie. Gdyby nie był tak nieszczęśliwy, przywykłby do tego miejsca. Dzielnica jest brzydka, ale spaceruje tu mnóstwo staruszek i staruszków, nawet drobni przestępcy nie ośmielają się używać przemocy. Wolą przebywać kilka ulic dalej, gdzie okolica nie przypomina tak bardzo domu starców.

Po sześciu wiadomościach, jakie wymienili z sobą na Facebooku, skojarzył, że Vernon chce go zapytać, czy mu udzieli gościny, i wyraził zgodę. Miał się na baczności, Sylvie poskarżyła się na kradzież w jej domu. Dobrze zrobił tej dzianej idiotce. Ma, na co zasłużyła. Jednak ostrzegł Vernona, otwierając mu drzwi: mam dobre serce, ale nie znoszę, gdy mi ktoś robi koło pióra, jeśli bez mojej zgody weźmiesz cokolwiek z mieszkania, znajdę cię i wyłupię ci te piękne niebieskie oczy.

Patrice ma odpowiednie warunki, by mówić tego rodzaju rzeczy. Choć z młodzieńczego wyglądu pozostały mu jedynie tatuaże. Może włożyć garnitur i sweter z golfem, a i tak są widoczne. Nie nosi już barw klubowych, odstawił motor i słucha Coltrane'a i Duke'a Ellingtona. Miał dość odgrywania roli marksistowskiego Hells Angels. Trzeba było godzić zbyt wiele sprzeczności. Pozostał marksistą i odpuścił sobie Anioły Piekieł. Ale zachował ich look. Siłą rzeczy. Może zmienić ciuchy, lecz i tak zawsze będzie wyglądał jak stary garownik. Ma dziary nawet na szyi i nadgarstkach i nie są to jakieś pedalskie wzorki, jakie dziś tatuują sobie podlotki. Przywykł do tego, że gdziekolwiek się zjawi, ludzie ze strachu zaciskają pośladki. Zachował długie włosy, grube sygnety i kolekcję

metalowych bransoletek na przegubie. Nie wyłysiał, ale całkiem osiwiiał. Tak jak Gérard Darmon. Kiedy życie funduje ci taki prezent, po co miałbyś w dodatku skracać sobie pióra.

Vernon także ma nadal gęste włosy. W tym wieku niebieskie oczy to duży plus. W jego twarzy jest coś, co nie uległo destrukcji. Vernon był zawsze dyskretnym facetem, który nikomu nie przysparzał problemów i z chęcią wyświadczał przysługi. Nie był bystrzakiem, jakich się często spotyka w środowisku rockmanów, ma groszek zamiast mózgu, ale to nie jest ktoś, kto wbije ci nóż w plecy.

W przeciwieństwie do innych Patrice nie wspomina z nostalgią czasów, kiedy grał w zespole. Dołączył do Nazi Whores, bo basista z pierwszego składu nagle się wymiksował pod pretekstem, że jego laska nie chce, żeby ciągle wyjeżdżał. Tak naprawdę miał już powyżej uszu, że perkusista wyrywa wszystkie laski, także jego dziewczynę, tę oficjalną. Patrice nauczył się w kółko grać trzy wymyślone przez Alexa dźwięki, których potrzebował, by sprostać swojej roli. Nigdy nie został dobrym muzykiem. To było powołanie niepoparte talentem, mógł ćwiczyć w nieskończoność, nic mu nie wychodziło. Ale lubił odstawiać show na scenie. Sejsmiczna gestykulacja kompensowała kompletny brak feelingu. Lubiał błaznować. Normalne w tym wieku. Były to dwa zabawne lata, wiele kilometrów przejechanych wynajętą furgonetką, gdy opowiadali głupstwa, żeby się trochę rozgrzać. Robili osiemset kilometrów między jednym koncertem a drugim, ich menedżerka nie miała za grosz zmysłu praktycznego i nie przyszłoby jej do głowy prosić organizatora, by zjedli coś innego niż tabbouleh i nie musieli spać na podłodze u kogoś z miejscowych. To była część zabawy, należało się z tym pogodzić, żeby grać na scenie. Przez jakiś czas mu to odpowiadało, aż w końcu wyszło bokiem. Trzy próby tygodniowo – co najmniej, rock'n'roll to była poważna sprawa – z facetami, którzy nie mieli nic innego do roboty i przychodzili godzinę spóźnieni, robili sobie półgodzinne przerwy i gardłowali między jednym numerem a drugim. Brak dyscypliny szybko go zniechęcił. A w każdy weekend gig na wyjeździe lub w nędznym włoskim squacie, gdzie wszyscy są naćpani i nikt nie

jest już w stanie wysłuchać koncertu... W pierwszym roku bawił się na całego, w drugim to go zmęczyło, a w trzecim opuścił grupę. Na kilka miesięcy przed jej rozwiązaniem. Są trzy powody, dla których zespół się rozpada. Naturalne wygaszenie aktywności spowodowane nudą, otwarty konflikt lub traumatyczne zdarzenie, na przykład śmierć jednego z muzyków.

Kiedyś schodząc do piwnicy na wieczorną próbę, uświadomił sobie, że to nie sprawia mu już przyjemności. Miał ochotę pogapić się w telewizor w sobotę wieczorem, znaleźć sobie jakieś stałe zajęcie i nie pytać, czy w piątek po południu będzie mógł pojechać do Bourg-en-Bresse, żeby zagrać koncert. Kończę z tym, musicie znaleźć sobie jakieś zastępstwo. Alex poczuł się z tego powodu najbardziej urażony. To było potwierdzenie tego, o czym już wiedział – inni nie nadawali na tej samej fali. Alex nie miał wyboru. Nie miał nic innego. Nie miał rodziny, roboty ani innych ambicji. I tylko on miał słuch, wiedział, jak stworzyć nowy kawałek.

Nie brakowało mu tego. Uczucie ulgi całkowicie przesłoniło żal. Miał dość rocka, hardcorowej sceny, całego tego szajsu. Nie przez przypadek nazywa się to subkulturą. Grono niewydarzonych półgłówków, którzy mogą przez cały wieczór rozmawiać o modelach wzmacniaczy, gitarowych przesterach albo o kołnierzykach koszuli. Najbardziej rozgarnięci są bezkonkurencyjni, jeśli chodzi o kable, to kultura mechaników samochodowych, którym nie chciało się ukończyć zawodówki. Wreszcie mógł wydorosnąć i zawsze potem, spotykając ludzi z tamtych czasów, nie mógł się nadziwić, że są wciąż tacy sami.

Vernon nie był zbyt bystry. Ale miał dużo wdzięku. *Easy-going*, wyluzowany chłopak. Zbyt mało neuronów w akcji, by się czymkolwiek przejmować. Otwierając mu drzwi, Patrice nie spodziewał się, że spędzi superwieczór. Zrobił to, bo nie czuł się jeszcze wystarczająco zgorzkniały, by odmówić gościnności byłemu koledze pod pretekstem, że lepiej jest posiedzieć samemu przed telewizorem.

Przyniósł butelkę rumu, wyglądał na zmęczonego i najwyraźniej chciał się jak najszybciej ululać. Usiedli, każdy z paczką chipsów na kolanach, i oglądali *Rzykantów*, a Vernon okazał się dobrym kompanem do gapienia się w telewizor.

Na wyspie głosowanie rady plemienia kończyło się jak co roku – źle dla tych, którzy nie stworzyli sojuszy. Patrice i Vernon wylali całą swą żołąć na różnych uczestników programu i na zasady samego *reality show*. W obozie wszyscy mężczyźni szukali naszyjnika nietykalności. Dziewczyny zostawały przy ognisku, przyrządzając jedzenie.

– Naprawdę supersprawa, ogłosić się feministką. Mógłbyś mi na przykład wyjaśnić, dlaczego nawet nie próbują ratować swojej skóry? Często oglądasz *Ryzykantów*? Widziałeś, żeby któraś laska wyciągnęła naszyjnik?

– Wiem, znam ten program. A widziałeś, żeby laski zawarły z sobą sojusz przeciwko facetom?

– Nie.

– Tak między nami mówiąc, gdybyś był laską, zaufałybyś facetom i stworzył z nimi sojusz? Ja nie.

– I wszystko jasne.

Program *Kto poślubi mojego syna*, zaraz po *Ryzykantach*, również nie zmienił ich opinii na temat atawizmów kobiet. Doszli do takich samych wniosków: w teorii obaj są za równouprawnieniem płci. Jednakże muszą stwierdzić, że laskom najwyraźniej wcale nie przeszkadza, że nie mają za grosz poczucia godności.

Gdyby Cécile tu była i słyszała ich paplaninę, zmarszczyłaby nos jak chomik, co zawsze go urzekało, nazwała go „majster-klepką”. Dla dzieci z robotniczych rodzin to brzmiało jak obelga.

Patrice zawsze podnosił rękę na swoje dziewczyny. Bez wyjątku. Może przelecieć laskę wieczorem, nie sprzedając jej liścia, ale gdy to się zamienia w związek, zaraz pojawia się pierwszy policzek. W sumie ma to wpływ przede wszystkim na niego. Laska jeszcze nie wie, że to się właśnie zaczęło. Nawet jeśli mają za sobą dziesięć związków, w których dziesiątki razy były maltretowane, dziewczyny nie chcą przyznać, że wiedzą, jak to działa. Wolą wierzyć, że to przypadek. Miłość okaże się silniejsza od przemocy i zmieni agresywnego faceta

w troskliwego partnera. Odnajdujemy się w tych historiach, szukamy się nawzajem i się odnajdujemy. Nie jest już dzieckiem. Kiedy poznaje nową narzeczoną, z jego ust płynie potok obietnic i komplementów, obsypuje ją prezentami. Oszukuje samego siebie, a ona pozwala się mamić. Tym razem będzie dobrze, zmienił się. Wystarczy zaczekać. Pierwszy policzek. Oczy szeroko otwarte ze strachu mówią mu, że mu się nie uda, lecz zdoła ją przekonać, że jest dokładnie odwrotnie. Pojawił się gniew. Doskonale zna drogę, wraca, kiedy chce. Przywoła ją do porządku. Uwierzy mu, gdy przysięgnie, że to się nie powtórzy. Będzie szczery. Zapędzi ją w jakiś kąt, by ją okładać pięściami, poturbuje, aż w końcu ona od niego odejdzie. A jeśli nie odejdzie, on ją zabije. I za każdym razem, gdy powie, że tego żałuje, będzie mówił prawdę. Rozpaczliwie szuka przycisku, guzika, który pozwoliłby mu zachować panowanie nad sobą.

Kiedy po raz pierwszy uderzył Cécile, byli razem już od dziesięciu miesięcy i miał pewność, że wreszcie znalazł właściwą kobietę, która do niego pasuje. Z nią wszystko było inaczej. W miłości, jaką ją darzył, ufność mieszała się z ekscytacją, spokój z pasją – dawała mu pewność, ale go nie zanudzała. Nie zauważył, że to nadchodzi. A przecież znał scenariusz. To się zaczyna rano, od płomiennych monologów – o wszystkim, czego Cécile nie robi jak należy, w ich związku, w swoim życiu. Absurdalne argumenty, które nagle wydają mu się sensowne. I które w kółko sobie powtarza, by mieć pewność, że został oszukany. I w końcu do tego dochodzi, ona płacze. Jest zaskoczona, że mężczyzna, który jej stale powtarza, że ją uwielbia, ma do niej tyle żalu. Płacze, a on ją przeprosza. Bo gdy już ma w oczach łzy, te same argumenty, które doprowadzały go do wściekłości, przestają być oczywiste, już nie pamięta, że wydawały mu się w pełni uzasadnione. Ale mechanizm został wprawiony w ruch, system destrukcyjnych myśli, których nie potrafi od siebie oddalić.

Kiedyś po powrocie do domu zaproponował, by zamówili pizzę, a Cécile zaczęła zawracać mu głowę, a może lepiej zejść po sałatkę bobun do Wietnamczyka na dole, odpowiedział tak, czemu nie, ona na to może zamówmy

sushi, będzie drożej ale jeżeli masz ochotę możemy przecież sobie na to pozwolić, tak, a może poszlibyśmy zjeść u Japończyka i mówiła dalej, ma rację pizza to też dobry pomysł ale jeżeli mają oszczędzać może równie dobrze ugotować makaron, ma z czego zrobić sos, choć z drugiej strony bobun, nie trzeba by zmywać naczyń, również może być. Często tak robiła, każdą najprostszą rzecz potrafiła zagmatwać w niesamowity sposób. To już nieraz irytowało Patrice'a, ale nigdy nie wyprowadziło go z równowagi. Tego wieczoru pozwolił jej pytlować przez dziesięć minut, potem warknął: „Przestań wkurzasz mnie. Zamów dwie pizze i zamknij wreszcie dziób”. Cécile, na której nie zrobiło to specjalnego wrażenia, bo go jeszcze nie znała, zdenerwowała się: „I nie mów do mnie tym tonem słyszysz nikt nigdy nie mówił do mnie takim tonem skąd w tobie tyle agresji?”. I wtedy bum, uderzenie. Nie wnętrzem dłoni, mocno zaciśniętą pięścią, prosto w skroń. I drugi cios, zanim do siebie doszła, by wszystko było jasne i żeby nawet nie próbowała zaczynać dyskusji. Ludzie, którzy nigdy nie biją, nie wiedzą, jak to działa. To zwierzę skulone w brzuchu jest szybsze od procesu myślenia. A kiedy to się już zacznie, przetacza się jak fala: nie da się jej powstrzymać siłą dobrej woli. Musi się rozbić o brzeg. Rozstrzygający jest inny moment, to już rozumiał – trzeba by się nauczyć wyczuwać, że wzbiera, usunąć się w cień, zanim się załamie. Ale gdy czuje, że coś działa mu na nerwy, jest już za późno. Nie ma czasu, jak doradzają czasem różne łajzy, włożyć trampek i wyjść na przechadzkę – równie dobrze można by prosić wulkan, żeby zaczekał z wyrzuceniem lawy... Musi kontynuować, nie może się zatrzymać. Druga osoba musi zamilknąć. Skapitulować.

Później na terapii – chodził na spotkania grupy wsparcia w stylu mowa-trawa dla kalek życiowych, bo zrobiłby wszystko, żeby zatrzymać przy sobie Cécile – próbowali mu wmówić, że powtarza gesty matki zapamiętane z dzieciństwa. To prawda. Miała go na oku. Jego brata także. Samotna kobieta z dwójką chłopców, byli krnąbrni. Dostawali za swoje. To były czasy, w których użycie dyscypliny nie wzbudzało dyskusji. Wymierzała im karę pasem. Patrice nigdy nie sądził, by jedno z drugim miało jakiś związek. Gdyby wszyscy mali chłopcy karani przez rodziców

stawiali się facetami, którzy stosują przemoc w domu, coś byśmy o tym wiedzieli. Jego matka nie była alkoholiczką, nigdy nie biła ich bez powodu, nie zmieniała zasad panujących w domu. Jego matka chciała mieć autorytet, to wszystko.

To wąż w piersi, to coś, co ma się we krwi. Nie ma to nic wspólnego z przeszłością. Taki się urodził. Gdyby znał swojego ojca, może mógłby się zgodzić, że istnieje biologiczne wyjaśnienie tego stanu rzeczy. Gdy się to dzieje, chce poczuć przypływ mocy. Wyczytać w oczach drugiego respekt. Obawę. Dopóki dziewczyna nie będzie dość przerażona, facet będzie uderzał. Musi pokazać, że nie stawia już najmniejszego oporu, żeby przemoc ustała.

Zaraz po tym ataku wściekłości poczuł w środku pustkę. Patrzył na swoją żonę skuloną w kącie, miał chęć wymazać to, co się przed chwilą stało, zabrać ją na słońce przejść się i żeby poczuli się dobrze, jakby nic się nie wydarzyło. Nie padły żadne słowa przez zaciśnięte zęby, nie było ciosów pięścią, które mogłyby złamać drzwi na pół, żadnego szarpania i patrzenia jej prosto w oczy żądania, by traktowała go serio bo jeśli na jej twarzy dojrzy choć ślad oporu będzie musiał posunąć się jeszcze dalej.

Z początku to nic takiego. Dwa uderzenia pięścią i na tym koniec, potem dochodzi do pojednania. To dzieje się stopniowo. Każde musi odnaleźć swoje miejsce. Jeżeli laska stawia opór, jeżeli od razu się nie przestraszy, sprawy mogą zajść bardzo daleko. Niezbędny jest terror, druga osoba musi przywarować. Jak pies. Poczyna się do winy. Jest w środku pusty, jest złem, które naprawia się uderzeniem pięści.

Cécile to było całkowicie obce. Nie od razu trzasnęła drzwiami, bo była zakochana. Było im razem tak dobrze, gdy furiał w jego wnętrzu zachowywał spokój.

Nie znosił, kiedy płakała, osuwając się na podłogę pod ścianą. To było przeciwieństwo tego, czym naprawdę była. Radosnej, żywej, pełnej entuzjazmu i delikatnej kobiety. Jakie lubił. Był kompletnie przybity, widząc, jak zmienia się w jego towarzyszkę życia: wylęknioną, bez życia, z kącikami ust naznaczonymi goryczą. Jakby pastwienie się nad kobietami było częścią zabawy.

Cécile odżyła, od kiedy nie są razem. To widać. Ma nawet ładniejsze włosy. Już się nie boi. Nadal go kocha. Ale do niego nie wróci. On nie może się z tym pogodzić, lecz tak jest lepiej.

Po narodzinach Tonia przez rok nie podniósł na nią ręki. Wierzyli, że im się uda. Gdy to się znów zaczęło, ostrzegła go: nie przy dziecku. Ale było za późno. Przemoc była demonem, który trzymał się na uboczu, podczas gdy Patrice wyobrażał sobie, że się naprawdę zmienił. Potem demon spokojnie odzyskał swoje prawa. W niektóre wieczory Patrice ją bił. Na oczach małego. Nie miał jeszcze dwóch lat, gdy nauczył się zwijać w kłębek pod łóżkiem. Dzieciak nie płakał, na wiele dni zamykał się jak ostryga. Widok przerażonego syna, leżącego na podłodze z dłońmi na uszach, żeby niczego nie słyszeć, najlepiej uświadamiał Patrice'owi, kim naprawdę jest. Z Cécile jakaś jego część nadal wmawiała sobie głodne kawałki: że to nie było nic takiego, że dramatyzuje, by wzbudzić w nim poczucie winy, że to babskie gadanie i skutki feminizmu, kobiety nadal chcą samców, ale pozbawionych męskości... nie mówił tego głośno, ale w duchu powtarzał, że gdyby to było takie straszne, jak mówi, odeszłaby od niego. Lecz jego syn, ten roześmiany i ruchliwy berbecz zmieniony w wystraszone zwierzę, skulony pod łóżkiem, potrzebował wielu dni, żeby dojść do siebie po tego rodzaju scenie. Jakie głupoty miałby sobie wmawiać, żeby uwolnić się od tego obrazu – że mały nie jest jeszcze wystarczająco męski, że zmężnieje? W wieku dwóch lat? Nie, w wieku dwóch lat jego syn nie był jeszcze wystarczająco męski, by patrzeć, jak ojciec okłada jego matkę pięściami. Gdyby był, poszukałby karabinu i strzelił w potylicę sukinsynowi, który zgotował mu takie piekło.

Nic nie mógł zrobić, żeby to zatrzymać. Cécile żartowała z tym grubym namolnym kelnerem. Co miał zrobić? Pozwolić tej kanalii wyobrazać sobie, że na jego oczach zerznie jego żonę i nie zareagować? Cécile myślała, że kobiety mogą chichotać sobie z mężczyznami bez żadnych konsekwencji. Nie mają jaj, to widać, inaczej wiedziałyby, co myślą faceci, kiedy dowcipkują. Cécile była genialną kobietą, ale są sprawy, których kobiety nie rozumieją. Chciałyby czegoś, co jest

zwykłą utopią: przyjaźni i porozumienia z facetami. To nie istnieje. Faceci chcą się pieprzyć, jeśli chodzi im o coś innego, rozmawiają z innymi facetami. I Patrice pobił kelnera, a w domu nawiązał do tematu i pobił swoją żonę.

Zrobili sobie drugie – z uporem wierzyli, że jeśli wprowadzą do domu tyle miłości i szczęścia, wściekłość się cofnie, z poczucia przyzwoitości. Ale gniew to kurwa, która niczego się nie boi. Patrice nie skończył z tym cyrkiem. Tylko gdy była w ciąży uważał, żeby za bardzo nie okładać jej brzucha.

Któregoś dnia, gdy był w pracy, Cécile zabrała swoje rzeczy i dzieci i zwiąła. Patrice się wściekł, kiedy się dowiedział, że trafiła do ośrodka dla maltretowanych kobiet. Przecież łączyło ich coś zupełnie innego, to nie była jakaś historia przemocy w rodzinie. A potem pomyślał, że tak. To była taka sama historia jak inne. A on jest zwykłą karykaturą.

Nie cierpiał terapeutycznych grup wsparcia, nie przypomina facetów, którzy się tam spotykają. Jego ojciec nie walczył podczas wojny w Algierii, jego matka go nie porzuciła, potrafi rozmawiać ze swoją laską – ale najgorsze w tym, co mówili, były ich fałszywe zapewnienia, że wszystko zrozumieli. To było słyhać, gość, który prowadził zajęcia, był łatwowierny jak dziecko. Łykał dowolną bzdurę. Ale Patrice'owi nie tak łatwo zamydląc oczy. Wszyscy faceci, którzy tam przychodzili, byli kłamcami. Mówili to, czego od nich oczekiwano. I często byli bardzo elokwentni. Diabeł jest świetnym tancerzem, inaczej nikt nie wszedłby za nim na parkiet. Faceci siedzący wokół stołu byli tutaj stałymi bywalcami, szukali sobie wymówek i wyjaśnień, udawali, że możliwość wyrażenia własnych emocji przynosi im ulgę. Ale tak naprawdę te ścierwa szczerze wylewały łzy tylko wtedy, gdy użalały się nad własnym losem. Patrice widział, co kryje się w ich duszach.

On też założył sobie zeszytik. Za każdym razem, gdy podniósł na kogoś głos, za każdym razem, gdy złość stawała się zbyt silna, by mógł ją kontrolować, zapisywał, jak jakiś głupek, co stało się tuż przedtem, o której godzinie, i oceniał jej natężenie w skali od jednego do dziesięciu. Wyjmował ten notes codziennie. Jednak był to dla niego wstrząs: zobaczył, na własne oczy, jakim jest debilem.

Częstotliwość tych zdarzeń, w zestawieniu z błahymi przyczynami gniewu, pozwalała nakreślić jego portret, znacznie bardziej żałosny, niż mógłby się spodziewać.

Te grupy wsparcia nie miały żadnego sensu. Nigdy nie docierało się do sedna problemu: kim byłby, gdyby nie gniew? Gościem, który przymyka jadaczkę, gdy ktoś zajmuje mu miejsce na parkingu, choć czeka na nie od dziesięciu minut? Ścierką, która nie odpowiada, gdy jakiś piętnastoletni gówniarz ubliży jego lasce na ulicy? Milczącym popychadłem, kiedy kolega z pracy podrzuca mu dziesięć pieprzonych worków do posortowania, choć to nie jego zadanie? Przez cały dzień ktoś chce go oszwabić. Jak ma się zachować? Pogwizdywać pod nosem, wiedząc, że należy do klasy społecznej worków treningowych, słomianek i pisuarów? Faceci z grupy zawsze powtarzali, że nie należy wszystkiego z sobą mieszać i umieszczać na jednej płaszczyźnie polityki, emocji i codziennych frustracji. Spróbujcie to rozdzielić.

Któregoś dnia zabrał głos na spotkaniu: „Jeśli zrezygnuję z przemocy, co mi pozostanie? Nie jestem jakimś pieprzonym dentystą – powiedział to, ponieważ w ich grupie był protetyk, prawdziwy śmieć, który wszystkim się podlizywał, udając, że ma poczucie winy, a przecież było widać jak na dłoni, że to zwykła kanalia. – Nie mam wysokiej pozycji społecznej. Nie mam przed sobą zawodowej przyszłości. Jeśli zrezygnuję z przemocy, jak będę mógł poczuć, że cokolwiek znaczę? Powiedzmy to sobie wprost, kto szanuje potulnego robola?”.

Lubi bójki w barach. Lubi burdy od najmłodszych lat. Rok wcześniej, w metrze, siedział obok jakiegoś czarnego chłopaka, wąłłego, drobnego, to był jeszcze dzieciak. Gdy otworzyły się drzwi, do wagonu weszło dwóch innych małolatów, w tym samym wieku, ale dobrze zbudowanych, i od razu podskoczyli do niego, żeby mu przyłożyć i zabrać pieniądze. Dwóch byczków przeciwko temu malcowi, Patrice długo się nie zastanawiał. Chwycił ich obu, a potem po kolei każdemu przyłożył. Z odpowiednim skutkiem. Tego dnia w metrze był bohaterem – ludzie wokół niego cieszyli się, że mają pod ręką psychopatę, nikt nie zamierzał

wysyłać go na grupową terapię. Gratulowali mu. Niewiele brakowało, żeby w wagonie rozległy się gromkie oklaski. W którym momencie mógłby poczuć, że żyje, mógłby poczuć się naprawdę dobrze, gdyby się pozbył złości?

Sukinsyny z grupy wsparcia to były same fiuty, które biją swe żony, ale mało który ośmieliłby się uderzyć faceta. Patrice'owi można było zarzucić wszystko, ale na pewno nie to, że był selektywny. Mógł uderzyć każdego. To mu się podobało – nie bał się nikogo. Gdy to się zaczynało, każdy musiał ustąpić, dla niego to było bez różnicy, wolał zdechnąć, niż się komuś podłożyć.

Całe szczęście, że ten kac gigant przytrafił mu się w sobotę. Nie byłby w stanie pójść dzisiaj do roboty. Wytrzymał już cztery miesiące. Rzadko przekracza trzy. Umowa na czas określony na poczcie, roznosi listy. To cholernie ciężka robota. Żałuje wszystkich krytycznych uwag, jakie wygłosił na temat listonoszy. Zaczniemy od tego, że trudno się powstrzymać, żeby czegoś nie ukraść. A zwłaszcza ile się musi nachodzić. I jest to prawdziwy tor przeszkód, gdzie trzeba odkryć miejsca, w których ludzie umieszczają skrzynki pocztowe... Gdyby ktoś go spytał o zdanie, załatwiłby sprawę szybko – te sukinsyny mają prawo do darmowego dostarczania przesyłek, więc mogłyby przynajmniej zainstalować jednakowe, odpowiadające pewnym normom skrzynki dokładnie w tych samych miejscach. Byłoby dużo szybciej. Właśnie dlatego ludzie utracili szacunek dla urzędów publicznych: za bardzo ich rozpieszczano. Każdy powinien się upewnić, że jego skrzynka wisi w odpowiednim miejscu, że żaden zły pies nie broni do niej dostępu, każdy powinien mieć świadomość, jak bardzo jest szczęśliwy, że listonosz odwiedza go każdego ranka.

Obchód trwa długo. Starzy listonosze są przygnębieni, widząc, co stało się z państwową pocztą. Tak jak ze wszystkim innym. Uczestniczą w metodycznej destrukcji tego, co dobrze działało, i w dodatku muszą wysłuchiwać bzdur, wygłaszanych przez głupków z dyplomami szkoły handlowej, którzy im wyjaśniają, jak powinna wyglądać dystrybucja listów, choć nigdy w czasie studiów nie widzieli sortowni. Dla nich nic nigdy nie odbywa się dostatecznie szybko.

Drobny personel jest zawsze zbyt kosztowny. Rozwalić system, który działał, jak trzeba, można dosyć szybko. I mendo są zadowolone z efektów swojej pracy: trzeba im przyznać, że demolują sprawnie.

Vernon składa kanapę, umieszcza swoje rzeczy w kącie, nie zostawia niczego w łazience, składa ręcznik i spłukuje po sobie kabinę. Czuć, że facet robi, co może, by jak najmniej przeszkadzać. Pije dwie kawy, potem oznajmia, że musi się zobaczyć z kumplami, pyta, o której może wrócić. Chcesz zjeść tutaj kolację? Wypijemy aperitif, co ty na to? Pada. Jeśli nie będzie miał co robić, pójdzie do kina albo powłóczy się po centrum handlowym. Niech sobie robi, co chce, to, że tu śpi, nie znaczy, że Patrice musi się wcielić w rolę jego matki.

W sobotę Patrice lubi sprzątać mieszkanie. Ściągnął sobie wszystkie odcinki serialu *Żywe trupy*. Puszczą drugi na projektorze LCD, z każdego miejsca w domu widzi przynajmniej część ściany. Ten projektor ma dzięki Sandrine, dziewczynie, z którą pracował przy inwentaryzacji w magazynie Muji. Jej siostra była zatrudniona w jakiejś firmie informatycznej, wynosiła wideoprojektory i upłynniała je po sto euro, za jedną szóstą ich rynkowej ceny. Lubi sprzątać w sobotę, zwykle puszcza filmy w wersji oryginalnej, by nie zapomnieć języka. W dawnych czasach został magistrem anglistyki. Podobało mu się na uniwersytecie. Wykłady, kafeteria, studenckie stowarzyszenia, imprezy i egzaminy.

No proszę, kolejny przykład: w jaki sposób dostałby miejsce w akademiku, gdyby nie był bezwzględny? To dlatego, że wzbudzał postrach, uzyskał wówczas wszystko, do czego miał prawo. Gdyby nie to, zostałby podeptany, tak jak wielu innych, i dałby sobie z tym spokój. W grupie wsparcia mały pedzio, który prowadził spotkania, złościł się, gdy mu mówił, że gdyby miał kasę, nie byłby gwałtowny. I tralali tralala to nie ma nic wspólnego ze środowiskiem społecznym bo tralala tralala to nie ma nic wspólnego z pozycją jaką zajmujemy na ekonomicznej szachownicy. I to nie ma żadnego znaczenia że wykonuję pieprzoną dorywczą pracę a może mam ci przyłożyć w tę głupią zakłamaną mordę? To by nic nie zmieniło? Gdybym co rano podnosił tyłek nie musząc się zastanawiać czy

znowu wcisną mi jakiś kurewski polecony i będę musiał się gimnastykować żeby go doręczyć albo gdybym nie musiał myśleć jak to czy tamto opłacić to nie wpłynęłoby to na mój nastrój? Gdybym miał masę szmalu, martwiłbym się o wszystko? Jesteś pewien? Byłbym tak samo niespokojny? Kpisz sobie ze mnie? Gdybym przez cały dzień nie musiał trzymać gęby na kłódkę i wszystkiego sobie odmawiać bo nawet nie stać mnie na to żeby wyjechać z synami na ferie zimowe, byłbym taką samą osobą? Nie sądzę, nie. Przeciwnie, myślę że zdobyłbym się na wysiłek by nie wychodzić z auta żeby łomotać w szybę samochodu, który przed chwilą zajechał mi drogę. Zostawiłbym tego głupka w spokoju, myślałbym o nadchodzącym weekendzie, myślałbym o moim nowym garniturze, myślałbym o moim dzieciaku na korcie tenisowym, myślałbym o mojej eks na dwustu metrach kwadratowych, które jej zostawiłem, myślałbym o wynegocjowaniu korzystnej umowy. Rzadziej myślałbym o tym, żeby podrzynać gardła krezusom, którym się dobrze wiedzie, bo wszystko mi zabrali. Mnie oraz moim bliskim. Skonfiskowali wszystko.

Podczas świąt obejrzał dokumentalny film o afrykańskich zwierzętach. Oaza, wszystkie zwierzęta piją, razem. Zebry, żyrafy, strusie, hipopotamy, wszystkie bez wyjątku. Aż pojawiają się lwy, całą zgrają. Wszyscy uciekają co sił. Łotry wkroczyły na scenę. On byłby raczej wilkiem. Samotnikiem. Ale lubi uczucie, jakie to wywołuje – poczciwi ludzie chowają się po kątach, wzywają pomocy. Gdyby miał pieniądze, nie porównywałby się do zwierzęcia. Byłby kimś w swojej dziedzinie, a gdyby szukał potwierdzenia swojej wysokiej pozycji, poszedłby się polenić w barze luksusowego hotelu, którego personel by mu o tym przypomniał: miałby czas, wszelkie wygody, ludzi, którzy mu nadskakują. Był parkingowym, dawno temu w restauracji La Closerie des Lilas. Trzeba się było cackać z klientami. Patrzył na nich, zanim wsiadł do ich bryczek, w których śmierdziało pierdami, niemytymi stopami i zimnym popiołem. Odjeżdżał na parking, by nie musieli bez niczyjej pomocy dreptać przez dwieście metrów. Napiwek w zależności od dobrej woli klienta. Od największego sknery po wyjątkowo hojnego ekscentryka – najważniejsze, że zależało to od ich dobrej woli. Od tego, jak uważają, od humoru.

Od ich widzimi się. Rzecz jasna, że gotowało się w nim z nienawiści. Byłoby czymś naprawdę niezwykłym, gdyby te sukinsyny, które płacą podatki w wysokości dziesiątek tysięcy euro rocznie, mały ochotę rozwalić komuś mordę. A niech ich masują kurwy na Mauritiusie, przynajmniej wszyscy będziemy mieli święty spokój.

Nim się wykończy, chciałby zobaczyć, jak te hieny zwracają pieniądze, które ukradły ludowi. Mélenchon u władzy. W wyniku rewolucji. Chiałby ujrzyć przedmieścia w ogniu, ale nie po to, żeby zawisły tam biało-zielone sztandary, chciałby zobaczyć czarne. By jego wściekłość na coś się przydała – gdyby już jutro stanęły barykady, wybuchła wojna domowa przeciwko wyzyskiwaczom, zostałby uznany za bohatera. Starzeje się, traci siły. Lecz ma ich jeszcze sporo. Tak bardzo chciałby zobaczyć rozlew krwi. Bankierzy, prezesi, rentierzy, politycy... Kurwa, tacy faceci jak on podczas wojny to bohaterowie. To dlatego tak bardzo go wkurza, gdy zwracają mu głowę jego skłonnością do używania przemocy. Jest pewien, że gdyby doszło do takich pięknych zamieszek, nigdy nie spoliczkowałby swojej żony. Cécile byłaby żoną dzielnego wojownika. To twarda kobieta, która ma głowę na karku.

Posprzątał mieszkanie, wdzięczny Vernonowi, że się domyślił i zostawił go w spokoju w dniu wolnym od pracy. Patrząc na jego gębę przez cały wieczór, to jednak cofało go do całkiem innej epoki. Nie może wyjść z podziwu, jak ci goście ze środowiska rocka potrafią się zestarzeć, w ogóle nie przechodząc przez fazę dojrzałości. Czuć, że Vernon, tak jak wszyscy inni, nigdy w życiu nie zadał sobie żadnego pytania na żaden temat. O, dla niego takie rzeczy jak grupa wsparcia, spotkania z psychologiem i trudne relacje z dzieckiem w ogóle nie istnieją, spokojnie przeszedł sobie obok takich kwestii. Pozostał taki sam jak w wieku dwudziestu lat, jakby zestarzał się w formalinie.

Kiedy Vernon wraca, wygląda na wykończonego. Upiera się, że przyrządzi zapiekane ziemniaki, zrobił zakupy, nie wydając ani centyma za dużo. Patrice

nigdy nie pojmie tej pasji, z jaką niektórzy traktują kwestie kulinarne. Smażony stek to jedynie danie, którego poezja do niego przemawia.

– Pamiętasz Xaviera? Umówiłem się z nim na kawę po przyjeździe do Paryża. Nieźle daje sobie radę, wiesz, że nadal jest scenarzystą? Mieszkają w wielkim apartamencie w samym środku Paryża, prezent od teściów.

– Xavier był zawsze oszołomem, nie?

– Masz na myśli jego prawicowe poglądy?

– Między innymi. Ale zwłaszcza to, że to skończony idiota. Zawsze taki był, nie?

W telewizji Patrick Bruel, Garou i Raphaël śpiewają razem starą piosenkę Brela. Pod koniec numeru pojawia się Johnny, wkracza na scenę, widziany od pleców – Patrice i Vernon w tym samym momencie wybuchają śmiechem. Głos szefa, chód szefa, jego sylwetka prehistorycznego zwierzęcia, gestykulacja w stylu aroganckiej laski. Śmieją się z całego serca na powitanie tego, którego nic nie zmogło, ani potężne dawki narkotyków, ani śmieszność, ani wielki sukces. Zwierzę. Vernon kończy obierać ziemniaki, ma ruchy proletariusza, sposób, w jaki trzyma nóż, ruchy nadgarstka, skuteczność – chłopskiego syna, który przyjechał pracować do miasta. Nie chodzi tylko o jego oczy, ma wdzięk, zawsze go miał. Miło jest przebywać w jego towarzystwie. Sprawia, że wszystko wydaje się ciekawsze, łatwiejsze, on nigdy się nie skarży. Jak to się stało, że taki facet jak on nie znalazł sobie laski, która by o niego zadbała? Jak on to robi, że obrzydza im życie do tego stopnia, że od niego uciekają, a przecież są zdolne znieść wszystko, byle tylko nie musieć się pakować?

Vernon zgarnia obierki, wyrzuca je do kosza i przeciera stół gąbką. Postanowił pokazać się z dobrej strony. Patrice to docenia, sam nie byłby w stanie obrać ziemniaka, nie rujnując kuchni. Vernon popada w zadumę, wyraz jego twarzy od razu się zmienia. Mówi:

– Ostatnia laska, z którą byłem, to Brazylijka, mówiła mi o Johnnym, twierdziła, że kiedy się nie jest Francuzem, nie można zrozumieć, dlaczego tak na

nas działa.

– Trzeba z tym dorastać, żeby się przywiązać. To reguła taty. Moi synowie nigdy nie będą mnie kochali jak prawdziwego ojca, za rzadko mnie widują... Jak to się stało, że taki facet jak ty od lat żyje sam? Powinieneś mieć dzieci i tak dalej...

– Zakochuję się wyłącznie w kobietach, które bawię najwyżej przez pięć minut.

– A co z tą Brazylijką, rzuciła cię?

– Nie była taka wolna, jak mi się wydawało. To mój typ. Zajęte laski. Facetem, który ma forsy jak lodu. Nie musiała się długo zastanawiać, co podpowiada jej serce.

– Cierpisz z tego powodu?

– Tak.

– A to nie był przypadkiem jakiś transwestyta?

– Nie, transseksualistka. Superpiękna. Prawdziwa klasa.

– Żartujesz?

– Nie. Pytasz, więc odpowiadam...

– Tak, ale zapytałem o to dla zabawy, mówisz mi Brazylijka, więc pytam czy transwestyta, ale to był żart, nie pytanie, na które spodziewałem się szczerzej odpowiedzi.

– Źle cię zrozumiałem. Miał większego kutasa ode mnie. Z początku też mnie to zaskoczyło, że to mi nie przeszkadza. Nie uwierzysz, ale wniosek, do jakiego doszedłem, i ja sam jestem tym najbardziej zdziwiony, brzmi następująco: cipa nie jest nam do niczego potrzebna. Mamy to gdzieś. To nie cipa decyduje o tym, czy ktoś jest kobietą.

– Chyba że w grę wchodzi rodzenie dzieci.

– Mówię ci o miłości, nie dyskutuję na temat przedszkola.

Tym, co wytrąca Patrice'a z równowagi, jest nie tyle myśl, że Vernon mógł się zakochać w Brazylijce-Brazylijczyku, ile to, że o tym mówi. Jest czterdzieści kilometrów od Paryża, nie ma miejsca, w którym mógłby się przespać, i zamiast

pochylić głowę i udzielić wymijającej odpowiedzi, woła na cały głos: „Przespałem się z transseksualistą”. Patrice nie wie, jak się do tego odnieść. Spina się. To uczucie, że od chwili, gdy Vernon się tu zjawił, czuje się dobrze i docenia jego towarzystwo, to wszystko nabiera nagle innego sensu i wcale mu się nie podoba.

– Dlaczego mi to mówisz? Poczułem się nieswojo.

– Wcale się tego nie wstydzę. To najpiękniejsza laska, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia, najbardziej kobieca, najelegantsza, z największą klasą... Muszę ci powiedzieć, że idąc z Marcją ulicą, zrozumiałem, co czują goście, parkując wielkie porsche. Bierzymy ich za nadętych bubków tylko dlatego, że nie jeździmy porsche. A gdy jesteś takim golcem jak ja i nie stać cię nawet na szklaneczkę jacka danielsa w barze, myślisz sobie ta laska tuli się do mnie jakby ceniła mnie ponad wszystko a ja daję jej w zamian tylko miłość i seks... Przysięgam ci, czujesz się jak miliard dolarów w słońcu. Ale wiesz, nie chodzi tylko o szpan... choć wcale mi nie przeszkadza, że jestem taki płytki. Ona ma wyjątkową klasę. Oszalałem dla niej.

To zmienia ogólny nastrój. Patrice nie wie, co ma o tym myśleć. Wolałby nie wiedzieć. Jest zszokowany. Tak bardzo, że to go zaskakuje. I zastanawia. W gruncie rzeczy co go właściwie obchodzi, co Vernon robi w łóżku... Przede wszystkim nie chce wyobrazać sobie niczego zbyt konkretnego. Powracają obrazy Brazylijek, które już kiedyś wywoływały zamęt w jego głowie... To prawda, że te laski są piękne. W telewizji Rihanna śpiewa coś o diamentach. Słuchają jej w nabożnym skupieniu. Vernon nadal kroi ziemniaki w cienkie plasterki. W końcu Patrice przerywa milczenie, ostatecznie nie ma żadnego powodu, by miał się czuć nieswojo:

– Podoba mi się Rihanna, naprawdę bardzo mi się podoba. Mogłaby zaśpiewać cokolwiek, cover Carlosa i Annie Cordy, i brzmiałoby to ciekawie.

– Poniewierane kobiety mogą jej podziękować: wyjaśnij teraz jakiejś nastolatce, że nie powinna pozwalać się źle traktować, gdy ta wariatka rozpowiada na prawo i lewo, jak bardzo kocha swojego Chrisa Browna. Widziałeś zdjęcia jej twarzy po tym, jak dał jej wycisk? Jest piękna, ale chyba niespecjalnie mądra, co?

– Moja żona rzuciła mnie właśnie dlatego. Z dwójką dzieci. Biłem ją.

Wet za wet. To nie było zamierzone. Remis, kolego. Mówisz mi, że pieprzysz facetów w spódnicach, ja ci mówię, że biję żonę. Znowu zapada cisza. Patrice uświadamia sobie, że balansuje na granicy agresji i poczucia wdzięczności. Wspomina klimat w rockowym środowisku, ciągle uczucie ślizgania się po powierzchni. Tylko niedomówienia, dowcipy, a poważne rozmowy wyłącznie na temat okładek płyt. Żadnej poufałości, żadnej intymności. Nawet gdy była mowa o polityce, nikt nie próbował być szczery. Mali chłopcy odgrywający twardzieli. Wytrąciło go z równowagi, że Vernon mówi mu o swojej Brazylijce. Ale do pewnego stopnia to mu się podobało. Trzeba mieć jaja, żeby się tak obnażyć.

– Biłeś żonę? Zdradzała cię?

– Nie bije się matki swoich dzieci dlatego, że zrobiła coś złego. Bijesz ją, bo jesteś agresywny.

– Uważałeś, że robisz coś złego?

– Jedni piją, drudzy przegrywają pieniądze na czynsz, jeszcze inni zdradzają... ja biję. Wiele razy odwoziłem ją na pogotowie. Nie codziennie, rzecz jasna... to nie jest też jakieś hobby.

– Biłeś dzieci?

– Nie. Cécile mówiła, że prędzej czy później do tego dojdzie. Nie jestem pewien. Oczywiście czasem je tarosłem, w niektóre dni jesteś bardziej napięty niż w inne... ale nigdy nie straciłem panowania nad sobą. To niczego nie zmienia. Dzieciaki słyszały, co z nią robię. To było nieuniknione. Mój syn Tonio sikał w łóżko, jeszcze gdy miał pięć lat. Wcale nie musiałem chodzić z nim do specjalisty, by wiedzieć, co jest nie tak. Mój problem polega na tym, że nie mam samobójczych skłonności. Inaczej wiedziałbym, co powinienem zrobić.

Vernon uważnie słucha, układając plasterki ziemniaków w wielkim białym naczyniu. Patrice'owi nigdy nie przyszłoby do głowy, że zmieści się w piekarniku,

ale po chwili namysłu uznaje, że oczywiście tak, że to właśnie naczynie na gratin dauphinois.

- Jesteś zbyt wrażliwy. Wszyscy agresywni faceci to urodzeni wrażliwcy.
- Takie refleksje wygłaszają laski.
- Nie wiedziałeś, że zajdzie to tak daleko, co?
- A gdybym wiedział, co by to zmieniło?

Vernon ustawia temperaturę w piekarniku, wyjmuje dwa kolejne piwa z lodówki i w końcu siada przed telewizorem. Patrice dochodzi do wniosku, że w jego towarzystwie nie nudzi się tak, jak mógł się tego spodziewać. Zaczyna mu się to podobać. Po serii wielkich gwiazd TF1 lansuje młodych piosenkarzy związanych z kanałem, program traci blask. Jakaś laska śpiewa, przybierając dziwną pozę, Vernon stwierdza, że jest niepełnosprawna. Patrice dopowiada, że jest garbata, to nie jest kalectwo.

Nolwenn Leroy i Patricia Kaas śpiewają piosenkę Piaf – tym razem są zgodni, że obie mają klasę, ale wolą Patricię, czasy, kiedy śpiewała *Mon mec à moi* i gdy jednak to się im podobało, nawet jeśli wówczas nie wykrzykiwali tego na wszystkich dachach. Miała urodę kobiet, z którymi mogliby być, choć trochę subtelniejszą.

– Czyli znanych wokalistów pokazuje się teraz parami, czasem gdy widzisz jednego, od razu zmieniasz stację.

- Masz rację, mogliby pokazywać ich pojedynczo, nie należy przesadzać.

Zapiekanek skwierczy w piekarniku. Prezenter podaje odpowiedź na tak idiotyczne pytanie, że kiedy je zadaje, odnosimy wrażenie, że chce nas obrazić. W dole ekranu ukazują się nazwiska zwycięzcy. A prezenter natychmiast zmienia wyraz twarzy, zaczyna szczebiotać, wspominając nieodżałowanego, przedwcześnie zmarłego. I na kurtynie wielkiej sceny wyświetlają zdjęcie Alexa Bleacha, czarno-białe. Vernon zgina się wóół, jakby zainkasował niewidzialny cios:

- O kurwa nie.

– Ależ tak. W zbiorowej mogile dla szmat, jak wszystkie VIP-y... Widywałeś się z nim od tamtego czasu?

– Tak. A ty?

– Na początku często. Kiedy zaczęło mu się układać, bez przerwy do mnie dzwonił, jakbym był jego bratem.

– U mnie było podobnie. Ale umawiał się i nie chciało mu się przyjść na spotkanie, wkurzał mnie.

– Byłem jeszcze z Cécile. Zawsze aranżowałem nasze spotkanie tak, żeby jej nie było. Ten gość przeleciałby ci żonę w twoim własnym łóżku, gdybyś tylko zasnął, bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Ten kutas stanowił poważne zagrożenie dla każdego małżeńskiego stadła. Trzeba przyznać, że cholernie się im podobał... Na pogrzebie ktoś mówił, że laski go olewały, kiedy nie miał kasy. Ale pamiętam, że jeszcze zanim nagrał pierwszą płytę, musiałem ukrywać przed nim swoją dziewczynę, gdy się ze mną umawiał. Wracaj do domu, nie dyskutuj, masz dzisiaj wieczór przy kuchni. Z tego faceta to był niezły numer.

– Poszedłeś na pogrzeb?

– Z całą grupą. Kiedy w grę wchodzi zgon, znów jestem członkiem zespołu. Mieliśmy się reaktywować, mówił ci?

– Nie. Kiedy się z nim widziałem, był tak bardzo naćpany, że opowiadał mi tylko o jakichś dziwacznych rzeczach, nigdy o pracy. Opłacał mi czynsz przez rok. W sumie nawet dwa. Ale rzadko się spotykaliśmy...

– Twój czynsz w Quebecu?

– Przelewem, taaa.

– Żartowałem. Cieszę się, że nie czujesz się zobowiązany bez przerwy mówić mi prawdy, inaczej zacząłbym się niepokoić...

– Nie bardzo miałem chęć iść na ten pogrzeb. Za dużo ludzi. I to nie z moich sfer.

– Smętna impreza. Były VIP-y i cała masa golców, wszyscy udawali pogrążonych w żałobie, a tak naprawdę chodziło tylko o to, żeby usiąść obok

Vanessy Paradis.

– Zapiekanka jest chyba gotowa. Przyrządzić sałatę? Jesteś głodny? Dlaczego nie udało się wam reaktywować grupy?

– Dla mnie to było po prostu śmieszne, zwłaszcza że już nie słucham tego rodzaju muzyki... ale gdy usłyszałem o wysokości stawek, od razu chciałem wrócić do grania na basie. Za takie pieniądze mógłbym wykonywać piruety w stringach... I nie mówię tego po to, żeby cię podniecić. Alex powiedział tak, ale zrobiliśmy tylko jedną próbę i nigdy później nie miał dla nas czasu. Rozumiem go. Byłem zawiedziony ze względu na pieniądze, ale klimat na próbie był naprawdę wstrętny. Dan mu się podlizywał, to było żenujące. A Vince nie mógł się powstrzymać, by go nie atakować. Zbyt wkurzony, że nie jest na jego miejscu. Nikt w grupie nie umiał już grać, ale każdy chciał wejść Alexowi na głowę, nie pozwolić mu być liderem, i takie tam bla bla bla... Więcej się nie pojawił.

– Lubisz sos winegret?

Sophie nie lubi niedzielnych obiadów w restauracji ze swoją synową, synem i ich małą. Po takim spotkaniu czuje się kompletnie zdołowana. Jak zwykle ustawiają spacerówkę z dziewczynką przy stole. Ma pięć lat. Co jeszcze robi w wózku? I w dodatku z butelką kakao ze smoczkiem. Mówią jej, że czasy się zmieniły, ale przecież widzi dokoła, że inne dzieci są lepiej rozwinięte. Kiedy przy stole mała zaczyna marudzić, Marie-Ange kładzie jej dłoń na ustach, by móc dalej mówić. Nie pyta, co jej jest, nie uczy jej, że nie należy przerywać, gdy starsi rozmawiają, wyciąga rękę i ją knebluje. Xavier wie, że nie powinno się w ten sposób traktować dziecka, które umie już mówić i chodzić. Stara się unikać wzroku matki i wpatruje się w talerz. Jego ojciec także był tchórzem.

Synowa jest trochę niezrównoważona i całkowicie pozbawiona wdzięku. Jej oczy miotają błyskawice. Marie-Ange była kiedyś zakochana w Xavierze. To już przeszłość. Nawet nie próbuje ukryć znudzenia, kiedy z nim jest, ani wzgardy, gdy on się odezwie. Otrząsnęła się z czarodziejskiego snu, panienka z dobrego domu, która poślubiła przedstawiciela pospółstwa. Można się założyć, że pamięta słowa wypowiedziane przez ojca, kiedy mu oznajmiła, że zamierza wyjść za mąż, „nie ma nic gorszego dla kobiety, niż pójść do łóżka z kimś o klasę niżej”. Ten stary głupek wcale się nie krępował i powtórzył to samo w obecności matki narzeczonego. Marie-Ange nie chce zostawiać małej pod opieką babci. I tym razem Xavier nie miał odwagi powiedzieć jej tego wprost, ale Sophie zrozumiała. Pewnie zrobiła coś nie tak. Syn od czasu do czasu zostawia jej córkę, cichaczem, po południu. Wieczorem musi okłamywać żonę, mówić, że był z małą w parku. Kręci, lawiruje. Nie tylko ona odczuwa rozczarowanie, widząc, kim stał się jej syn, gdy już dorósł.

Już nigdy nie odzyska wewnętrznej równowagi. Są ludzie, którzy zapominają wszystko, to zależy od charakteru. Był ten 13 grudnia 1986 roku. A przedtem powolna agonia – dwa lata prawdziwego piekła, ale wtedy życie miało jeszcze sens. Poszukiwali rozwiązań, mogli mieć nadzieję. Że uda się z tego wyjść. Ich

starszy syn był narkomanem. Nie stracili wiary, byli u kresu sił, lecz nigdy nie załamali rąk. Dopóki Nicolas żył. Modlitwy, rośliny lecznicze, psychologia, farmakologia, sport, oddział zamknięty, bez żadnych substytutów. Znosili insynuacje terapeutów – kiedy w komórce rodzinnej jest narkoman, cała rodzina czerpie z tego profity. Nicolas nie chciał umrzeć. Wołał o pomoc i chciał z tego wyjść.

Potem 13 grudnia, policjanci w drzwiach jej mieszkania. Nie zadzwonili. Przyszli. Otworzyła drzwi i wiedziała. Był piękny słoneczny dzień, to była sobota, nie pracowała, jej mąż pojechał służbowo do Tuluzy. Wstała wcześniej i myła okna płynem z domieszką alkoholu, zaprosili rodzinę na święta Bożego Narodzenia, sprzątała mieszkanie. Starali się nie wyjeżdżać, to stało się zbyt skomplikowane. Xavier spędził noc u jednego z przyjaciół. Pozwalali mu na więcej niż starszemu bratu, kiedy był w jego wieku. Terapeuta ich ostrzegł, dla młodszego to będzie trudne, trzeba mu dać więcej luzu. I tak właśnie robili. Młodszy miał prawo spędzić noc poza domem. Xavier był jej najukochańszym dzieckiem. Oczkiem w głowie. Był miłszy, spokojniejszy. Wiedział, jak uszczęśliwić matkę. Później często wyrzucała to sobie. Bo może właśnie to o wszystkim zdecydowało. Z młodszym czuła się znacznie swobodniej.

Wiedziała, po co przyszli. Ale słowa, jedno po drugim, wbijały się w jej ciało i nie mogła nic zrobić, by nie zmieniły na zawsze biegu zdarzeń. Znalaziono ciało Nicolasa w jakimś porzuconym samochodzie. Policjanci mówili „przedawkował”, ale sekcja zwłok wykazała, że wstrzyknął sobie narkotyk zmieszany z kwasem do akumulatora. W żyłach jej synka. Kwas do akumulatora.

Kurtyna zapadła. Ich dotychczasowe życie się skończyło. Zdziwiająca była szybkość, z jaką wszystko się zawaliło. Przenikanie obrazu przez czerń tak płynne, że przez całe lata miała tę absurdalną i niezachwianą pewność, że na pewno można jakoś cofnąć ten moment, że wystarczyłoby wykonać inny gest, by wszystko pozostało takie samo jak dawniej. Magiczna myśl, od której nie mogła się już uwolnić – na pewno można w jakiś sposób wrócić do tego dnia i go zmienić.

Wystarczyło, by Nicolas kupił u kogoś innego, wystarczyło, by tego dnia zdecydowali się szukać go po całym mieście i siłą sprowadzili do domu, robili to setki razy. Ale nie zdołali ocalić go przed nim samym. Sophie nigdy nie zrozumiała, od czego się to zaczęło, przez jaką lukę nieszczęście wpełzło do ich domu. Mieli tak szczęśliwe życie rodzinne, żadnych problemów zdrowotnych czy finansowych. Dopóki dzieci były małe, to był radosny dom. Łączyła ich miłość, wzajemna troska, nie widziała niczego, co mogłoby sprawić, że pogrąży się w rozpacz. Mogła przeżuwać to w nieskończoność, przyglądać się biografom wszystkich wujów i dziadków, w ich rodzinnej historii nie było przypadków depresji ani uzależnienia... Nicolas był małym niesfornym chłopcem, niezbyt szczęśliwym w szkole, ale wysportowanym i zdolnym. Był ciekawy świata i miał otwarty umysł.

Doszła do wniosku, że to była chemia – jego chemia nie mogła się oprzeć heroinie. Wpadł w to od razu, gdy wziął po raz pierwszy. Tysiące dzieciaków wciągały kreskę, wymiotowały i natychmiast przechodziły do czegoś innego. Inne wpadały w uzależnienie i próbowały z tym skończyć, czasami to było trudne, ale poznała wielu młodych ludzi, którzy z tego wyszli, widziała, że to możliwe. Polityka, dziewczyny, studia, sport, muzyka... Dzieci innych ludzi potrafiły znaleźć sobie jakąś pasję. Nicolas miał tylko jedną: śmierć w proszku. Szare widmo heroiny wybrało jej syna. I nie miał żadnego innego życia prócz tego ze strzykawką i źrenicami, które stale trzeba obserwować. Poszarzała cera, podkrążone oczy, kłamstwa, umykający i nieprzytomny wzrok, włosy przyklejone do skroni, niewyraźny uśmiech, pościel przepalona papierosami. Życie z narkotykiem. To skończyło się dopiero po śmierci dziecka.

Xavier nazywał swojego brata Houdinim, a rodzice nie mogli powstrzymać się od uśmiechu. Mój brat to Houdini, gdy Nicolas wy dostał się z mieszkania na szóstym piętrze, nie wychodząc przez drzwi, zamknięte na klucz, i zabierając dwa złote łańcuszki, które niezwłocznie sprzedał, by zafundować sobie heroinowy strzał. Mój brat to Houdini.

Pochowano Nicolasa i obraz cierpiącego młodego człowieka zatarł się w pamięci matki. Odnalazła małego chłopca. Tak często wdającego się w bójkę, że poznała dyrektorów i dyrektorki wszystkich szkół, do których był zapisany. Lubił tradycyjne naleśniki na święto Chandeleur, stare westerny, które oglądał z ojcem, lubił wdrapywać się na szafę w swoim pokoju i wołał, że jest Gundamem, robotem z kosmosu, zbierał komiksy o Rahanie i budował pojazdy kosmiczne z wielkich pudeł. Lubił też chwycić brata za włosy i wlec na plecach przez ogródek.

Sophie żyje z tym małym chłopcem. Rozmawia z nim, codziennie wraca do przeszłości, by mu powiedzieć, że o nim nie zapomniła.

Po jego śmierci najpierw nastąpiła implozja. Postaci dramatu z początku stały jeszcze na nogach. Jak muszle wypełnione popiołem. Proces rozszczepienia następował powoli. W jej związku. W życiu Xaviera. W jej pracy. Sophie nie była w stanie patrzeć na nieszczęście malujące się na twarzach bliskich. Nie należy do tych wybrańców, których doświadczenie bólu umacnia. Nie życzyła dobrze swym bliźnim. Była zdumiona, jak niewielkim echem odbiła się w świecie jej apokalipsa, była zdumiona, że dla innych życie toczy się dalej tak, jakby nic się nie stało. Zaciskała zęby, kiedy widziała zachwycone matki z czułością patrzące na swoje pociechy, zaciskała pięść, gdy mijała szczęśliwych ludzi w supermarkecie. Pragnęła, by każdy przeszedł to, co musiała przejść jej rodzina, pragnęła, by wszyscy wiedzieli, czym jest rozpołowiony świat. Przed stratą i po. Chciałaby wierzyć w Boga, by zapytać, dlaczego właśnie oni.

Przedmioty w domu dzieliły się na dwie kategorie: te, które istniały w czasach Nicolasa, i te, które pojawiły się później. Każda wymieniona żarówka była jeszcze jedną garścią ziemi, rzuconą na trumnę jej syna. Zalewała się łzami, kiedy maszynka do kawy się psuła. Ta, której dotykał. Filiżanka stłuczona podczas mycia rozdzierała jej serce. Ta filiżanka, którą tak często płukał, gdy wypił poranną kawę.

Mąż od niej odszedł. Dramat najpierw ich złączył, jak rozległe oparzenie łączy parę syjamskich bliźniąt. Później to go przerosło. Miał odwagę przyznać. Nie mógł już tego znieść. Atmosfery w domu. Tego koszmarnego poczucia winy i starań, by

je zanegować. Wszedł w nowy związek, z kobietą niezniszczoną przez życie. Po prostu uciekł. Nigdy więcej o nim nie słyszała.

Jest pewna, że Xavier widuje się jeszcze z ojcem. Ale nie chce z nią o tym mówić. Nigdy nie doszła do siebie także po tej separacji. Nie należy do osób silnych. Wyraźnie widzi zniecierpliwienie na twarzach ludzi, których zna: czy to normalne, żeby wciąż cierpieć po tak długim czasie. Życzy im, wszystkim, by przeżyli to samo co ona.

Nie ma mowy o tym, by miała się z tego otrząsnąć. Nie zamierza. Przypuszczalnie z tego powodu Marie-Ange nie chce, by jej córka pozostawała pod opieką babci. Stara zwariowała. Nadal nosi żałobę.

Mogłaby lepiej wychować Xaviera. Czuje jego wrogość, wie, że ma poczucie winy, bo był hołubiony, i wyrzuty sumienia, że żyje, a ona nie stanęła na wysokości zadania. Nie mogła go ochronić przed chłodem, jaki potem zapanował w ich domu. Dziś jest mężczyzną. Jest zszokowana każdą zmarszczką pojawiającą się na jego twarzy. Nie mają sobie zbyt wiele do powiedzenia. Te niedzielne obiady są przykre dla wszystkich. Sophie nie trawi chińskiej kuchni. Zmyśla, że ma wizytę u dentysty, żeby szybciej wyjść. Marie-Ange, która wyobraża sobie, że kilka godzin spędzonych z rodziną to jedyna radość w życiu tej starej kobiety, dziwi się – dentysta, w niedzielę? – wysoko unosząc brew. Xavier zrozumiał. Jak zwykle robi unik. Sophie potwierdza – tak, to zaprzyjaźniony dentysta, przyjmuje mnie w dni wolne od pracy.

Nie ma najmniejszej chęci iść do ich mieszkania i patrzeć, jak mała się bawi, nie mogąc się do niej zbliżyć. Marie-Ange nie ufa swojej teściowej, uważa, że zdziwaczała i że jest szalona. Może ma rację. Gdyby pozwolono jej nawiązać kontakt z małą, by mogła poczuć odrobinę ciepła, stara kobieta zatrzymałaby dziecko. Czy stała się osobą toksyczną? Czy zawsze nią była? Czy jest odpowiedzialna za wszystko, co się stało? Czy zatrzuwa życie bliźnim? Być może.

To wyjątkowo słoneczny dzień, jakie od czasu do czasu zdarzają się w lutym. Panuje lodowaty chłód, ale światło jest piękne. Pójdzie wypić piwo do baru Rosa Bonheur. W ciągu dnia nawet panie w jej wieku mogą usiąść na tarasie i nikt się im

nie przygląda. Pod tym względem Paryż jest cudowny. Pije za dużo, pije jak alkoholicy – od rana, w niewielkich ilościach, po kryjomu. Powoli. Alkohol naznacza jej twarz. Kolejne znamię porażki. Jej syn udaje, że tego nie dostrzega. Boi się jej. Boi się, że będzie musiał słuchać, jak mówi o czymś innym niż jej prześwietlenie płuc czy prace remontowe w metrze. Tak czy owak go wkurza.

Zazwyczaj unika parków, ze względu na dzieci. To nigdy się nie zatarło. On tam jest. On zawsze tam jest. Wchodzi na ślizgawkę od dołu, jak mały czort chwytając się krawędzi, a gdy jest już na górze, kopie w splot słoneczny dzieciaka, który chciał po niej zjechać. Chłopak był postrzelony, nie można go było zostawić wśród innych dzieci, by któregoś z nich nie zmusił do płaczu. W jego oczach skrzyły się złośliwe iskierki. Matka przywoływała go, a on odwracał głowę w drugą stronę. Ileż się nabiegała. Gdyby wiedziała, cieszyłaby się z każdej jego psoty. Nicolas wciąż tu jest – przeszłość zastygła w czasie, jej dwaj synowie bawią się na ślizgawce, niepokoi się, czy nie zrobią sobie czegoś złego, czy nie wyrządzą krzywdy innym dzieciom. Odgłosy ich utarczek, ich wybuchy śmiechu istnieją na zawsze – miała w życiu swój szczęśliwy czas, jest nienaruszony. Oszalała. Przywykamy do tego łatwiej, niż można by sądzić.

Lecz tego popołudnia ma ochotę popatrzeć w Paryżu na drzewa, wypić piwo na tarasie z dala od ulicznego zgiełku. Zmusza się, żeby wejść do parku. Na pierwszej ławce widzi bezdomnego. Nie zwraca na niego uwagi. Myśli o wierszu Préverta, rozpacz siedząca na parkowej ławce. Jest uodporniona, jak wielu mieszkańców wielkich miast, przyzwyczajona do biedy innych ludzi, ale zawsze trochę zawstydzona, tak że odwraca głowę. Robi kilka kroków, nie mogąc pozbyć się tego obrazu. Biedny chłopak, jest młody, widać po nim, że nie jest na ulicy od dawna, ale widać też, że nie ma żadnego domu. Zwalnia. Zna tę twarz. Próbuje ją z czymś skojarzyć. Zna tę twarz. Waha się. To absurd. Niemożliwe. Zawraca.

– Vernon? To pan? Nie poznaje mnie pan? Jestem mamą Xaviera. Pamięta pan? Prasowałam panu koszulę z żabotami, gdy spał pan w naszym domu.

Nie powinna była się zatrzymywać. Smutek rozdzierający jej pierś jest bardziej nieznośny niż złość, jaką w sobie nagromadziła. Mój mały, malutki. Mój słodki,

mój skarbie. Biedne dziecko. On też stał się mężczyzną. Nie ośmieliłaby się go przytulić. Jakby krzywdy wyrządzone przez czas to było jeszcze za mało. Twoja drobna twarzączka. Nadal ma piękne oczy. Zapadnięte policzki. Mój maleńki. Często o tym myśli, dziś Nicolas byłby dojrzałym mężczyzną, z pomarszczoną twarzą, zmęczonym ciałem. Sophie siada obok Vernona, który odpowiada:

– Oczywiście, że panią pamiętam. Ani trochę się pani nie zmieniła.

Uśmiecha się. Zawsze był szarmancki. Nawet gdy nie miał jeszcze dwudziestu lat, miał w sobie coś z dżentelmena. Prawdziwy mały mężczyzna. Cieszyła się, że Xavier ma przyjaciela, którego przyprowadza do domu. Rodzina Vernona mieszkała na prowincji, traktowała go zatem jak swojego drugiego syna. Kiedy przychodził do nich na obiad, przynosił jej kwiaty. Dopiero po jakimś czasie Sophie zdała sobie sprawę, że to nie rodzice kazali mu przekazać jej bukiet, ale że on sam kupuje kwiaty ze swoich oszczędności. Pomagał jej uprzątnąć ze stołu i zmuszał Xaviera do zmywania naczyń. Rozweselał dom. Przyglądała się jego żrenicom, tak jak przyglądała się żrenicom wszystkich młodych ludzi, których poznawała. Lubił piwo, ale nie brał twardych narkotyków. Cieszyło ją, że ma dobry wpływ na Xaviera. Podekscytowane głosy, głośna wrzawa, dysputy i wybuchy śmiechu młodych chłopców, którzy bawili się w jego pokoju, słuchając płyt, niestrudzenie. Wszystkie dźwięki normalnego domu, w który jeszcze nie uderzył grom.

– Dosłownie przed chwilą widziałam się z Xavierem. Nadal jesteście w kontakcie?

– Oczywiście. Całkiem niedawno zajmowałem się Colette... Nie mówił pani o tym?

– Nie. Pewnie zapomniał... Suczka nie żyje, wiedział pan? Był tym bardzo przybity... Czułam się nieswojo, widząc go w takim stanie.

– To smutne. To był przemiły piesek. Przykro mi.

– Piorunujący rak. Xavier był kompletnie załamany. A co się z panem dzieje?

Nie ma najmniejszej ochoty z nią rozmawiać. Pewnie myśli, że wie, co on czuje. Kiedy jesteśmy po stronie zadżumionych, głęboka rozpadlina oddziela nas od świata ludzi oszczędzonych. Nie chcemy miłosierdzia ani empatii. W gruncie rzeczy wolelibyśmy nie mieć już żadnych kontaktów. Po obu stronach granicy słowa nie mają już tego samego znaczenia.

Ma czerwone dłonie zniszczone od zimna. Jest przygarbiony. Ubranie jest w dobrym stanie. Czyste. Nie może go tak zostawić.

– Co się z panem dzieje?

– Gorszy okres. Proszę się mną nie przejmować, naprawdę... to tylko tak wygląda... ale to przejściowe, kwestia dni...

– Chce pan pójść ze mną? Mam wolny pokój, nie będzie mi pan przeszkadzał. Skoro mówi pan, że to tylko kwestia kilku dni, tym bardziej. I przywykłam żyć sama, proszę się nie obawiać, że będę pana zanudzała rozmowami!

– To miłe z pani strony. Ale wcale nie jestem na ulicy. Wczoraj zostałem za długo w Paryżu, to dość skomplikowane... Mieszkam na dalekim przedmieściu i nie mogłem wrócić, a jutro... to długa historia. Nie będę zawracał tym pani głowy. Ale wszystko w porządku, proszę się nie przejmować moim wyglądem, w sumie wszystko gra.

Niektórzy mężczyźni, odkąd skończą piętnaście lat, już się nie zmieniają. Zna tę ich skłonność do zmyślania, wypowiedania bezwstydných kłamstw, pewnie wychodzą z założenia, że kobiety są zbyt ograniczone, by odróżnić wiarygodną informację od historii, która nie trzyma się kupy. Vernon kłamie, tak jak kłamał w wieku piętnastu lat, kiedy rano w pokoju czuć było tytoniem, a on i Xavier twierdzili, że dym wleciał z zewnątrz, i upierali się przy tym. Jeśli chodzi o zniekształcanie prawdy, Nicolas był najbardziej utalentowany w rodzinie. Xavier kłamał zawsze w sposób nieporadny.

Vernon ją okłamuje, widzi to po stanie jego butów, po zapachu, gdy się do niego zbliżyć, wielkiej torbie pod ławką, błędnym spojrzeniu, nawet wtedy gdy próbuje ją uspokoić. Jest głodny.

– Źle dziś wyglądam, ale proszę się tym nie martwić, zapewniam panią, że... Niech pani pozdrowi ode mnie Xaviera, powie mu, że jest mi naprawdę przykro z powodu Colette. Proszę się nie przejmować.

Co się musiało stać, że taki chłopak jak on znalazł się w tak bardzo trudnej sytuacji? Widząc bezdomnego, każdy myśli to mógłbym być ja, to mógłby być mój syn, ale Sophie uświadamia sobie, że tak naprawdę nigdy do końca w to nie wierzymy. Mimo wszystko sądzimy, że coś się za tym kryje, problem natury mentalnej, że jest jakieś wyjaśnienie. Choć kto jak kto, ale ona powinna, do cholery, wiedzieć, że to zwykła loteria. Nadal jest specjalistką od badania źrenic, chłopak nie ma problemów z narkotykami.

Sięga do portfela, wciska Vernonowi jedyny banknot, jaki w nim znalazła, dwadzieścia euro, zmusza go, by wziął pieniądze, a ponieważ nie chce, siłą wciska mu banknot do kieszeni. Zdecydowanym gestem, jakby był jeszcze młodym chłopcem, który wnosił trochę normalności w życie jej syna.

– Nie potrzebuję tych pieniędzy. Weź je, proszę. To niewiele, nie mam więcej przy sobie. Przestań kłamać. Chcesz pójść ze mną do restauracji? Właśnie się wybierałam... mogę cię zaprosić?

– Nie, proszę pani, to miłe z pani strony. Nie mam czasu.

– Vernon, posłuchaj mnie uważnie: jeśli chcesz zostać u mnie przez kilka dni i wolisz, by Xavier się o tym nie dowiedział, będę milczała jak grób. O nic nie będę cię wypytywała.

Widząc, że nie zdoła go przekonać, każe mu obiecać, że tu na nią zaczeka. Biegnie do banku Société Générale, który znajduje się przy wyjściu z parku, i wypłaca trzysta euro z bankomatu. To wszystko, co jej zostało do początku następnego miesiąca. Jakoś da sobie radę. Nie chce się zamartwiać wieczorem, czy Vernon jest na dworze pomimo zimna. Chciałaby znaleźć odpowiednie słowa, by go przekonać, żeby z nią poszedł, aby mogła się nim zająć. Pamięta, jak to jest – gdy próbujemy pomóc komuś, kto się od nas odwraca.

Ale już sobie wyobraża, jak uprzęta mały pokój, w którym prasuje, by się w nim rozlokował, mogliby razem znaleźć jakąś urzędową drogę. Nie boi się kolejek i zebrałaby potrzebne dokumenty. Powie mu to, pójdą tam razem. Może coś dla niego zrobić. Potrzebuje tego tak samo jak on. Na coś się przydać.

Kiedy tam wraca, na ławce nie ma nikogo. Jest zdezorientowana. Przemierza cały park, poszukując go wzrokiem. Mijani spacerowicze patrzą na nią zdumieni. Wie, że ma wygląd wariatki. Przywykła.

Siedząc na wysokości toreb i butów, Vernon musi podnieść głowę, żeby zobaczyć twarze. Kręci mu się w głowie od patrzenia na paradujące zadki. Kołyszą się bez przerwy na jego skrawku chodnika. Kiedyś mijając bezdomnego, starał się spojrzeć mu prosto w oczy, by dać mu do zrozumienia: „widzę cię jesteś tu namierzyłem cię”. Ale nie wiedział, że gdy znajdziemy się już na ziemi, mamy gdzieś to, czy przechodnie nam się przyglądają. Interesuje nas tylko, czy sięgną do kieszeni. Ich zainteresowanie nie ma żadnego znaczenia, ani nas ziębi, ani grzeje.

To trwało trzy dni, nim zdecydował się usiąść i wyciągnąć rękę. Przez cały pierwszy dzień ukrywał się w metrze. Jeździł od początku do końca linii. Przejechał je wszystkie. Przysypiał, czytał gazety, które ludzie zostawiali, wysiadając z wagonu, patrzył na mijane perony, zmieniał kierunki, słuchał muzyków. Wybierał sobie stację na chybił trafił, siadał na ławce, przepuszczał kilka składów, potem wsiadał i jechał do końcowej stacji. Udawał zwykłego pasażera. Choć nikt nie zwracał uwagi na to, co robi.

Wyszedł na powierzchnię, kiedy w wejściach do metra zamykano kraty. Był niedaleko Passy. Pierwszą noc spędził na dworze, chroniąc się za automatycznymi drzwiami bankomatu. Najdziwniej poczuł się w chwili, gdy w nocy zaczął szukać pudełek, by sobie zrobić poślanie i odizolować się od zimnego podłoża. Miał wrażenie, że odgrywa jakąś rolę. Nie do końca wierzył, że to się naprawdę dzieje. Skorzystał z okazji, widząc, że jakiś pijaczek z szesnastej dzielnicy chwije się przed drzwiami, wśliznął się za nim, udając, że czeka na swoją kolej, swobodny i godny, z trzema arkuszami tektury pod pachą. Potem położył się na podłodze, opierając głowę na torbie, czekając na świt i otwarcie metra. Koc na pewno by mu się przydał. Nie był jeszcze dobrze wyposażony. Nazajutrz o piątej rano czekał, aż otworzą metro, zdrzemnął się, jadąc linią ósmą. Wsiadł na placu Republiki, z uporem udawał faceta, który zmierza w konkretne miejsce. Siedział przez kilka godzin – czy kilka minut, czas stracił swą oczywistość – na wygodnych ławkach,

wpatrując się w mur naprzeciwko niczym stateczny pan, zajęty swoimi codziennymi sprawami. Po długotrwałej jeździe rozmaitymi wagonami metra jego ciało pokryło się osadem czarnego brudu. Musiał zaczerpnąć powietrza, wy dostał się na powierzchnię. Maszerował wytrwale, patrząc na witryny jak zwykły przechodzień. W pobliżu opery wszedł do Apple Store, żeby się rozgrzać. Sprzedawcy w niebieskich kamizelkach nie zauważyli go, wokół nich kręciło się zbyt wielu ludzi. Podeszedł do komputera, by sprawdzić na Facebooku, czy Marcia napisała do niego wiadomość. Stwierdził, że nie, i się wylogował. Spróbował przejrzeć prasę, ale nie znalazł artykułu, który by go zacieka wił, obejrzał kilka klipów, na których były dziewczęta. Potem ruszył w drogę. Doszedł na plac Pigalle, znów zszedł do metra i został tam do wieczora.

Tym razem udało mu się wejść do budynku za jakąś parą. Kiedy wchodzili po schodach, udawał, że szuka nazwiska na skrzynkach pocztowych. Zawsze trzeba dawać do zrozumienia, że mamy swoje miejsce w mieście. Wszedł na ostatnie piętro. Na dole schody były szerokie, pokryte wytartą czerwoną wykładziną, kiedy się weszło na górę, stawały się wąskie, a drewno nagie. Położył się, wypastowany parkiet wydał mu się ciepły po dwóch dniach asfaltu. Obudził go dźwięk kluczy, ktoś wychodził z mieszkania i przestąpił nad nim, bez słowa. Spodziewał się, że go wyrzucą. Nic się nie stało, znów na krótko zasnął. Znoszenie zimna stało się pracochłonnym zajęciem.

Nie czuje się smutny ani zrozpaczony. To jakiś inny nastrój, którego nie zna. Biały szum. Obraz, jaki pojawiał się na ekranie telewizora nocą, gdy był młodszy. Mgła drobnych punkcików, syczenie. Już tylko chłód wydaje mu się prawdziwy. Trzeciego dnia powędrował na piechotę w okolice cmentarza Père-Lachaise, gdzie wszedł do metra za jakąś starszą kobietą, która odwróciła głowę i zmierzyła go zabójczym spojrzeniem, kiedy przykleił się do jej pleców. Przez kilka chwil szedł za tłumem przesiadającym się z jednej linii do drugiej, potem zwolnił, z zaskoczeniem uświadomił sobie, że nogi go już nie niosą. Głód ścisnął mu żołądek. Usiadł na peronie. Może stracił świadomość, może zapadł w drzemkę. Ktoś usiadł obok niego. Młody gość z wydatnym podbródkiem, skórą pooraną

zmarszczkami i paznokciami czarnymi od brudu, który osadzał się na nich latami, przypominając tatuaż. Miał w dłoni piwo, był ubrany w długą kurtkę, czystą i w dobrym stanie. Za to buty były już wysłużone i dawno temu powinien był je zmienić.

– Masz problemy?

Vernon chciał odpowiedzieć, nie był w stanie wymówić ani słowa. Laurent podał mu swoje piwo:

– Łyknij, to pożywne. Masz niedobór cukru? Chcesz kostkę? Od dawna jesteś na ulicy? To widać z daleka.

– To chwilowe.

– Zawsze takie jest. U mnie od dziewiętnastu lat. Mam na imię Laurent, a ty?

– Vernon.

– Co to za imię? Skąd pochodzi?

Piwo wyrwało go z letargu, Vernon poczuł się trochę lepiej, ale nie na tyle dobrze, by nabrać chęci do rozmowy. Laurent nie widział żadnych przeszkód, żeby gawędzić samemu. Ton, w jakim mówił o swoich dziewiętnastu latach życia na ulicy, nie pozostawiał wątpliwości: to był powód do dumy. Miał w zanadrzu dziesiątki anegdot na ten temat. Bójki, pobyty w areszcie, podróże, zamurowane squaty... Zaczął opowiadać ze szczegółami o swoich heroicznym czynach. Vernon miał wrażenie, że zna go od zawsze – na koncertach rockowych spotyka się mnóstwo tego rodzaju gości, którzy opowiadają swoje odyseje w odcinkach. Laurent miał niewyparzoną gębę i wykrzykiwał prosto w twarz pasażerom stojącym na peronie, że wybrał wolne życie, bez harówki i wazeliny tych popieprzonych fagasów.

Wyciągnął z torby dwa piwa i zaczął wygłaszać gniewną diatribę o administracji godzinach pracy zwrocie kosztów fakturach bankach kodach pracodawcach właścicielach przymusach upokorzeniach dokumentach monitoringu... O wszystkim, co charakteryzuje system oparty na dobrowolnym zniewoleniu ludzi. Jego obecność podniosła Vernona na duchu. Laurent zrobił mu

wykład, wprowadzając go w tajniki żebraniny: „Jeśli naprawdę potrzebujesz pieniędzy, na przykład na hotel, stoisz, nie siadasz, i prosisz z uśmiechem na ustach, jeśli znasz jakiś dowcip, opowiedz go bez wahania, ludzie, do których się zwracasz, mają gówniane życie, musisz o tym pamiętać, jeżeli ich rozśmieszysz, chętnie sięgną do kieszeni, bo bez przerwy się skarżą, więc dostarczasz im rozrywki – uwielbiają nędzarzy, którzy trzymają fason”. Paplanina Laurenta dodawała mu animuszu, przez cały czas sięgał po kolejne piwa, choć Vernon nie mógł zrozumieć, skąd je właściwie bierze. Trzeba przyznać, że dość szybko się upił. Zdaniem Laurenta w Vernonie drzemie wielki potencjał. „Masz niesamowite oczy, zobaczysz, biedak z przyjemną gębą, to musi zadziałać. Znajdujesz sobie miejscówkę, przychodzisz tam co dzień, to ważne, wybierasz miejsce i przyzwyczajasz ich do swojego widoku. Choćby ze względu na ładne oczy powinieneś zbierać tyle, żeby mieć na hotel... Znajdź sobie dwie czy trzy książki, kładziesz je obok siebie i udajesz, że jesteś pogrążony w lekturze. Przepadają za tym. Bezdomny, który czyta. Albo rozwiązujesz krzyżówkę, to też lubią. Znajdziesz sobie swój teren i nieźle się obłowisz, wierz mi, głowa do góry...”

Zapadła noc, wyszli z metra i Laurent zaprowadził go na darmową zupę przy kościele Saint-Eustache, gdzie wystarał się dla niego o koc, po czym się z nim rozstał, radząc, by go odwiedzał w okolicy parku Buttes-Chaumont. „Gdybyś czegoś potrzebował, kolego, zawsze możesz mnie spytać”.

Vernon położył się w osłoniętym od wiatru wejściu do piekarni i zbudził się, tym razem w środku nocy, ze straszliwym kacem, nie mając pojęcia, gdzie można znaleźć wodę. Poszedł w stronę stacji Pyrénées i zatrzymał się na wysokości metra Goncourt, kompletnie wyczerpany. Oddychał z trudem, już od kilku dni. Usiadł w pobliżu kościoła, wyobrażając sobie, że wygląda jak trochę zawiany pracownik korporacji, który się z kimś umówił i czeka na zimnie. Potem wyciągnął rękę. To nie było do końca świadome. Po prostu wykonał ten gest, nie sądząc, również teraz, by działało się to naprawdę. Wbrew przewidywaniom Laurenta żebrzy na siedząco przyniosły lepszy efekt, niż mógłby się spodziewać, przypuszczalnie dlatego, że wciąż jeszcze wyglądał jak normalny gość, ludzie się utożsamiali. Po trzech

pierwszych godzinach miał dwadzieścia euro. Szczęście debiutanta. Sylwetki zwalniały, szperały po kieszeniach i wrzucały coś w jego otwartą dłoń. Zdarzały się dupki, które z miną dobrego Samarytanina dawały mu pięć centymów, i lekkoduchy, rzucające co najmniej dwa euro. Nie było żadnego związku między domniemaną zamożnością tego czy innego przechodnia a wysokością jałmużny. Toteż Vernon przestał interesować się ich wyglądem. Kiedy wstał, poczuł mrowienie w nogach, kupił sobie kebab i piwo i długo szukał ławki, żeby spokojnie je spożyć. Po drodze minął młodego człowieka śpiącego na chodniku z trzema wielkimi psami, mulatkę o kędzierzawych włosach, która rozmawiała sama ze sobą, zamknięta w budce telefonicznej i otoczona dziesiątką plastikowych toreb. Minął starszego mężczyznę, który na chodniku przed jakimś budynkiem słuchał tranzystorowego radia pośród takiej ilości najdziwniejszych przedmiotów, że wyglądało to tak, jakby miał mieszkanie na ulicy. Nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi na to, że tak wielu ludzi jest w jego sytuacji. Doszedł do stacji Jourdain, gdzie znów usiadł, z dala od innych bezdomnych, którzy okupowali okolice kościoła i sklepu Monoprix.

Gdy się przekroczy granicę, zgiełk nagle ustaje, wszystko toczy się gładko i w niepokojącym tempie: przeszedł na drugą stronę. Świat ludzi aktywnych wydaje mu się odległy. Gdzieś im się spieszy i wstydzą się własnego strachu, że mogą skończyć jak on, jeśli nie będą wystarczająco żwawo chodzili w kieracie. Laurent ma rację, mają gówniane życie. Niektórzy zrzędzą, kiedy go mijają. Vernon przestał zwracać na nich uwagę. Jest lekko oszołomiony. Zaczyna nawet odczuwać dziwną satysfakcję, że upadł tak nisko. Czuje instynktownie, że nie powinien ulegać tej skłonności. Do rozkoszowania się własną porażką. Na razie najbardziej przejmują go zimnem i nawet go to cieszy, że nie może się skupić na swoich własnych myślach.

Najtrudniej jest wtedy, gdy kogoś rozpoznaje. Właśnie tego doświadczył. Póki nie spotkał pani Fardin, matki Xaviera, to wszystko nie wydawało mu się do końca prawdziwe. Kiedy podeszła, żeby z nim porozmawiać, próbował stwarzać pozory, że usiadł na ławce, żeby skorzystać ze słonecznej pogody. Ale rozdarł jej serce. Bo

przecież od razu widać, co mu się przydarzyło. Kiedyś pani Fardin była jak dobra mama z opakowań jogurtów Nova – zawsze krzątała się w kuchni, szykując im coś do jedzenia, tyle że była to mama wdowa, markotna i niepokieszona. Kiedy wchodziło się do ich mieszkania, od razu wyczuwało się śmierć. Łzy dorosłych zatręły atmosferę. Pani Fardin była tak nieszczęśliwa, gdy jeszcze była młoda, że po dwudziestu latach nie widział wielkiej różnicy. Zapomniał, że chodził na obiady do mamy Xaviera, gdy mieli dwadzieścia lat. Troszczyła się o niego i Vernon zadawał sobie pytanie, czy czasami nie ma ochoty na romans. Nie mówiło się jeszcze wtedy o ryczących czterdziestkach, ale *Absolwent* naznaczył umysły młodych ludzi. Był w wieku, w którym chłopcom jeszcze się wydaje, że jeśli mężczyzna zrobi kobiecie dobrze, przywróci jej radość życia. Zanim wszedł do windy, przeglądał się w lustrze w holu budynku, w którym mieszkali, w Colombes. Przyglądał czuprynę, spoglądał na swoje zęby, prostował się, poprawiał kołnierz kurtki. I zawsze znajdował powód, by wyjść z pokoju Xaviera i szukać czegoś w kuchni, a przy okazji rzucić jakiś żart jego matce. Rozśmieszyć ją. Bardzo go lubiła. Cieszyła się, że poznała przyjaciela syna. Właśnie zaczynał pracować w Rewolwerze, pani Fardin zawsze chwaliła go za poważne podejście do życia i samodzielność. Niewiele dorosłych osób prawilo mu komplementy, lubił przebywać w jej towarzystwie i słuchać jej pochwał. Przed chwilą kusiło go, żeby z nią pójść. Lecz nie mógł znieść myśli, że tak ją rozczarował. Dość się już nacierpiała.

Vernon postanawia zrobić przerwę w zebraniu. Rozprostowuje nogi przed siedzibą CGT przy alei Secrétan. W miejscu, gdzie pracownicy centrali związkowej wychodzą na papierosa, dostrzega mnóstwo niedopałków i schyla się, żeby zebrać najdłuższe. Nagle podchodzi do niego mężczyzna i zamiast przepędzić go stąd kopniakiem, wyciąga paczkę i daje mu trzy papierosy. Vernon się uśmiecha, dziękuje, a gość puszcza do niego oko. Vernon jest nowicjuszem. Byłby przysięgł, że facet, który spontanicznie chce go poratować, wygląda na ostatniego palanta.

To przyjdzie z czasem. Laurent go uprzedził, że po miesiącu spojrzy na rzeczywistość inaczej. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Stwierdza że

zdziwieniem, że tym, co najbardziej mu dziś doskwiera, jest brak szczoteczki do zębów. Zapomniał ją zabrać z mieszkania Patrice'a. Przeszkadza mu własny nieświeży oddech. Sytuacja, w jakiej się znalazł, przypomina mu opowieści z więzienia. Bez rozmównicy i prawa do adwokata. W gęstej mgle, która od kilku dni spowalnia jego myśli, czuje, coraz bardziej, jakby wszedł w skórę innej osoby. Jedynie myśl o Marcii nadal go prześladowuje. Jest szczęściem tętniącym w jego żyłach, promiennym, bezgranicznym, a równocześnie ostrzem wbitym w środek piersi.

Pierwszego wieczoru ledwie zauważył Marcję. Dziewczęta były urocze, całe grono luksusowych cziks, tak wyluzowanych i oszołomionych, że byle spojrzeniem można by którąś wyrwać. Marcia była w tej grupie. Gdy tylko się pokazała, żeby tańczyć o świcie, podziwiał grację, z jaką porusza biodrami, sposób, w jaki eksponuje ciało, zachowując umiar. Nie wzruszyło go, że zatapia spojrzenie w jego oczach – później w nocy zaczęły wracać natrętne obrazy. Tak dobrze czuł się z głową przy głośniku, jak nieopierzony młokos, ten wieczór był gorącą kulą czułości, w której zapominał o otwartych ranach.

Dopiero nazajutrz, w środku dnia, uderzyła go uroda Marcii. Siedziała naprzeciwko przeszklonej ściany, z zamkniętymi oczami, trzymając w otwartych dłoniach filiżankę herbaty i zwracając twarz ku światłu. Czysta linia podbródka, nieskazitelny zarys warg, twarz królowej na wygnaniu. Od razu stała się ucieleśnieniem wszystkich kobiet, których dotąd nie miał. W środowisku rocka spotykał *pin-up girls*, wyuzdane burżujki, dziewczyny z filmów porno czy intelektualistki ze skłonnością do masochizmu... wnuczki Patti Smith i Madonny. Jednak te, córki J. Lo i Beyoncé, małe Rihanny, Shakiry, nie potrzebowały rocka. Bawiły się na innym podwórku. Vernon nie rozumiał, co taka dziewczyna jak ona może widzieć w takim facecie jak on. Ale w tym mieszkaniu Vernon zawsze wiedział, gdzie znajduje się Marcia, wchodził do pomieszczeń, w których akurat była, starał się zachowywać swobodnie i wydawało mu się, że ona zawsze musi podgrzać wodę, gdy on siedzi w kuchni, że szuka chustki w salonie właśnie wtedy, kiedy on tam jest. Krążyli wokół siebie, nic sobie nie mówiąc, połączyła ich napięta

niewidzialna lina. Gaëlle, świadoma tych zabiegów, wtrąciła w trakcie rozmowy: „Nie, Marcia nie urodziła się jako laska, myślałam, że zgadłeś”, i Vernon zainkasował cios. Był tak skonsternowany, że nie potrafiłby stwierdzić, co właściwie poczuł. Nigdy nie oglądał filmów porno z transami. To nie budziło jego niepokoju – to go wcale nie dotyczyło.

Na okładce albumu fotograficznego Marcia rysowała złotą kartą płatniczą szereg nieskazitelnych kresek tej samej długości, w idealnie równych odstępach. Vernon zapytał, jak jej się udaje robić tak idealnie geometryczne kreski, odparła, że po przybyciu do Francji często grała w bule, na południu, i że ma kompas w oku. Vernon ją obserwował, zadając sobie pytanie, czy przestudiowała wszystkie kobiece gesty, by je perfekcyjnie powtarzać. Głowa odchylona do tyłu tuż po ściągnięciu kreski, dłoń zanurzona we włosach, żeby je poprawić, noga założona na drugą w samym środku zdania, wszystko w niej było pociągające. Mówiła mu o kokainie zaraz po zażyciu:

– Przy każdej kresce musimy myśleć o tym, że wciągamy do nosa cały narkobiznes, kapitalizm w jego najgorszym wydaniu, wciągamy nosem ciała chłopów, których należy utrzymywać w nędzy, by nie podnieśli cen, wciągamy nosem kartele i policję, oddziały najemników, bestialstwa gwatemalskich szwadronów śmierci i prostytutkę, która się z tym wiąże... Ci goście obcinają głowy piłami tarczowymi. To pieniądze z kokainy uratowały banki, cały system służy wyłącznie do prania tych pieniędzy. Wiesz, gdzie wynaleziono ten narkotyk? W Austrii. Nie udawaj, że nie wiesz, do czego zmierzam. To jedyny narkotyk, który nie ma w sobie żadnej duchowości. Tak jak jego młodsza kuzynka, crack. Nawet MDMA przybliży cię do Boga. I tylko koka tak mocno cię wciąga i sprawia, że jesteś głupszy niż wtedy, gdy jeszcze jej nie brałeś.

Marcia ani razu nie wykonała gestu i nie zrobiła miny, które pozwalałyby myśleć – no proszę, tak nie zachowywałyby się żadna kobieta. Przeciwnie, uosabiała kobiecość z całym jej zagmatwaniem. Poszła się położyć i nie pokazała się do wieczora. Vernon zobaczył ją przy drzwiach, gotową do wyjścia, wyglądała oszałamiająco. Zdziwił się, jak wielkie zrobiła na nim wrażenie – to było uczucie

zazdrości, jak uderzenie pięścią: dla kogo chce być tak piękna? Ten jej szykowny wygląd uświadomił mu rzecz oczywistą: pragnął jej. Miał gdzieś, czy w jego życiu nastąpi przełom, przestanie być facetem, który sypia tylko z dziewczętami z prawdziwego zdarzenia. Zresztą określenie „dziewczyna z prawdziwego zdarzenia” od razu wydało mu się śmieszne: kto mógł zasługiwać na nie bardziej niż ta niewiarygodna istota?

Tego wieczoru dosyć długo rozmawiał z Kiko. Mówili o muzyce, Vernon traktował bardzo serio swą nową funkcję DJ-a w salonie, praca polegająca na zachęcaniu dziewcząt do tańca mogłaby mu odpowiadać i chyba znalazłby na to czas. W końcu wyszukiwanie dobrych kawałków, które zamieszczał na fejsie, było od dawna jego głównym zajęciem.

Kiedy nazajutrz Marcia zeszła do kuchni na obiad – miała na sobie zadziwiającą koszulę nocną z białego jedwabiu, a może to było kimono – powiedziała, patrząc na Vernona: „Ale co to właściwie za fryz?”, przeciągając dłonią po jego głowie. Wszystko, co w nim pękło, co było obolałe czy słabe, natychmiast się zatarło.

Szukali się nawzajem. Równocześnie pochylali się nad komputerem, tak by ich barki zetknęły się ze sobą, mijali się w korytarzu i musieli lekko się otrzeć o siebie, słuchali jakiegoś numeru przez jedną słuchawkę, dotykając się kolanami. A im częściej się dotykali, tym mniej pytań zadawał sobie Vernon. Wypili we dwójkę butelkę Jacka Danielsa i wtedy się pocałowali. Marcia była pełna rezerwy i wyuzdana zarazem. Miała wąskie biodra, smukłe i mocno umięśnione uda, utrzymywała równowagę w dowolnej pozycji. Gdyby nie alkohol, Vernon pewnie by się zastanawiał, czy nie staje się czasem pedałem, skoro idzie do łóżka z dziewczyną obdarzoną kutasem. Ale zbyt fascynował go tyłek Marcii – nigdy nie miał do czynienia z czymś tak doskonale erotycznym. I czuł się tak dobrze między piersiami Marcii, na brzuchu Marcii, przy pośladkach Marcii, w ustach Marcii – że to, co w jej ciele było wyjątkowe, natychmiast stało się tym, co jest w nim najlepsze. Vernon nie przypominał sobie, by tak bardzo pragnął jakiejś innej

kobiety. Kurtyna się otworzyła, wszystko, co poprzedzało Marcie, było dziecinadą, powtarzaniem w kółko. Banałem.

I szybko go ostrzegła: „Kiko nie może się dowiedzieć. Jest zazdrosny”. Urządzili sobie tę orgietkę w małym pokoiku na poddaszu hotelu naprzeciwko, który Marcia wydawała się dobrze znać. Gdy wrócili do apartamentu, Gaëlle patrzyła na nich dziwnym wzrokiem. Na wpół szyderczym, na wpół podejrzliwym. Vernon był zakochany. Zmienił się w paczkę słodkich pianek. Zapomniał, że życie bez Marcii było w ogóle możliwe. I uświadamiał sobie, mając niemal pięćdziesiąt lat, że nigdy wcześniej nie był zakochany. Miłość do Marcii była oczywistością, którą przyjmował bez chwili zawahania. Choć przez jego życie przeszedł wielki kataklizm, czuł się wyróżniony bardziej niż kiedykolwiek.

Któregoś ranka Kiko zniecka wszedł do pokoju Marcii. Vernon przyniósł jej kawę i wśliznął się pod pościel. Na razie Kiko powiedział tylko Subutex nie spodziewałem się tego po tobie jakby był zaskoczony jesteś zwykłym prostakiem i dodał a ty Marcia co wyprawiasz z tym typem nie widzisz że się ponizas. Po czym wyszedł bez słowa. Był półprzytomny – od czterech nocy spał bardzo niewiele i bardzo dużo pił. Gdy wyszedł, Marcia spanikowała. Od pięciu dni bez przerwy ze sobą gruchali ty i ja to takie cudowne uczucie nie starczy nam życia żeby się tym nacieszyć bez przerwy i w każdej chwili być z tobą rozmawiać i uprawiać miłość. Czuję, że Marcie opuszcza ten nastrój. Tak jak zamyka się drzwi. Powiedziała „do wieczora”, całując go w policzek, a Vernon nie chciał zrozumieć, co się właściwie dzieje.

Gaëlle już wiedziała, kiedy Vernon zobaczył ją w kuchni. Była na niego wkurzona, to wyglądało poważnie. Powiedział: „Dlaczego Kiko tak na to reaguje? Przecież to nie jest jego laska. Nigdy mi nie mówił, żebym się do niej nie zbliżał”, a ona odparła: „Wiesz, czasem mu odbija”. Tym tonem, który oznacza ale przy forsie jaką dysponuje chyba się nie spodziewasz że mu to wypomnę. Ważne by jego wściekłość nie skrupiła się na mnie. W sumie mówiła szczerze, naprawdę była wkurzona, ale ponieważ właśnie ona go tu sprowadziła, czuła się odpowiedzialna,

wolała, żeby się od razu spakował. Chciała, by pozostali w kontakcie, wyciągnęła czterdzieści euro, które miała w kurtce i kieszeniach džinsów. Chciała wiedzieć, czy Vernon ma coś na oku, czy ma mu czegoś poszukać. Powiedział: „Muszę pomówić o tym z Marcją”. Potem zażartował: „Nie sądziłem, że tak szybko zostanę wyeliminowany”, a Gaëlle była mu wdzięczna, że zniósł to z godnością.

Mimo to świadomość, że został wyrzucony, go oszołomiła. Tak dobrze czuł się w tym mieszkaniu. Przecież nie dotarł jeszcze do etapu, w którym byłby znużony, widząc narkotyki każdego wieczoru. Już teraz uważał, że były to jedne z najpiękniejszych dni jego życia. Tym bardziej że chętnie wcielił się w rolę DJ-a rezydenta. Powiedział: „Muszę omówić to z Marcją”, a widząc minę Gaëlle, poczuł, jak ziemia rozstępuje mu się pod stopami.

Otworzył sobie piwo, skręcił blanta i położył go przy komputerze. Innym okiem spojrzął na listę znajomych – musiał znaleźć kogoś, kto zechce go u siebie gościć wraz z Marcją. Sytuacja się komplikowała. Już w tym momencie wykluczył, by Marcia mogła go porzucić. Gaëlle się myli. Nie zrozumiała, co ich właściwie łączy. Przez cztery ostatnie dni nie było jej w domu.

Wczesnym popołudniem Kiko wtoczył się do kuchni, miotając wyzwiska. Przycisnął Vernona do ściany: „Wynocha z mojego domu nie chcę cię więcej widzieć”. Potem go odepchnął i wymierzył mu kopniaka w tyłek, żeby się pospieszył. Mieszkanie wydawało się puste, jednak Gaëlle była w domu z jakąś koleżanką. Gdy Vernon zbierał swoje nieliczne rzeczy, Kiko szalał za jego plecami, uderzał głową w drzwi, goleniami przesuwiał stół i próbował zdemolować szafę, waląc w nią obcasami. „Ruszaj się, pieprzony menelu nie wiem po co cię tu wpuściłem na samą myśl że śmiałeś jej dotknąć robi mi się niedobrze wynoś się stąd chce mi się rzygać kiedy na ciebie patrzę”.

Gaëlle znów pojawiła się w korytarzu przy drzwiach wejściowych, była smutna i trochę zaniepokojona losem Vernona – w końcu to ona go tutaj przyprowadziła. Podała mu reklamówkę, do której wrzuciła pospiesznie butelkę piwa, butelkę rumu, pendrive, na którym zapisał swoje playlisty, piankę i maszynkę do golenia oraz

nową wodę toaletową Hermes, która nie należała do niego. Vernon rzekł: „Powiesz Marcii że czekam na wiadomość od niej na Facebooku znajdę jakiś komputer”, a Gaëlle znów potrząsnęła głową: „Nie napisze do ciebie wiesz. Nie może narazić się Kiko. Ale jej powiem. Ja do ciebie napiszę, będziemy w kontakcie, co, Vernon?”.

Prosił przechodniów, by mu wskazali najbliższą bibliotekę, ale nikt nie potrafił mu pomóc, w końcu jakiś życzliwy nastolatek zerknął na swojego iPhone’a i wskazał mu drogę. Vernon wszedł na portal i stwierdził z ulgą, że Patrice zgadza się go przyjąć. Został u niego tydzień. Marcia nie odpowiedziała na żadną wiadomość. Każdy oddech kosztował go wiele wysiłku. Trudno było pić i nie płakać, nie rzucać się na sofę Patrice’a z jękiem rozpacz, zwijając się w kłębek i nie przestając szlochać. Trudno mu było zapaść w sen, ale jeszcze trudniej spać. Budził się w środku nocy i miał sekundę wytchnienia, podczas której niczego nie pamiętał. Potem to powracało. Wszystko stawało się dla niego jasne. Marcia zakpiła z niego. Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Jak można przerwać tego rodzaju historię? Najgorsze, że miała rację. Co dziewczyna miałaby robić ze starym facetem bez domu bez pieniędzy bez przyjaciół bez pracy. Patrice był wyjątkowo gościnnym gospodarzem. Nie był zbyt gadatliwy ani zbyt natrętny, lubił oglądać telewizję. Dobrze się rozumieli. Ósmego dnia Vernon zrozumiał, że powinien się zbierać. Dawny kumpel, który został bukinistą na nabrzeżach Sekwany, powiedział mu wpadnij kiedy chcesz zostawię ci klucze do mojego mieszkania, bardzo rzadko w nim bywam. Ale kiedy Vernon tam przyszedł, nie było go na nabrzeżu, jego skrzynie były zamknięte, obciążone skoblami, na których wisiały ciężkie kłódki. I tak spędził pierwszy wieczór na dworze. Nazajutrz kumpel także się nie pojawił.

I Vernon znalazł się na ulicy. Dotarł tam, dokąd od tygodni wiodła go jego ścieżka. Żałował, że ta degradacja nie prowadzi do śmierci.

Vernon siada na skrawku chodnika. Laurent polecał mu piekarnie, ponieważ ludzie płacą tam gotówką i wyciągają monety. Ale dobre miejscówki zostały już zajęte. Vernon siedzi na jakimś placu, pod murem, w końcu kobieta, która

przeprowadza dzieci przez ulicę, grzecznie go prosi: „Wie pan, to jest szkoła, wkrótce skończą się lekcje, będzie pan przeszkadzał, byłby pan tak uprzejmy przesunąć się w tamtą stronę?”. Usiadł trochę dalej, między księgarnią i kwiaciarnią, kilka metrów od sklepu ze zdrową żywnością. Wyciąga rękę, opierając ramię na kolanie, przyciskając plecy do ściany. W głowie ma natłok myśli. Swędzą go policzki, nie przywykł do zarostu. Czuje własny zapach. To nie jest nieprzyjemne. Torby, które suną przed jego nosem, nie są do siebie podobne – sakwy, wiklinowe koszyki, tornistry, małe skórzane pugilaresy, to samo dotyczy butów: znoszone tenisówki, koturny, creepersy, zamszowe kozaczki... Widzi, jak cztery pary męskich butów zbliżają się do niego, zwalniają i stają tuż obok, w półokręgu. Paraliżuje go strach, nie ośmiela się podnieść głowy. Nagle zbiera mu się na płacz.

– Dzień dobry panu, jak się pan nazywa?

– Vernon.

Powiedział to zbyt szybko. Powinien był podać swoje urzędowe imię, francuskie. Ale nie biją go od razu. Łyse czaszki, trzech studenci, którzy wyglądają jak przyrodni bracia, gęby urodzonych oprawców, i młody blondynek, drobniejszy niż tamci, o delikatnych, regularnych rysach, którego uroda kontrastuje z brzydotą pozostałych. Widziani z poziomu chodnika wydają się ogromni. To blondyn się do niego odezwał, przykuca, by być na jego wysokości, przygląda mu się uważnie:

– Jestem Julien. Wiesz, Vernon, gdybyś był Rumunem, miałbyś gdzie spać.

Julien kładzie dłoń na ramieniu Vernona. Jego trzech pomocnicy wciąż stoją, kiwają głowami, wszyscy bardzo zmartwieni, że nie jest Rumunem, bo wówczas nie musiałby siedzieć gołą dupą na chodniku. Vernon jest zlany potem. Nigdy tak bardzo się nie cieszył, że jest Francuzem, pragnie tylko tego, żeby tych czterech nazioli zadowolili jego odpowiedzi. Żeby sobie poszli. Julien wyciąga z torby paczkę herbatników i karton mleka, podaje mu i pyta:

– Masz numer do pomocy społecznej? Dzwoniłeś tam dzisiaj?

– Powiedzieli, że nie ma wolnego miejsca. Ale daję radę.

– W schroniskach siedzi za dużo małych, co? To czarni robią bajzel, nie? Ktoś cię poturbował?

Vernon powtarza sobie, że nie ma zagrożenia, ci goście to rasiści, którzy wcale nie chcą dać mu nauki przy użyciu swych pięknie wypastowanych butów. Ale jest cały rozdygotany. Siedzi na chodniku. Boi się, że to może ich zachęcić do wymierzenia mu paru kopniaków. Chce, by odeszli i pozwolili mu odetchnąć. Właśnie wtedy pojawia się jakaś ruda olbrzymka, wydaje z siebie niezrozumiałe wrzaski, wymachuje rękami, odsuwając ich na bok, i bełkoce:

– Wypad stąd, łyse fiuty, ale już, odwalcie się od niego, nie widzicie, że się was boi, cholerni obesrańcy?

Odpycha ich pięściami. Jest zaciętrzewiona. I po raz drugi Vernon zadaje sobie pytanie dlaczego on, Boże, dlaczego właśnie on. Bo to skończy się źle nie tylko dla niej, przy okazji on też oberwie.

– Wszystkich wkurzacie swoimi głupotami, zjeżdżajcie stąd. I powiedzcie waszym puszczałskim mamusiom, że lepiej by zrobiły, gdyby sobie zaszyły, zamiast wydawać na świat takie śmieci jak wy. Pieprzone radioaktywne odpadki, banda cholernych degeneratów.

Vernon myśli o kobiecie ze starych stufrankowych banknotów, tej na wpół nagiej, która trzyma sztandar i wydaje się o cztery głowy wyższa od facetów biegnących za nią na barykady. Ruda ma na sobie długą parkę khaki, trochę za małą jak dla niej, i wielkie trampki fluo, nowe, zielono-żółte. Vernon nie zamierza krytykować jej looku. Ani wdawać się w dyskusję z czterema zbirami, których obsztorcowuje. Kobieta chyba nie dałaby rady tym czterem wyrostkom, ale na razie robi na nich wrażenie. Trzeba przyznać, że jest okazałej postury.

Młodzi są zaskoczeni – czego chce od nich ta wariatka? Jeden z nich wzrusza ramionami, chichocze i odwraca się, dając do zrozumienia, że sobie odpuszcza. Olbrzymka wymierza mu kopniaka w plecy, z całych sił, chłopak potyka się i ląduje na czworakach. Ładny blondynek rzuca się na furiatkę, ale jest tak wąły, że wygląda jak małopka wskakująca na palmę. Siłaczka odrzuca napastnika jednym

uderzeniem łokcia. Vernon nie wyobrażał sobie, że na tak długo zapanuje nad sytuacją. Czterej młodzi zwierają szyki, żeby udzielić jej lekcji, ale raz jeszcze ich zaskakuje, uderzając się pięściami w pierś i wrzeszcząc ile sił w płucach. Nie wiadomo, czy naśladuje człowieka z blizną, czy Tarzana, ale ten pokaz wprawia w osłupienie jej przeciwników. Trudno powiedzieć, co ich powstrzymuje – strach zdumienie odraza respekt przed tą nieprawdopodobną eksplozją energii... zaalarmowała całą okolicę, kilka osób zwolniło, by sprawdzić, co się dzieje.

Toteż chłopcy rzucają sobie ukradkiem porozumiewawcze spojrzenia, blondyn spluwa na ziemię: „Chodźmy to szajbuska zostawmy to powinni zamknąć ją w wariatkowie”. Odchodzą z podniesionymi głowami i zanim skręca na rogu ulicy, odwracają się, śmieją, wykonują charakterystyczny gest, chwytając się dłonią za biceps i zginając łokieć, z daleka, jeden stuka się palcem w skroń, by dać do zrozumienia, jaką postawił diagnozę. Vernon patrzy, jak znikają za węglem, dochodzi do wniosku, że to nie było zbyt miłe z ich strony, że nie zaproponowali mu, by z nimi poszedł, w sumie czułby się znacznie bezpieczniej w towarzystwie faszoli niż z tą „postrzeloną”.

Olbrzymka, ciężko dysząc, siada obok niego. Ma bardzo cienkie włosy w odcieniu pomarańczoworudym, to pewnie pozostałości po koloryzacji, jej twarz jest okrągła i płaska, ma bardzo szeroko rozstawione oczy, coś w jej facjacie przywołuje na myśl dzieci z zespołem Downa. Nie sposób określić jej wieku.

– Trzeba by pozabijać tych głupków. Jednego po drugim, trzeba ich pozarzynać. To staje się nieznośne. Kurwa, jesteśmy w końcu w Belleville, skąd tutaj te śmieci? Wszędzie się panoszą. W zeszłym tygodniu poturbowali dwóch wyrostków obrabiających portfele. Kręcą się koło Czerwonego Krzyża i zaczepiają czarnych, którzy tam przychodzą. A co ich to obchodzi? To ich sprawa? Czy te cholerne dupki śpią na dworze? Za kogo nas uważają? Za gówno, oto odpowiedź. Ponieważ jesteśmy wykluczeni z systemu, myślą, że mogą tu przychodzić i narzucać nam swoje prawa. Ale trafili na prawdziwych twardzieli, nie? Jeśli my nie skopimy im tyłków, kto to zrobi, hę? No kto?

Powtarza ostatnie zdanie, poruszając wskazującym palcem, jakby wygłaszała kazanie. Vernon mówi sobie: proszę, brakowało mi towarzystwa i mam towarzystwo. Modlitwy zawsze zostają wysłuchane. Kobieta wstaje, oznajmiając kategorycznym tonem:

– To nie jest dobre miejsce. Chodź, siądziemy koło Franpixa. To mój punkt.

Jest to raczej rozkaz niż propozycja i Vernon się dostosowuje, nie próbując wdawać się z nią w jakiegokolwiek dyskusje.

– Nigdy cię nie widziałam, pierwszy raz tu jesteś, co?

– Jakiś czas temu zostałem eksmitowany, ale pomieszkiwałem trochę u znajomych. Do zeszłego tygodnia.

– Do zeszłego tygodnia? Facet, jesteś zupełnym nowicjuszem. Tak sobie myślałam, że jeszcze czuć cię mydłem.

Siada przed supermarketem i zaczepia pierwszego przechodnia, który wchodzi do środka:

– Proszę pana, proszę pana, kupi mi pan coca-cole?

I dodaje, dotykając brzucha: „To dla dziecka”, potem zwraca się do Vernona: „A ty co chcesz?”, i woła do jegomościa, który odwraca głowę, nim popchnie drzwi do sklepu, i przyjmuje zamówienie z rozbawioną miną: „Poproszę jeszcze o piwo dla przyjaciela”.

– Jesteś w ciąży?

– Co za koszmar, nie. Ale to podoba się mojej publiczności. Jestem głodna, nie jadłam jeszcze śniadania.

Woła do jakiejś elegantki, której wyraźnie się spieszy: „Dzień dobry pani, weź mi chipsy, proszę. To dla dziecka”. Gdy zwraca się do nieznanym, staje się słodka i infantylna. Vernon zauważa, że jej głos, kiedy się uspokaja, ma zachrypniętą, ale bardzo przyjemną barwę. Uśmiecha się do przechodniów, przybierając niewinną minę i pocierając brzuch, ma twarz klauna, krągłą jak księżyc w pełni.

– I są tacy, którzy przynoszą to, o co ich prosisz?

– Często. To ich niewiele kosztuje, przynieść mi coś do jedzenia, proszę ich o orzeszki chipsy albo colę... czasem o czekoladę... Wielu zdążyłam już poznać: przychodzę tu codziennie, przywykli do tego, że coś mi kupują. Są zadowoleni, że mogą oddać przysługę. W końcu to jednak ludzie, wiesz.

Robi pauzę. Przechodzi młody człowiek, niosąc dziecko na brzuchu, towarzyska Vernona przechyla głowę na bok: „Uwielbiam tatusiów, to taki miły widok, tata ze swym maleństwem”, potem zwraca się do przechodnia: „Och, proszę pana, kupisz mi czekoladę? To dla dziecka”.

Inny mężczyzna, wychodząc, podaje jej colę i piwo, kobieta uśmiecha się do niego i przekazuje puszkę Vernonowi.

– Powiedz mi, jeśli masz ochotę na coś konkretnego, to ich o to poproszę.

Słone orzeszki i gorzka czekolada to ulubiona kombinacja Olgi. Wystrzega się alkoholu. Gdyby jej koledzy nie byli stale pijani, prezentowaliby się znacznie lepiej. Może nawet dałoby się z nich zrobić porządnym rewolucjonistów. Ale ci gamonie chleją, dopóki stoją na nogach. Rozmawiasz z kimś i nagle zalatuje sikami, facet zlał się w spodnie. Albo odwraca głowę w twoją stronę, patrzy szklistym wzrokiem, jakby ci chciał coś powiedzieć, i wymiotuje na ciebie. Nie trzeba mieć obsesji na punkcie higieny, żeby poczuć odrazę. Tak czy owak, kiedy zapadnie noc, kohabitacja staje się niemożliwa, ten chrapie, tamten chce się bić, a bywa jeszcze gorzej. Trzeba uważać na to, co im przychodzi do głowy, rzekomo dlatego, że się ubzdryngolili. Pieprzą cię jak kozę, potem twierdzą, że niczego nie pamiętają. Jeśli któremuś dasz wycisk, zaczyna się skarżyć, zmawia się z innymi i zarzucają ci kłamstwo. Faceci trzymają ze sobą sztamę. Właśnie dlatego Olga lubi nowych, mają jeszcze jakieś zasady. Ten jest przystojny, bardzo wysoki, bardzo szczupły, zawsze podobali jej się tacy chłopcy. Ma jeszcze białe dłonie, w nienaruszonym stanie. Wkrótce się zniszczą. Na dworze wszystko się niszczy.

Dostrzegła go dzień wcześniej, kiedy rozmawiał z Georges'em, jednym z pijaczków spod kościoła. Nie jest z nim w dobrych stosunkach, trzymała się na dystans. Z początku wydaje się, że Georges to bezproblemowy facet, ale dość szybko ujawnia swój prawdziwy charakter: to tyran i manipulator. Kiedy nie zrobi się czegoś tak, jak chce, wpada w prawdziwy szał, już nieraz jej przyłożył, a choć ma swoje lata, jest sprytny i silny jak szakal.

Gdy tego ranka zobaczyła, że nowego osaczyło kilka łysych pał, postanowiła tam pójść. Chce, by został jej przyjacielem. Teraz dzieli się z nim jedzeniem. Je z apetytem, przyjemnie na to popatrzeć. Może wyjaśnić mu wiele spraw, pokazać, gdzie są prysznice i w które dni warto pójść do pomocy społecznej po dobre ciuchy, może mu polecić lepsze schroniska. Nie ma psa, to prostsze. Lubi zajmować się innymi ludźmi. Gdy na to przyzwalają. Próbuje go rozśmieszyć.

Właśnie tak zdobywa nowych kumpli. Rozśmiesza ich i słucha. Gdy była młodsza, rozmawiała z lekarzem, który poradził jej, by mniej piła, powiedział, że się nie szanuje, że jest jak kubeł na cudze zwierzenia. Tylko lekarz może być tak głupi, żeby gardzić empatią. Prosi przechodzącego chłopaka, by przyniósł im paczkę curry, ten jej odburkuje: „Mogłabyś pójść do jakiejś roboty, locho”. Przybiera groźny ton i rzuca na niego urok: „Przez sześć lat będziesz płacił za te słowa”, wie, że tego nie lubią, nie są pewni, czy nie jest czasami Cyganką, może czarownicą. Vernon chichocze. Lubi jego imię. Chciałaby, żeby przez cały czas włączyli się razem. Byliby ekipą. Już od dawna nikt nie chce z nią chodzić. Dodaje:

– Tak to właśnie wygląda... Oni wszyscy służą wielkiemu kapitałowi i dziwią się, że nie chcemy dołączyć do owczego pędu. Wystarczy popatrzeć choćby w tej dzielnicy, gdy likwidują sklep, to znaczy, że zaraz w tym samym miejscu pojawi się bank. Albo salon optyczny, nigdy nie mogłam pojąć, dlaczego jest ich tak dużo. Mój ojciec był komunistą. Więc kiedy czytam gazety, rozumiem, co tak naprawdę chcą przekazać ludziom: chwała wielkiemu kapitałowi. Biada tym, którzy się całkowicie nie podporządkują. To dzisiaj niepodważalny dogmat. Genialny ten ich wynalazek: zadłużenie... Tak samo jak kurwy bez papierów, będą tyrali przez całe życie, żeby spłacić to, co są winni od chwili narodzin. Bez obaw, harują jak dzikie osły... Wiesz, dlaczego jeszcze nas tolerują w mieście? Pozabierali ławki, witryny sklepów projektują tak, by mieć pewność, że nigdzie nie da się usiąść, ale jeszcze nas nie zgarniają i nie umieszczają w obozach, nie dlatego że to byłoby za drogie, nie... Tylko dlatego że jesteśmy sygnałem ostrzegawczym. Ludzie muszą nas widzieć, by pamiętać, że mają być posłuszni. Ja też pracowałam, całe dziesięć lat. Wywoływałam zdjęcia w zakładzie fotograficznym. Przez cały dzień nad kuwetami, w małych rękawiczkach ochronnych, dostałam od tego egzemy. Powiedzieli, że to nie ma nic wspólnego z odczynnikami, i zwolnili mnie. Niczego nie żałuję. Miałam gówniane życie. Cała moja pensja szła na czynsz i samochód, patrzyłam na cenę każdego produktu, który wkładałam do wózka. Oni wszyscy mnie śmieją. Dzisiejsi marksiści śmieją mnie tak samo jak cała reszta: robotnik

i jego fabryka, stworzyć miejsca pracy i cała ta gadka szmatka... A ja po prostu już nie chcę pracować.

– Ale twój ojciec był przecież komunistą?

– Tak. Jestem córką boga Zeusa. Gdybyś znał mojego tatę... ho, ho! Zgoda, możemy chwilę o nim pomówić. Kiedy się wściekł, cała ziemia drżała. To nie był jakiś żalosny domowy tyran, który wrzeszczy na głupią żonę i napędza jej strachu. Mówię ci o gniewie sprawiedliwego. Kiedy w dzieciństwie wychodziłam z ojcem do miasta, wszędzie musiał zaprowadzić porządek. Rzadko robił zakupy, ale gdy to się zdarzyło... Widziałam, jak każe ludziom wyjść z supermarketu, nie płacąc przy kasie, bo w sobotę w sklepie było za mało personelu, zabierało mu to pięć minut, i wszyscy byli po jego stronie, ochroniarze, kasjerki, klienci, wszyscy stali z zaciśniętymi pięściami. Widziałam, jak wrywał barierki na parkingu, bo zbyt długo trzeba było przed nimi czekać. Longwy, mogę ci opowiedzieć o stalowni w Longwy. Wystarczyło, że mój ojciec wydarł gębę i cała fabryka stawała. Rzucił się na policjantów z CRS, chciał, by stworzyli wspólny front. Wiedział, że inni źle opłacani goście nie są prawdziwym wrogiem. Gdzie tylko się pojawił, zaprowadzał terror. Złość mojego ojca, to trzeba było zobaczyć, mówię ci... A kobiety... O nie, to nie był jakiś mydłek, salonowy fircyk, który się wije jak piskorz, żeby uwieść flądre, ale gdy tylko się pojawił, kobitki otaczały go kręgiem, mdlały na jego widok. Biedak nic nie mógł na to poradzić. Taki miał charakter. A kiedy masz takiego ojca, mówię ci, śmiejesz się w duchu, gdy ci mówią, że inni tatusiowie „to także mężczyźni”. Myślisz sobie, przecież to coś, co nazywasz ojcem, tylko słucha rozkazów... asekuranci, tchórze, niedołągi ciepłe kluchy ofermy... tacy są zwykle mężczyźni. Ale mój ojciec, tak, patrząc na niego, wiedziałeś, co znaczy chłop na schwał. Popatrz na żony tych ofiar – bez przerwy się skarżą, nie wybrały, czego im było trzeba, to widać gołym okiem. Biedaczki w wieku dwudziestu lat wychodzą za kretyna, który wydaje się całkiem w porządku, a po dwóch bachorach widzą, że usługują niezgule. Nie poślubiły mężczyzny, tylko zwykłą ścierkę. Ten facet jest jak slogan z reklamy canada dry, którą widziały w dzieciństwie – „To przypomina piwo, to jest złociste jak piwo... ale to nie jest piwo” – wydziera się jak facet,

śmierdzi jak facet, ale potrafi tylko słuchać i wypełniać polecenia. Są wściekłe. Dlatego wychowują małych nazioli, takich jak ci, którzy tu byli przed chwilą. Wszystko to dzieci wychowywane bez ojca. Dorastali, patrząc, jak ich niedopieczzone matki przez cały dzień narzekają – to rozdarło im serca. Normalna rzecz. I zaczynają sobie wyobrażać, jak mógłby wyglądać facet, który potrafi zaspokoić kobietę. Ale to próżny trud, nie znajdą na to recepty w internecie. To kwestia genów. Gdybyś znał moją matkę: rozpromieniona, zadbana, kwitnąca, zawsze zadowolona. Gdy są zerżnięte jak trzeba, to zmienia postać rzeczy, naprawdę. Wszędzie masz teraz chłystków wychowanych bez ojca, robionych miękkim fiutem i urodzonych przez nieużywaną cipę. I stale rozgląda się toto za przybranym tatą, zaczyna szlochać, gdy tylko zobaczy brodę, i pozwala się usynowić rozmaitym loserom... Biedactwa, nie wiedzą, co to męskość. Powielają to samo gównno, zapładniają jakieś żalosne laski, nie mogąc ich zadowolić, a te z kolei wydają na świat głupków, którzy nie wiedzą, jak stoi się na dwóch nogach. Miękki kutas w zarośniętej pajęczyną broszce, zapamiętaj me słowa: oto współczesny problem... naród sfrustrowanych fagasów. I niby co mamy zrobić?

– A czy twój ojciec nie mógłby ci pomóc?

– Nie. Ożenił się ponownie. Jego laska ma już dzieciaki. Jestem zbędna. Nie pasuję do jego nowego życia, przysparzam mu tylko kłopotów...

– Nie brakuje ci go?

– Nie tak bardzo jak mojego psa. Atylla. Mój Atylla, ukradli mi go trzy miesiące temu. Gdybyś go widział, to było istne cudo, moje kochanie, mój pluszowy miś. Amstaf, zbudowany jak ciężarówka, prawdziwa piękność... a te skurwysyny mi go ukradły. Nic złego nie zrobił, coś ty... Widzisz, jak traktują ludzi, i zrobią wszystko, żeby ci ukraść psa, bez obaw, zwłaszcza bezdomnym... Czasem próbują je adoptować. Ale Atylli się bali. Śpimy w parku, wiesz. Na wzgórzu Buttes-Chaumont.

– Znasz Laurenta?

– Wszyscy znają Laurenta. Nie bardzo się lubimy. Kiedy wypije, robi się męczący jak jakiś stary kombatant, mówi, jaki jest dumny i prawy, i co tam jeszcze... Daj spokój, śpimy na dworze, nie będziemy urządzali konkursów pod hasłem, kto ma więcej zalet. Ale śpimy w tym samym miejscu, tak, należymy do tej samej bandy, my nie robimy tego wbrew sobie. Cieszymy się, że nie musimy pracować. Burzuje są wściekli, bo jesteśmy zbyt inteligentni. Dobrze o tym wiedzą. To dlatego chcą nas pozabijać. Kiedy będziemy głodni, zniekształceni przez guzy i będziemy musieli mordować, żeby jeść, wtedy popatrzą na nas i powiedzą: widzicie, jednak my, bogacze, mamy więcej klasy.

– Nigdy nie masz dość życia na ulicy?

– Nie. Brakuje mi tylko psa. O tak. Atylla. Spał ze mną, był moim kumplem, miał przyjemny zapach, psy się od nas różnią, myją się i pod koniec dnia pachną jak fabryka ciastek. Któregoś ranka wyszedł na spacer, a ja się nie obudziłam, dlatego nie lubię sikacza, gdybym wieczorem nie piła, poczułabym, że wstaje. Biega sobie, a te skurwysyny żandarmi i hycel polują na niego. Strażnicy parku go znali, mówili, żebym go przywiązała i tyle... Pies spanikował, to logiczne, pokazał zęby – jasne, zły pies, od razu trzeba go zabić. Miał wszczepiony chip i tak dalej, ale nie miałam żadnego papieru, żeby go odzyskać, zanim się tym zajęłam, zabili mi Atyllę. Ten pies to było wszystko, co miałam. Zły pies... Gadanie. Jacyś nieznajomi ludzie rzucają się na ciebie, by cię odebrać twej pani, to się bronisz, normalne. I wtedy mówią, że jest agresywny. Nie. Psy i ludzi traktują dokładnie w ten sam sposób: przeprowadzają selekcję, wszystkich, którzy próbują się bronić, należy usunąć. Nigdy nie wolno się bronić, trzeba się dać wyruchać. Dziewięć lat, byłam z nim dziewięć lat. Wyobrażasz sobie pustkę, jaką teraz odczuwam? Brakuje mi Atylli. I muzyki.

– A co lubisz?

– Uwielbiam Adele. Zawsze lubię posłuchać piosenki z Jamesa Bonda.

– Kiedyś sprzedawałam płyty. Dawno temu.

– Tak? Winyle i fotograficzne klisze – jesteśmy rozbitkami z zatopionych gałęzi przemysłu.

Ma chęć wsunąć dłoń pod jego ramię, tylko go dotknąć, jakby był jej najlepszym kumplem.

Xavier trzeci raz z rzędu dał się ograć w zynga pokera. Przez jakiegoś tłuca, który się zastanawiał, czy podbijać stawkę, mimo że miał karekę, kiedy on licytował, mając tylko dwie pary. Bywają takie dni. Nie powinien tracić tak dużo czasu na grę. To nie służy jego pracy. Awatary innych graczy są tak obrzydliwe, że aż fascynujące – sportowe samochody, broń palna, dupek w szortach na jachcie, pies obronny, piękne laski, które ten czy ów próbuje podrywać, jakby zamieściły swoje własne zdjęcia, i fotografie dzieci.

Kiedy nie skupia się na idiotycznych grach, pracuje nad projektem filmu biograficznego o Drieu la Rochelle'u. Widzi w tej roli Magimela. Albo małego blondynka Vincenta Rottiers'a, jeśli miałby być młodszy. Podobają mu się jego oczy. Bardzo pasowałyby do tej roli. Wie, że to dobry pomysł i odpowiedni moment. Kiedy był młodszy, śmiał się, gdy ktoś mówił o strachu przed białą kartką i twórczej blokadzie. A teraz to odczuwa. Tkwi w miejscu jak jakiś dupek i wierci się na krześle. Musi się pospieszyć, zanim jakiś zaangażowany politycznie reżyser nie podbierze mu pomysłu. Teraz nie trzeba już ukrywać sympatii do skrajnej prawicy i reżyserzy z lewicy bardzo szybko przestaną kręcić nosem na idoli z zupełnie innej bajki. To tylko kwestia dotacji – jeśli są jakieś pieniądze do wzięcia, zlecą się całym stadem. Musi się pospieszyć. Ale sam fakt, że ma dobry pomysł, napawa go lękiem.

Histeria matki go przygnębiła. Na ogół ich kontakty są bardzo powierzchowne, ich rozmowy zawsze cechowała nieszczerłość. Boi się jej wybuchów, wie, jak zgubne skutki może wywołać prawda. Wolą zdawkowe słowa, by oddalić wszelkie tematy, które mogłyby zaognić sytuację. Ich dyskusja to ustalanie godziny i miejsca spotkania, daty, kwot i podkreślanie różnic pokoleniowych. Całej reszty starają się unikać. Gdy jego matka zadzwoniła, by mu powiedzieć, że widziała Vernona, była wstrząśnięta. Xavier obiecał, że przejdzie się po parku. Powiedziała, że nie może spać. Już wcześniej mu wspominała, że wspólnocie mieszkaniowej w jej domu

udało się usunąć dwie ławki stojące naprzeciwko bramy, bo rozlokowali się na nich kloszardzi. Współwłaściciele mówili, że to obniża cenę wynajmu mieszkań. Jej złość jest uzasadniona: ta dzielnica jest doprawdy tak bardzo elegancka, że dwóch kloszardów na pewno zaszkodzi jej renomie. Raczej należałoby im podziękować, że zechcieli się ulokować w tak nieciekawym miejscu. Pokłóciła się o te dwie ławki z całą wspólnotą, wyjaśniono jej, że konsjerżka musi wykonywać całą brudną robotę, to przecież nie jej rola kazać im się przesunąć, by zmyć siki spod ławek, przecież nie musi stale zwracać im uwagi, by nie rozrzucali na chodniku śmieci z pojemników. Xavier już czwarty raz słucha tej historii, nie mówiąc matce szczerze, że podoba mu się pomysł usunięcia ławek. Te ławki, zamiast lumpów, mogłaby okupować jakaś młodociana hałastra. Nie chce sobie wyobrazić, że jego matka spotyka chuliganów rano i wieczorem, kiedy wychodzi z domu. Każdy ma to, na co zasłużył, mamó. Ale ta sprawa nie daje jej spokoju – dostaje szału, gdy pomyśli, że odbiera się najuboższymi jedyne miejsce, w którym mogą się rozlokować, pod pretekstem, że utrudnia to życie dozorczyń. Politycznie, tak jak w wielu innych dziedzinach, jego matka zatrzymała się w latach osiemdziesiątych.

A teraz go denerwuje, że tak bardzo przejęła się Subutexem. Zawsze ta sama historia. Wystarczy, że ktoś odjedzie na całego, a jego matka zamienia się w troskliwą pielęgniarzkę. Xavier wolał nie mówić, że jej mały Vernon okradł mieszkanie przyjaciółki, która go gościła. Sylvie nigdy nie była miła dla Xaviera, to pieprzona burżujka o lewackich poglądach, która nigdy nie pracowała, dawna *groupie*, której nie udało się wydorośleć, za to bardzo chętnie wymądrza się na dowolny temat. Ale jednak. Są pewne granice. Nigdy nie znosił gości, którzy nie dotrzymują słowa. Xavier jest pewien, że jeśli pewnego dnia znajdzie się na ulicy, nie stanie się śmieciem. Stajemy się tylko tym, czym bardzo chcemy zostać.

Niemniej to go urządza, że ma jakieś wieści na temat Subutexa. Laska, która go szuka, powiedziała wyraźnie: ten, kto pomoże jej dorwać ancymonka, na pewno nie pożałuje. Dziewczyna już nie najmłodsza, ale ma dość klasy, by jej nie mówić spadaj, o niczym nie mam pojęcia. Przedstawiła się jako „Hiena”. Takie przydomki nadają nam, gdy mamy dwadzieścia lat, a później jest z tym kłopot. Powiedziała, że

pracuje dla jakiegoś producenta, nie chciała podać szczegółów, ale wyglądała na osobę poważną. Po pierwsze, to nie była jakaś głupia dziwka. Byle pinda, która się rozwodzi na temat godności kobiet i chodzi z gołym tyłkiem, dziwiąc się, że facet myśli tylko o tym, żeby ją przelecieć. To była dama. Słyszała o wywiadzie Alexa. Xavier nie mógł zrozumieć, w jaki sposób zdołała do niego dotrzeć. Szacunek.

Hiena zostawiła mu swój numer telefonu, by się z nią skontaktował, jeśli się czegoś dowie. Dał jej do zrozumienia, że z chęcią popracowałby nad pośmiertnym portretem Alexa i że jeśli namierzy Vernona, od razu da jej znać. Tak naprawdę niezbyt chętnie podpisałby się pod filmem o tym croonerze dla leciwych fanek, ale trzeba coś jeść.

Alex Bleach, kurwa, jakby jeszcze nie dość się o nim mówiło. Alexa wypytywano o wszystko: od anomalii klimatycznych po menopauzę Tiny Turner, chciano poznać jego opinię. A on nie miał dosłownie nic do powiedzenia. Albo mówił to samo, co powiedziałyby jego sąsiad. Nie było obaw, że straci robotę, twierdząc, że jest przeciwko rasizmowi, broni nuklearnej, gwałtom, śmiertelnym wypadkom drogowym, zachorowaniom na raka oraz alzheimera. Raczej nie mógł wywołać burzliwej reakcji, a kiedy mu to mówiono, odpowiadał niezmiennie: „Moja praca nie polega na udzielaniu wywiadów”. Niby że para się tylko muzyką. Bzdety. W każdym razie był przystojniakiem i prezentował się na scenie nie najgorzej. Jeżeli kiedyś Vernon przekaże mu te taśmy – a Xavier ma kilka argumentów, by go do tego nakłonić – z pewnością da się na tej podstawie sporządzić mały portrecik. Kto wie, może dzięki temu znowu wróci do gry. Zrobi to wbrew sobie, ale biorąc pod uwagę tantiemy, jakie zgarnia reżyser, kiedy jego film pokażą w telewizji, zrobi to z podniesioną głową, nawet z wysoko podniesioną głową.

Klika w przycisk „Stand up” i opuszcza partię pokera. Marie-Ange wcześniej kończy pracę, to ona odbiera małą. Teraz spędza z nią dużo czasu. Z Marie-Ange nie jest najlepiej. Atmosfera w domu przypomina film *Cichy chaos*. Nie rozmawiają o tym, ale prawda jest taka, że śmierć suki kompletnie ich rozbiła, obydwój. On jest tego w pełni świadomy, Marie-Ange bardziej dystansuje się od

swoich emocji, nie wie, jak wyrazić to, co naprawdę odczuwa. Chciałby, żeby to ich zbliżyło, ale na razie każde przeżywa swój ból w samotności.

Nigdy by nie pomyślał, że śmierć psa może do tego stopnia zdestabilizować życie. Marie-Ange zabrania mu mówić o tym z małą. Xavier uważa, że z dziećmi należy rozmawiać o śmierci. Podczas tygodni leczenia kortyzonem suka sikała po całym domu. Wciągał niebieskie ochronne rękawiczki, zanurzał czerwoną gąbkę w ciepłej wodzie i sprzątał po niej. Pod koniec nie mogła już ustać na łapach na tyle długo, żeby załatwić potrzebę. Upadała na brzuch, w swoją urynę, i trzeba było ją umyć kapielową rękawicą. Mówił jej widzisz jesteś staruszką niedługo nas opuścisz to koniec. Nic nie można na to poradzić. Potem zaczęła dyszeć, bez końca. Spał obok niej, tuliła się do niego, bała się. Nic nie mógł dla niej zrobić. Któregoś ranka, to był bardzo słoneczny dzień pomimo zimy, zadzwonił do weterynarza, żeby ją uspił. Mała szła do przedszkola, powiedział jej, żeby przytuliła Colette, a potem zadzwonił. Nie chciał iść do lecznicy. Marie-Ange uważała, że domowa wizyta jest zbyt droga, ale nie ustąpił. Nie chciał tam iść. Suka już od miesiąca nie chodziła sama, w mieszkaniu nosił ją na rękach, dopóki stała o własnych siłach, schodził z nią na ulicę, żeby się trochę przewietrzyła i załatwiła potrzeby. Nic nie mówił, ale jednak ważyła trzynaście kilo i chwilami to było uciążliwe. Robił rano pompki i ćwiczył mięśnie lędźwi. Poprawił trochę formę fizyczną, by ją nosić tak długo, jak będzie trzeba. Korzystał z okazji, by ją przyciskać do siebie, to małe kochane ciało, bo wiedział, że już koniec. To było straszne, świadomość, że jest skazana, ufała mu, a on nie mógł jej uratować.

Weterynarz zabrał jej ciało w plastikowym worku. Xavier poprosił o urnę z prochami. Okłamał Marie-Ange, nie mówiąc, ile to naprawdę kosztowało. Było mu wszystko jedno. Gdy poszedł do weterynarza, żeby odebrać prochy, i zobaczył na pudełku jej imię, Colette, zrozumiał, że jest po wszystkim. Postawił pudełko na półce z książkami, między biografią Lemmy'ego i Mesrine'a. Nie może się przyzwyczaić do ciszy, kiedy wraca do domu. To mieszkanie nigdy nie było tak puste.

Kiedy otwiera drzwi, czuje zimno, naprawdę przejmujący chłód. Vernon sam tego chciał, zgoda, ale jednak poczułby się dziwnie, gdyby się dowiedział, że facet, z którym kiedyś tak wiele go łączyło, umarł z powodu wyziębienia, nocą, zupełnie sam, na dworze. Jeśli go spotka, zrobi tak, jak obiecał matce: zaprowadzi go do hotelu. Powie jej, gdzie jest, i będzie mogła się nim zająć, rozgrzać go, nakarmić i tak dalej.

Przesiada się na placu Republiki. Xavier liczy ludzi w wagonie: trzech białych, dziesięciu czarnych, pięciu Chińczyków i ośmiu Arabów. Normalne, to Paryż. Ale nie wolno o tym mówić, bo lewackie pięknoduchy od razu zaczynają krzyczeć, że jesteś rasistą. Chciałby wiedzieć, kto ująłby się za białą staruszką, która wraca z zakupów w taniej sieci Tati i pada ofiarą agresji. Niech nikt mu nie opowiada, że obesłoby to Chińczyków, od kiedy tu żyją, nie obchodzi ich nic, co ma związek z Francją.

Kolejny kloszard, którzy zebrze u dołu ruchomych schodów. Chłopak z kotem na kolanach, najwyraźniej podał kotu narkotyki, inaczej by mu uciekł. Łatwiej nafaszerować kota dragami, niż nauczyć się grać na gitarze, to fakt. Xavier myśli o swojej suczce, o ciężarze jej ciała, bliskości, której już nie doświadczy. Najtrudniej pogodzić się z tym, że kiedyś na pewno o niej zapomni. Któregoś dnia spojrzy na jakiegoś psa, nie myśląc o Colette.

Po wyjściu z metra przechodzi zaledwie dwieście metrów i rozpoznaje Vernona, z daleka. Siedzi przed supermarketem obok jakieś monstrualnej kloszardki rozmiaru XXL. I jednak czuje bolesny ucisk w dołku. Korzysta z okazji, że Subutex go nie spostrzegł, i wpada do McDonalda naprzeciwko. Staje w kolejce, przy ladzie jakiś chłopak wysoki na trzy metry zamawia dziesiątki burgerów, z przyległej sali dobiegają wrzaski małych świętujących czyjeś urodziny. Xavier zamawia piwo i loda McFlurry KitKat z polewą czekoladową, potem siada przy szybie. Nie spodziewał się, że dozna takiego wstrząsu, kiedy go zobaczy. W sumie nie spodziewał się, że do tego dojdzie.

Jego umysł bezładnie wyrzuca z siebie epizody z ich młodszych lat, jak zawsze w tego typu sytuacjach są to obrazy pozbawione większego znaczenia:

kolor wykładziny z leżącą na niej okładką płyty The Stooges, czubki butów Vernona, gdy wychodzi z lady w swoim sklepie, problemy z powrotem do domu po ostatnim metrze i oni dwaj, pod wpływem LSD, idący na piechotę na swoje przedmieście, uczucie szczęścia, gdy docierają do Zurychu, żeby zobaczyć, jak H.R. z Bad Brains wykonuje na scenie ryzykowną przewrotkę w tył. Powracają także inne obrazy – jego brat, widziany na ulicy, nieprzytomny, z ust cieknie mu ślina, siedzi ze spuszczoną głową wśród przechodniów na przystanku autobusowym. Ojciec, który wieczorem udawał, że czyta czasopismo, i nigdy nie przewracał kartki, bo tylko czekał na powrót Nicolasa. Matka zbliżająca ucho do zegara, żeby sprawdzić, czy działa, albo podnosząca słuchawkę telefonu, by się upewnić, że słychać w niej sygnał. Jego pieprzony brat, który myślał tylko o sobie, o swoich dragach, wyłącznie o dragach, ten nałóg pochłonął całe rodzinne ciepło. Xavier milczał. Zaskoczył Nicolasa z ręką w szufladzie, gdy kradł obrączki nieżyjących dziadków, żeby kupić sobie choć trochę towaru. Życzył bratu śmierci, dziesiątki razy. A kiedy to się stało, resztki normalnego życia rozpuściły się w ponurej domowej atmosferze. Matka nigdy więcej nie postawiła stopy w kościele. Kiedy żył, modliła się bez przerwy, żarliwość i nadzieja trzymały ją przy życiu. Xavier pozostał wierzący. W niedzielę zabiera córkę na mszę, wiara będzie najcenniejszą rzeczą, jaką ojciec jej pozostawi. Oprócz tego wszystko zamieniło się w proch. Jak ciało jego suki. Doprawdy nie musi chodzić do psychologa, by zrozumieć, dlaczego trzęsie się jak osika, widząc swojego starego kumpla w tym stanie. Chciałby go ocalić. Chciałby, żeby zdechł. Chciałby, żeby nie istniał.

Kobieta, z którą Vernon przesiaduje przed supermarketem, to ogromne babsko, woła do przechodniów, robiąc małpie grymasy. Jest brudna i ordynarna. Xavier wolałby, żeby się oddaliła, ale sprawiają wrażenie nierozłącznych. W porównaniu z nią Vernon wydaje się cherlawy, garbi się, żeby się chronić przed zimnem, szary zarost ocienia jego policzki. Zasłużył na najgorsze, jak wszystkie tego rodzaju cioty, ale nie zmienia to faktu, że ten widok sprawia Xavierowi niewysłowioną przykrość. Zawsze gardził litością, tym wstrętnym uczuciem, wolałby zabić

człowieka, niż się nad nim litować. Lecz tymi stwierdzeniami nie można napełnić brzucha.

Xavier długo się waha. Za jego plecami przechodzą rozmaici ludzie z tacami, nad którymi unosi się typowa dla McDonalda woń smażonego tłuszczu, obrzydliwy zapach, przyprawiający o mdłości, a jednak apetyczny. Mógłby wrócić do domu, oszczędzić sobie tego całego cyrku, niech jego matka wsiądzie do podmiejskiej kolejki, niech sobie sama przeczesuje dzielnicę, skoro tak lubi patos, ucieszy się, kiedy go tutaj znajdzie, mogłaby paść na kolana i odegrać scenę tak dobrze znaną w ich rodzinnym domu: kobieta pomaga swojemu dziecku znowu stanąć na nogi. Niech się w tym wszystkim babrze nawet do końca życia, ale niech nie próbuje wciągać w to swojego syna. Xavier nie chce już więcej słyszeć o tym emocjonalnym szantażu, nie chce czuć ściskania w żołądku tylko dlatego, że ktoś nie dał sobie rady w życiu. Myśl, żeby spróbować zdobyć nagrania Alexa, wydaje mu się absurdalna. Pewnie już dawno ktoś ukradł temu niedojdzie torbę. Xavier myśli raczej o matce. Nie może jej tego zrobić. Przecież dał jej słowo. Wychodzi z McDonalda. Przemierza ulicę i staje przed Vernonem. Widząc, że się zbliża, kloszardka wykrzywia twarz w obleśnym uśmiechu: „Och, proszę pana, nie ma pan papierosa?”. Vernon kładzie jej dłoń na ramieniu, żeby ją uciszyć. Dwaj mężczyźni bez słowa taksują się wzrokiem. W oczach Vernona widać obawę, ale też nienawiść. Xavier nie spodziewał się takiego powitania. Potem ten, który siedzi na ziemi, odzywa się tonem, jaki przybieramy, gdy przypadkiem spotykamy się w barze, jak gdyby nigdy nic:

– Przedwczoraj widziałem się z twoją matką. Opowiedziała mi o waszej suczce. Przykro mi.

Xavier, zaskoczony, odpowiada tym samym tonem:

– Guz mózgu. Zorientowaliśmy się za późno. To stało się bardzo szybko.

– Ty też straciłeś psa?

Nie chce rozmawiać z tym śmieciem. Chrześcijańskie miłosierdzie, zgoda. Ale nie ma zamiaru zadawać się z kimś takim. Oczy grubaski napełniają się łzami i nim

Xavier zdąży powiedzieć jej zamknij się, trajkocze jak najęta:

– Trzy tygodnie temu ukradli mi mojego. To boli, co? Kiedy z nim jesteś, wiesz, że go kiedyś stracisz, i podejrzewasz, że to nie będzie łatwe... Ale to nic, bo tak wiele ci daje. A jaki to był piesek?

– Buldog francuski.

– Ładne psy. Coraz więcej się ich widuje, zamożni ludzie je uwielbiają. Ja miałam amstafa, był większy, ale to także molos. Nic nie jest tak doskonałe, jak ciało twojego psa. Mój miał niewiarygodne rzęsy, przez cały dzień mogłam na nie patrzeć. To było piękne stworzenie, w każdym calu.

Patrząc na to monstrum z daleka, Xavier mógłby się założyć, że potrafi wydawać z siebie jedynie nieartykułowane dźwięki. Jest zaskoczony jej potoczystą wymową. Nie jest tak pijana, jak sobie wyobrażał. Najdziwniejszy jest głos, który nie pasuje do jej tuszy i ogólnego wyglądu. Mogłaby być prezenterką radiową, ma bardzo przyjemny tembr. Dobrze wie, o czym mówi. Również Colette miała piękne rzęsy. Trzeba być zakochanym we własnym psie, żeby dostrzegać tego rodzaju rzeczy. Po tym, co powiedziała, nie może jej zbyć byle czym. Gdy ma się psa, to staje się wręcz regułą, rozmawiamy z ludźmi, do których w innym przypadku byśmy się nie odezwali. Kiwa głową:

– To musiało być dla pani okropne przeżycie.

– Co dzień jest tyle rzeczy, które sprawiały ci tyle radości i których już nie zrobisz. Oddałabym wszystko – nie wszystko, co mam, bo nic nie mam, ale oddałabym nerkę, żeby móc pocałować go w pyszczek. Chciałabym go pogłaskać po brzuchu. Chciałabym, żeby patrzył na mnie, gdy się budzę. To niemożliwe, że już nigdy nie wróci. Mój Atylla. Rozumiesz, o czym mówię? Czekam, aż do mnie przyjdzie, kręcąc grubym zadkiem. Uwielbiał spać pod pierzyną, zwijał się w kłębek tuż przy moim brzuchu.

– Nazwałaś psa Atylla?

Stara klempa ma poczucie humoru. Albo jest wariatką. Gdyby nie była takim oberwańcem, pomyślałby, że należy do tej kategorii ludzi, co do których nigdy nie

mamy pewności, czy są genialni, czy kompletnie stuknięci. Przykuca obok niej, rezygnując z dystansu.

– Moja pod koniec codziennie sikała w kuchni, ścierałem to gąbką, wyżymałem, potem zmywałem podłogę, zwracając uwagę, żeby nic nie zostało w fugach między płytkami. A teraz wstaję rano i widzę, że podłoga jest sucha, to codziennie mi przypomina, że suka nie żyje i nawet nie mogę płakać. Mam córkę, żonę, jestem dorosłym mężczyzną. Nie mogę płakać bo moja suka nie żyje ale nie ma nic smutniejszego niż rano gdy robię sobie śniadanie a ona nie podchodzi by sprawdzić czy coś jej nie skapnie.

Po policzkach kobiety spływają łzy, bezgłośnie, i Xavier wie, że nie robi tego na pokaz, czekając, aż wyciągnie banknot z kieszeni. Naprawdę mu współczuje.

– Od jedenastu lat żyję na ulicy. Atylla miał dziesięć. Kiedy go przygarnęłam, nie miał jeszcze roku, jego właściciel poszedł do więzienia i zostawił psa matce, przez cały dzień pracowała, nie mogła się nim zająć, więc mi go oddała. Syn dostał pięć lat, a kiedy wyszedł, od razu mu odbiło i po dziesięciu dniach znowu wrócił za kraty, ktoś mi o tym powiedział. Gdy mi ukradli Atyllę, pomyślałam, że gdybym miała normalne życie, nie odebraliby mi psa. Ale gdybym miała pracę, nie mogłabym być z nim bez przerwy, oboje nie byłibyśmy tak szczęśliwi... Wiesz, kiedy panem psa jest bezdomny, jest to najszczęśliwszy z psów, bo nie masz nic innego, a ponieważ do noclegowni nie przyjmą cię z psem, nigdy się z nim nie rozstajesz, razem z nim jesz i śpisz. Ja nie chodzę do pomocy społecznej, z psem cię tam nie wpuszczają. Więc nigdy tam nie zaglądam. Nie możesz zostawić amstafa na ulicy. I nie powierzyłabym Atylli jakiemuś pijakowi, żeby mi go zgubił. Albo sprzedał, nie masz pojęcia, jakich mam dziadowskich kolegów... A jednak nie mogę przestać o tym myśleć, cholera, gdybym miała trochę normalniejsze życie, nie zabraliby mi mojego psa. Więc wciąż to sobie wyrzucam. Bez przerwy o nim myślę, kiedy był w tej klatce, jestem pewna, że zrozumiał, co zamierzają mu zrobić, myślę o stole u weterynarza, o metalowym stole, a mnie przy nim nie ma.

Ktoś po niego przyszedł i pewnie pomyślał, że go porzuciłam. Nie czuwałam nad nim. Byłeś przy niej, gdy umierała?

– Tak. Leżała na swoim posłaniu. Ale jeśli może ci to jakoś ulżyć, też mam wyrzuty sumienia. Później pomyślałem, że powinienem był zabić weterynarza, kiedy zadzwonił do drzwi.

I po raz pierwszy od chwili, kiedy to się zdarzyło, czuję, że zbiera mu się na płacz. Ludzie mogą się im przyglądać i myśleć, co chcą, mogą się wszyscy wypchać. Łzy Olgi kreślą bruzdy na jej umorusanych policzkach. Vernon słucha rozmowy, nie próbując się wtrącać.

– Ale kto jest w końcu tym „kretem”, on?

– Oblukaj te foty: kto chciałby pokazywać się w takim programie? No kto? Spójrz na tę starą ćpunkę, gdyby znalazła usłużnego gościa, by ją z litości przeleciał, myślisz, że powiedziałyby chociaż dziękuję?

– Mnie wystarczyłoby o to uprzejmie poprosić, zgłosiłbym się na ochotnika.

– Kurwa, ty się niczym nie brzydzisz.

– Nie znam ani jednej laski, której ty nie miałbyś chęci bzyknąć, może mi podasz imię, po co mam się głowić?

Loïc się uśmiecha, lubi się przekomarzać. Noël nie czuje się zbyt komfortowo. Kiedy tu przyszedł, w pokoju wolny był już tylko niezbyt wygodny fotel. Jest poirytowany. Myślał, że Loïc się nie zjawi. Unika jego wzroku.

Ta sytuacja go męczy. Gdyby wiedział, wróciłby od razu do domu. Jest wykończony. Przez cały dzień był na nogach, nie widząc dziennego światła, odnosił wieszaki na miejsce, składał swetry i biegał między regałami, zbierając rzeczy, które klienci bezładnie rzucają w przymierzalniach. Każda sobota przypomina gwałtowne zamieszki. Wszystkie paryskie bubki, pedzie, kmiotki z przedmieść, snoby, czarnuchy, fleje, studenci, arabusy, szpanerzy i gogusie spotykają się w H&M, żeby przymierzać fajansiarskie ciuchy szyte przez małe dzieci na drugim końcu świata, szmaty, które żydowski kapitał chce im na siłę wcisnąć, a głupki jeszcze płacą, żeby to gówno nosić. Kurwa, nim zaczął tu pracować, nigdy nie przyszłoby mu do głowy, by kupić sobie dzinsy czy sweter w H&M. Tym bardziej w sobotę. Trzeba by zamknąć sklep, z wszystkimi ludźmi w środku, raz albo dwa razy dziennie, i wszystkich zagazować. Serio. Tylu czubków codziennie odwiedza tę dziuplę. To trzeba zobaczyć – laski, które przez cały dzień wystają przed lustrem i przybierają pozy prostytutek, kto by pomyślał, że te paskudne lochy zaczynają się mizdrzyć, gdy tylko włożą na siebie szmatkę

z H&M. Ty kupo sadła, nie dość, że natura nie była dla ciebie łaskawa, to jeszcze wciągasz na siebie ciuchy taniej marki i bujasz się przy piosence Bachelor Girl. Przychodzą z nimi faceci. Te dupki mogłyby w sobotę powyciskać sztangę. Są bladzi jak pędraki. W wieku dwudziestu lat mają wielkie kałduny, a pod modną koszulką widać tłuste oponki. Poćwiczcie mięśnie brzucha, do jasnej cholery, nim zaczniecie się ubierać, pomyślcie o swoim ciele, spaślaki. Masz wolną sobotę, powłócz się z kumplami, pokochaj się z dziewczyną, wybierz się do kina albo po prostu się pobycz z butelką zimnego piwa przed telewizorem, ale gdzie tam. Idziesz do H&M. A kretyn, który po tobie sprząta, to oczywiście ja. Noël. Szef ekipy szepcze mu do ucha po dziesięć razy dziennie – uśmiechaj się, proszę. Z gównianą muzyką w głośnikach przez cały dzień. Uśmiechaj się, proszę. Oczywiście, szefie. Roi się tam od ludzi, Noël czuje uderzenia łokciami w żebra, miażdżą mu stopy, wchodzą mu na plecy i nigdy nie mówią przepraszam – to rzecz powszechnie znana, ekspedienci są po to, żeby po nich deptać.

Po pracy powinien był wrócić do domu. Tacka z gotowym daniem przed *The Voice* – co powinno wywołać szaleństwo na Twitterze, dwie godziny *Szkoły przetrwania* i do łóżka. To by mu dobrze zrobiło, taki spokojny wieczór. Musi wyhaczyć sobie jakąś laskę. Od jak dawna jest sam, już ponad pół roku? Tego wieczoru nie ma szans, żeby cokolwiek poznać, do mieszkania JP* nie przychodzą żadne dziewczyny. Rozmawiają o dupach albo o piłce nożnej, to niespecjalnie przyciąga lasencje. Tak czy owak, w tej chwili jakoś nie ma szczęścia, dziewczyny, które kręcą się koło niego, są wprawdzie miłe, ale nieatrakcyjne.

Loïc stale absorbuje jego uwagę. Opowiada dowcipy, zerka w jego stronę, zamawia piwo i proponuje mu drugie. Noël czuje się nieswojo. Dzień wcześniej długo rozmawiali na temat Loïca z Julienem. Julien ma całkowitą rację. W końcu trzeba się zdecydować, po której jest się stronie. Noël nie jest tak zasadniczy. Loïc potrafi być zabawny, nie można mu tego odmówić. Zgrywus i rozrabiaka, zgoda, ale jeśli to Loïc nie stworzy odpowiedniego klimatu, imprezy są niezbyt wesołe. Julien jest na niego zły. Już od jakiegoś czasu coś między nimi zgrzyta. Zarzuca

Loïcowi cynizm. Nie myli się. To zaczyna być uciążliwe. Kiedy tego wieczoru Noël się pojawił, Loïc zamieszczał post na stronie Génération Identitaire, zrywając boki z gamoni, którzy zaprojektowali lambdę, znak ruchu identytarystów, w taki sposób, że przypomina flagi na święcie młodzieżówki komunistycznej w Fontainebleau na początku lat osiemdziesiątych, wykpił też zdjęcia długowłosych facetów biorących udział w projekcie Apasz, które miały pokazać lewackim feministkom, że się mylą, nazywając prawicowych działaczy łysymi pałami. Post na stronie identytarystów był w sumie zabawny, ironiczny, nie było powodu, by wyżywać się na jego autorze. Ale Loïc sprzedałby własną matkę, żeby rozbawić gawieź, i wszyscy wokół skręcali się ze śmiechu, nic nie mogło go już powstrzymać. To było komiczne. Ale osłabiało morale. Nie można angażować się w sprawę i przez cały czas wyśmiewać się ze wszystkiego. Problem z Loïkiem polega na tym, że uważa wyszydzenie innych za dowód przytomności umysłu, podczas gdy tak naprawdę zdradza jedynie słabość, nie chcąc potraktować ich sprawy poważnie. Jeżeli angażujemy się w politykę, musimy nauczyć się dyscypliny. A w wypadku Loïca nigdy do końca nie wiadomo, co naprawdę myśli. Gdy podejmują poważne tematy, nigdy nie przedstawia jasnego stanowiska. Musi pokazać, że jest najbystrzejszy, że nie da się zbyć byle czym. Julien to zauważył: że Loïc dryfuje. Polecał mu rozmaite lektury, chciał, żeby się doksztąpił. Jednak Loïc stale improwizuje. Brakuje mu zdecydowanych przekonań, charyzmy. Aktywność nie wyklucza poczucia humoru, ale nie można przez cały czas dworować sobie z wszystkich i wszystkiego. Wartością, której należy bronić, jest właśnie solidarność. Żadnej litości dla wrogów. Kiedyś Loïc rozśmieszył Juliana, małpując Alaina Sorala, który podczas telewizyjnego wywiadu plótł trzy po trzy, siedząc na kanapie w szykownym apartamencie w dzielnicy le Marais – marksista, a potem stronnik Frontu Narodowego, wrażliwy na narodowe tradycje i własność prywatną. Naśladował go tak dobrze, że można się było posikać ze śmiechu. I tak się zaprzyjaźnili. Wszyscy doskonale wiedzą, że Soral to bufon. Ale nie wolno rozgłaszać tego w internecie. Gdyż to jest propaganda, a trzeba podtrzymywać strategiczne sojusze, inaczej to wróg będzie spijał śmietankę, patrząc, jak

nawzajem się zagryzacie. „Kółko Byłych Pedalów Nawróconych na Katolicyzm” brzmi śmiesznie. Ale sarkazm nie służy prawdziwej debacie, przeciwnie. Patrząc, jak parodiuje Brigitte Bardot, czyli „Frigide Barjot”, oziębłą wariatkę, dosłownie można było tarzać się po podłodze, „czy ta wyuzdana ćpunka nawrócona na papizm wie, dokąd właściwie zmierza?” Ale i w tym Loïc nie zna granic, może stroi sobie żarty także w obecności niepożądanych osób. A partyjna działalność wymaga powagi, to nie jest *ego trip*.

Na początku wszystko układało się dobrze między nimi trzema. Loïc w roli błazna i znawcy futbolu, Julien ze swoją gadką, kulturą i inteligencją, we dwójkę byli zdolni zmobilizować ludzi. Lecz od pewnego czasu Julien dystansuje się od swojego ucznia, dostrzegając jego ograniczenia. Właśnie pojechał do Rennes, by poprowadzić pierwszą akcję charytatywną Generacji Tożsamościowej. Działa w terenie. Przekazuje wiedzę, zaleca właściwy dyskurs, angażuje się. Gdyby Noël miał wybierać, wolałby stanąć po stronie tych, którzy się nie oszczędzają.

Noël nie ma tak rozbuchanego ego jak dwaj pozostali. Właśnie dlatego tak bardzo lubią z nim przebywać. Ma wystarczająco silną osobowość, by być dobrym kumplem, ale nie odczuwa przemożnej potrzeby, żeby brylować w każdej konwersacji. Jest aktywistą, można na niego liczyć, ma tylko jeden głos. Mimo to nie czuje się na siłach, żeby być liderem. Za to pracuje nad muskulaturą. Od kiedy ma w domu taśmy TRX, ćwiczy, wykorzystując ciężar własnego ciała, i stosuje ścisłą proteinową dietę, dzięki czemu rozwinął dolne partie mięśni, z którymi wcześniej miał problem. Nie znosi facetów, którzy pracują tylko nad górą ciała, bo to jest łatwiejsze i po treningu nie ma się zakwasów. Ale się nieźle natrudził, żeby wyrobić dwugłowe mięśnie ud i łydki. Tego wieczoru przyszedł z małą dostawą, dla wszystkich, przyniósł napalm, odżywkę, która naprawdę daje czadu. Już się śmieje, widząc, jak twarze kumpli czerwienieją, wkrótce zaczną się drapać i robi im się gorąco, a zaraz potem poczują się pobudzeni. Gdy bierzesz napalm, czujesz się tak, jakbyś pił płynną lawę z krateru wulkanu.

Jego matka była kasjerką. Noël widział, jak przez całe życie haruje i jest poniewierana. Głosuje na socjalistów. Nawet teraz. Chociaż nie robi sobie żadnych złudzeń. Gdy w „Le Nouvel Observateur” zamieszczają wielkie nagłówki na temat tego skurwiela Strauss-Kahna, byłego dyrektora MFW, to jakby pluli jego matce w twarz: to nasza wewnętrzna sprawa, we własnym gronie możemy sobie pozwolić na wszystko, najważniejsze, żeby kasa została w naszych rękach. A kiedy trzeba przydzielić kwaterekowe mieszkanie, ci sami ludzie zawsze z ręką na sercu odkładają na bok podanie jego matki i wybierają akta jakiegoś cudzoziemca albo kogoś, kto ma dobre plecy. A tacy ludzie jak oni słyszą zawsze: zajmijmy się tym pojutrze. Kiedy lewacka kasta już się dobrze obłowi, nie zostawiając ani okruszka innym, ale sprawiając wrażenie, że są szlachetnymi i światłymi ludźmi, kosztem idiotów, którzy tyrają naprawdę i którymi nikt nigdy się nie przejmuje. Ubezpieczenia, które kosztują krocie. Podmiejska kolejka RER, która działa co drugi dzień, a w dodatku musimy za to płacić. Zawsze tylko płacić. Ohydne mięso, wydawało się że jest tak obrzydliwe bo to mięso koszerne ale się okazało że to stara naszpikowana hormonami konina albo wściekły kurczak ale bul i żryj głupi robolu, gdy skończysz czterdziestopięciogodzinny tydzień pracy marnując sobie życie w śmierdzących centrach handlowych, zanim wrócisz do domu pomyśl by podratować rumuński przemysł mięsny. Pomyśl też o tym, żeby oszczędzać na wypadek raka, brudny robolu, państwowe szpitale są oblegane przez ludzi bez papierów z całej naszej planety oni wiedzą że trzeba zrobić wszystko, żeby zamieszkać we Francji. Albo dzięki przybyszom z północnej Afryki obniża się pensje proletariuszy, albo firma instaluje się za granicą, w kraju głodomorów. Dlaczego mieliby tego nie robić? Co im za to grozi? Kto im zwraca uwagę, że brak patriotyzmu to zbrodnia? A tymczasem wyprzedaje się kraj Rosjanom, Katarowi i żółtkom. Matka ojczyzna, jak ostatnia suka, ofiarowuje każdy swój otwór temu, kto więcej zapłaci. I mamy na to pozwolić? Żydzi mają w ręku finanse, interesuje ich tylko to, ile mogą na kimś zarobić, a masoneria trzęsie polityką, i nawzajem przydzielają sobie ważne stanowiska. Trzymają stery po to, by wydawać pieniądze publiczne. A tymczasem lewaccy idealisci oburzają się, że ktoś obraża Romów.

Trzeba przyznać, że nie mieszkają w sąsiedztwie cygańskich obozowisk. Nie, lewaccy idealisci kupują mięso bio, francuskie mięso z atestem, bo ciało lewackiego idealisty należy chronić przed chorobami. A łapserdaki niech sobie radzą, jak mogą. A kiedy jego dzieciak idzie do podstawówki, lewacki inteligencik zmienia dzielnicę, bo nie chce, by hordy wściekłych kolegów nazywały jego blondynka białasem. Kiedy żydowski bankier gwałci pokojówkę wyciąga książeczkę czekową i już kurwy Republiki ustawiają się rzędem żeby się nadziać na jego fenomenalną pykę. Kobiety lubią skurwieli. Ci wszyscy wyzyskiwacze, z niesmakiem zatykający nosy, kiedy robole głosują, którzy myślą, że kłamiąc na okrągło w gazetach i telewizji, znowu go wydupczą. Zapominają o Komunie. Ludowi bardziej zależy na narodzie niż jego przywódcom. Mają poczucie honoru. *Viva la muerte*. Są gotowi umrzeć nie dlatego, że są zrozpaczeni, nie mają nic do stracenia, ale właśnie dlatego, że widzą przed sobą horyzont. To my, naród. Przyszłość Francji zależy od naszej determinacji. Lud, język, przyszłość. Wbrew temu, co im się nieustannie wmawia, nie są skazani na bierność. Z wielką niecierpliwością czeka na tę chwilę, gdy wielcy tego świata przestaną być bezkarni. Bez wahania poderżnie gardła ich bękartom, by nadziać te wstrętne mordy na piki i obnosić po mieście. Jeżeli będzie trzeba, padnie od kul, broniąc swojego kraju. Jest gotowy na wszystko. Nie zamierza patrzeć, jak jego ojczyzna się stacza, martwiąc się tylko o to, jak opłacić faktury. Burzuje na okrągło powtarzając w wywiadach, że tylko muzułmanie mają dość motywacji, żeby poświęcić swoje życie w walce. Chcą zdemoralizować tłum. Oni zamierzają dowieść czegoś wręcz przeciwnego. Są gotowi. Szykują się na wojnę. Honor, ojczyzna. To rozbrzmiewa w jego piersi, przenika go na wskroś i porywa. Wieje wiatr, z radością ulatuje na jego potężnych skrzydłach. Razem tworzą potężną bombę. Zburzą wszystko.

Właśnie na tym polega problem Loïca. Jest zgorzkniały. Jest cierpki. Brakuje mu zapachu. Któregoś dnia, kiedy bardzo się upił, powiedział Noëlowi: „Zburzyć wszystko? Niedługo skończę czterdziestkę. Zbyt dobrze znam rodzaj ludzki, żeby robić sobie złudzenia. Będą trzy dni świętowania i całe lata kaca. Zmieni się tylko to, że kilku nic nieznaczących dupków obejmie dobre posady. Chodzi jedynie o to,

żeby wymienić ekipę rządzącą, ale zasady gry się nie zmieniają. Będą robili dokładnie to samo co ci, którzy byli przed nimi. Będą kłamali, kradli, mydlili ludziom oczy i dbali o przywileje dla swoich pociotków”. Zdaniem Loïca, do tego właśnie sprowadza się polityka. To nihilizm. Kiedy Noël to usłyszał, zrozumiał, że to koniec. Julien ma rację: nie czas na cynizm. Trzeba być przygotowanym do walki. A nie idzie się na front, zgrywając pajaca.

Trzecie piwo, Noël jest jeszcze zupełnie trzeźwy, ale czuje w sobie narastającą falę emocji. W jego organizmie zaczyna działać czarna magia napalmu. Odczuwa entuzjizm, szaloną radość. Nagły przypływ energii. Loïc przechyla się w jego stronę: „Unikasz mnie?”. „Nie. Muszę coś zjeść, bo się za bardzo upiję”. „Idziemy do McDonalda?”, Noël nie wie, jak się od niego uwolnić, a teraz, gdy trochę wypił, ma ochotę się śmiać, co jak co, ale z Loïkiem można zrywać boki. „Jesteś pewien, że nic do mnie nie masz? Wydaje mi się, że się na mnie boczysz. To Julien zakazał ci ze mną rozmawiać?” Powiedział to kwaśnym tonem, coś w stylu „jesteś małym chłopcem, dorośli ci rozkazują”. Denerwuje go to, ale teraz złości się raczej na Juliana. Znalazł się między młotem a kowadłem i nie za bardzo mu się to podoba. W końcu nie jest laską. Wzrusza ramionami, sięga po wełnianą czapkę, „taa chodźmy do McDonalda”, i cała grupka wstaje, żeby pójść razem z nimi. Na schodach przepychają się, hałasują, są w dobrym humorze, zaczyna się wieczór. Słysząc podekscytowane głosy, alkohol i napalm uderzają do głowy – pragną się zabawić.

Dobrze czują się na ulicy. Zajmują całą szerokość chodnika. Tylko oni, kto byłby tak szalony, żeby się nie usunąć, pozwalając im przejść? Noël bezwiednie podkreśla swój męski chód, czuje się podminowany, to sprawia mu przyjemność. Lubią patrzeć, jak przechodnie w dzielnicy Belleville rozstępują się, robiąc im przejście, lewacka bohema żółtki arabusy. Są tu u siebie. Istnieją. Mimo meczetów, które mnożą się w Kebabcity, wszyscy usuwają się z drogi i przypominają sobie – to jest ich podwórko. Rzecz jasna, że czuje ulgę po całym dniu pracy, gdzie musi się ubierać w jak najbardziej neutralny sposób, gdzie każą mu zakładać gówniane

ciuchy ze sklepu. Sam na pewno by ich nie wybrał i nie wróciłby w nich do domu, pedalskie ciuchy, które po zakończeniu pracy musi zostawić na miejscu. Uśmiecha się do czarnucha, który ich przeszukuje, zanim pozwoli im wyjść. Zawracanie głowy, tak jakby chciał zabrać te łachy z H&M ze sobą... Jeżeli o to chodzi, rozumieją się z wielkim czarnuchem bez słów. Były ochroniarz pokazywał środkowy palec i puszczał do niego oczko z kretyńskim uśmiechem, co miało znaczyć: wiemy, co o nich myśleć. Masz rację, białasie... Jasne, bambusie, ale jak śpiewał twój czarny koleś Doc Gynéco: „Szanuj się, niuniu, bo tego za ciebie nie zrobię”. Ulga, kiedy go wyrzucili z roboty, ta sytuacja była żenująca. Noël nie ma absolutnie nic przeciwko czarnym. Ale niech się zajmą swoimi krajami, zamiast uciekać jak szczury znęcone okruciami z francuskiego stołu.

Przez cały dzień w sklepie to nie on zasuwa. Jego ciało tam jest, wykonuje mechaniczne gesty, zamyka się w sobie, nie używa mózgu. Wieczorem z kumplami, w mieście, są panami ulicy. Koniec z pańszczyzną. To prawdziwa sztama, odgłos kroków na bruku i pełna swoboda, drwiny, porozumiewawcze spojrzenia. Jeden głos, wspólna energia. Poczucie dumy i satysfakcja, że wszyscy ich widzą, że wszyscy ich unikają, że się z nimi liczą. Przyszłość narodu w ich miarowym kroku.

Gdy docierają do McDonalda, JP zwalnia, coś po drugiej stronie ulicy przykuwa jego uwagę.

– Nie, nie wierzę własnym oczom! Toż to madame kolubryna!

Ten jego gwizd i sarkastyczny uśmieszek. Loïc podchodzi bliżej – co takiego zobaczył? JP głosem zza grobu podśpiewuje numer grupy Napalm Death i parska śmiechem. Potem opowiada, tego ranka, z Julienem, stara wariatka zaczęła się rzucać, kopać, ta wielka kupa sadła, cipa, którą trzeba by wypatroszyć. Że też ziemia nosi jeszcze na sobie takie gówno. W dodatku jaka harda. Ach tak, lubi bijatyki? Wszyscy zaczynają chichotać. Noël przypomina sobie, przed czym przestrzegał ich Julien. To ważne, by pomagać osobom najuboższym, czego państwo francuskie w ogóle nie robi: nasi przede wszystkim. Najpierw nakarmić naszych, potem zastanowimy się co zrobić z biedakami którzy nie kochali swojego

kraju na tyle żeby w nim pozostać i solidarnie walczyć o wydobycie się z nędzy. Ale to również znaczy, że nie szukamy zwady z biedakami, to kwestia wizerunku, zwłaszcza gdy mówią w naszym ojczystym języku. Juliena irytują komentarze na stronach internetowych, pisane niechlujną francuszczyzną. Nie bez powodu mówi się o języku ojczystym, to on sprawił, że jesteśmy narodem. Noël robi dużo błędów ortograficznych. Zostawia komentarze w sieci, ale dopiero gdy sprawdzi, jak to się naprawdę pisze. Wkurza go, gdy widzi niektóre komenty. Nawet on jest w stanie dostrzec, że roi się w nich od błędów. To niepoważne.

Jednak tego wieczoru, w tej chwili, przemawia do niego zwłaszcza piwo i napalm, miękkość ruchów, gdy razem zbliżają się do kobiety, która dała się we znaki ich kumplom – tylko po to, by jej powiedzieć słówko. Nie biją kobiet. A z tą, nawet w obecnym stanie upojenia, nie ma najmniejszych obaw, by miało dojść do zbiorowego gwałtu. Zresztą nawet gdyby była ponętą blondynką, to nie ich specjalność. Julien może być całkiem spokojny – tu chodzi o zabawę. Mała przechadzka na jej skrawek chodnika, by dać jej do zrozumienia, że są w okolicy. Zapytać ją, tak z ciekawości: kto tutaj rządzi. Kogo należy słuchać?

Kobieta ma przekrwione i wybałuszone oczy, starszy gość, który z nią jest, wydaje się podпиты i przerażony, widząc, że się zbliżają. Z tą dwójką to byłaby czysta formalność. Problemem jest jakiś osiłek za dychę, który z nimi rozmawia. Chłoptaş z dzielnicy, który uspokaja swoje sumienie, przykucnął obok meneli, by im pokazać, że darzy ich szacunkiem, ale bez obaw, tej nocy będzie spał w ciepłym łóżku, a oni mogą zdychać. No, tatku, wracaj do domu. Sam widzisz, że nie dasz rady. Ale ten kretyn, zamiast trzeźwo ocenić sytuację, pokazać, że czuje respekt, i odejść, nie robiąc historii, podnosi się i rzuca im wyzwanie, z rękami w kieszeniach, stanowczo zbyt wysoko podnosząc podbródek. Ten dupek nie ma pojęcia o zasadach, jakie rządzą ulicą, jeszcze jeden, któremu nikt dawno nie utarł nosa, i kiedy widzi, że kilku byczków zbliża się do niego, kręci kuprem i zamierza im prawić morały:

– Macie jakiś problem?

– Ej ty, chyba naoglądałeś się za dużo filmów akcji.

– Jesteś gliną, pajacu? Nie? Więc spadaj, mamy do pogadania z twoją kumpelą.
– Rusz się, musimy załatwić sprawę z twoją laską.
– Wypad stąd, gnojki. Idźcie się bawić gdzie indziej. Na pewno znajdziecie sobie przeciwników w waszym wieku. Już was nie ma.

– A czy ta twoja kumpelka pomyślała przez chwilę, zanim rzuciła się na nas dziś rano? Widzisz, facet, w mieście musi panować porządek. Przyszliśmy właśnie po to, żeby jej to wyjaśnić: tu ma być porządek.

Kiedy Loïc z tą swoją psychopatyczną gębą ustawia się w ten sposób, superblisko gościa, mało kto ma chęć mu odpowiadać. Każdy woli szybko zakończyć sprawę. Ale gruby lolo zgrywa bohatera, to się źle dla niego skończy. Zamiast spuścić oczy i zwiewać, upiera się:

– Jedzie od ciebie piwem, wkurzasz mnie.

Noël rozgląda się wokół, szuka wzroku kumpli, jest rozanielony. Wiedzą, że to nie wróży niczego dobrego. Tak długo ćwiczył mięśnie nóg, że pokonuje pięć pięter, nie czując zmęczenia, ma wrażenie, że nogi same go niosą. Nie chciałby być na miejscu typa, który zainkasuje w gębę całą serię ćwiczeń z użyciem TRX.

– Wyglądam na pijanego, pieprzony lewaku?

Rozlega się policzek, plaskacz. Gdyby facet miał za grosz zdrowego rozsądku, zrozumiałby przekaz. Zostawiłby grube babsko, wyzwaliłby ją od ostatnich, dostałaby parę szturchańców i byłoby po sprawie, idą do McDonalda i wieczór trwa dalej. Woleliby już się bić z wielkimi czarnuchami, inaczej trudno będzie chodzić w glorii chwały, w sześciu przeciwko dwóm niedołączom i starej wariatce, niech to się szybko skończy.

I wtedy facet pluje Loïcowi w twarz, patrząc mu prosto w oczy.

To stadionowy nawyk, rutyna. Noël wie, że ma śmiertelnie silne uderzenie stopą. Zadaje trzy ciosy, głowa brzuch głowa. W tej kolejności. Doskonałe, jeden po drugim, idealnie w cel. „To cię nauczy trzymać gębę na kłódkę pieprzony mięczaku. A wy, wszarze, przekazcie mu ode mnie: następnym razem ma spuścić wzrok i zniknąć. W końcu dostał lekcję”.

* JP to zdrobnienie od wielu imion złożonych, na przykład Jean-Philippe, Jean-Pascal, Jean-Paul.

Drobny lodowaty deszcz moczy mu plecy. Dotyk miasta. Vernon idzie przed siebie, nie zadając sobie żadnych pytań. Mija kino z wygaszonymi światłami, o tej porze jeździ niewiele samochodów, przemierza plac Gambetta, ani na chwilę nie zatrzymując się na skraju chodnika, nie miałby nic przeciwko gwałtownemu zderzeniu z blachą, która gruchocze mu kości. Nie pamięta, by kiedykolwiek czuł taką wewnętrzną pustkę. Sygnał dociera i nie wywołuje w nim żadnej reakcji. Widzi opuszczoną żaluzję kwiaciarni, trzech pijanych, zataczających się nastolatków, jakąś postać leżącą na ławce na przystanku autobusowym. Wydarzenia poprzedniej nocy przesuwają się przed jego oczami, nie budząc żadnych emocji. Zgasł. Jest widzem, pasażerem na gapę w swoim własnym ciele, zbiegiem. Bo to się w końcu stało: pochłonęła go pustka.

Najgorsze były minuty, podczas których Xavier leżał na boku, bez ruchu, z przymkniętymi oczami i cienką strużką krwi spływającą z nosa, czerwoną kreską, która urywała się we wgłębieniu nad górną wargą, jakby się wahała, a potem opływała kontur ust, ściekając na podbródek. Kiedy Vernon uniósł głowę, prosząc, by ktoś wezwał pogotowie, nie napotkał wzroku żadnego przechodnia. Wchodzili lub wychodzili z supermarketu, nie widząc tej sceny. A przecież kilka osób po drugiej stronie ulicy przyglądało się bójce. Wtedy Olga przykleiła mu się do pleców i pociągnęła za rękaw, dziecięcy gest, nieporadny i natarczywy: „Nie możemy tu zostać. Przyjedzie policja, musimy stąd iść”, powiedziała łagodnie i stanowczo, nie puszczając jego ramienia. Vernon wołał do przechodniów: „Trzeba wezwać karetkę”, ale jak w jakimś koszmarze stał się niewidzialny. To nie mogło trwać dłużej niż minutę, ale pogrążył się w tej chwili, tak jakby wśliznął się do środka i zniknął, w każdym razie zatonała tam jego dusza. Ochroniarz z Franprix wyszedł na zewnątrz i nie zwlekając, wyjął z kieszeni telefon. Vernon zauważył, że w ciągu dnia rzuca im nienawistne spojrzenia, jakby zaśmiecali wejście do jego miejsca pracy, a teraz uznał, że jest nie tylko odrażający fizycznie, ale że bije od

niego bezdenna głupota. Okazało się jednak, że ten wyjątkowy gamoń ukończył kurs udzielania pierwszej pomocy, wprawnym ruchem ułożył ciało na boku, unosząc jedną nogę, ostrożnie podtrzymując głowę, a wkrótce potem przyjechała karetka z przeraźliwym sygnałem, który wydaje nam się nierealny, gdy zdarzenie dotyczy nas osobiście.

Olga już zniknęła. Radiowóz zatrzymał się obok ambulansu. Vernonowi zadano kilka pytań, najpierw dość obojętnym tonem, jakby odpowiedzi, których mógł udzielić, były już z grubsza znane funkcjonariuszom policji, potem wyraźnie zmienili podejście, gdy zrozumieli, że nie było to wyrównanie rachunków między pijakami. Mężczyzna leżący na ziemi miał adres i kartę kredytową. Ludzie w mundurach, dotąd raczej przyjemni i dobrodusznym, przeistoczyli się w zaaferyowanych i spiętych fachowców. Vernon musiał udać się z nimi na posterunek, żeby złożyć zeznania. Nalegał, by wsiąść do ambulansu i pojechać z Xavierem, ale nawet nie było o tym mowy. „Zna go pan?”, pytali podejrziwym tonem, jakby podejrzewali Vernona, że chce skorzystać z okazji i zjeść darmowy posiłek na pogotowiu. Vernon odpowiadał: tak zna go od dawna, podał jego nazwisko, adres, ale nie, nie ma numeru telefonu do jego żony, by ją powiadomić. „Możemy zabrać z rannym tylko członków rodziny”. Ułożono bezwładne ciało na noszach, Vernon raz jeszcze spytał, czy może z nimi pojechać, ale nikt go nie słuchał. To nie była wrogość. Teraz gdy przez cały dzień siedział przed supermarketem był mniej realny niż przedtem.

I wtedy zdarzyło się coś niezwykłego: z taksówki wysiadła Pamela Kant. Vernon od razu ją rozpoznał. Patrzył, jak niespokojnie rozgląda się po ulicy. Po chwili ruszyła prosto w jego stronę, nie zareagował. Nie zrozumiał, że w tej scenerii szuka właśnie jego. Nie tylko on ją dostrzegł. Zauważył, że ratownicy medyczni szturchają się łokciami, szepczą coś sobie na ucho, nie przestając się krzątać, a dwaj gliniarze dosłownie zamarli w bezruchu z uśmiechem niedowierzania na twarzy.

– Vernon Subutex? Szukam pana już od tygodnia... Co się tu dzieje? Ma pan problemy?

Okoliczności nie bardzo sprzyjały zalotom. Vernon, zaszokowany, nie mógł skorzystać z okazji... Milczał. Opadły go jakieś rozpasane myśli, jak rój płonących meteorów, i nie bardzo rozumiał, skąd się nagle wzięły ani co on robi pośród tego bajzlu. Pamela czekała na odpowiedź, której w końcu udzielił:

- Mój przyjaciel oberwał podczas bójki. Stracił przytomność.
- To Xavier Fardin?
- Znacie się?
- Oczywiście, widziałam *Moją jedyką gwiazdę*, kiedy byłam mała...

Już sama obecność Pameli Kant wydawała się mało realna, ale Pamela Kant, która mówi o filmie Xaviera, jakby to było jakieś kultowe dzieło, w otoczeniu glin i oniemiałych ratowników medycznych – Vernon pomyślał kurwa Xavier ocknij się nie możesz tego przegapić to naprawdę bez sensu.

Wtedy Pamela w zdumiewająco naturalny sposób przejęła inicjatywę, jakby to ona była tutaj szefem – bardzo dobrze, ale chce towarzyszyć Vernonowi w drodze na posterunek, musi z nim porozmawiać, to oczywiste, czy może zostawić ratownikom swój numer telefonu, by ją powiadomili, gdzie mogą znaleźć Xaviera po złożeniu zeznań? Nic nie stanowiło już większego problemu, dla nikogo. Mogłaby ich poprosić, by przejechali się po wielkich bulwarach z włączonym kogutem, tak by mogła się przyjrzeć eleganckim witrynom, a chłopcy odpowiedzieliby nie ma sprawy a czy po drodze mamy strzelać w powietrze? Przykre było w tym wszystkim to, że patrzył na manifestację męskiej solidarności, czując się z niej wykluczony. To nigdy mu się nie zdarzyło, ale bezdomny, nawet z Pamelą Kant u boku, pozostaje dla ludzi pracy śmiesznym bibelotem, nie był już po stronie prawdziwych facetów, lecz kimś poza nawiasem, a gdy jego spojrzenie napotykało wzrok któregoś z ratowników, nie było w tej wymianie śladu porozumienia, tylko zdziwienie i ciekawość. Ach tak, więc lubi posuwać się z kloszardami?

Nikt go nie pytał o zdanie, ale nie bardzo miał ochotę jechać na komisariat, żeby złożyć zeznania. Kiedy znaleźli się w radiowozie, całą uwagę skupiła na sobie

Pamela Kant, odgrywając bezbłędnie rolę ladaczniczki. Wdzięcznie przekomarzała się z mężczyznami, byli oczarowani. Zostawił ją, rozbawioną, w holu komisariatu i poszedł za młodym policjantem do obskurnego boksu.

– Biali, młodzi? Podali nazwę ugrupowania?

– Nie. Nie rozmawialiśmy długo... Nawet bym ich nie rozpoznał, nie sądzę, by to była ta sama grupa, którą spotkaliśmy rano. Szczerze mówiąc, niespecjalnie się im przyglądałem.

– Mieli coś do tej kobiety?

– Nie znam jej. Niedawno zostałem eksmitowany z mieszkania, jeszcze jestem w szoku...

– Rozumiem. Przykro mi.

Komisariat był w stanie daleko posuniętego rozkładu i dostrzegł ironię w fakcie, że faceci spędzający tu znaczną część swego życia użalają się nad ludźmi śpiącymi na ulicy. To był prawdziwy obraz nędzy i rozpacz.

Gliniarz był jeszcze dzieciakiem, mógł mieć dwadzieścia pięć lat, co nasilało odczucie nierealności, które w coraz bardziej niepokojący sposób udzielało się Vernonowi. Odpowiadał na chybił trafił, nie bardzo wiedząc, co lepiej byłoby ukryć, a co można wyjawić. Mężczyzna siedzący naprzeciwko niego dość szybko pozbył się nieufności z początku rozmowy. Vernon nie miał w sobie nic podejrzanego. Spisał jego zeznania w niespełna kwadrans – inspektor pytał o przynależność rasową napastników, po czym pokazał mu kartotekę ze zdjęciami działaczy skrajnej prawicy, nie, żadna z tych twarzy nic mu nie mówiła. Nim pozwolił mu odejść, policjant starannym i trochę nieporadnym pismem wypisał na żółtej samoprzylepnej karteczce numery telefonów kilku noclegowni i adresy, pod które może się udać, żeby otrzymać pomoc. Było mu przykro, czasy są ciężkie, hej, przedtem miał pan pracę, sprzedawał pan płyty, oj, cholera, niełatwo się przekwalifikować. U nas, w policji, jeszcze przez jakiś czas powinno być w miarę, ale mój brat pracuje w szkolnictwie, nie sądzę, by dotrwał do emerytury... Widział pan, że w Grecji zamknęli publiczną telewizję? To nas, policjantów, wysyłają

w takich przypadkach... wie pan, dlaczego tutaj się o tym nie mówi? Bo u nas będzie tak samo, to nieuniknione. Nie mówię tego, żeby się przechwalać, ale tylko policji zbyt szybko nie sprywatyzują.

Potem trzeba było poczekać w holu na Pamelę, mężczyźni obstąpili ją kręgiem, jakby grzali się przy ognisku, żaden nie wykonał niestosownego gestu, ale byli szczęśliwi jak dzieci w szpitalu, który odwiedza księżniczka, autografy i *selfies* telefonem komórkowym. Wybuchła perlistym śmiechem i Vernon, patrząc na nią, pomyślał, że trzeba być naprawdę ładną dziewczyną, żeby dobrze wyglądać w rozciągniętych dresowych spodniach, bluzie z kapturem i filcowych śniegowcach przypominających kapcie. Jednak Pameli to się udawało, coś było w jej oczach, drobnym cielem o nienagannych proporcjach, a zwłaszcza w promiennym uśmiechu. Musiał czekać dziesięć minut w otoczeniu gliniarzy, którzy nie zwracali na niego uwagi, bo komisarz chciał odbyć z Pamelą prywatną rozmowę.

W taksówce zmieniła się nie do poznania. Obok niego siedziała całkiem inna osoba. Kierowca, Chińczyk, który słuchał radia France Bleu, nie rozpoznał Pameli. Kiedy maska opadła, Vernon dostrzegł na jej twarzy oznaki znużenia, wydawała się przygaszona. Wyrzucała z siebie słowa pospiesznie, nie patrząc na niego, jakby nawiązując z nim kontakt wzrokowy, mogła utracić panowanie nad sobą. Vernon zapytał, czego chciał od niej komisarz, wzruszyła ramionami i odpowiedziała obojętnym tonem:

– Musiał mi opowiedzieć, jak by to było, gdyby był dziewczyną... Byłby seksbombą, rzecz jasna, bardzo zgrabną i superwyuzdaną, wszyscy faceci szaleliby za nim, sięgałby im do rozporków, trzymałby ich za jaja, dostałby wszystko, czego by zapragnął, byłby bogaty, potężny, miałby absolutną władzę... Klasyczna mrzonka idioty... Co możesz na to powiedzieć? Skąd mu przyszło do głowy, że dziwki dają sobie radę lepiej niż inni? Na jakiej planecie kurwy mają władzę? Tak czy owak, gdyby był laską, byłby paskudny i tyle. Co sobie wyobraża? Cóż... ale trzymałam buzię na kłódkę.

– Nadal nie rozumiem, skąd się pani tam wzięła.

– Mówił pan o jakimś wywiadzie Alexa, który ma pan w domu... to prawda?

– Nie mogę mieć go w domu, ponieważ nie mam domu. Ale wywiad istnieje, to fakt. Jest pani fanką francuskiej piosenki estradowej?

– Zachował pan to nagranie?

Poczuł się znużony, że ludzie zadają mu pytania, na które nie bardzo wie, jak ma odpowiedzieć – czy wyznać całą prawdę, trochę się z nią rozminąć czy po prostu skłamać.

– Dlaczego pani się tym interesuje?

– Czy jestem pierwszą osobą, z którą pan o tym rozmawia?

– Tak.

– *Yes!* Jestem najszybsza. Jestem najlepsza. Przecież nie tylko ja szukam tego nagrania. Lecz jestem *number one*.

– Pani oszalała. Na tych kasetach nie ma nic ciekawego. Był naćpany i sam się sfilmował, to wszystko. Nie bardzo wiedział, co mówi... Wspomniałem o tym dla żartu. I nie rozumiem, o co właściwie...

– Słuchał pan go, kiedy to nagrywał?

– Nie.

– Dlaczego?

– Spałem. Koka mnie rozluźniała. Ale nie Alexa. Zawsze gdy się spotykaliśmy, bardzo dużo mówił. Ten dureń gadał bez przerwy. Więc kiedy go nie było, nie miałem najmniejszego zamiaru go słuchać.

– A mogłabym to dostać?

– Ale dlaczego zawracacie mi głowę czymś takim?

I po tych słowach urywa. Olśnienie: *Vodka Satana*. Oczywiście. Musiały się znać. Może nie są przyjaciółkami. Dwie gwiazdy tego kalibru, to komplikuje przyjacielskie relacje. Na szczycie jest miejsce tylko dla jednej. O to chodzi, wymawia jej pseudonim: „*Vodka Satana?*”, a Pamela podnosi głowę, uśmiecha się, odwraca się w jego stronę, patrzy na niego. Próbuje go uwieść. Ale choć on o tym

wie i stara się przed tym bronić, chociaż kocha inną, to działa na sto procent. Chciałby móc stwierdzić, że jest tylko trochę zdezorientowany, ale tak naprawdę czuje się jak robak na końcu żyłki: wystarczy, że ona podejmie decyzję, i ulegnie. Dobrze wie, co mogłaby zrobić, żeby mu podziękować, ale jest pod zbyt wielkim wrażeniem, by jasno to sformułować. Chciałby dowiedzieć się czegoś więcej:

– Kto powiedział pani o tych kasetach? To jakieś szaleństwo...

– Sam pan o nich mówił.

– Trochę. Z początku chciałem je sprzedać. Przysłała panią Lydia Bazooka?

– Nie. To nie takie proste. Ale jest kilka zainteresowanych osób. I to ja pierwsza do pana dotarłam. Chyba zasłużyłam na małą nagrodę?

Gdy kurwa tego chce, jej głos zamienia się w cukierek, rozpuszczający się w uchu, kiedy wymówiła słowo „nagrada”, nie tyle dostał wzwołu, co stał się erekcją. Nieszczególnie sprzyja to spokojnej refleksji.

Czy w tym momencie deszcz zdwoił swą siłę, czy to on zaczął odjeżdżać, pogrążyć się w swoich wewnętrznych ciemnościach, sam nie wiedział. Pamela Kant wsunęła dłoń w jego rękę, zaczęła się tłumaczyć:

– Myślę tylko o sobie. Widzę, że jesteś w nie lada tarapatkach, twój kumpel trafił na pogotowie, tobie wszystko źle się poukładało, a ja nie mogę przestać myśleć o sobie. Nie zawsze taka jestem.

Już miał powiedzieć „tak wiem często oglądałem cię w filmach, a poza tym jesteś zupełnie inna, inaczej się ubierasz i robisz superciekawe rzeczy”, to z pewnością była dziewczyna, którą rozbawiłoby parę zdrożnych uwag. Ale głos uwiązł mu w gardle. Xavier leżał na noszach, nawet charyzma Pameli Kant nie była w stanie zatrzeć tego wstrząsającego obrazu. Wtedy nagle ożyło wspomnienie Alexa – że też nigdy nie znalazł czasu, by posłuchać nagrań, które ten mu powierzył, bo do tej chwili ani razu o tym nie pomyślał, a gdyby zainteresował się tymi kasetami w chwili, gdy je otrzymał, to może mógłby zrobić coś dla Alexa. Zmienić bieg rzeczy. Tonął i nawet nie próbował zareagować. Słyszał, jak zmarli odchodzą, i już był po ich stronie. Tego wieczoru odczuwał potworne wyrzuty

sumienia, że zostawił Alexa samego. I wciągnął w tę historię Xaviera. Te dwa uczucia splątały się ze sobą – kim się stałeś, co z ciebie za przyjaciel. I zaraz potem te gwałtowne emocje ustały, nie pozostało nic. Vernon długo w milczeniu przyglądał się Pameli Kant, niezdolny wymówić słowa. Nic go już tak naprawdę nie dotyczyło. Między nim a rzeczywistością poszerzała się bezdenna otchłań – był tak bardzo zmęczony. Długo krążyli przed szpitalem, mijając ambulanse, chorych, którzy palili fajki z kroplówkami w rękę, zabieganych pielęgniarzy naśladowujących jakiś hinduski taniec. Zanim wysiedli z taksówki, powiedział:

– Zostawiłem torbę z kasetami u pewnej dziewczyny, która ma na imię Emilie. Jeśli udało ci się mnie odnaleźć, myślę, że ją też znajdziesz. W każdym razie życzę ci powodzenia... możesz mnie tu zostawić.

– Nie ma mowy. Nie zostawię cię samego.

Chciał odpowiedzieć „wolałbym”, i żeby zabrzmiało to stanowczo, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że na pewno nie wpuszczą go do szpitala. Na pierwszy rzut oka było widać, kim jest, uznaliby, że facet zobaczył światło i chciałby się ogrzać.

Szpital mieścił się w bardzo starym budynku z czasów, gdy budowano szpitale przypominające klasztory, wszystko wydawało się takie spokojne, a potem, po przekroczeniu drzwi, cały urok pryskał. Meble z lat siedemdziesiątych, świetlówki, personel w białych kitlach o twarzach jeszcze bardziej zmęczonych niż jego własna.

Pamela zajęła się wszystkim, wsparła się łokciami o kontuar i czekała, aż ktoś się pojawi i ją poinformuje. Vernon chwilami odzyskiwał pozory trzeźwości umysłu.

– Ale jak udało ci się mnie odnaleźć?

– Masz hashtag na głowie, wiesz, z początku to była ta laska, która ci dała wycisk, internetowa Simone de Boudoir, ale nie wiem, jak się naprawdę nazywa...

– Sylvie?

– Poszedłeś do niej, zerżnąłeś ją jak sukę, a potem zniknąłeś. Nie wiem, czy masz za sobą wiele takich historii...

– Sylvie.

– W każdym razie teraz ten hashtag służy wielu ludziom. Stałeś się facetem, którego się poszukuje, w necie. Tyle że ja mogę powiedzieć bez żadnych przechwałek, że mam więcej followersów niż oni wszyscy razem wzięci. Na przykład mam fana, który widział cię w publicznej łaźni w XIX dzielnicy, taa, facet, mam fana, który tam tyra. I rozpoznał cię na zdjęciach, które zamieściłam... Nie wiem, czy wiesz, Simone de Boudoir wrzuciła milion twoich zdjęć na Facebooka. Nie wybrałeś sobie właściwej laski, chłopie. Nie powinienesz być jej tak zostawiać jak jakiegoś śmiecia... Dobra, nie mieszam się w nie swoje sprawy, ale doprawdy, tak popularny facet nie powinien spać na ulicy. Moim zdaniem cierpisz na brak ambicji... bo stałeś się gwiazdą w sieci: wszyscy cię szukają.

Jakaś Murzynka, wyniosła i nieczuła na wdzięki Pameli, dała się przekonać i wskazała im skrzydło, gdzie leżał Xavier. Gdy weszli do korytarza, Vernon od razu rozpoznał panią Fardin, z torebką na kolanach, w podniszczonych butach, pochyloną, z czołem opartym na splecionych dłoniach. Czuł, że jego mózg i serce są znieczulone, to było takie samo uczucie jak tuż przed wyrwaniem zęba. Jego ciało tu było, posuwało się naprzód, odbierało informacje: widząc jej twarz zwróconą w ich stronę, pomyślał, że wieści nie są dobre. Ale jego emocje były odłączone. Pojawiła się Marie-Ange, przybita, zacisnęła zęby, rozpoznając Vernona, „co się stało, kurwa”, i to Pamela jej odpowiedziała, bo z ust Vernona nie wyszło już żadne słowo. Pomyślał, że Marie-Ange nie rozpoznała Pameli, czego nie można było powiedzieć o kilku pielęgniarkach czy lekarzach, mężczyznach w bieli, którzy zaczęli gromadzić się wokół nich, by im przekazać najnowsze informacje. Śpiączka. A Vernon zdołał zapytać, gdzie jest toaleta. Poszedł we wskazanym kierunku. Znalazł wyjście. Ani przez chwilę nie pomyślał o tym, by uciec w noc, na deszcz, po prostu zaczął iść w ciemnościach, prosto przed siebie, dostrzegając niepokojące szczegóły. Na przykład ciężar ramion. Trzymał ręce

w kieszeniach i nie byłby w stanie ich wyjąć – miał wrażenie, że jego ramiona są wypełnione ołowiem.

Vernon nie mógł uchwycić sterów własnego mechanizmu. Pragnienie, by z tym skończyć, czarna wściekłość, wstręt do samego siebie, lęk przed tym, co mu się przydarza, uczucie duszności, rozpacz i wewnętrzny zamęt zderzały się ze sobą. Płonie, jego płuca płoną, jest przemoczony i ma rozpalone policzki. Idzie jak zombie, godzinami. Ma zawroty głowy. Ale wciąż stoi na nogach. Wchodzi po schodach, w mroku, szybko pokonuje stopnie, brak mu tchu, przyspiesza. Przypomina sobie słowa jakiejś piosenki, „to historia chłopca, który nie mógł przestać tańczyć”, wciąż pnie się w górę, dysząc, zmusza się do tego. W wyobraźni przesuwa litery alfabetu, nigdy nie zdarzyło mu się zapomnieć nazwy grupy, a teraz musi się zastanowić i skupić po raz pierwszy tego wieczoru. *Liaisons Dangereuses**. „Oto historia chłopca który nie mógł już przestać tańczyć i oczywiście umarł to dzisiaj normalne”. Informacje, które nie są mu do niczego potrzebne, piętrzą się, ciągle ten bezład, kakofonia, 1981, niemiecka grupa D.A.F., *Einstürzende Neubauten*, *Mystère dans le brouillard*. Wciąż pokonuje stopnie, te schody wydają się nie mieć końca, ma wrażenie, że wspina się wzdłuż ściany jakiegoś budynku, pozostawiając całe miasto w dole. Nie zwalnia, przymusza się, by iść, czuje ucisk w skroniach. Słyszy pierwsze takty *Los niños del parque*, pętla na syntetyzatorze, perkusyjny automat i kobiece głosy w tle.

Osuwa się na ławkę, nie mogąc złapać tchu. Nie słyszy już samochodów, deszcz się nasila i drobne kulki śrutu uderzają go w twarz, zwróconą ku niebu.

Wstał dzień, choć nie przypomina sobie, żeby spał. A przecież śniło mu się, że Robert Johnson usiadł na ławce naprzeciwko, grał na harmonijce. Vernon nie rozpoznaje ulicy, na której się zatrzymał, kiedy próbuje usiąść, ciało nie bardzo chce go słuchać, opada na plecy i lekko obraca głowę. Deszcz ustąpił miejsca zimnu ostremu jak brzytwa, ale musi mieć gorączkę, choć czuje szczypanie mrozu, skóra dosłownie go pali. Prześladowuje go trzeźwa myśl: od jak dawna nic nie jadł? Gdyby tylko mógł zgasnąć, ot tak, w ciągu godziny – wyobraża sobie płomień

świeczki który migoce potem słabnie i czarny knot, czerwony punkcik a potem już nic. Lecz nie umiera się z rozpaczy, w każdym razie nie tak łatwo.

Kot, który szuka sobie miejsca między jego nogami, wrywa go ze snu. W czarnej nocy deszcz znów zaczyna padać, a kot ucieka. Jego myśli są obrzydliwe. Czuje w ustach ich odpychającą woń. Rozkładające się trupy. Chciałby wymiotować samego siebie, ale wyrzuca tylko żółć, która rozrywa mu gardło, jest zbyt słaby, żeby odwrócić głowę i rzucić żółć na ziemię, spływa po brodzie, lodowata woda ją zmywa, widzi światła w oknach, tańczą. Zamyka oczy. Osuwa się w głąb siebie, żarzące się formy pod powiekami, i oddychanie znów staje się bolesne. Czy przed chwilą usiadł na tej ławce? Nie jest w stanie się podnieść. Trzeba by się poruszyć. Wciąga go sen, nie może mu się oprzeć.

Później w nocy, minęło kilka godzin albo minuta, nie wie, dygoce z gorączki. Budzą go pierwsze takty *Voodoo Chile*. Jimi Hendrix kaszle, to raczej początek *Rainy Day*. To nie jest wersja z albumu *Electric Ladyland*, Vernon nigdy nie słyszał tego kawałka, ale brzmi tak czysto, jakby miał słuchawki na uszach albo zajmował jedno z najlepszych miejsc podczas koncertu w plenerze. Otwarcie oczu wymaga strasznego wysiłku. Niebo jest rozgwieżdżone. Jutro będzie ładnie. Muzyka nie ustaje. Wie, że majaczy, ale się tym nie przejmuje. Zamyka oczy i wraca do chimerycznych kształtów, które wzlatują pod jego powiekami. Wstęp do *Voodoo Chile* jest dłuższy, słyszy, jak Eddie Hazel przechodzi w groove, wydaje mu się to dziwne, potem wyraźnie rozpoznaje Jamesa Jamersona, który długo improwizuje, w końcu rozlega się głos Janis Joplin, wręcz nieskazitelny. Nad jego ciałem rozpościera się tęcza dźwięków. Organy Steve'a Winwooda rozpuszczają przestrzeń, Vernon jest już tylko szalonym pragnieniem rozkoszy, rozpląwa się w mroku, jest całym miastem, wznosi się ponad nie, Jimi i Janis grają niesamowity koncert, którego tylko on słucha. Nad nim gwiazdy z przedziwną mocą błyszczą na paryskim niebie.

Później – trochę się zdrzemnął, czuje, jak fala światła przetacza się przez gitarowy riff, głos Janis przebija ból, jakby ktoś otworzył jęczący się ropień, i nagle się rozluźnia. Niewidzialne i wprawne palce wślizgują się za kości

obojczyków i ciągną, uwalniają oddech, promienieje ciepło, klatka piersiowa zostaje otwarta. Raduje się każdą cząstką swojego naskórka, piosenka trwa w nieskończoność.

Kiedy zapada cisza, dziwi się, że wciąż żyje. Jego ubranie jest przemoczone, czuje się słaby, ale może siedzieć. Nie ma pojęcia, gdzie jest. Potrzebuje czasu, by sobie uświadomić, że odczucie dziwności bierze się raczej z ciszy niż z samej scenerii. Żadnego ruchu. Kręci mu się w głowie. Nigdy nie zaznał tak przyjemnego spokoju. Przenika całe jego jestestwo. Heroina tego nie daje. Ani grzybki, ani LSD, ani datura nie dostarczają tak doskonałych dźwiękowych iluzji jak te, które przed chwilą odbierał. A jednak nie jest martwy, dotkliwy ból na wysokości gardła uświadamia mu, że jest wręcz przeciwnie: żyje. I jest chory. Ale zadowolony, kurwa, zadowolony jak szaleniec, jak furiat. Naprzeciwno odkrywa rozległy widok, widzi cały Paryż z góry.

Jestem samotnym mężczyzną, mam pięćdziesiąt lat, rak przedziurawił mi gardło i palę cygaro, prowadząc taksówkę z opuszczoną szybą, nie zwracając uwagi na miny pasażerów.

Jestem Diana, dziewczyna, która bez przerwy się śmieje i za wszystko przeprasza, moje ramiona są pocięte sznycami.

Jestem Marc, żyję z zasiłku, moja laska pracuje i łoży na moje utrzymanie, codziennie zajmuję się naszą córką, dziś po raz pierwszy uczyłem ją jeździć na rowerze i pomyślałem o moim ojcu, o tym, jak byłem mały i jak któregoś dnia zdjął tylne kółka z mojego rowerka.

Jestem Eléonore, dziewczyna, która mi się podoba, robi mi zdjęcia w Ogrodzie Luksemburskim, wiem, że coś się wydarzy i to będzie skomplikowane, bo obie kogoś mamy, ale warto spróbować.

Leżę w łóżku, gdy dowiaduję się o śmierci Daniela Darca, myślę o jego numerze w moim telefonie, mam chęć wybrać ten numer i kiedy uświadamiam sobie, że to już niemożliwe, czuję mrowienie na plecach.

Jestem nastolatkiem i myślę tylko o tym by ktoś mnie rozprawczył a ruda której od dawna pożądam zaproponowała wspólne wyjście do kina, myślę, że ze mnie nie drwi, i patrząc w lustro stwierdzam, że nie mam już wyprysków, roaccutane zadziałał i mogę zaczynać nowe życie.

Jestem świetną młodą skrzypaczką.

Jestem arogancką i nadwrażliwą kurwą, jestem młodym człowiekiem przykutym do wózka, jestem młodą kobietą i jem kolację z ojcem uwielbiam go a on jest ze mnie dumny, jestem nielegalnym imigranem który przedarł się przez zasieki w Melilli idę po Polach Elizejskich i wiem że to miasto da mi to po co tu przyjechałem, jestem krową w rzeźni, jestem pielęgniarką głuchą na krzyki chorych bo jestem bezsilna, nie mam papierów i co wieczór zażywam dawkę cracku wartą dziesięć euro żeby posprzątać na czarno w restauracji przy metrze Château-Rouge, jestem od lat bezrobotny i właśnie znalazłem pracę, jestem narkotykowym dilerem i dziesięć metrów przed przejściem granicznym sikam ze strachu, jestem sześćdziesięcioletnią kurwą oczarowaną widokiem najwierniejszego klienta. Jestem drzewem o nagich gałęziach poniewieranych przez deszcz, dzieckiem wrzeszczącym w wózku, suką gryzącą smycz, więzienną strażniczką która zazdrości osadzonemu beztroski, jestem czarną chmurą, fontanną, porzuconym chłopakiem który ogląda fotografie z minionego życia, jestem kloszardem na ławce stojącej na wzgórzu w Paryżu.

* Niemiecka grupa undergroundowa, założona w 1981 roku, śpiewająca w języku francuskim i hiszpańskim, prekursorzy muzyki elektronicznej i techno.

Spis treści:

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Vernon Subutex. Tome 1*

© Virginie Despentes et les Éditions Grasset & Fasquelle, 2015

Copyright © for the translation by Jacek Giszczak

Opieka redakcyjna: Robert Chojnacki

Korekta: Joanna Hołdys / Wydawnictwo JAK,
Anna Kopeć-Śledzikowska / Wydawnictwo JAK

Projekt okładki: Eliza Luty

Grafika na okładce: Karim Adduchi

Fotografia użyta w grafice: Fabian Landewee

ISBN 978-83-751-5736-9



Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków, tel. (12) 427 12 00
Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak, w której można kupić książki
Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

